

MELISSA DARWOOD

Surviva 

♥ Love ♥

starcia 



KOMEDIA ROMANTYCZNA O SZTUCE



PRZETRWANIA



KOCHANIA



Surviva   
♥ Love ♥  
starciã 

MELISSA DARWOOD

*Dla Gabriela i Jakuba ♥*





Normalnie pożar w burdelu.

– Jak to: mam lecieć sama? – Siedzę sztywno na krześle obrotowym i przyciskam telefon do ucha tak mocno, że piecze mnie małżowina. – Przecież wiecie, że nie wyraziłam zgody na tego typu wyjazdy. Macie wszystko w papierach. Pracuję w tej firmie piętnaście lat i nigdy, przenigdy nie odbyłam samotnie podróży służbowej. – Jestem cała spocona na myśl o nocowaniu w pustym pokoju hotelowym. Serce kołacze mi tak mocno, że unosząca się i opadająca klatka piersiowa zaraz rozerwie podkoszulek na strzępy i kolega z sąsiedniego biurka otrzyma darmowy striptiz.

– Wiem, wiem. – Kaśka z HR-ów wzdycha ciężko w słuchawkę. – Nic nie poradzę. To zalecenie z góry. Z polskiej filii jedziesz tylko ty, bo znasz język i kulturę Grecji. Z oddziału norweskiego też została wytypowana jedna osoba.

– To zakwaterujcie mnie razem z nią.

– Z nim. I to nie wchodzi w grę.

– Dlaczego? Mogę być w pokoju z obcym mężczyzną – panikuję.

Ba, mogę nocować nawet z całą drużyną piłkarską. Byle nie sama!

– To syn prezesa. Zażyczył sobie apartament z wydzieloną sypialnią wyłącznie do swojej dyspozycji.

– Cały apartament? Ile metrów?

– Pięćdziesiąt sześć.

– A to gówniarz jeden. Moje mieszkanie ma mniej, a żyję w nim z córką i psem.

– Kora, to syn szefa – podkreśla znacząco Kaśka, jakbym była opóźniona umyślowo. – Przykro mi.

„Przykro”! Jej jest przykro, a ja zejść zaraz na zawał. Sapię ciężko, mam coraz większe trudności w oddychaniu. Myślę, szukam rozwiązania, jak wybrnąć z tej tragicznej sytuacji. Przecież nie przetrwam tam nocy. Leków nie zażyję, bo będę po nich chodzić jak zombie i nie przeproszę efektywnie ani jednego dnia. Mogłabym wykupić bilet i dokwaterować na własny koszt Agę, ale jest październik. Córka właśnie rozpoczęła studia. Dwa tygodnie przerwy od wykładów nie wchodzi w grę.

– Mogę chociaż zabrać psa? Załatwię wszelkie formalności – mówię błagalnie. Zrobię wszystko, żeby tylko słyszeć nocą czyjś oddech w pobliżu.

– Poczekaj, sprawdzę na stronie przewoźnika... – W słuchawce rozlega się stukot klawiatury komputerowej, a ja wstrzymuję oddech.

Boże, proszę, błagam. Spraw, abym mogła polecieć z Gienkiem.

Cała spięta czekam na odpowiedź, modląc się do świętych w niebie.

– Niestety – oznajmia Kaśka. – Chyba że jest to pies przewodnik – dodaje po dłuższym milczeniu.

Ja pierdołę. Opadają mi ręce. Dosłownie. Upuszczam telefon na biurko, pochylam się i walę czołem w blat. Raz, drugi, trzeci. Mój wzrok wyłapuje długopis leżący tuż obok i nagle wpadam na szalony pomysł. Waham się. W głowie niespodziewanie rozbrzmiewa chrapliwy głos desperacji: „Zrób to. Teraz. Prosto w oko”.

W sumie? Niegłupi pomysł. Może jednak w powiekę, a nie w oko? Chwilę poboli, ale będzie pretekst ku temu, żeby założyli mi na SOR-ze opatrunek. I wtedy pies przewodnik okaże się jak najbardziej wskazany.

– Kora, jesteś tam? – Z makabrycznych rozważań wyrывa mnie głos Kaśki.

Anioł Stróż czuwa, a diaboliczna myśl ucieka w popłochu. Unoszę się z trudem, opieram o fotel

i przykładam słuchawkę do ucha.

– Jestem – odpowiadam z jękiem. – Kiedy lot?

– Za trzy dni.

Szkoda, kurwa, że nie jutro!

– Co mu się tak spieszy z tą inwestycją? To aż takie pilne?

– Najwyraźniej. Dawid z finansów twierdzi, że prezes się rozwodzi. – Kaśka ścisza konspiracyjnie głos, jakby się obawiała, że Knut Borgen usłyszy ją aż w Norwegii. – Zamierza jak najszybciej przepisać majątek na młodszego syna, który zainwestuje całość w nowy biznes.

– Znowu się rozwodzi? Przecież to jego czwarta żona.

– Kto bogatemu zabroni?

– Racja. Dobrze chociaż, że Markus jest ogarnięty. Może załatwimy to szybko, sprawnie i wrócimy w try miga do domu.

Przywołuję w pamięci ostatnie spotkanie w Norwegii, na którym poznałam synów Knuta: Markusa – z drugiego małżeństwa szefa z Włoszką, Larsa – z trzeciego małżeństwa z Hiszpanką, i Henrika – z czwartego małżeństwa z Norweżką. Podobno prezes ma też dziecko z pierwszą żoną Polką, którą poznał podczas zakładania naszej filii w latach siedemdziesiątych, ale na temat tego małżeństwa nikt nic nie wie. Ten rozdział życia Knuta owiany jest tajemnicą.

Nie ulega jednak wątpliwości, że nasz prezes to pies na baby. Co kraj, to kobita. Wszyscy z jego otoczenia wiedzą, że zdradzał, zdradza i będzie zdradzać, mimo to zawsze trafi się jakaś naiwna istota, która postanowi zostać jego żoną. I trudno się dziwić, facet jest bajecznie bogaty, inteligentny. W dodatku, jak na swoje siedemdziesiąt pięć lat, nadal przystojny i w zadziwiająco dobrej formie – pomimo tego, że jest po operacji wszczepienia bajpasów.

Markus, z którym polecono mi się spotkać w Grecji w celach inwestycyjnych, ma trzydzieści trzy lata i ogromny apetyt na życie. Podejrzewam, że to sprawka włoskich genów matki. Jest rozmowny, rozrywkowy i ma łeb do interesów (to ostatnie najwyraźniej odziedziczył po ojcu). Dobrze nam się ostatnio rozmawiało. Może jednak uda mi się go namówić do współdzielenia pokoju? Sprawiał wrażenie naprawdę wyluzowanego.

– Dobra, kupuj bilety, ale z pokojem się wstrzymaj – oświadczam. – Postaram się złapać Markusa przed wyjazdem i obgadać z nim kwestię zakwaterowania.

– Tym razem to Norwegia zajmuje się bookingiem. Z nimi rozmawiaj.

– Dobra, dzięki. Już do nich dzwonię. Na razie. – Rozłączam się i od razu wybieram numer do centrali naszej firmy.



Dupa. Wielka dupa! Okazuje się, że wszystko już zarezerwowano. Laska zajmująca się organizacją podróży jest tak chętna do współpracy jak mój pies do jedzenia brokułów. Cholerna mimoza z flegmatycznym głosem! „Nic nie da się zrobić. To nie zależy ode mnie. Takie dostałam wytyczne. Może na miejscu zdołasz zamienić pokój”.

Wrrr.

Próbuję się dodzwonić do Markusa, ale nie ma go w pracy. Udaje mi się zdobyć jego numer komórkowy. Niestety nie odbiera. Piszę SMS-y, nagrywam się na pocztę głosową i powoli zaczynam panikować.

Spokojnie. Są jeszcze inne rozwiązania. Wybieram pierwszy numer z ulubionych kontaktów.

– To Grecja. Uwielbiasz Grecję – namawiam Ulę, z którą przyjaźnię się od dwudziestu lat.

– Uwielbiam i wiesz, że najchętniej poleciałabym na Rodos z tobą nawet dzisiaj, ale mam rozpisany grafik operacji na cały miesiąc. Nie dam rady, kochana. Szpital cierpi na deficyt

anestezjologów. Przykro mi.

Kolejna, której jest przykro. Nawet nie usiłuję jej przekonywać. Nie wygram z pacjentami w potrzebie. Z bólem tyłka wybieram kolejny numer.

– Siostra, czy ty jesteś poważna? Karmię piersią! Nie zostawię małego na tydzień.

– Możesz odciągnąć pokarm. Zamrozić mleko. Adam na pewno sobie poradzi, a ty wreszcie odpoczniesz. Przecież jesteś zmęczona.

– To prawda, jestem – przyznaje Hania, a ja kuję żelazo, póki gorące.

– No, to sobie poleżysz na plaży, wymoczysz się w morzu, pozwiesz się. Relaks z all inclusive.

Ja za wszystko płacę.

W słuchawce rozlega się westchnienie. Po nim cisza. Kolejne westchnienie.

– Dorzucam do tego wynajęcie auta. Może kabriolet? – zachęcam i wyczekuję z nadzieją na zbawienne słowa: „No dobra, pojedę”, lecz zamiast nich słyszę:

– Nie mogę. Przykro mi.

Jasna cholera! Jak ja nienawidzę tego pieprzonego „przykro mi”! Niby jego znaczenie jest pozytywne, bo osoba, która go używa, wyraża smutek. Ale zwrot ten wiąże się z odmową, więc tak naprawdę ma charakter negatywny. Po co więc to mydlenie oczu? Już wolałabym z grubej rury: „Nie. Radź se sama”.

A może jego zastosowanie oznacza, że istnieje jednak cień szansy?

Sprawdzam.

– Błagam cię, proszę, Haniu. Jestem w podbramkowej sytuacji. Wiesz, że nie dam sobie rady sama. Nie wiem, co mam robić – urabiam przyrodnią siostrę, jak tylko potrafię, zmieniając przy tym głos na płaczliwy, bezbronny, wręcz infantylny.

Baba po czterdziestce. Wstyd! Zrozumię wyłącznie ten, kto kiedykolwiek przeżył paniczny lęk.

– Rozumiem cię, Koruś, i szczerze ci współczuję, ale naprawdę nie mogę z tobą polecieć – odpowiada Hania takim głosem, jakbym to ja była jej młodszą siostrą, a nie ona moją. – Adam pracuje całymi dniami i w nocy śpi tak mocno, że nawet dziesięcioro wrzeszczących dzieciaków by go nie obudziło. Nie zostawię z nim Jasia. Już zapomniałaś, jak to jest być matką niemowlaka?

Czy zapomniałam? Na samo wspomnienie mojego wczesnego macierzyństwa mam ochotę zrobić sobie lobotomię przedczołową i uszkodzić struktury mózgowia odpowiedzialne za pamięć.

– Nie zapomniałam – wdycham, a przed oczami stają mi te wszystkie nieprzespane noce, kiedy razem z Mateuszem jeździliśmy po mieście z Agą w foteliku po to tylko, by przespać się dwie godziny na parkingu w samochodzie przy włączonym silniku. Omal nie zbankrutowaliśmy przez wydatki na paliwo. Dobrze chociaż, że w ciągu dnia pomagała mi mama. Gdyby nie ona, umarłabym z przemęczenia.

I nagle wpadam na genialny pomysł.

– O! To może mama zostanie z wnusiem? – proponuję z entuzjazmem.

– O! To może mama poleci z tobą? – przedrzeźnia mnie Hanka i wtedy w tle rozlega się płacz dziecka. – Kończę. Mały się obudził. – Rozłącza się bez pożegnania, a ja padam wykończona na łóżko.

„To może mama poleci z tobą?” Dobrze sobie. Matka prócz tego, że na starość zrobiła się koszmarną marudą, to śmiertelnie boi się latać. To drugie stanowiło zresztą jedną z przyczyn rozstania z moim ojcem. Tata był tak zżyty ze swoją rodziną, że najchętniej spędzałby w Grecji cały urlop i każde święto. Matka bała się latać, tata niechętnie jeździł autem w długie trasy, więc gdy byłam mała, zabierał mnie samolotem na lato do dziadków, a ją zostawiał samą w Polsce. To były najwspanialsze wakacje w moim życiu. Dopóki nie poszłam do liceum. Wtedy miałam już swoich znajomych, z którymi wybierałam się na łódki i spływy kajakowe. Ojciec więc odwiedzał krewnych sam. Tak latał do tej Grecji, tak latał, aż przeleciał jakąś rodaczkę i zrobił jej dziecko. Tym oto sposobem zostałyśmy z mamą same, a ja zyskałam przyrodnią siostrę od strony ojca – Elenę.

Sześć lat później kolejną, tym razem od strony mamy – Hanię. Matka ponownie wyszła za mąż, ale rozwiodła się po pięciu latach. Zdaniem mojej terapeutki porzucenie nas przez ojca, gdy miałam siedemnaście lat, wpłynęło na to, że dosyć szybko założyłam własną rodzinę. Zupełnie jakbym chciała zrekompensować sobie braki i utwierdzić się w głupim przekonaniu, że do szczęścia i poczucia bezpieczeństwa potrzebuję oparcia w mężczyźnie.

Czy żałuję, że w wieku dwudziestu trzech lat wyszłam za mąż i urodziłam dziecko? Nie. Kiedy Aga pojawiła się na świecie, wzięłam dziekanę, a po roku wróciłam na studia, które skończyłam dzięki pomocy mamy i Mateusza. Kochałam go, on mnie, nasza córka okazała się najcudowniejszym dzieckiem, jakie mogłabym sobie wymarzyć. No może prócz pierwszych pięciu miesięcy po narodzinach. Tak skubana wyła nocami, że poważnie rozważałam, czy nie oddać jej na wychowanie wilkom. Kolki, ulewania, brak snu. Zimna kawa, wycieńczenie psychiczne i fizyczne. Jako świeżo upieczona matka byłam przerażona życiem rodzinnym. Miałam dość. Ale przetrwałam. Przetrwaliśmy – ja i Mateusz.

Niestety między nami zaczęło się psuć. Na początku studiów byliśmy tylko ja i on – zgodni, zakochani, rozumieliśmy się bez słów. Wspólne wypadki w góry, imprezy ze znajomymi, puby, dyskoteki, namiętny seks. Gdy urodziła się Aga, całe nasze życie wywróciło się do góry nogami. Wkroczyła nowa rzeczywistość. Dopiero wtedy zrozumieliśmy, że jesteśmy już dorośli, zostaliśmy rodzicami, doszły nam nowe obowiązki, a czasu wyłącznie we dwoje było coraz mniej.

Zaczęliśmy się od siebie oddalać. Stopniowo. Powoli. Wręcz niezauważalnie. Studia, później praca, dziecko, dom – to były nasze priorytety. Sądziłam, że to normalne, że taka jest kolej rzeczy. W miejscu namiętności pojawiło się stałe uczucie, ze znajomymi widywaliśmy się na sobotnim grillu zamiast w pubie na piwie, a wypadki we dwoje zastąpiliśmy wakacjami rodzinnymi.

Wydawało mi się, że tak wygląda dorosłość. Spokojnie, bez porywów, w stabilizacji. Aż w końcu po siedemnastu latach małżeństwa...



– Chcę wziąć ślub – oświadcza Mateusz ni z gruszki, ni z pietruszki, kiedy ja właśnie szykuje kolację w piątkowy wieczór.

– Odnowić przysięgę? Niby po co? – Odcedzam makaron. Jeszcze tylko potrząśnięcie durszlakiem pięć razy, polanie sosem i pasta gotowa. Boże, ale jestem głodna.

– Nie rozumiesz. – Siedzi przy kuchennym stole i wpatruje się we mnie dziwnym wzrokiem. – Chcę wziąć ślub z kimś innym. Jestem zakochany.

Cedzak łąduje na podłodze. Kluski rozbryzgują się na posadzce. Pierwsza myśl: „Kurwa, to była ostatnia paczka makaronu. I co ja teraz zrobię na kolację?”. Druga: „W zasadzie już nie jestem głodna. Chce mi się wymiotować”. Trzecia: „Dlaczego nie czuję złości na Mateusza, że zostawia mnie dla innej, mam natomiast ochotę go udusić za to, że zepsuł piątkową rodzinną kolację?”. Czwarta, a wraz z nią zimny pot i zapomniany dawno strach: „Będę musiała spać sama! Co noc!”.

Moje serce zaczyna galopować jak rozjuszona klacz. Spokojnie, tylko spokojnie. Mam córkę. Przecież możemy dzielić łóżko... A co, jeśli będzie chciała wyjechać gdzieś na weekend ze znajomymi albo wyprowadzi się na studia do innego miasta? Z kim wtedy będę nocować? Niby Aga kończy ogólniak dopiero za półtora roku, ale... Wiem! Sprawię sobie psa.

– Kora? – Na ziemię sprowadza mnie głos Mateusza. Czuję na sobie jego spojrzenie, ale nie mogę oderwać wzroku od makaronu na kafelkach i wyrzucić z głowy myśli numer cztery. – Kora. Powiedz coś.

Powiedz coś. Powiedz coś. Powiedz COŚ! Co mam niby, kurwa, powiedzieć?! „Nie odchodź, bo boję się spać sama? A tak w ogóle kim jest ta kobieta, dla której mnie zostawiasz? Po cholere bierzesz z nią ślub, jest w ciąży? Jak mam niby powiedzieć Adze, że nasza rodzina się rozpada, bo tatuś zakochał się w jakiejś cipie?”

– Kora, ja nadal cię kocham – oświadcza Mateusz, jakby czytał w moich myślach. – Tylko inaczej. Wiesz, tyle lat razem. Jesteś dla mnie jak... jak... jak... jak...

Oho, czyżby miał udar? To by znacznie ułatwiło sprawę. Choć chyba nie do końca. Wątpię, by



jego nowa ukochana chciała zajmować się warzywem. Cała opieka spadłaby na mnie.

– Jak najlepsza przyjaciółka – mówi wreszcie. Czyli jest zdrow. – Nawet więcej. Jesteś jak siostra. Nie. To jednak wylew.

Siostra. Siostra! No pojebało chłopca! Czy tak właśnie wygląda kryzys wieku średniego? Mąż widzi w żonie siostrę i bierze sobie inną?

– Powiesz coś? Cokolwiek – nalega.

Dostrzegam, że wstaje, i cała się spinam. Ostatnimi rzeczami, na które mam teraz ochotę, są jego bliskość i zapewnienia o siostrzanej miłości.

– Zesrał się goły na rogu stodoły – rzucam jak jebnięta, aby powstrzymać go przed kolejnym krokiem.

– Co masz na myśli? – Mateusz staje w pół drogi i przygląda mi się zdezorientowany.

– A jak ci się wydaje?

– Jezu, Kora, nie utrudniaj. – Przesuwa dłońmi po twarzy z ciężkim westchnieniem.

Znam go tak długo, że potrafię czytać w nim jak w otwartej księdze. Teraz się zastanawia, jak rozstać się ze mną w zgodzie. Ma wyrzuty sumienia, ale nie na tyle duże, żeby zrezygnować z własnego szczęścia. To w zasadzie dobry facet. Troskliwy ojciec. Pomocny mąż. Rzetelny pracownik. Zawsze sądziłam, że jest na tyle wierny i uczciwy, by mnie nie zdradzić. Parszywa gnida. Ciekawe: od jak dawna ma inną? Zresztą nieważne. Im mniej wiem, tym lepiej. Pewnie lalka i tak jest pusta jak dupa po lewatywie.

Czyli to koniec. Rozstajemy się. Po dwudziestu latach bycia razem. *Adiós! Goodbye! Żegnaj!*

Biorę głęboki wdech i nieoczekiwanie wraz z wydechem odczuwam zaskakującą ulgę. Zupełnie jakbym ozdrowiała po ciężkiej chorobie. Może dlatego, że nasza miłość przez ostatnie lata przypominała wirusa. Niby się kochaliśmy, ale tak jakoś bezobjawowo. Niewielka strata. Nie będę przecież całkowicie sama. Mam córkę, przyjaciółkę, siostrę, matkę, pracę. Tylko szkoda Agi, bo rozstanie rodziców zawsze zostawia jakąś szramę na psychice. Podlec jeden, takie świństwo dziecku zrobić. Co nas jednak nie zabije, to nas wzmocni. Damy sobie radę. Same. Jestem zajebistą matką i zrekompensuję córce tę stratę.

Choć przyznam, że jako młoda mama miałam parę wpadek na polu opiekuńczym. Na przykład wtedy, kiedy Aga skończyła dziesięć lat i dostała swoją pierwszą komórkę. Dzwoniła do mnie po kilkanaście razy w ciągu dnia. Nawet gdy siedziała w pokoju obok. Tak po prostu, żeby skorzystać ze smartfonu. Nie zdziwiłam się więc siódmym telefonem w ciągu doby. Akurat prowadziłam auto. Byłam tak wypruta tamtego dnia, że dwa razy pomyliłam się we wstukiwaniu PIN-u podczas płacenia za zakupy.

– No co tam znowu, córuś?

– Mamo, gdzie jesteś?

– Wracam z Biedronki. Będę za pięć minut w domu. Coś się stało?

– No raczej. Zabrałaś mnie do Biedronki ze sobą.

Kuźwa! Matka roku.

Ale to już było, wszystko dobrze się skończyło, dostałam nauczki i nabawiłam się traumy. Od tamtej pory, wychodząc z jakiegoś marketu, zawsze dzwonię do córki. Tak dla pewności. Nie przeczę, bywały momenty, gdy robiła mi tak koszmarnie sceny w sklepie, że miałam ochotę ją zostawić samą na środku alejki i uciec. Wtedy przypominało mi się, że jako dzieciak wykręcałam matce podobne numery. Kładłam się na posadzce w Społem i darłam japę, że chcę słodkie mleczko w tubce. Najwidoczniej to prawda, co mówią: „Kiedy twoje dziecko cię wkurza, to nie jego charakter. To powracająca karma”.

Jakie szczęście, że Aga jest już duża. Nie potrzebuje mojej stałej opieki. Tym bardziej ojca zdrajcy. No właśnie, Mateusz. Co ja mam, do cholery, z nim zrobić? Rozglądałam się po kluskowym pierdolniku, który wyrządziło jego wyznanie, i nie mam ochoty na to patrzeć. A na niego tym bardziej.

– Posprzątaj podłogę. Zabieram Agę na pizzę. Gdy wrócimy, ma cię tu nie być. I twoich rzeczy też.

– Mam się wyprowadzić?

– Tak.

– Dzisiaj?

– Tak.



– Nawet nie porozmawiamy na spokojnie?

– Nie – oznajmiam opanowanym głosem, ale w środku tak się we mnie gotuje, że mózg mi się już zwarzył. Pewnie dlatego dodaję na odchodne: – Żegnaj, kochanie, niech na zawsze twoja pała miętka pozostanie.

Tak właśnie dwa lata temu zakończyło się moje małżeństwo.



– Pani Kora? – Kobieta ze stanowiska odprawy odrywa wzrok od mojego wyrobionego dwa miesiące temu dowodu osobistego. Przygląda mi się, jakby ujrzała ducha. Rozdziawia usta. Mruga. Ponownie zerka na dokument, po czym przenosi na mnie spojrzenie, a ja dostrzegam w jej oczach błysk podekscytowania.

Odkąd po rozwodzie ścięłam włosy na krótko, zaczęłam odważniej się malować i ubierać, natrafiam na takie reakcje nawet u osób, które nie znają mojego imienia. Widać i tym razem spotkałam fankę.

– *Tysiące twarzy, setki miraży, to człowiek tworzy metamorfozy...1* – podśpiewuję, a wtedy ona się krzywi, jakbym przejechała paznokciami po blacie. Momentalnie spuszcza głowę i wstukuje coś szybko na komputerze. Ma zniesmaczoną minę jak abstynentka pijąca sfermentowany kompot z wiśni.

Biedactwo. Ona naprawdę przez chwilę miała nadzieję, że Olga Jackowska zmartwychwstała, odmłodziła o trzydzieści lat, wyrobiła sobie dowód osobisty ze swoim artystycznym pseudonimem i przyszła na lotnisko, by dać prywatny koncert specjalnie dla niej.

– Pani Angeli, zapraszam dalej. – Podaje mi bilet i dowód osobisty ze wzrokiem mówiącym „zejdź mi z oczu, oszustko”.

– *Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech, nie poganiaj mnie, bo gubię rytm...2* – Odchodzę z pieśnią na ustach, a ludzie w kolejce przyglądają mi się z niemym pytaniem „Kora czy nie Kora?”.

W zasadzie to nie jest dziwne. Kiedy po rozwodzie moja terapeutka namawiała mnie na niewielką zmianę, tak dla poprawy nastroju, nie spodziewałam się, że nowa fryzura, ubiór i makijaż zaproponowane przez Ulę upodobnią mnie tak bardzo do znanej wokalistki z jej lat młodości. No dobra – drugiej młodości. Bo jakkolwiek patrzeć, czterdziestka to dwudziestka razy dwa. Jak widać, moja przyjaciółka to utalentowana bestia. Ratuje ludzkie istnienia w obszarze anestezjologii i stylizacji.

Stoję przed wejściem do punktu kontroli bezpieczeństwa, piję wodę mineralną, rozpamiętując przeszłość. A czasu na to rozpamiętywanie mam naprawdę dużo, ponieważ postanawiam opróżnić prawie półtoralitrową butelkę. I wcale nie dlatego, że chce mi się diabelnie pić, ani też dlatego, że nie stać mnie na zakup wody po przejściu kontroli. Piję, bo jestem pojebana i nie znoszę marnowania. Dzieci w Afryce umierają z odwodnienia, a ja mam wylać dopiero co zakupioną mineralkę? Absurd! Dorosła kobieta powinna przyjmować dwa litry wody dziennie. Nawodnię się odpowiednio i tym samym uniknę wyrzutów sumienia.

Tak więc piję. I chyba mój mózg jest ukontentowany, podsuwa mi bowiem tak wyraźne obrazy z przeszłości, jakbym cofnęła się w czasie. I widzę siebie z okresu przed rozstaniem z Mateuszem. Długie, ciemne włosy spięte w kok, delikatny makijaż, ubrana w beżową sukienkę, czasami brązową albo szarą. Taka nudna mężatka grubo po trzydziestce, choć duchem nadal miałam dwadzieścia dziewięć lat.

Upijam ostatnie dwa łyki i uśmiecham się sama do siebie. To prawda, co mówią. Nic nie dzieje się bez przyczyny. I choć jeszcze dwa lata temu uznałabym taki tekst za najbardziej chujowe powiedzenie wszech czasów, to dzisiaj zgadzam się z nim w stu procentach. Kiedy wyganiałam męża z domu, sądziłam, że nasze rozstanie spłynie po mnie jak po kaczce. Zgrywałam chojraczkę. Byłam przekonana, że świetnie sobie poradzę. Tymczasem rozwód przeorał mnie psychicznie. Wróciły ataki paniki, tak silne, że nie przebiłyby ich nawet lęk po nocnym maratonie z top 10 najbardziej przerażających horrorów stulecia. Wystarczyła jedna samotna noc, a ja posrałam się ze strachu. Dosłownie.

Ale jakoś z tego wybrnęłam. To znaczy z przeorania, nie lęku. Przede wszystkim zmieniłam

wygląd. Wiem, płytkie, jednak poskutkowało. Osiem kilogramów mniej, krótkie, czarne włosy, czerwona szminka na ustach, podkreślone eyelinerem brązowe oczy, skórzane spodnie i golf upodobiły mnie do Kory z Maanamu z lat jej świetności tak znacząco, aż miałam ochotę poprosić siebie o autograf. Gdybym tylko umiała śpiewać, mogłabym zrobić karierę w show-biznesie. Nawet pseudonim sceniczny mam potwierdzony dowodem osobistym.

Ta zmiana wizerunku była jak narodzenie się na nowo. Podbudowanie nadszarpniętego rozwozem poczucia własnej wartości. Tym bardziej że ten matoł zostawił mnie dla starszej, wykształconej kobiety! Wiem, nie chciałam węszyć, ale dowiedziałam się przypadkiem. Wcale go nie śledziłam! Po prostu znajdowałam się w pobliżu jego miejsca pracy. Akurat opuszczał biuro, a że była piękna pogoda, postanowiłam pospacerować. I jakoś tak wyszło, że tłum przechodniów niczym fala tsunami zepchnął mnie w tę samą stronę, w którą podążał mój eksmąż.

Kiedy wreszcie na chodniku zrobiło się pusto, ujrzałam pieprzonego Mateusza witającego się z Gérardem Depardieu. To znaczy tak mi się zdawało. Po chwili zorientowałam się, że to nie był francuski aktor, lecz kobieta z kinolem wielkim jak mój wibrator. I nagle wszystko stało się jasne. Mateusz nieraz wspominał, że pragnie zasmakować penetracji analnej. Takie zalecenie od proktologa na prostatę. Nie wykazywałam jednak entuzjazmu, zwłaszcza że chciał używać do tego mojej twarzy. Jak widać, znalazł sobie nowy, lepszy model, który zaspokoi jego erotyczne potrzeby.

Nieoczekiwana i gwałtowna wymiana płynów ustrojowych między nimi, po której nastąpiło namiętne zassanie nocha Gérarda ustami mojego byłego męża, zemdlila mnie tak mocno, aż zakręciło mi się w głowie i poczułam słabość. Nogi ugięły mi się w kolanach. Sięgnęłam szybko po telefon, żeby wezwać pogotowie, i przypadkowo zrobiłam koszarnej babie zdjęcie.

I tak ją właśnie namierzyłam. Krótki wywiad ze starymi znajomymi, kilka kliknięć na Facebooku i jest. Kaprawa morda, dla której zostałam porzucona. Dziesięć miesięcy starsza ode mnie! Siedem miesięcy starsza od Mateusza! Skąd się znali? Z cholernego ogólniaka! Kolejny wywiad na osiedlu teściów. I bach! Podobno Mateusz podkochiwał się w tej brzyduli przez całe liceum, ale ona była zbyt pochłonięta nauką, by zwracać uwagę na chłopców. Teraz robi karierę w jakiejś kancelarii prawnej, która w logo ma wagę i dwa nazwiska. Ciekawe: czy jak ten zdradziecki chujek był ze mną, to myślał o niej? Czy czekał na nią przez te wszystkie lata, aż w końcu wsadzi mu swój wielki kinol w tyłek? Boże, jestem porażką. Naiwnie sądziłam, że byłam jego pierwszą młodzieńczą miłością.

STOP! Nie jestem żadną porażką. To on jest przegrywem. Pies go srał! Wyświadczył mi przysługę, gdy odszedł. Otworzył mi oczy na nową mnie. Tak! Nowa ja. Nowe życie. Nowe szanse. Tylko ten cholerny stary lęk pozostał. Przez niego muszę kombinować jak koń pod górkę.

I właśnie kombinuję. Siadam w poczekalni na lotnisku i dzwonię do hotelu, w którym mam się zatrzymać. Wyjaśniam spokojnie swoją podbramkową sytuację i choć posługuję się biegle tym samym językiem co recepcjonistka, ona sprawia wrażenie, jakbym mówiła do niej po chińsku lub gorzej – po polsku!

– Nie rozumiem – powtarza po grecku po raz trzeci. – Chce pani dzielić pokój z jednym z naszych gości?

– Tak właśnie powiedziałam – odpieram w jej ojczystym języku.

– Ale z kim konkretnie? Proszę podać nazwisko.

– Już mówiłam, Markus Borgen. – Narasta we mnie irytacja.

W mojej rozmówczyni najwyraźniej też, bo odpowiada stanowczym głosem:

– Tak jak wspomniałam. Nie mamy na liście gości hotelowych nikogo takiego.

– Niemożliwe. Proszę sprawdzić ponownie.

– Sprawdzalam. Jestem pewna. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego nie mają na liście Markusa?

– A czy ktoś z firmy Borgen Ltd. ma rezerwację na pokój od dzisiaj?

– Tak, pani. Plus jedna osoba.

– Kto?

– Niestety nie mogę zdradzać danych osobowych.

– Przecież nie proszę pani o numer karty kredytowej waszego gościa, tylko o jego nazwisko.

Pracujemy w tej samej firmie.

– Zalecam w takim razie skontaktowanie się ze swoim pracodawcą. Ja takich informacji nie mogę udzielać. Czy mogę w czymś więcej pomóc?

Oczywiście, że możesz, skarbie. Połóż ręce na swojej szyi, obejmij ją i ściśnij mocno. Nie starasz się, mocniej! O, tak dobrze. Nie przestawaj. Ściskaj tak długo, aż zobaczysz ciemność i usłyszysz chóry anielskie...

– Nie. Dziękuję. – Siłę się na grzeczny ton, bo kobieta może mi się w przyszłości przydać. Żywa. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. Zapraszamy! – odpowiada Greczynka tak melodyjnym ptasim świergotem, aż mam ochotę ją odstrzelić, oskubać z piórek, wypatroszyć i upiec na grillu.

Boże, jaka jestem głodna. Muszę coś zjeść przed odlotem, bo nie podnieca mnie wizja kupowania megadrogiej kanapki w samolocie. Do posiłku zdecydowanie powinnam napić się czegoś mocniejszego.

Podążam w stronę restauracji i w tym czasie dzwonię do Markusa. Cholera, nadal nie odbiera. Niezmiennie włącza się poczta głosowa. Kupuję drinka alkoholowego i tortillę z grillowanym kurczakiem. Tak, recepcjonistka zdecydowanie narobiła mi smaka na ptaka<sup>3</sup>.

Siadam przy stoliku i dzwonię do biura w Norwegii. Nic nie wiedzą o żadnych zmianach. Bilet kupiony jest na Markusa, lot z Oslo do Rodos, pokój zarezerwowany na jego nazwisko. Tłumaczę więc, że w hotelu nie mają go na liście gości. Dziewczyna od podróży służbowych zapewnia, że to jakiś błąd w systemie w hotelu. Obiecuje, że to sprawdzi i się ze mną skontaktuje.

Jej zapewnienia nieco mnie uspokajają. A może to sprawa drinka, którego wypiałam w trakcie naszej rozmowy? Tak czy siak, czuję się wyluzowana i nadal głodna jak wilk, bo nie tknęłam jedzenia. Nie przystoi przecież rozmawiać z pełnymi ustami, chociaż akcent wtedy jest isticie brytyjski. Już mam się wgryźć w pachnącą tortillę, kiedy nagle rozlega się dźwięk przychodzącego SMS-a.

Zerkam na telefon. To Ula.

Przepraszam! Operacja się przedłużyła. Pewnie już lecisiz, więc odczytasz moją wiadomość po wylądowaniu. Chciałam ci życzyć spokojnej podróży. Daj znać, gdy będziesz na miejscu.

Co ona? Wspominałam jej, że odlot mam o piętnastej pięćdziesiąt, a jest dopiero... Zerkam na zegarek na wyświetlaczu i zamieram. Jasna cholera! Piętnasta czterdzieści dwie.

Zrywam się jak oparzona z krzesła, zabieram torebkę, plecak z komputerem, obiad i biegnę. Pieprzona mać! Co za pacan wymyślił „ciche lotnisko”? Dlaczego zlikwidowali te cholerne wezwania? Fakt, że niewiele można było zrozumieć z komunikatów głosowych, ale zawsze człowiek miał poczucie, że ktoś jednak czuwa.

Zbliżam się z zawrotną prędkością do swojej bramki, a tam pusto. Żadnych pasażerów, pracownik właśnie zamyka taśmą przejście do rękawa.

– Jeszcze ja! – drę się jak wariatka i podbiegam z szalem w oczach.

– Spóźniła się pani. – Młody mężczyzna przygląda się mojej twarzy i mruży powieki. Oho, znowu to spojrzenie.

– Mam bilet! – Grzebię niezdarnie w torebce uwieszanej na ramieniu, co jest nie lada wyczynem, zważywszy na to, że trzymam tortillę. – Zupełnie straciłam poczucie czasu. – Wyjmuję świstek. – Samolot jeszcze nie odleciał, prawda?

– Prawda, ale bramka jest już zamknięta. – Wciąż patrzy na mnie wzrokiem mówiącym „skądś ją znam, choć nie mam pojęcia skąd”.

A ja zamierzam to wykorzystać.

– Może autograf od Kory dla mamy albo taty? – Z premedytacją układam usta w dzióbek, to bowiem jedna z tych min, które upodobniają mnie do Jackowskiej w jakichś dziewięćdziesięciu procentach.

Oczy młodzieńca się rozszerzają. Na twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Tak sądziłem, że to pani.

Taaa... I cofnęliśmy się w czasie o czterdzieści lat.

– To gdzie mam podpisać? – przymilam się, a wtedy on wyciąga zza lady jakąś kartkę.

– Może być tutaj. Dla Sławka. To mój tata. Podkochuje się w pani.

Robimy wymianę. Ja mu podaję tortillę, on mnie długopis. Podpisuję się na kartce wytrawnie niczym lekarz, a później następują: szybkie powiadomienie załogi o spóźnionym pasażerze, skan biletu, odbiór tortilli, otwarcie bramki i sprint rękawem do samolotu.

Ciekawe, jak na autograf od ukochanej piosenkarki nieboszczki zareaguje tatuś.

Chryste, jestem potworem. Będę się smażyć w piekle za beczeszczenie pamięci o zmarłej. Ale to dopiero za kilkadziesiąt lat. Teraz muszę skupić wszystkie siły na tym, żeby najbliższa noc nie zamieniła się dla mnie w piekło na ziemi.



Wbiegam zziębnięta tylnym wejściem do samolotu wypełnionego po brzegi ludźmi i gdy mój wzrok pada na drzwi od toalety, uzmysławiam sobie, że nie tylko aeroplan jest pełny. Mój pęcherz zaraz pęknie niczym tama w zbiorniku retencyjnym. Jestem tak obładowana, że nie mam nawet jak chwycić za klamkę, nie wspominając o ewentualnym załatwieniu potrzeby.

– Może pani potrzymać? Muszę skorzystać z ubikacji – zwracam się do stewardesy. Ta mierzy mnie wzrokiem mówiąc „baba chyba zgłupiała”, lecz po chwili przybiera wyuczony uśmiech i odpowiada grzecznie:

– Przykro mi, ale musimy już startować. Proszę siadać. – Wskazuje moje miejsce, które mieści się mniej więcej w połowie drogi między przednim a tylnym wyjściem.

Czuję, jak mój pęcherz protestuje. Ciśnie, rwie, pęcznieje, kłuje. Gdyby potrafił mówić, rozległoby się paniczne wołanie: „Opróżnij mnie, bo eksploduję!”. Biedaczek. Wypiłam prawie półtora litra wody godzinę temu. Do tego drink w barze. Sporo tego. Planowałam pójście do toalety jeszcze w terminalu przed lotem, ale wyszło, jak wyszło.

– Ja naprawdę muszę. Bardzo panią proszę. – Spoglądam na nią błagalnie i w tym samym momencie rozlega się znajomy sygnał dźwiękowy. A to oznacza tylko jedno: nici z sikania, przyszła pora zaciskania. Jasny gwint!

– Proszę siadać i zapiąć pasy, startujemy. – Stewardesa wbija we mnie stanowcze spojrzenie, robi krok w moją stronę, kolejny, następny... Zaraz na mnie wlezie.

Odruchowo patrzę na jej dekolt i aż mam ochotę jęknąć. Boże, jaki ona ma zachwycający biust. Też chcę taki! Ale nie mam. Dieta i pływanie, kiedy chcesz oszukać metabolizm dojrzałej kobiety, żeby wcisnąć się w dzinsy o dwa rozmiary mniejsze, są obarczone tą wadą, że zamiast spodni wymieniasz wszystkie staniki z D na C. Nie powiem, reszta ciała również schudła, lecz nie tak, jak oczekiwałam. Obawiam się, że już nigdy nie będę superszczupła, jędrna i sexy tak jak przed ciążą. Latka nie te. Do tego karmienie piersią zrobiło swoje. To znaczy nie ma tragedii. Po prostu w tym wieku częściej wisi, niż stoi. Trzeba to zaakceptować. Kobiety po czterdziestce wspomagają się biustonozem push-up, a mężczyźni viagrą.

– Proszę pani. Siadamy. – Dziewczę spycha mnie wielkimi zderzakami.

– Dobrze, już dobrze. Idę. – Biorę gryza zimnej tortilli i podążam w stronę swojego miejsca. A ta pinda z obsługi kroczy za mną jak strażnik więzienny za skazańcem zmierzającym do celi. Przecież jej nie ucieknę. Choć nie ukrywam, że toaleta z przodu kusi mnie jak diabli.

– To tutaj. Poproszę pani bagaż – mówi, ja jednak nie reaguję, bo widok jednego z pasażerów odbiera mi mowę.

Ja pierniczę! To ten facet, który grał wikinga w serialu na Netfliksie! Oczywiście nie pamiętam, jak nazywał się bohater, ponieważ zapomniałam zażyć rano lecytynę, a serial w ogóle mnie nie interesował, za to moja córka była szaleńczo zakochana w aktorze wcielającym się w główną rolę. To na pewno on! Choć dużo starszy, z krótszymi włosami i brodą, no i rzecz jasna nie jest odziany w zwierzęcą

skórę, tylko w kraciatą koszulę i dzinsy. Stercę nad nim i gapię się na niego jak na osobliwy okaz przyrody. Muszę koniecznie zrobić mu zdjęcie i poprosić o autograf dla Agi. A jeśli to nie on, lecz podobny do niego jegomość? Wówczas zrobię z siebie wariatkę.

– Proszę mi oddać plecak – słyszę głos stewardesy, a wtedy mężczyzna podnosi głowę i wbija we mnie niebieskie oczy.

Zastygam, jednak wyłącznie na sekundę. Cholerna stewardesa bowiem szturcha moje ramię, przez co tortilla wymyka mi się z dłoni i łąduje wprost na męskim kroczu.

Ups!

Wiking krzywi się, wydaje z siebie mruknięcie i sięga do fotela przed nim po papierową torebkę. A ja się gapię jak pierdolnięta na tę część jego lewej nogawki, która jest umiejscowiona tuż przy pachwinie. To na pewno tylko telefon w kieszeni. Wzrok w górę, Kora, już! Przesuwam po herkulesowej sylwetce przeciągłym spojrzeniem i wcale nie jest ze mną lepiej.

I żeby była jasność: nie jestem żadną trzpiotką mdlejącą na widok przystojnego faceta, zwłaszcza że ten tutaj nie jest jakoś szczególnie piękny. Ale te jego lazurkowe oczyska, ostre rysy twarzy, potężne dłonie z odsłoniętymi przedramionami... To, jak wypełnia całym sobą cholerny fotel... Wszystko jest takie zjawiskowe, osobliwe, wręcz ekscytujące. To trochę jak spotkanie oko w oko z wielkim niedźwiedziem podczas niedzielnego spacerku w brzoźowym lasku. Wiesz, że konfrontacja nie wróży niczego dobrego, jednak masz ochotę nasycić nim oczy i zapamiętać ten widok na zawsze.

Umówmy się. Na co dzień nie widuje się takich mężczyzn. A przynajmniej nie tam, gdzie mieszkam, pracuję i robię zakupy. Na bank mam teraz owulację! To, że od dwóch lat nie uprawiałam seksu, też nie pomaga. Czuję ból w lewym ramieniu, rwie mnie cała ręka. Czy to od serca? Może mam zawał?!

– Proszę pani. Czy może pani współpracować? – Stewardesa próbuje zdjąć plecak z mojego ramienia. Ufff. Czyli to nie zawał.

– Tak, tak.

Oddaję jej bagaż, nie spuszczać wzroku z niedźwiedzia, który właśnie próbuje zetrzeć chusteczką higieniczną plamę ze spodni. Robi to tak nieporadnie tą swoją ogromną jak bochen łapą, aż robi mi się go szkoda. Papier roluje się na spodniach i zostawia białe ślady, co tylko pogarsza sytuację.

– Bardzo pana przepraszam. Może przepiorę plamę w toalecie?

I przy okazji zrobię siku? – dodaję w myślach.

Mężczyzna podnosi wzrok. Mierzy mnie spojrzeniem, po czym kręci głową, jakby miał do czynienia ze skończoną idiotką. Nic nie odpowiada. Może nie rozumie po polsku? Na Greka mi nie wygląda, chociaż kto go tam wie. Zadaję więc pytanie po grecku, na co on unosi brwi i nadal milczy. Niemowa czy jak? A może nie gada ani po polsku, ani po grecku?

– Proszę już siadać i zapiąć pasy – upomina mnie stewardesa niecierpliwym głosem.

Zaczynamy kołować.

– Siadać gdzie? – Rozglądam się wokół, ale nigdzie nie widzę wolnego fotela.

– Środkowe miejsce. – Wskazuje, a ja dopiero teraz zauważam mały skrawek siedziska między niedźwiedziem i starszą panią, która opiera głowę o okno.

– Że niby mam się tam zmieścić? – pytam z niedowierzaniem.

– Proszę przepuścić tę panią – zwraca się stewardesa do mężczyzny.

– On nie mówi po polsku – uświadamiam jej, a ona od razu przekłada swoje słowa na angielski.

Facet wzdycha, unosi się ciężko, powoli, kuli się, jakby bolał go brzuch. Zaraz przywali głową o górne schowki. Robię mu miejsce, żeby wyszedł na przejście, a wtedy on staje pośrodku pokładu, prostuje się i wypuszcza z ulgą powietrze, jakby je wstrzymywał na tym fotelu od dobrych kilku godzin.

O matko, co za kolos! Dam sobie rękę uciąć, że gdy był niemowlakiem, matka zamiast kocykiem nakrywała go dywanem. Jest ogromny. Ma ze dwa metry jak nic. Szeroki w barach, w kłacie, w udach. Do tego znacząco umięśniony. Ma nawet sześciopak na czole, dlatego daję mu jakieś czterdzieści pięć lat. Niby do najniższych nie należę, bo mierzę metr sześćdziesiąt sześć, ale czuję się przy nim drobna jak Calineczka.

– Proszę siadać – ponagla mnie stewardesa, a załoga już zaczyna omawiać instrukcję

bezpieczeństwa.

Usadawiam się więc szybko, witam z sąsiadką, wrzucam torbę pod siedzenie, opuszczam podłokietniki i zapinam pasy.

Wielkolud zerka z rezygnacją na swoje miejsce, wzdycha i siada z powrotem na fotelu. Biedaczek. Pewnie, zanim się zjawiłam, miał nadzieję, że siedzenie obok niego będzie wolne.

– Proszę opuścić podłokietnik i zapiąć pasy – nakazuje stewardesa i gdy tylko widzi, że mężczyzna spełnia jej polecenie, odchodzi szybkim krokiem na tył samolotu.

Obserwuję biedaka, jak siedzi ściśnięty niczym szprotka w konserwie. Wygląda, jakby nie mógł swobodnie oddychać. Współczuję mu, choć sama mam nie lada problem. Zaraz poszczam się w gacie! A że matka natura obdarzyła mnie sporą dawką empatii i przyjazną aparycją, znowu, tym razem po angielsku, przepraszam waligórę za ten nieszczęsny wypadek z tortillą, na co on jedynie wykonuje skinięcie głową.

Hmm... Albo facet faktycznie nie mówi, ponieważ do tej pory z jego ust nie wypłynęło ani jedno słowo, albo coś mu dolega. Minę ma nietęgą, siedzi jak na gwoździach, wbija spojrzenie w fotel przed sobą. Może źle się czuje?

Gdy tylko wznosimy się w powietrze, nie wytrzymuję i pytam dryblasa ze szczerą troską:

– *Are you okay?*<sup>4</sup>

Mężczyzna zerka na mnie z ukosa, po czym kieruje wzrok z powrotem na oparcie przed sobą. I to by było na tyle, jeśli chodzi o interakcję ze współpasażerem po mojej prawicy. Cóż, próbowałam, przecież go nie zmuszę do...

– *Not at all*<sup>5</sup>. – Niespodziewanie rozlega się tak tubalny głos, jakby facet miał wbudowany subwoofer w klatkę piersiową. A zmieściłby się tam, zapewniam.

– Wreszcie. Czyli jednak mówisz, Goliacie – rzucam sama do siebie w rodzimym języku.

Już mam go dopytać po angielsku, czy mogę mu jakoś pomóc, ale wtedy on odzywa się ponownie, tym razem po polsku:

– Mówię, jeśli muszę. – Odwraca głowę w moją stronę i wbija we mnie te swoje niebieskie oczyska. – A Goliat miał ponad dwa metry trzydzieści centymetrów wzrostu. Ja mierzę metr dziewięćdziesiąt osiem – oznajmia i powraca spojrzeniem do fotela naprzeciwko.

Palę taką cegłę, że zaraz nastąpi samozapłon i trafię na unijną listę terrorystów.

– Nie miałam zamiaru pana urazić.

– Mhm. – Nie odrywa wzroku od oparcia.

– Chciałam tylko dopytać, czy mogę panu jakoś pomóc.

– Nie. Chyba że udostępni mi pani swoje miejsce.

– Yyy. A ja gdzie niby mam siedzieć?

– Chciała pani być pomocna. Na pewno coś pani wymyśli. – Wkłada sobie słuchawki do uszu, włącza coś na telefonie i zamyka oczy.

To akurat było bardzo niegrzeczne. Ja tu z sercem na dłoni, a ten drągał jeden taki podły. Zaraz mu rzucę ciętą ripostą. O! Rosły jak topola, nadęty jak fasola.

Jezuuu, Kora, jesteś po czterdziestce, naprawdę nie stać cię na coś dojrzałego? Myślę, wyteżam mózg, aż nagle rozbrzmiewa sygnał i gaśnie lampka zapięcia pasów. O tak! Wreszcie zrobię siku!

Uwalniam się z pasów i już mam poderwać się z fotela, gdy dryblas zerka na mnie z ukosa. W niebieskich niczym laguna oczach zapalają się latarnie morskie.

No nie. Chyba nie sądzi, że zwolnię mu swoje miejsce. Zostaję!

Tylko tak koszmarnie chce mi się do kibla, że dłużej nie wytrzymam. Wiercę się, zaciskam uda, stękam. Przecież nie dam rady wysiedzieć tak trzech godzin.

A tam, walić to.

Pociągam za kabelek od słuchawek wikinga i wstaję.

– Proszę mnie przepuścić. Idę się załatwić.

– Radzę nie otwierać drzwi samolotu, bo wtedy wszyscy zginiemy. Pani poświęcenie pójdzie na marne.

– Bardzo zabawne. Najwyraźniej urósł pan tak szybko, że mózg nie nadążył za resztą. Otwarcie



drzwi jest niewykonalne. Nawet przez takiego wielkoluda jak pan. Zbyt duża różnica ciśnień. – Próbuje przejść, ale on nie rusza się z miejsca.

– Skoro wybrała pani skuteczniejszy sposób, żeby się załatwić, życzę powodzenia.

Błyskotliwy jak karetka na sygnale. Zazwyczaj nie szukam zadr, teraz jednak chce mi się tak diabelnie siku, do tego jestem głodna i zestresowana najbliższą nocą, że puszcza mi nerwy.

– Słuchaj pan. Nic panu nie zrobiłam, więc nie rozumiem, skąd ta niechęć.

– Pobrudziła mi pani spodnie i zajęła miejsce.

– Nie ubrudziłam ich specjalnie. A miejsce jest moje. Trzeba było wykupić dwa sąsiadujące fotele, a nie teraz wyżywać się na mnie. Tylko idiota z takim wzrostem nie przewidziałby, że będzie mu ciasno w samolocie czarterowym.

Jego nozdrza się rozszerzają.

– Nie planowałem tej podróży, a to było ostatnie wolne miejsce. – Porusza nerwowo żuchwą. – Gdybym wiedział, że będę siedział obok furiatki, poleciałbym następnym samolotem.

Furiatki?!

– Wielka szkoda, że tego nie zrobiłeś, ty... ty...

Drągał mruży oczy, wpatruje się we mnie tak intensywnie, że zamiast wymyślić coś bystrego, czuję, jak robi mi się mokro w majtkach. Dosłownie. Jasna cholera! Popuszczam!

– O matko! Przesuń się. Muszę do łazienki. – Zaciskam mięśnie Kegla najmocniej, jak potrafię, oddycham głęboko, ale wiking ani drgnie.

No chyba w chuja sobie tnie. Co za pacan!

Uderza we mnie fala gorąca. Zdejmuję kurtkę nerwowo, jakbym szykowałą się na walkę z Goliatem, a wtedy z kieszeni wypada moja karta pokładowa i spada na jego udo.

Wiking momentalnie przechwytuje bilet, przesuwając po nim wzrokiem, robi wielkie oczy...

– To ty – wymawia z trudem i podnosi na mnie zdezorientowane spojrzenie.

Oho, czyżby kolejny fan, który cofnął się magicznie w czasie?

– Tak, ja. – Zabieram mu dokument i chowam do tylnej kieszeni spodni. – Chcesz autograf, zdjęcie, a może mam ci zaśpiewać?

– Hotel Aphrodite – rzuca niespodziewanie.

Yyy... Zaraz, zaraz. Czy on mnie właśnie zaprosił do hotelu? Czyli tak to się robi. Pierwszy raz ktoś składa mi tak otwartą propozycję (menele spod Żabki na osiedlu się nie liczą). Czuję, że na dekolt wypływają mi rumieńce. Zawstydził mnie, wiking jeden. Cholera jasna. Muszę do toalety, natychmiast. Wysikać się, ochlapać twarz zimną wodą, przygotować jakieś rozmówki damsko-męskie. Przecież ja jestem totalnie nieobyta w tematach randkowania. Do zeszłego roku myślałam, że Tinder to gra ruchowo-zręcznościowa. Dopiero moja córka (córka!) uświadomiła mi, że to aplikacja randkowa. W zasadzie dużo się nie pomyliłam. Zarówno Tinder, jak i Twister zacieśniają więzi między ludźmi, którzy muszą wykazać się gibkością ciała i zręcznością dłoni.

Ja nie jestem dobra ani w jednym, ani w drugim, więc nie skorzystałam z żadnej z tych rozrywek. Ale nieźle mi wychodzi bycie niedostępna i teraz właśnie przyszła pora, żeby w pełni wykorzystać swoje zdolności.

– Ja nie z takich. Nie kręci mnie przygodny seks. Przesuń się, muszę wyjść. – Popycham go i tym samym znowu popuszczam.

Na litość boską! Czy nadszedł już ten czas, kiedy trzeba zacząć nosić wkładki urologiczne?

Dryblas ani drgnie. Siedzi niczym zaklęty w kamień i gapi się na mnie jak kura w ziarno. Zaraz zacznę krzyczeć. Muszę się stąd wydostać! W akcji desperacji unoszę nogę, żeby zrobić gigantyczny krok nad mężczyzną, a wtedy on niespodziewanie łapie mnie za łydkę i wbija we mnie poważny wzrok.

– Zatrzymujesz się w hotelu Aphrodite, zgadza się? – Raczej stwierdza, niż pyta, a ja zamieram z nogą opartą o jego kolana i krocem wciśniętym w masywne udo.

Chwila skupienia. Trybiki przeskakują. O kurczę, faktycznie tak nazywa się mój hotel.

– Skąd wiesz?

Wiking przymyka oczy i kręci głową.

– Będziemy razem pracować.

Przetwarzam jego słowa, ale za diabła nie rozumiem ich sensu.

– O czym ty mówisz?

– Moim bratem jest Markus Borgen. Mam go zastąpić.

Oho, coś tu śmierdzi. Siedzę w tym biznesie od ponad piętnastu lat i ta sytuacja ewidentnie wpasowuje się w szpiegostwo przemysłowe.

– Poznałam wszystkich jego braci. Ciebie nie znam. Kim jesteś i dlaczego mnie śledzisz? – Rzucam mu mordercze spojrzenie.

Jestem niemal pewna, że mam do czynienia z niecznymi działaniami konkurencji naszej firmy.

– Ja śledzę ciebie? Byłem tu pierwszy.

– Bo się spóźniłam. Skąd jesteś? Prime Investment? Oltaran? A może Tatitsu? Jak się nazywasz i kto cię przysłał? – Ostrze mojego wzroku zagłębia się w jego tętnicy szyjnej. Niech się tylko ruszy, a przysięgam, że...

– Agnar Radwan – odpowiada, lecz nic mi nie mówi jego nazwisko. Choć zaraz, zaraz. To chyba jednak ten aktor. Podobieństwo jest uderzające. Nie mam pewności, ale całkiem możliwe, że właśnie tak brzmiało jego imię. Agnar. A może Ragnar? Nie mijają trzy sekundy, kiedy wiking wyprowadza mnie z błędu. – Jestem najstarszym synem Knuta Borgena. Markus jest w szpitalu.

No i wszystko mi opada. Łącznie z mięśniami Kegla i wypełnionym po brzegi pęcherzem. Czuję mrowienie w dolnej partii brzucha, znajome szczypanie w cewce, ciepło rozchodzi się tam, gdzie nie powinno.

O Jezuniu, tylko nie to!!!

Na nic zdają się jednak modły i wstrzymywania. Sytuacja jest nie do uratowania. Tragedia, kataklizm, dramat, klęska, katastrofa.

Już niemal słyszę dzwonek ostrzegawczy i głos pilota: „Uwaga, proszę państwa, zalecamy pozostać na swoich miejscach. Na pokładzie pojawiła się skażona strefa. Jedna z pasażerek obszczała syna swojego szefa”.



Niech Bozia w dzieciach wynagrodzi pannie młodej, która była z nami na pokładzie, że w podróż poślubną spakowała do bagażu podręcznego suszarkę. Dzięki niej i rezolucji stewardesy kryzys został częściowo zażegnany. Po przepraniu spodni smród szczylny się ulotnił, pozostały jedynie (a raczej aż) niesmak i zażenowanie.

Agnar i ja ani razu nie spojrzeliśmy sobie już w oczy. Zamieniliśmy dwa zdania, z czego jedno dotyczyło wspólnego transportu taksówką do hotelu: obopólna zgoda. Drugie – ustalenia godziny jutrzejszego spotkania: widzimy się w dolnym hallu zaraz po śniadaniu, o dziesiątej rano.

Teraz czekam przy recepcji, aż Agnar zamelduje się jako pierwszy, i pocę się jak Eskimos w saunie. I wcale nie dlatego, że jest mi gorąco. Fakt, na zewnątrz, mimo że jest październik i godzina osiemnasta, temperatura wynosi jakieś dwadzieścia pięć stopni Celsjusza i nadal świeci słońce (kocham Grecję!), lecz klimatyzacja w hotelu działa bez zarzutu. Pocę się, ponieważ nadal nie wiem, jak przetrwać dzisiejszą noc. Przed lotem miałam jeszcze nadzieję, że uda mi się namówić Markusa na wspólny pokój, ale teraz...

Zerkam ukradkiem na Agnara, który właśnie odchodzi od kontuaru z zielonym workiem na ramieniu, i kulę się ze wstydu. Prędzej śnieg tu jutro spadnie, niż zaproponuję mu nocleg w jednym apartamencie.

- Do jutra – rzuca mi na odchodne, jakby zakładał, że już dzisiaj na siebie nie wpadniemy.
- Nie będzie cię na kolacji?
- Zjem w pokoju. Spokojnej nocy.

Jak się naćpam, to będzie spokojna. Wszystko wskazuje na to, że bez prochów nasennych się nie obędzie. Dobrze chociaż, że nie muszę jutro wstać skoro świt, bo rano nie jestem w stanie normalnie funkcjonować po magicznej pigułce.

Gdy tylko wypowiadam w myślach te słowa, rozdzwania się telefon Agnara. Odbiera po angielsku, słucha, kręci głową, po czym zgadza się z rozmówcą i rozłącza.

– Zmiana planów. Przekładamy spotkanie na szóstą rano – oświadczą, a mnie nogi uginają się w kolanach.

- Co? Dlaczego tak wcześnie?
- Pośrednik dostał nową ofertę kupna. Albo przyptyniemy wcześniej, na ósmą, i weźmiemy udział w licytacji, albo wyspę kupi ktoś inny.
- Cholera. Muszę w takim razie zadzwonić do Nilusa. – Wyciągam komórkę i siadam na kanapie.
- Załatwiał, co trzeba. Ja idę do pokoju.

Ale pomocny. No nic. I tak nie dogadałby się z naszym przewoźnikiem. Facet to prosty rybak i nie mówi po angielsku. Ma za to świetne rozeznanie, jeśli chodzi o wyspy Morza Egejskiego, i posiada łódź motorową, co jest rzadko spotykane w tej części wybrzeża, zwłaszcza jesienią.

- Dasz mi swój numer? Zadzwonię, jak coś z nim ustalę – wołam za wikingiem.
- Nie dzwoń. Idę spać. Wyślij mi SMS-a, jeśli nie uda ci się z nim dogadać – odpowiada i dyktuje mi ciąg cyfr.

Spać? Przecież nie ma nawet dziewiętnastej. Nie dociekam jednak, bo i tak z trudem udaje mi się rozmawiać z Agnarem twarzą w twarz.

Chciałabym go zapytać, co dokładnie stało się Markusowi i dlaczego w zastępstwie nie przybyli Lars albo Henrik, którzy również pracują w firmie. Czuję jednak takie zażenowanie po akcji w samolocie, że ledwo jestem w stanie z nim prowadzić nawet służbową konwersację. Zapisuję kontakt w smartfonie,

a kiedy podnoszę wzrok, Radwana już nie ma. Ja pitolę, nawet nie podał mi numeru swojego pokoju. Dziwak. Wysyłam mu tylko krótką wiadomość, żeby chociaż wiedział, od kogo ją dostał:

Tu Kora. Zapisz sobie mój telefon. Tak na wszelki wypadek.



Przez kolejne dwie godziny krążę po hallu. Nadal niezameldowana. A to dlatego, że wciąż mam nadzieję na zwerbowanie jakiejś życzliwej duszyczki do swojego pokoju. Koniec końców, zostaje przywołana do porządku przez recepcjonistkę. Zagroziła mi wezwaniem policji. I to wyłącznie dlatego, że jedna wredna Niemka oskarżyła mnie o prostytutkę. Przecież tylko zapytałam ją grzecznie po angielsku, czy nie ma ochoty spędzić tej nocy ze mną w pokoju. Furiatka. A wyglądała tak spokojnie w sukience w kolorowe tulipany. Uznałam, że to Holenderka. Oni są otwarci i tolerancyjni. A ta pinda zaczęła wrzeszczeć jak pojebana tym swoim germańskim *Hure! Hure!*, przez które naprawdę poczułam się jak dziwka.

Z dobrych wieści z hallu: po pięciu nieudanych próbach dodzwoniłam się wreszcie do Nilusa i przełożyłam godzinę wypłynięcia na siódmą. Nie był zadowolony, że musi być tak wcześnie na miejscu, ale dodatkowe trzydzieści euro nastawiły go pozytywnie do porannej wyprawy w morze.

W końcu decyduję się na meldunek, proszę recepcjonistkę o przygotowanie dla mnie i Agnara lunchboxa z jutrzejszym śniadaniem i idę do swojego pokoju. Jest już prawie ciemno, więc zapalam wszystkie światła, przebieram się szybko i pędzę na kolację. I wcale nie dlatego, że jestem głodna. Ze stresu przed samotną nocą mam ściśnięty żołądek w supeł i zero ochoty na jedzenie. Po prostu nadal liczę na to, że kogoś poznam i zaproszę go na nocowanko.

Niestety. Na stołówce same pary i Niemka, która łypie na mnie złowrogo z drugiego końca sali. Spaceruję wzdłuż blatu pełnego smakołyków i żal mi straszliwie, że nie mam apetytu. Może gdyby rzucili rumiane souvlaki, tobym się skusiła. Ale nie ma. Buuu! Co to za hotel, który nie serwuje tradycyjnego greckiego szaszłyka? W końcu decyduję się na tztziki, ser feta, kilka pomidorków i kieliszek białego wina. Muszę coś zjeść, bo głodna na bank nie usnę.

Jeden kieliszek zamienia się w dwa, a później w trzy. Przy czwartym czuję, że ta noc jest do przetrwania, i wpadam na genialny pomysł. Zapłacę komukolwiek, niech się tylko ze mną prześpi w tym samym pomieszczeniu! Składam więc propozycję kelnerowi. Na oko jest w wieku mojej córki, może wezmę go na litość.

– Mam dziewczynę – odpowiada totalnie zbity z tropu i rozgląda się jakby w obawie, że ktoś nas usłyszy.

– Spokojnie, mogłabym być twoją matką. Poza tym i tak nie jesteś w moim typie. Chcę, żebyś wyłącznie spał na kanapie ze mną w pokoju. O piątej możesz się ulotnić. Oferuję pięćdziesiąt euro w gotówce. Płatne z góry.

– Nie możemy umawiać się z gośćmi hotelowymi. – Stoi skołowany z tacą pełną talerzy.

– Zrobimy to po cichu. Zakradniesz się do mojego pokoju za godzinę. Zapewniam cię, chłopcze, nikt się nie dowie. – Kładę mu rękę na dłoni, czule niczym matka, a nie jak sponsorka, która chce go wyruchać.

Ten gest to jednak za wiele. Chłopak się wzdryga, cofa o krok, potyka o krzesło, łapie równowagę, a wtedy stos naczyń zsuwa się z tacy i z łoskotem rozbija o posadzkę.

– Stara wariatka. – Kelner posyła mi mordercze spojrzenie i zaczyna zbierać skorupy z podłogi.

Uwaga wszystkich na stołówce skupia się na mnie. Są dwa sposoby, żeby wyjść z tego z twarzą. Pierwszy: wnieść toast za zgromadzonych i przeprosić za zamieszanie. Bądź drugi: pomóc chłopakowi sprzątać.

Za tę „starą wariatkę” pomoc zdecydowanie się nie należy, a w przemowach publicznych, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, jestem równie efektywna jak włączony wentylator w styczniu – robi

niepotrzebny szum, od którego wszyscy dostają ciarek na skórze i zadają sobie pytanie: „Po chuj ktoś to uruchomił zimą?!”.  
Dlatego też decyduję się na inną opcję. Daję dyla z restauracji i tym samym wychodzę z tej sytuacji bez twarzy i – co najgorsze – bez towarzystwa na noc.

I co ja teraz zrobię? Przechodzę w pośpiechu przez ogród, zmierzając w stronę pokoi. Głównie, co mam biedna począć, zatapiam się w myślach, tracę powoli nadzieję, aż tu nagle przemyka przede mną biało-rudy kot.

– O matko! Ale żeś mnie przestraszył. – Łapię się za klatkę piersiową, w której trzepocze serce.

Przystaję, uspokajam oddech, obserwuję, jak sierściuch wskakuje na leżak tuż przy basenie, układa się wygodnie, unosi nogę i zaczyna wieczorną toaletę.

Doznaję olśnienia.

– Kici, kici, koteczku. – Podchodzę do niego ostrożnie, aby go nie spłoszyć. – Szykujesz się do snu? – mówię po grecku, bo jakkolwiek by patrzeć, to grecki kot, więc szanse na pozyskanie uwagi zwiększają się, kiedy zwracam się do niego w jego ojczystym języku.

Dla jasności: jestem psiara. Nigdy nie miałam kota, nie mam zielonego pojęcia, jak go urobić. Postanawiam jednak spróbować. To przecież mały, słodki kociak.

– Czy miałbyś może ochotę spędzić tę noc w ciepłym łóżeczku? – Skradam się do niego zgarbiona jak Gargamel do Klakiera i siadam półdupkiem na skraju leżaka.

Kot zastyga z nogą w górze i wyciągniętym językiem, wbijając we mnie swoje piękne, zielone ślepia.

Jest dobrze. Mam jego uwagę.

– W zamian dałabym ci jutro pyszną rybkę. Albo kupiła karmę. Co tylko zechcesz. – Wyciągam powoli dłoń i zaczynam go głaskać po grzbiecie.

Zwierzak najwyraźniej jest przyzwyczajony do turystów, bo momentalnie poddaje się pieszczocie i zaczyna rozkosznie mrużyć.

Ojej, nie spodziewałam się, że będzie wydawał tak uroczy dźwięk i miał takie mięciutkie, czyste futerko. Widać, że dba o higienę. Idealny towarzysz na dzisiejszą noc.

– To jak? Idziemy? – Wsuwam powoli dłoń pod jego brzuch, żeby wziąć go na ręce, a wtedy on uderza mnie łapką. – No, mały, nie bądź taki nieustępliwy. Chodź, zobaczysz, jaki mam przytulny pokój. – Biorę go pod pachy, a ten jak nie wrzaśnie, jak nie capnie, jak nie drapnie... – Au! – Puszczam go, przechyliłam się do tyłu, a leżak razem ze mną. – Cholera! – Wpadam z okrzykiem do basenu.

Nauka na przyszłość: nie drzeć ryja, kiedy wpadasz do wodnego zbiornika. Topię się. Krztuszę chlorem. Już po mnie.

No dobra. Nieco wyolbrzymiam. Ktoś podbiega i pomaga mi wyjść, co jest zaskakująco łatwe. Basen bowiem okazuje się brodzikiem z poziomem wody na metr.

Co nie zmienia faktu, że kaszlę teraz jak gruźlik i poważnie się zastanawiam, czy nie nabawiłam się zachłystowego zapalenia płuc. Do tego jestem ranna. Mam szramę ciągnącą się od nadgarstka po łokieć. Wyglądam niczym ofiara nieudolnej próby samobójczej – nie dała rady utonąć w brodziku, to podcięła sobie żyły kocim pazurem.

Wracam przez hotelowy hall przemoczona, wkurwiona i pokaszująca.

– Wszystko w porządku? – słyszę zaniepokojony głos recepcjonistki.

Zerkam w jej stronę. Wpatruje się we mnie zszokowana. Nocna zmiana. Poprzednia wzięła mnie za stalkerkę i groziła mi policją. Ta uzna za ofiarę powodzi i wezwie pogotowie.

– Bywało lepiej. – Gdy tylko wypowiadam te słowa, mój wzrok pada na makabryczną postać stojącą naprzeciwko. – Chryste! – Podskakuję. Dopiero po sekundzie rozpoznaję swoje odbicie w lustrze. Duch topielca! Czarny tusz ścieka po policzkach, włosy oklapnięte, woda kapie z ubrań, pode mną kałuża.

Recepcjonistka będzie tu ślęczeć sama do rana i mieć koszmary.

Nagle doznaję objawienia. Kolejnego. Eureka! Tym razem musi się udać.

– Ma pani nockę? – zagaduję życzliwym głosem i podchodzę bliżej.

– Tak. Mogę w czymś pomóc?

– W zasadzie jest taka jedna mała rzecz. Czy mogłabym pani dotrzymać towarzystwa tej nocy?  
– Słucham? – Brwi kobiety wędrują tak wysoko, aż robią jej się zakola.  
– Chciałabym się tu przespać. O, tam. – Wskazuję sofkę stojącą zaledwie pięć metrów dalej. –  
Czy nie ma pani nic przeciwko? Zaznaczam, że nie chrapię.

Kobieta spogląda na kanapę, po czym z powrotem przenosi na mnie niepewnie wzrok.

– Coś nie tak z pani pokojem?

– Powiedzmy, że jest pusty.

– Jak to: pusty? Nie ma w nim mebli? Niemożliwe. – Jest przerażona. – Jaki numer pokoju?

– Nie, nie. Wszystko jest na swoim miejscu. Szafa gra. Łóżko wielkie. Full wypas. Tylko wie pani, brakuje w nim kogoś.

Patrzy na mnie zdeorientowana.

– Kogo?

Wzruszam ramionami.

– Kogokolwiek. Kogoś, kto oddycha, rusza się, wydaje dźwięki. Od razu zaznaczam, że wasz kot mnie nie chce. O, widzi pani, jak mnie podrapał. – Podchodzę bliżej i pokazuję jej szramę na ręce.

Nozdrza recepcjonistki poruszają się niczym u psa tropiącego, oczy zwężają. Cofa się, jakbym miała ją zarazić trądem.

– Może odpocznie pani w pokoju, a ja poproszę, żeby dostarczono pani wodę z aspiryną.

– Po co? Nie boli mnie głowa.

– Ale zapewne będzie bolała panią jutro rano. – Patrzy na mnie wymownie.

Ja pierdzielę. Dziewczę bierze mnie za bredzącą alkoholiczkę.

– Nie jestem pijana. Proszę tylko o nocleg na kanapie w hallu. Jestem w potrzebie.

– Rozumiem. Niestety nie ma takiej możliwości. Mogę jeszcze w czymś pomóc?

Wredny babsztyl. Ja ci pokażę.

– Tak. Zupełnie zapomniałam o telefonie od szefa. Gdyby mogła pani wyszukać dla mojej firmy wolne terminy na pobyt tygodniowy. Dwadzieścia pięć osób. Sąsiadujące ze sobą pokoje. Pięć jednoosobowych, dziesięć dwuosobowych. W listopadzie. Proszę zrobić kalkulację pobytu w opcjach z samym śniadaniem, następnie dwoma posiłkami i osobno all inclusive.

– Kalkulacja: śniadanie, HB, all inclusive... – Dziewczyna wklepuje wszystkie wytyczne w komputer. – Coś jeszcze?

Mało ci? Proszę bardzo.

– Dodatkowo proszę sprawdzić dostępność spa dla całej grupy i zaproponować zabiegi. Wie pani, taki relaks połączony z team buildingiem.

– Oczywiście. – Kolejna notatka. – Czy to wszystko?

Nie, złociutka. Teraz najlepsze.

– To pilne. Szef chce dokonać jak najszybciej rezerwacji. Potrzebuję tych informacji na piątą rano.

– Na kiedy?

– Za niecałe siedem godzin. Życzę pracowitej nocy.

Zostawiam recepcjonistkę osłupiałą i odchodzę w stronę pokoju.



Jest dwudziesta trzecia, a ja drepczę w miejscu tuż przy łóżku jak pies przed sraniem. Budzik nastawiony na piątą, Aga i Ula obdzwonione, toaleta odbębniiona, plecak na jutro spakowany. Nie mam już nic więcej do zrobienia, powinnam wyłączyć telewizor i pójść spać. Ale nie potrafię! Na samą myśl, że mam położyć głowę na poduszce i zamknąć oczy, oblewa mnie fala gorąca, a serce zaczyna dudnić

boleśnie w piersi.

Spokojnie, Kora. Wdech, wydech. Jesteś bezpieczna. W pokoju obok na pewno są jacyś ludzie. Przykładam szklankę do ściany, nasłuchuję. Cisza.

Kolejne uderzenie gorąca. Zaczynają pocić mi się dłonie. Atak paniki zbliża się niczym grzmot po błyskawicy. Muszę do ludzi, bo oszaleję!

Wychodzę na balkon, szukam kontaktu ze światem. Oddycham. Wokół żadnej żywej duszy, ale pozapalane światła w oknach bocznej części hotelu nieco mnie uspokajają. Nie jesteś sama. Nie jesteś sama. Woda plumka w podświetlonym basenie, pojedyncze, cierpiące na bezsenność dzidziki<sup>7</sup> cykają w koronie sosny pinii, z oddali dobiega szum fal, a granatowa tafla morza mieni się w blasku księżycy niczym posrebrzana taca.

Głęboki wdech i wydech. Nic ci nie grozi. Popatrz, jaki świat jest piękny.

Wodzę wzrokiem po plaży i nagle zauważam niewielkie ognisko. Wyjęłam oczy. Dostrzegam grupkę czterech osób siedzącą wokół płonącego stosu z gałęzi i momentalnie czuję przyjemne mrowienie na ciele. Zupełnie jakbym po spacerze na mrozie zanurzyła się w wannie z gorącą wodą i olejkiem lawendowym. O tak, spokój. Napełnia mnie, rozchodzi się ciepłym strumieniem od głowy po palce u stóp. Błogość. Senność. Ukojenie. Mogłabym tu usnąć nawet na stojąco, gdybym tylko słyszała ich cholerne głosy. Ale jestem za daleko. Chyba że...

Mam pomysł!

Wpadam do pokoju, zabieram koc, kołderkę, poduszkę, bluzę, skarpetki, komórkę i wybiegam w piżamie na korytarz. Pędzę co tchu, choć w kłapkach jest to nie lada wyczynem. Najwyraźniej poruszam się z prędkością światła, bo dziewczę z recepcji nawet nie podnosi wzroku, kiedy mijam ją w hallu. A może biedactwo jest zapracowane przygotowaniem dla mnie kalkulacji?

Uśmiecham się szyderczo. Dopisuje mi humor. Wszystko wskazuje na to, że jednak się dzisiaj wyśpię! I to bez otumaniających prochów! Jestem genialna. Wybiegam na podwórze, mijam basen, sierściuch na mój widok zrywa się z leżaka i ucieka w krzaki oleandrów. Spokojnie, mały, już cię nie potrzebuję. Mam ludzi. Prawdziwy, gadający rodzaj człowieczy, a nie jakiś tam miauczący kotowaty!

Już ich widzę, czuję ich zapachy, słyszę ich głosy. Teraz tylko muszę znaleźć odpowiednią miejscówkę, ułożyć się wygodnie i wsłuchać w tę melodię dla moich uszu, która ukołysze mnie do snu.

Wychodzę na plażę, skradam się, żeby nie spłoszyć człekokształtnych ssaków, po czym nurkuje skulona w rząd parasoli. Przede mną leżaki, za mną leżaki. Idealne miejsce, aby ukryć się przed oczami watahy. Odkładałam cały majdan po cichutku. Ubieram się w bluzę, skarpetki, rozciągam koc na piasku, jeszcze poduszka... Gotowe! Zupełnie jakbym cofnęła się do czasów harcerstwa, kiedy na obozie w Jarosławcu wykradałyśmy się nocą z dziewczynami z namiotu na plażę. Kiedy to było? Liczę, liczę i liczę... Ja pierdzielę. Ćwierć wieku temu! Dlaczego więc te wspomnienia są tak żywe, jakby minęło zaledwie pięć lat? Zadziwiające. Mam problem z przypomnieniem sobie listy zakupów, którą zostawiłam w domu pół godziny przed wyjazdem do sklepu, potrafię natomiast z szybkością VOD odtworzyć wspomnienia z nic nieznaczącej nocy nad Bałtykiem, gdy byłam szczyłem. Umysł ludzki jest wielce skomplikowany.

Kładę się wygodnie na boku i przykrywam kołderką po ucho. Nie jest to puch gęsi, pod jakim sypiałam u babci na wsi, tylko cienki poliester, ale w nocy ma być dziewiętnaście stopni, więc jakoś przeżyję. Podobno taka temperatura jest optymalna do snu.

Obserwuję przez szparę między nogami leżaka biesiadujących przy piwku turystów i wsłuchuję się w ich rozmowę jak w kołysankę. Chuj z tym, że rozmawiają po litewsku czy łotewsku i za cholere nic nie rozumiem. Najważniejsze, że nie jestem tu sama.

Ogarnia mnie kojący spokój i taki błogostan, że nawet nie wiem, kiedy moje powieki opadają i zasypiam.





Jezus Maria, zaraz się zadrapię na śmierć! Swędzi mnie cała twarz. Na wpół przytomna drapię się po czole, policzkach, brodzie, nawet po powiece. Podłe komary. Próbuję usłyszeć, czy któryś z nich nie usiłuje się ponownie do mnie dobrać, a wtedy do moich uszu dobiega chłupot wody, któremu towarzyszy rytmiczne parsknięcie. Delfin? Żółw? Uchylam jedno oko. Ledwie świta. Niebo ma kolor różu, żadnej chmury, słońce wychyla się nieśmiało zza widnokregu. I znowu ten odgłos. Głośne sapnięcie, po którym następuje plusk. Unoszę się na łokciu, przesuwam stojący przede mną leżak, spoglądam w stronę morza i zamieram.

Jasna cholera! Posejdon!

Jestem odrobinę popieprzona, jednak doszczętnie nie oszalałam. Wiem, że on istnieje wyłącznie w greckich mitach, ale w końcu jestem w Grecji i nie mam pojęcia, jak racjonalnie wytłumaczyć, że na własne oczy widzę boga morza płynącego w moją stronę motylkiem. Brakuje tylko trójzębu w gębie. Wynurza się w oddali, pręży silne ramiona, po czym nurkuje z powrotem w głębiny, uderzając wielkimi stopami o taflę wody. Faluje umięśnionym tułowiem, oddycha głośno jak wieloryb, płynie tak szybko, że jeszcze kilkanaście takich machnięć i dobrnie do brzegu. Na Zeusa, skąd on się tu wziął? Zasłaniam się z powrotem fotelem, kładę na brzuchu i przyglądam Posejdonowi ze swojej fortecy.

Ma kondycję, skubany, jestem pełna uznania. Obserwuję pływaka z podziwem, drapiąc się przy tym po kostce. Im mocniej drapię, tym bardziej swędzi. Jak ten cholerny komar mnie dziabnął, skoro miałam długie spodnie od pizamy i skarpetki? Kuźwa, zaraz oszaleję! Nachylam się nad stopą i wbijam dwukrotnie paznokiec w miejsce ugryzienia, robiąc ślad krzyżyka na czerwonym bąblu. Taki sposób z dzieciństwa. Gówno daje, ale na chwilę przynosi ulgę. Chwilę, w której rozbrzmiewa jak wariat okrzyk Jamesa Browna w mojej komórce: *Whoa! I feel good, I knew that I would, now*8.

Podskakuję jak rażona prądem, łapię telefon, wyłączam budzik i w tym samym momencie dobiega mnie stłumione: *Hore!*

Nie jestem poliglotką, ale to norweskie przekleństwo akurat rozpoznaję. Podnoszę wzrok i dostrzegam stojącego po pas w wodzie Agnara. Klata szeroka jak u Thora. Muskularne ramiona, po których spływają krople wody, lśnią w promieniach wschodzącego słońca.

Skąd on się tu wziął? Patrzy w moją stronę, choć jestem przekonana, że mnie nie widzi. Mam przecież na sobie czapkę niewidkę w postaci twierdzy z leżaków. Przesuwam wzrokiem po jego rozbudowanej sylwetce i do mojego zaspanego mózdzka dociera, że wiking podszywał się pod Posejdona. Nieładnie tak oszukiwać, oj, nieładnie.

– Kto tam jest? – pyta po angielsku, spoglądając w moim kierunku.

A nie mówiłam, że mnie nie widzi? Gdyby wiedział, kim jestem, od razu przeszedłby na polski. Nie zamierzam więc wyprowadzać go z błędu.

– Usnąłem na imprezie – odzywam się najniższym głosem, jaki jestem w stanie wydobyć z przepony, i dodaję do niego odrobinę pijackiej nuty. – Wiesz, stary, która może być godzina?

– Co tak grało?

– Budzik w mojej komórce.

– W takim razie doskonale wiesz, która jest godzina. – Agnar wychodzi z wody takim, jakim stworzył go Pan Bóg.

Wydaję z siebie stłumiony pisk. Ja pitole. To nie Bóg go stworzył, tylko szatan. Na pokuszenie. A kysz! Zakryj się, człowieku! W zasadzie to ja powinnam zasłonić oczy, tak dla zachowania pozorów i ze zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Ale nie mogę! Sparaliżowało mi twarz, ręce, nogi. Tak się właśnie kończy dwuletnia abstynencja czterdziestolatki. Widzisz nagiego faceta ociekającego wodą i dostajesz udaru. Cud, że jeszcze nie ośleplam. Wręcz przeciwnie. Mój wzrok się wyostrzył jak u orlicy, która z odległości czterech kilometrów jest w stanie dostrzec małego ptaszka i go upolować. Ten ptaszek jednak zdecydowanie nie należy do małych, poza tym nie w głowie mi żadne polowania. Muszę jak najszybciej i niespostrzeżenie czmychnąć z mojej kryjówki, żeby nie zostać zdemaskowaną.

Agnar podchodzi do swojego leżaka, który znajduje się jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, wyciera się ręcznikiem i owija go sobie wokół talii. Idź sobie stąd, wielkoludzie. No idź już, bo muszę wrócić do pokoju i wyszykować się na nasze spotkanie. Najwyraźniej mam nieodkryte dotąd zdolności

telepatyczne, bo Radwan zabiera ze sobą telefon i zmierza w stronę hotelu.

Chwała Panu. A swoją drogą, ciekawe, dlaczego syn Knuta nie nosi jego nazwiska. Radwan brzmi polsko. Być może tak nazywa się jego matka. Intrygujące.

W rozmowach biznesowych i tych bardziej prywatnych szef nigdy nie wspominał o swoim najstarszym potomku. Agnar wyskoczył w tej podróży jak królik z kapelusza. A raczej diabeł z pudełka. Na szczęście mnie tu dzisiaj nie nakrył, bo spłonęłabym ogniem piekielnym ze wstydu.

Gdy tylko wypowiadam w głowie te myśli, telepatyczny dar ponownie się uaktywnia – niespodziewanie rozlega się bowiem dźwięk mojej komórki. Zerkam na wyświetlacz. O w mordę! To Agnar! Odrzucam rozmowę, podnoszę wzrok w popłochu, szukając wikinga, ale nigdzie go nie widzę. Pieprzone fotele zasłaniają mi widok na wyjście z plaży. Wychylam się nieznacznie i wtedy go dostrzegam. Stoi tuż przed trawnikiem tyłem do mnie i ze schyloną głową. Co on tam robi? Nie czekam długo na rozwikłanie tej zagadki. Mój telefon ponownie rozbrzmiewa. To znowu on. Co za uparty chłop. Wyciszam komórkę i poszukuję go spojrzeniem. A ten stoi nadal w tym samym miejscu, tyle że już nie tyłem. Jest zwrócony w moją stronę i patrzy prosto na mnie.

Przyłapana.

Mówią, że kiedy spotyka się w lesie wielkiego niedźwiedzia, najlepiej udawać trupa. Więc udaję. Siedzącego trupa z wybałuszonymi oczami.

– Co tu robisz?

Oho. Niedźwiedź przemówił. Strategia na nieboszczkę nie działa. Pora rznąć głupa.

– O, cześć. Nie zauważyłam cię. Ćwiczę. A ty?

– Pływałem. – Mruży oczy i przechyla głowę z zaciekawieniem. – Twój znajomy ćwiczy razem z tobą?

Cwaniak. Albo mnie wkręca i wie, że udawałam faceta, albo myśli, że spędziłam tę noc na baraszkowaniu z imprezowiczem.

Nie wiem, co gorsze. Przyznanie się do tego, że jestem tu sama i perfidnie gapiłam się na jego wielkiego ptaka, podając się za mężczyznę; czy że przeżyłam jednonocną przygodę z obcym gościem i dopiero się obudziłam (więc siłą rzeczy ominął mnie widok nagiego Agnara). Dylematy dojrzałej kobiety: wolisz być postrzegana przez syna swojego szefa jako puszczalska, perfidna kłamczucha czy bezwstydną podglądaczka?

– Zresztą nieistotne – dodaje beznamiętnie. – Widzimy się o szóstej w hallu. – Odwraca się i podąża ścieżką ku hotelowi.

Uchodzi ze mnie całe powietrze. Najwyraźniej musiałam je cały czas wstrzymywać, bo aż zakręciło mi się w głowie, kiedy zaczęłam znowu oddychać.

Odprowadzam wikinga spojrzeniem i nie wiedzieć czemu zastanawiam się, co sobie o mnie pomyślał. Czy naprawdę uznał moją obecność tutaj za nieistotną? Niektórzy ludzie głośno zapewniają o swoim wysokim poczuciu wartości i manifestują, że mają zdanie innych w dupie. Po prostu robią swoje. Ja do nich nigdy nie należałam.

Moja wiara w siebie została zmiażdżona wraz z rozwodem. A i przed nim nie była jakaś wielce wysoka. Takie są właśnie skutki porzucenia przez tatusia, a kiedy mężuś się dołożył, ponownie wylądowałam na kozetce z zaburzeniami lękowymi. Sporo pracowałam, żeby wzmocnić wiarę w siebie, zwłaszcza przez ostatnie dwa lata. Dzięki terapii uświadomiłam sobie, że powinnam skupić się na sobie. Pokochać kobietę opuszczoną przez męża i dziewczynkę porzuconą przez ojca, które tkwią we mnie, czekając, aż ktoś je uratuje. Scalić je w pewną siebie osobę niepotrzebującą żadnego cholernego samca, by być przebojową, pogodzoną ze światem i szczęśliwą. Myślę, że to mi się udało. Przestałam szukać miłości, uznania i wsparcia. Jeśli się wystroję, to tylko i wyłącznie po to, aby podobać się samej sobie. Czuć się ze sobą dobrze. Lubię moje nowe życie. Odpowiada mi to, że nie muszę zabiegać o uwagę mężczyzn, starać się, spinać, zastanawiać, co dany facet sobie o mnie myśli. I nie zamierzam tego zmieniać. Zwłaszcza pod wpływem jakiegoś norweskiego drewniaka.

Zrywam się z posłania, zgarniam wszystkie swoje graty i ruszam za Radwanem.

– Ej, poczekaj! – wołam, biegnąc za nim. Skubany ma tempo. Sadzi wielgachne kroki niczym yeti. Pewnie stopy też ma wielkie i toporne jak człowiek śniegu. – Agnar, zatrzymaj się!

Przystaje przy basenie, odwraca się, czeka. Doganiam go, zipiąc jak chart po wyścigach. Pochylam się, obejmuję wszystkie manele, łapię oddech i przy okazji bezwiednie obczajam stopy Radwana. Ogromne, z wysokim podbiciem, usłane liniami żył i – ku mojemu zdziwieniu – całkiem zgrabne i zadbane. To zdecydowanie nie są stopy yeti. Ale nie po to go goniłam, by się nad tym teraz rozwodzić.

– Słuchaj. Nie obchodzi mnie, co sądzą o mnie inni, jasne? – Prostuję się, unoszę głowę i napotykam spojrzenie niebieskich oczu. – Nie obchodzi mnie, co ty sobie o mnie myślisz, rozumiesz?

– I przebiegłaś sto metrów, żeby niezwłocznie mnie o tym poinformować?

– To nie twoja sprawa, ile przebiegłam, co tam robiłam i z kim – ciągnę. – Byłam sama, okej? Nawet jeśli zobaczyłam cię nagiego, to wcale się o to nie prosiłam. Kto normalny pływa na golasa o tej porze?

– Kto normalny udaje pijanego mężczyznę i chowa się za leżakiem?

– Nie chowałam się. Spałam. A ty mnie obudziłeś.

– Spałaś na plaży? Dlaczego?

– Bo... – Czuję, że zaczyna mnie znowu swędzieć twarz, a konkretnie prawa brew. Nie mam się jak podrapać, ponieważ trzymam pieprzoną pościel. Może ramieniem się uda. Poruszam barkiem, ale za nic nie mogę dosięgnąć. – Bo... – Kolejne machnięcie, nadal nie sięgam. – Bo... – Próbuję się skupić na odpowiedzi, ale tak mnie swędzi powieka, że zaraz oszaleję. Mrugam, walczę, macham ramieniem...

– To jakiś tik?

– Nie. Swędzi mnie brew. – Wreszcie mądrzeję i pochylam głowę, pocierając twarzą o koc. O, jak dobrze. Trochę mocniej. O! Tu, tu. – Ugryzł mnie w nocy komar.

– Niejeden. Wyglądasz, jakbyś miała ospę wietrzną.

– A ty ekshibicjonizm. Moje bąble znikną za dwa dni, a twój wewnętrzny przymus publicznego obnażania się przed ludźmi, którzy się tego nie spodziewają, zostanie na zawsze. No chyba że zamierzasz się leczyć.

– Skoro jesteś tak dobrze zorientowana w temacie, zakładam, że pojęcie wojeryzmu jest ci dobrze znane. Nie muszę go dla ciebie definiować.

– Czego?

– Zaburzenia seksualnego polegającego na podglądaniu nagich osób, które nie są tego świadome. A to podlec!

– To był przypadek. – Rzucam mu mordercze spojrzenie. – Wcale cię nie podglądałam! Nie celowo.

– A ja celowo się nie obnażałam. Sądziłem, że o tej porze będę sam.

– Ale nie byłeś. To publiczna plaża. Nie jesteś pieprzonym Posejdonem, żeby pływać na golasa w morzu. Tak trudno włożyć kąpielówki?

– Lubię pływać nago.

– A ja śpiewać. Nie chodzę jednak po ulicach z pieśnią na ustach i nie zamęczam ludzi swoim zawodzeniem.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Nie chodzisz po ulicach i nie śpiewasz? Twierdziłaś, że cię nie obchodzi, co myślą o tobie inni.

– Bo nie obchodzi – odpowiadam, ale już mniej pewnie.

– Jasne. – Zerka na telefon. – Jest piąta trzydzieści. Musimy się zbierać. Pomóc ci zanieść pościel do pokoju?

– Nie, dziękuję. Sama sobie poradzę.

Bo jestem samowystarczalna. Bo wierzę w siebie. Nie potrzebuję niczyjej pomocy, zwłaszcza męczyzny.

Zadzieram dziarsko głowę, omijam Agnara i w tym samym momencie nadeptuję na rąbek koca, potykam się, chwieję nad basenem...

O Boże! Znowu?!

Biorę głęboki wdech, czuję szarpnięcie i zawisam nad wodą niczym ryba na wędce. Ale jak?

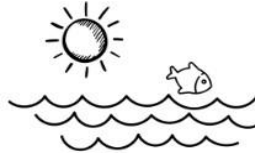
– Może jednak pomogę – słyszę tuż przy uchu niski głos Radwana i czuję przepływający po karku dreszcz.

Zerkam w dół. Naprężone ramię obejmuje cały majdan i mnie. Z ulgą wypuszczam wstrzymywane powietrze. O w mordę. Ależ on musi mieć długie te łapska.

Stawia mnie z taką lekkością, jakbym ważyła nie pięćdziesiąt, lecz czterdzieści kilo. No dobra. Ważę nieco ponad pięćdziesiąt, jednak akurat w tym zdaniu okrągła liczba lepiej brzmi. Poza tym taka waga to mój cel, a najlepszą drogą do osiągnięcia celu jest jego wizualizacja.

Agnar odbiera ode mnie bety i bez słowa rusza w stronę hotelu. Powinam mu podziękować, ale mam tak poparzony język od palenia się ze wstydu, że nie jestem w stanie wymówić ani słowa. Facet na bank uważa mnie za chodzące nieszczęście.

Super. A miałam mieć w dupie, co sądzą o mnie inni.



Wpatruję się w wydrukowane zdjęcia wyspy rozłożone na stoliku w hallu i jem croissanta, którego wyjęłam z boxu z naszym śniadaniem.

– Agent nieruchomości twierdził, że na wyspie jest stacja bazowa telefonii mobilnej. Nie powinno być problemu z internetem. – Agnar sortuje dokumenty w teczce. – Jak tylko podpiszemy umowę, wyślę zlecenie przelewu do banku.

– Ile sobie życzą za te dziewięćset hektarów? – Przekładam kolejne zdjęcie, na którym rozpościera się bajeczny widok ze wzgórza na morze.

– Siedem i pół miliona.

– Co?! – Omal nie zadławiam się rogalikiem. – Euro w gotówce?

– Nie. Na raty w schabowych. – Chowa teczkę do plecaka.

– Niepotrzebna zgryźliwość.

– Sama się prosiłaś.

– Po prostu byłam zszokowana taką kwotą. Drugie tyle będzie kosztować wybudowanie resortu. Twój ojciec nigdy nie zainwestował takiej sumy w żaden hotel w Polsce, a to kluczowy biznes stawiany na równi z Norwegią i Włochami.

– Analizowałem dokumentację. – Siada na krześle i otwiera pojemnik z jedzeniem. – To bardzo perspektywiczne grunty. Na wyspie są wszystkie media. W przyszłości można pokusić się o wzniesienie małego lotniska. Podzielić teren na działki i wydzierżawić je innym inwestorom pod budowę hoteli. – Wkłada podłużną bułkę z serem do ust i bierze potężnego gryza.

– Bez wątplenia to piękna wyspa. Dwie zatoczki z plażami piaszczystymi, trzy z kamienistymi – dodaje, przeglądając zdjęcia. – Nadal jednak to kupa kasy. Twój ojciec musi być bardzo zdeterminowany.

Agnar przełyka głośno kanapkę.

– Mój ojciec to sknerus. – Zaciska tak mocno szczęki, że mimo zarostu widać zarys kości żuchwy.

– Czy ja wiem. Nie odczuwamy braków w firmie.

– Bo on bardziej od bliskich kocha tych, którzy zarabiają dla niego pieniądze. Nie odda obecnej żonie ani grosza, tak jak nie dał nic pozostałym. Przepisanie gotówki na Markusa i natychmiastowe zainwestowanie jej w nowy biznes to jedyne rozwiązanie, dzięki któremu zachowa kontrolę nad majątkiem.

Nigdy nie postrzegałam w ten sposób naszego szefa. Nie mieliśmy problemu z budżetem, inwestycjami ani wynagrodzeniami. Lecz nie to mnie teraz frapuje. W tej chwili interesuje mnie coś znacznie ważniejszego:

– A co dokładnie stało się Markusowi?

Agnar się krzywi, jakby trafił na kamyk w pieczywie. Czekam, aż mi odpowie, ale on zamiast

tego sięga po wodę i wypija naraz prawie pół litra.

– Powiesz mi, dlaczego trafił do szpitala? – dopytuję.

– Bo jest głupi. – Zakręca butelkę i wrzuca ją do plecaka.

– Gdyby z tego powodu umieszczano ludzi w szpitalu, połowa naszej firmy byłaby na zwolnieniu lekarskim.

– A ojciec dostałby szału. – Bierze z wyraźnym zadowoleniem kolejny kęs bułki, która momentalnie znika w jego ustach.

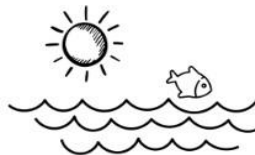
Otwieram oczy z niedowierzaniem. I wcale nie dlatego, że Agnar nie ukrywa niechęci do ojca, ale dlatego, że zjadł kanapkę wielkości mojej stopy w dwóch gryzach!

Nie jestem pewna, czy boxy z posiłkami, które nam przygotowano, mu wystarczą. Może poprosić kuchnię o dodatkową porcję?

O matko! Czy ja zgłupiałam do reszty?! Włączył mi się tryb opiekuńczości z czasów, kiedy byłam żoną. Wyłącz natychmiast! Agnar to przecież dorosły mężczyzna, jest w stanie sam o siebie zadbać.

– To co z Markusem? – Wracam myślami na właściwe tory.

– Żyje. To najważniejsze. – Zerka na zegarek. – Zbieramy się. Za piętnaście minut musimy być na łodzi.



Zapowiada się przepiękny dzień. Robi się coraz cieplej, chociaż jeszcze nie na tyle, by zrezygnować z bluzy. Prócz niej mam na sobie bikini i zwiewną kwiecistą sukienkę z siatkowego materiału. Ma być ponad dwadzieścia osiem stopni, więc zamierzam po wszystkim przetestować przynajmniej jedną z piaszczystych plaż. Jeśli z jakichś względów nie uda nam się dzisiaj podpisać umowy, czekają nas następne spotkania i oględziny wysp w kolejnych dniach. Jeśli zaś pójdzie sprawnie i wykonamy zadanie, wrócę do domu. Wszystko jest na dobrej drodze.

Do momentu, kiedy docieramy do punktu zbiórki z Nilusem. Jakaś motorówka stoi zacumowana na dziko, pętla liny jest niedbale zawinięta na drewnianym palu, ale naszego przewoźnika brak. Czekamy pięć, dziesięć, piętnaście minut... Straciłam już rachubę, ile razy próbowałam się do niego dodzwonić. Za każdym razem tylko sygnał i brak jakiegokolwiek odzewu. Atmosfera robi się napięta. Przeglądam w internecie oferty *rent a boat*, żeby na szybko znaleźć transport, lecz jesteśmy na turystycznym zadupiu, w dodatku po sezonie. Agnar, choć jak zwykle spokojny i opanowany, zerka co chwilę na zegarek, aż w końcu nie wytrzymuje.

– Grecja. Dwadzieścia minut spóźnienia.

– Wiem. Ale mam obawy, że to może nie być spóźnienie. – Nie odrywam wzroku od komórki. – Może uda mi się znaleźć inną łódź, choć po tej stronie wyspy będzie z tym problem.

– Rozumiem, że nie zrobiłaś tego w Polsce.

– Czego? – Podnoszę głowę i napotykam surowe spojrzenie niebieskich oczu.

– Nie wyszukałaś innych przewoźników, na wypadek gdyby ten zawiódł.

– Nic nie wskazywało na to, że zawiedzie. Rozmawiałam z nim przez telefon. Wydawał się w porządku. Poza tym nie miałam za wiele czasu na przygotowania.

– To było twoje zadanie.

– Moim zadaniem było zarezerwowanie transportu na wyspę. Nie odpowiadam za to, że facet się nie pojawił. Może coś mu się stało? Przecież łódka czeka i...

– *Kalimera!* – przerywa mi greckie powitanie dobiegające od lądu.

Odwracam się i dostrzegam niskiego mężczyznę. Rozczochrany, w pomiętej koszulce, w dłoni butelka ouzo 12.

– Moi polscy przyjaciele. Płynmy w morze! – sepleni po grecku, zmierzając wężykiem ku nam i podśpiewując szantę.

Ja pierdzielę. Najebany w trzy dupy.

– To on? – pyta z niedowierzaniem Agnar.

– Na to wygląda.

– Jest pijany.

No co ty?

– Może troszeczkę wstawiony. Ale to nic. Ogarnę. – Staram się ratować sytuację, lecz najwyraźniej mój towarzysz jest innego zdania, bo spogląda na mnie z góry karcąco.

– Ogarniesz? On ledwo idzie.

– Ma płynąć łódką, a nie chodzić. Może nie będzie aż tak źle – odpowiadam z nadzieją w głosie, choć sama w to nie wierzę.

Greki wyciął mi taki numer, że mam ochotę go poćwiartować. Przez telefon sprawiał wrażenie takiego solidnego. Zabiję go. Normalnie ukatrupię.

– Nilus! Nie tak się umawialiśmy. – Maszeruję nabuzowana w jego kierunku, a ten rozpościera ramiona na mój widok.

– Persefona! Jakaś ty piękna – woła, biegnąc w moją stronę. – Bogini podziemi, jestem na twoje rozkazy. – Kłania się koślawo w pas i zalicza glebę.

Ja pierdolę. Jest gorzej niż źle.

– Wstawaj. No już. – Próbuję go podnieść, ale jest tak bezwładny, że za cholere nie mogę ruszyć go z miejsca. Leży twarzą w piachu, pojękuje.

– Persefona, bogini podziemi? – Agnar unosi przewoźnika za ramię jak pacynkę, patrząc na mnie pytająco.

– Córka Zeusa. Zwana Korą – wyjaśniam. – Nie wiedziałam, że rozumiesz grecki.

– Trochę.

Przenoszę spojrzenie na chwiejącego się Nilusa. Ścisną w jednej ręce flaszkę i opiera się o Radwana, który nadal go podtrzymuje.

– I co teraz, Nilus, hm? – Zabijam go wzrokiem.

– Płyniemy! – odpowiada Grek z uśmiechem i czka.

– Już wystarczająco popłynąłeś, kolego. Gdzie mieszkasz?

Momentalnie mina mu rzednie. Wzrusza bezradnie ramionami.

– Obecnie? Nigdzie. Żona mnie wyrzuciła. – Unosi butelkę. – Napijesz się ze mną, chłopcze? – Podsuwa gwint pod nos Agnara, a ten wpatruje się w ouzo z dziwnym wyrazem twarzy.

Przez krótką chwilę odnoszę wrażenie, że ma ochotę sobie gołnąć, lecz on sadza Nilusa na piachu, odwraca się z chmurną miną, wyjmując telefon z kieszeni, po czym wybiera jakiś numer.

– Gdzie dzwonisz? – pytam.

– Do pośrednika nieruchomości.

– Po co? Mamy czas.

– Czyżby? – Zerka wymownie na pijaczka, który leży już krzyżem na plaży.

Zgon. Mogiła. Za Chiny Ludowe nie dotrzemy na czas na wyspę. Boże, co za porażka. A mogłam jutro siedzieć w samolocie do domu, zamiast znowu błąkać się po hotelu i szukać towarzystwa. Jeszcze nie znalazłam rozwiązania, co zrobić ze sobą w najbliższą noc, o kolejnych nie wspominając.

– Poczekaj! Coś wymyślimy.

– Niby co? Popłyniemy wpław? Wezwiemy wodną taksówkę? – Jest wyraźnie poirytowany, lecz nie podnosi głosu. – A może porwiemy samolot albo zabierzemy temu biedakowi motorówkę?

Tadam!

– Agnar, jesteś genialny! Rozłączaj się. – Dopadam do Nilusa i zaczynam obmacywać go po kieszeniach.

– Co ty robisz?

– Szukam kluczy.

– Przecież powiedział, że żona go wyrzuciła. Poza tym nie wiemy, gdzie mieszka.

– Kluczyków od łódki. Popłyniemy sami. – Wodzę palcami po kieszeniach spodni i wyczuwam...

O fuj! To zdecydowanie nie są klucze. – Pomóż mi go przewrócić na brzuch. Pewnie ma je z tyłu. –

Usiłuję przeturlać Greka.

– To idiotyczny pomysł.

Radwan jest niezadowolony. Ale przynajmniej nie wydzwania już do pośrednika. Nadal mamy szansę.

– Pomysł był twój. Ja go wyłącznie próbuję wdrożyć w życie.

– To nie był pomysł, tylko ironia. To wariactwo. I dobrze o tym wiesz.

– Wariactwem byłoby popłynięcie wpraw i porwanie samolotu. Wezwanie wodnej taksówki jest rozwiązaniem praktycznym, lecz niewykonalnym, bo tego typu środek transportu nie jest tutaj dostępny. Pożyczenie łódki jest realną, osiągalną i najlepszą opcją, jaką mamy.

– Nie mamy. To kradzież.

– Oj tam, oj tam. Nilus na pewno by się zgodził. Gdyby był przytomny. A zresztą... Nie zaszkodzi spróbować. – Kucam przy Greku, nachylam się i klepię go po policzku. – Halo, halo. Czy możemy pożyczyć twoją łódkę?

Nasz niedoszły przewoźnik mlaska, a z jego ust wydobywa się pijackie beknięcie. Prosto w moją twarz.

O Boże. Momentalnie się cofam. Zaraz puszcę pawia.

– Zabrzmiało jak „tak”. – Agnar patrzy na mnie z drwiącą miną.

Mam ochotę w odpowiedzi pokazać mu środkowy palec, ale się powstrzymuję. Jestem dojrzałą, wykształconą kobietą. Poza tym to syn mojego szefa. Nie wypada pokazywać mu fucka. To nie podstawówka.

Biorę głęboki oddech, nie poddaję się.

– Nilusie. – Potrząsam go za ramię. – Potrzebujemy motorówki. Oddamy wieczorem.

Rozlega się niewyraźny bełkot, ale jest postęp, bo pijaczek przekręca się na bok. Korzystam szybko z okazji, zanurzam dłoń w tylnej kieszeni, wyczuwam coś pod palcami...

– Mam! – piszczę tak głośno, aż Grek się przebudza. Kuję żelazo, póki gorące. – Biorę kluczyki od łódki, dobrze? – Brzęczę nimi tuż przed jego oczami. Marszczy brwi, nie kojarzy. – Zwrócę je wieczorem, okej?

– Kim jesteś? – pyta skonsternowany.

– To ja, Kora.

– Jaka Kora?

Ja pitole. Co też alkohol robi z człowiekiem.

Powiedziała ta, która po studniówce załatwiła się w fontannie miejskiej na rynku.

– Kora Angeli. Byliśmy umówieni na wynajem łodzi.

– Nie znam.

– Persefona. Twoja bogini.

– Chryste. To niedorzeczne. – Agnar prycha tuż nade mną. – Nawet jeśli pożyczysz mi łódź, czego nie będzie pamiętał, to nie znamy dokładnej drogi na wyspę.

Przewracam oczami.

– Istnieje coś takiego jak Google Maps.

– Dla samochodów, pieszych i rowerów. Nie wyznaczy trasy łódce.

– Nie potrzebuję trasy. – Wstaję. – Wystarczy mi mapa. Potrafię pływać motorówką. Robiłam to dziesiątki razy jako nastolatka.

Co prawda przy brzegu, bo ojciec nie pozwalał mi się oddalać, lecz o tym akurat Agnar nie musi wiedzieć.

– Też potrafię. Mam patent żeglarski. Pływałem na Mazurach, po Bałtyku, Morzu Norweskim, Morzu Północnym. Ale to jest coś zupełnie innego. – Wskazuje na wybrzeże.

– A co w tym innego? Tamto woda i to woda. Panie wiking, to jest Morze Egejskie, a nie Ocean Atlantycki. Odwagi. Co się może stać?

– Skały, mielizna, załamanie pogody, kontrola straży przybrzeżnej...

– To motorówka, nie jacht. W nic nie wpłyniemy. Nikt nas nie zatrzyma. A pogoda jest świetna. To tylko godzina drogi. Nie cykorz.



– Nie cykorzę.  
– Cykorzysz. Boisz się podjąć ryzyko, choć oboje potrafimy kierować łodzią motorową i mamy mapę.

– Jestem rozsądny.  
– Przez twój rozsądek stracimy szansę na zakup wyspy i zostaniemy w Grecji dłużej. Na pewno tego chcesz?

Agnar patrzy mi w oczy, porusza żuchwą. Widzę po nim, że walczy ze sobą. W końcu przesuwa wielkimi dłońmi po twarzy i odpowiada ciężko:

– Nie.  
– No! I zajebiecie. Mamy zatem wspólny cel. Załatwić szybko biznes i wracać do domu. Piąteczka. – Unoszę dłoń, ale on zamiast przybić ze mną piątkę, odwraca się i ściąga plecak z ramienia.

Buc.

Wyjmuje zeszyt, długopis, siada na piachu i zaczyna pisać. Bazgroli, kreśli, tworzy grecką epopeję. A przecież musimy płynąć.

– Co ty wyrabiasz? – Przepiękuję z nogi na nogę.

– Piszę list.

No ocipiał. Na depesze z wakacji dla bliskich mu się zebrało.

– Mam wezwać kruka czy skoczyć na pocztę po znaczek? A może chcesz butelkę? Włożysz do niej list, rzucisz w morze...

– Nie błaznuj. Zostawiam wiadomość dla Nilusa, że pożyczylimy łódź.

„Nie błaznuj”? Uderza we mnie fala gorąca. A to cham.

– Lepszy błazen niż barani łeb.

– Słucham? – Podnosi na mnie wzrok.

– To nie ja piszę list do kogoś, kto nie rozumie angielskiego. No chyba że to po grecku.

Agnar zerka na kartkę.

– Po angielsku. – Pociera nos. – Przetłumaczysz? – Wyciąga w moją stronę długopis z zeszytem.

– Nie. – Wyjmuję telefon, wysyłam SMS do Nilusa, a kiedy rozlega się piknięcie w jego kieszeni, odwracam się i ruszam w kierunku motorówki. – W drogę, panie Radwan!



Wszystko idzie jak z płatka. Ruszamy z werwą z południowego brzegu Rodos i płyniemy zgodnie z mapą, w linii prostej na zachód. Agnar gna jak błyskawica, aż łódź jęczy. Ja pilotuję, śledząc dokładnie mapę i otoczenie. Jest bosko! Prędkość, wiatr, fale, słońce. Cudny, grecki, aktywny poranek z radosną perspektywą jutrzejszego powrotu do domu. Będę nawet mogła się dzisiaj w nocy nażreć proszków na sen, bo lot mamy po południu. Podróż przebiega bez zarzutów. Są nawet takie chwile, kiedy Agnar nie jest takim bucem, za którego go brałam. Steruje wytrawnie, zwinnie, a zarazem z rozważą. Bez gadania słucha moich zaleceń co do zmiany kierunku. Przez niecałą godzinę tworzymy naprawdę zgrany zespół. Do momentu, aż docieramy na miejsce.

Wtedy gównem wpada w wentylator, a ja mam ochotę się poryczeć.

– Nie wierzę. Musiałem być niespełna rozumu, gdy godziłem się na ten poroniony pomysł.

– Przypominam, że to był twój pomysł. – Wchodzę za Agnarem pod górę, a pot leci mi ciurkiem po linii kręgosłupa. – I wcale mocno się nie opierałeś.

– Nic już nie mów. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. – Wdrapuje się na szczyt wzniesienia i podaje mi rękę.

– Sama sobie poradzę.

Tak, mam focha, bo ten dupek mi nie wierzy, że dobrze nas pokierowałam. Podciągam się na dłoniach, niezdarnie zarzucam nogę na podłóżę znajdujące się pół metra nade mną i wiszę. Kuźwa, jak ja mam tam wleźć?

– Chodź tu, bo spadniesz. Dostyc już mam z tobą problemów. – Agnar się pochyla, łapie mnie pod pachy i wciąga na górę.

– Niby jakich? – Staję o własnych siłach i otrzepuję sukienkę z ziemi.

– Takich. – Wskazuje na podnóże góry, z którego rozciąga się widok na całą południowo-wschodnią część łądu.

Wyjmuję z kieszonki sukienki małą butelkę z wodą mineralną. Upijam kilka łyków, rozglądając się po okolicy, ale nie wiem, czego dokładnie mam szukać. Wokół ani żywej duszy. Tylko morze, plaża, skały, szum wiatru, cisza i cykady.

– Nic nie widzę. – Z powrotem chowam butelkę.

– No właśnie. Bo niczego tu nie ma. Rozumiesz?

Pocieram czoło spoconą dłonią i czuję napływającą niemoc.

– Nie rozumiem. Przecież to musi być ta wyspa. – Wyjmuję z drugiej kieszonki telefon i zerkam na mapę, ale ta nie chce się odświeżyć.

– To gdzie w takim razie są pośrednik i zainteresowany kupiec, z którym mieliśmy licytować?

– Jest dziesięć po ósmej. Może się spóźniają.

– Obaj?

– No tak.

– Stacja bazowa telefonii mobilnej też się spóźnia?

– Co?

– Widzisz tu gdzieś maszt telefoniczny?

Wodzę wzrokiem wokół i przechodzi mnie dziwny dreszcz. Tu niczego nie ma. Totalne pustkowie.

– Może gdzieś się ukrył w konarach drzew? O, w tamtym lesie. – Pokazuję północno-zachodnią stronę wyspy, gdzie rośnie piniowy bór.

– W lesie. – Agnar zaciska usta, patrząc w kierunku, który wskazałam. – Jak myślisz, Kora: jaki zasięg ma stacja bazowa?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Na pewno kilka kilometrów.

– No właśnie. Co najmniej kilka kilometrów. Pamiętasz, jaką powierzchnię ma wyspa, którą zamierzamy kupić?

– Oczywiście. Dziewięćset hektarów.

– Ile to kilometrów kwadratowych?

– A czy ja wyglądam jak kalkulator jednostek miar długości?

– Ile?

Próbuję sobie przypomnieć, ile hektarów może mieć kilometr, ale Agnar chyba stracił już cierpliwość, bo sam odpowiada:

– Dziewięć kilometrów kwadratowych.

– Tylko dziewięć?

– Tak, tylko dziewięć. A czy widzisz tu chociaż jedną kreskę? – Wyciąga w moją stronę telefon, który pokazuje totalny brak zasięgu.

– Może to nie ta sieć. – Spoglądam na swój wyświetlacz. – No tak. U mnie też zero kresek. To by tłumaczyło, dlaczego nie możemy się dodzwonić do pośrednika.

Agnar tak ostentacyjnie wywraca oczami, że mam ochotę dzielić go komórką w łeb. Ale się opanowuję. Grunt to trzymać emocje na wodzy i zachować trzeźwość myślenia.

– Spróbuję nas zlokalizować – proponuję. – GPS przecież musi działać. Jesteśmy na ziemi, nie w kosmosie.

– Pobrałaś wcześniej mapę do nawigacji offline?

– Oczywiście. Nie jestem głupia. – Zadzieram nosa i otwieram pobrany rano plik.

Niech sobie nie myśli, że ma do czynienia z laikiem. Każdy, kto podróżuje, wie, że zawsze warto mieć...

– O kurwa. – Wpatruję się w ekran i robi mi się słabo.

– Co? – Agnar staje za mną, zagląda w mój telefon i wydaje z siebie gardłowe warknięcie. – Wiedziałem. Jesteśmy nie na tej wyspie. Przez ciebie.

– W zasadzie to twoja wina. – Wpatruję się w punkt położony o jakąś jedną trzecią dalej od wyspy, na której powinniśmy się teraz znajdować.

– Moja?

– Twoja.

– Niby jakim cudem moja, skoro to ty pilotowałaś?

– A z jaką prędkością płynęłaś?

– Jakieś osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

– A widzisz. Szacowałam, że łódź wyciągnie góra pięćdziesiąt i będziemy płynąć na miejsce godzinę. Gdybyś nie pędził jak szalony, bylibyśmy u celu o odpowiednim czasie. O tutaj. – Pokazuję palcem kropkę na mapie. – A tak minęliśmy właściwą wyspę po około czterdziestu minutach, a po godzinie dotarliśmy tutaj. – Dotykam miejsca, które wyznaczył GPS.

– Jesteś niesamowita.

Ojej, komplement. Podnoszę wzrok na Agnara, żeby podziękować mu za docenienie mojego geniuszu, a wtedy on dodaje z morderczym ogniem w oczach:

– Zrzuciłaś na mnie całą odpowiedzialność za to, co spartaczyłaś.

– Ja spartaczyłam?

– Ty. – Odwraca się na pięcie i zaczyna schodzić ze wzgórza.

– Nieprawda. Dzięki mnie mieliśmy szansę na spotkanie z pośrednikiem. To ty wszystko zepsułaś. – Podążam za nim, lecz zatrzymuję się tuż przy krawędzi zbrocza.

Jeśli wcześniej miałam pewność, że poradzę sobie z wejściem, to tym razem jestem przekonana, że nie dam rady sama zejść z tego urwiska. Jeszcze dziesięć lat temu hycnęłabym ze skarpy jak zajaczek i pokicała radośnie przed siebie, napawając się pięknymi widokami. Ale teraz? Cóż, wyglądałoby to raczej jak pokonanie przeszkody przez pandę wielką. Nie to, że poruszam się za wolno. Moja kondycja

fizyczna nie jest tragiczna, lecz pozostawia sporo do życzenia. Minał ten czas, kiedy miałam ciało elastyczne jak gumka w nowych gaciach. Co gorsza, pamięć mózgowa pozostała, a mięśniowa się zaktualizowała. Dlatego też mój ostatni zeskok z krzesła po zawieszeniu firanki zakończył się glebą i zwichnięciem kolana. Ten wiek już tak ma.

To, co wydawało się bajecznie proste, kiedy byłaś dwudziestolatką, okazuje się akrobacją, gdy przekroczyłaś czterdziestkę. No chyba że ćwiczysz regularnie i jesteś rozciągnięta jak joginka. Ja nie jestem. I czuję się teraz staro. Jestem tak stara, że pamiętam, jak zbierałam butelki po oranżadzie, żeby zarobić na gumy do żucia z naklejkami do albumu *Barbie*. Jestem tak stara, że z łezką w oku wspominam, jak w warzywniaku wymieniałam zardzewiałe, puste naboje od syfonu, żeby napić się wody gazowanej (żadna mineralna z plastikowej butelki nie zastąpi tej z saturatora). Jestem tak stara, że nigdy nie zapomnę, jak czekałam z palcem zawieszonym nad czerwonym przyciskiem magnetofonu, żeby nagrać na kasetę piosenkę Backstreet Boys puszczaną w radiu. Jestem tak stara, że...

– Ociągasz się, Angeli. Musimy wypłynąć, żeby złapać zasięg.

Namierzam wzrokiem Agnara, który jest dobrych kilkanaście metrów w dole i patrzy karcąco w moją stronę.

Nordycki tłuk.

– Idę, już idę. – Opuszczam się ze skarpy, chwytam wyrzuczenia w skale... Ło matko, nie mam podparcia dla stopy. Macam, szukam, ręce mi słabną. No dalej, spręż się, Kora. Zniżam się, ale nadal nie mogę wyczuć żadnego stopnia, na którym mogłabym postawić nogę. Do tego cholerny wiatr przeszkadza mi w złapaniu równowagi.

– Pomóc? Czy tym razem też sama sobie poradzisz? – słyszę z dołu cyniczny głos Radwana.

Ależ on mnie wkurwia.

– Prędeż piekło zamarznie, niż skorzystam z twojej pomocy, wikingu – syczę przez zaciśnięte zęby.

– Czyli tak.

– Czyli nie. Piekło nigdy nie zamarza, geniuszu. – Zsuwam się ostrożnie w dół.

– Wikingów zamarza.

– Co? – Odwracam się i tym samym tracę kontakt ze skałą. – O Boże!

Serce mi staje, odpadam od ściany, już widzę siebie na wózku inwalidzkim, szykuję się na bolesny upadek...

Jakimś cudem ląduję w ramionach Radwana. Unoszę głowę, napotykam spojrzenie niebieskich oczu.

– Helheim – rzuca zimnym tonem, a we mnie burzy się krew.

Jak już wspominałam, nie jestem poliglotką, ale coś mi się kojarzy, że to słowo jest norweskim przekleństwem.

– Ty gnoju. – Walę go w klatę i próbuję się uwolnić.

– A tobie co?

– Puść mnie! – Wyrwam się, na co on stawia mnie na ziemi.

– Uspokój się.

– Cham!

– Cham? Właśnie uratowałem ci tyłek.

– Możesz wsadzić sobie gdzieś taki ratunek z obelgą. Matka nie nauczyła cię, że nie wolno się tak zwracać do kobiet?

– Zwracać jak?

– Nie udawaj Greka.

– A ty wariatki.

Wariatki? Zaciskam pięści. Zaraz mu przywalę. Gorzej, jeśli mi odda i będzie trup na miejscu. Nie znam typa. Może zakopie mnie na tej wyspie i nikt nigdy nie odnajdzie mojego ciała. Nieee. Za dobrze mu z oczu patrzy. To tylko przygłupi, introwertyczny olbrzym wytypowany w zastępstwie swojego brata. Po jaką cholere go tu wysłali? Nie mogli wybrać kogoś bardziej towarzyskiego?

– Wiesz co? Weź ty już spierdalaj do domu. – Omijam go, lecz kątem oka widzę, jak jego brwi

wędrują w górę, a szczęki się zaciskają.

– Co ty do mnie powiedziałaś?

– To samo co ty do mnie.

Wyrzedza mnie i zastępuje mi drogę.

– Kiedy niby kazałem ci... – Chwila zawahania. – No wiesz.

– Spierdalać?

Krzywi się.

– Tak.

– A to całe *helheim* niby co oznacza, hm? – Wbijam w niego oskarżycielski wzrok.

– Krainę umarłych. Piekło wikingów znajduje się pośród lodów dalekiej północy i zamarza – odpowiada.

– Piekło, które zamarza? – Staram się przetrwać jego słowa i dopasować je do sytuacji. Kiedy tylko dociera do mnie szerszy kontekst, czuję falę zażenowania. Durna babo, ty! – Czyli... – Przelykam ślinę. – Nie powiedziałaś do mnie tego słowa?

– Jakiego? – Krzyżuje ramiona na piersi, ze wzrokiem mówiącym „kajaj się teraz, wredoto jedna”.

– No wiesz... – Robię minę niewiniątka. – Słowa na „s”.

– Nie powiedziałem.

– Aha. – Zaciskam usta. Czuję się jak idiotka. – Sądziłam, że mi ubliżasz po norwesku. Nie chciałam być niemiła. Z reguły jestem bardzo przyjazna...

– Nie wątpię. Masz jeszcze coś do powiedzenia czy możemy już iść? – Agnar wpatruje się we mnie tymi swoimi lazurowymi oczami, a ja mam ochotę zapaść się pod ziemię. Dałam popis lingwistycznej elokwencji. Ale że na naukę nigdy nie jest za późno...

– W zasadzie... to jak brzmi to słowo po norwesku?

– Jakie słowo?

– No wiesz.

– Nie wiem.

Właśnie, że wiesz, fiutku jeden, tylko chcesz, żebym znowu się zbłądziła! Ale ja się tak łatwo nie dam. Poruszam ustami, artykułując niemo słowo „spierdalaj”, na co Agnar kręci głową, jakby naprawdę miał do czynienia z wariatką. I to nieudawaną.

– *Dra til helvete* – odpowiada.

O rany! Jak mogłam się aż tak pomylić?

– Trochę długie, jak na jedno słowo po polsku.

– W dosłownym tłumaczeniu znaczy „idź do diabła”.

Spuszczam wzrok. Fatalnie, że tak po nim pojechałam.

– Przepraszam. Głupio wyszło.

– Głupio to jest tu stać i tracić czas. Idziemy do łódki.

– Prowadź. – Wskazuję dłonią przed siebie i uśmiecham się do niego z mocnym postanowieniem poprawy.

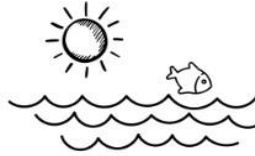
Będę miła dla Agnara. Nie jest wcale taki zły. I uratował mnie dwukrotnie przed...

– A! I ustalmy coś sobie. – Odwraca się w moją stronę.

– Tak?

– Skończ już z tym „wikingiem”, „Posejdonem”, „Goliatem” i tym podobnymi. To żenujące i nie przystoi dojrzałej kobiecie. Gdybym był dzieckiem, nazwałbym cię karłowatą jędzą, ale jestem dorosły. Oboje jesteśmy. Zachowujmy się więc tak, jak przystało na nasz wiek.

A to chuj.



No to mi dosrał. Tak mi poszło w pięty, że przez całą drogę ze wzgórze na plażę kuleję, analizując wnikliwie jego słowa. Wiem, nie powinno mnie obchodzić zdanie jakiegoś wyrwidęba... O Boże, znowu to robię! Czy naprawdę jestem żenująca? Mało dojrzała na swój wiek? I skąd on, do cholery, wie, ile mam lat? Wyglądam jak czterdziestka? Sądziłam, że po metamorfozie odmłodziłam. Poza tym nie jestem karłowata. Mam idealny wzrost Europejki. To on jest przerośnięty jak byk na sterydach. Wielki pan dorosły się znalazł. Ile on może mieć lat? Czterdzieści pięć, może sześć, a zachowuje się jak siedemdziesięcioletni stetryczwały dziad. Gdy tylko dopłyniemy do hotelu, napiszę raport ze skargą do centrali w Norwegii. Guzik mnie obchodzi, że to syn szefa. Jest niekompetentny, nie nadaje się do tej roboty, do pracy z ludźmi i...

– Angeli! – rozlega się głośnie wołanie.

Po nazwisku to po pysku, Radwan. Ruszam szybkim krokiem w stronę skały, za którą spodziewam się ujrzeć tego pawiana czekającego pewnie na mnie z naburmuszoną miną na łodzi.

– Angeli!

– Idę. Czego się tak drzesz? – syczę pod nosem, omijam głaz i prawie wpadam na Agnara. Stoi napięty jak struna, ze wzrokiem utkwionym daleko w morzu. – Już jestem. Możemy płynąć – oznajmiam z udawaną grzecznością, a wtedy on odwraca się w moją stronę i wbija we mnie piorunujące spojrzenie.

– Co znowu?

Nic nie mówi. Przewierca mnie oczami, prostuje swoją wielką łapę i wskazuje na horyzont. Podążam spojrzeniem w wyznaczonym kierunku, ale nie dostrzegam niczego prócz wody i błękitnego nieba, po którym suną niewinne białe chmurki.

– Mam patrzeć na coś konkretnego?

– Na łódź.

Wyteżam wzrok i faktycznie dostrzegam w oddali jakąś łódkę.

– Widzę. I co z nią? – Przez chwilę mam nadzieję, że to może pośrednik nieruchomości się spóźnił.

– Jest jakieś trzy kilometry stąd.

– Okej. A pokazujesz mi ją, bo...?

– Bo to nasza łódź, Angeli.

– Słaby żart. Nasza łódka stoi tam. – Wychylam się za jego szeroką klatę, żeby wskazać zacumowaną motorówkę...

I oblewa mnie zimny pot.

– O kurwa.

– No właśnie.

Wpatruję się w miejsce, w którym na bank powinna stać łódka. A tam tylko piasek, skałki, jakieś patyki, fale obmywające brzeg i stary pień, do którego cumowałam. Mój żołądek robi fikołka. Serce zaczyna mocniej bić. To niemożliwe.

– Kluczyki. – Wielka dłoń pojawia się tuż przed moimi oczami.

– Co? – Wybudzam się jak ze złego snu. – Jakie kluczyki?

– Od łódki. Popłynę po nią i wrócę po ciebie.

Przetwarzam jego słowa i wciąż nie mogę uwierzyć, że nasza motorówka jest tak daleko od brzegu. To jakiś koszmar.

– Nie rozumiem. Przecież ją przywiązałam. Do tamtego pnia. – Wskazuję i dostrzegam, jak drży mi dłoń.

– Jakiego węzła użyłaś?

– Węzła? – Spoglądam na niego pytająco. – Normalnego.

Agnar zamyka powieki, bierze głęboki wdech.

- Mówiłaś, że pływałaś wcześniej motorówką.
- Bo pływałam.
- To jak wygląda węzeł cumowniczy żeglarski?
- No... normalnie. Przewiązujesz dookoła bala, później dookoła liny, ponownie dookoła bala, robisz pętelkę i gotowe.
- Pętelkę?
- No wiesz... Jak to się nazywało? Pólsmyk?
- Pólszytk.
- No właśnie.
- Ile zrobiłaś pólszytków?
- Jeden – odpowiadam, na co Agnar rozszerza nozdrza jak smok, który zaraz zacznie ziać ogniem.
- Nie. Dwa. Dwa – poprawiam się od razu.

Radwan wpatruje się we mnie przez dłuższy moment, po czym niespodziewanie klęka na jedno kolano tuż przede mną. Okeeej. Albo zrobiłam na nim tak piorunujące wrażenie, że zaraz mi się oświadczy, albo wręcz przeciwnie – ukarze mnie: złapie za kostki, powali na plecy i przydusi swoim mocarnym ramieniem. A wtedy, tak jak ostatnio, trup na miejscu. Wkurwiony wiking zakopie mnie na tej wyspie i nikt nigdy nie odnajdzie mojego ciała.

Lecz on robi coś zupełnie innego. Wyciąga sznurówkę ze swoich potężnych buciorów i wciska mi ją w dłoń.

- Wiąż.
- Co?
- Zawiąż węzeł cumowniczy żeglarski.
- Jesteś pewien, że mamy na to czas? Sam mówiłeś, że łódka jest jakieś trzy kilometry od nas. Choć szczerze wątpię, czy ludzki wzrok może sięgać aż tak daleko.
- Mamy kilka minut. Przeciętny człowiek jest w stanie sięgnąć wzrokiem na poziomie morza na odległość czterech i siedemdziesięciu dwóch setnych kilometra.
- I mówisz to z dokładnością do setnych?
- Istnieje na to wzór.
- O, nie wiedziałam – dziwię się. – Jaki? – pytam, bo serio jestem ciekawa.
- Wiąż. – Wskazuje na sznurowadło z zacięciem w oczach.

Zerkam na brązową, długą sznurówkę i próbuję sobie przypomnieć, w jaki sposób zawiązałam linę do wystającego z plaży pnia drzewa.

- Potrzymaj. – Wręczam Agnarowi jeden koniec sznurowadła, sięgam po leżący obok gruby kij i wbijam go głęboko w piasek. – Tak więc... Naciągam linę, owijam ją wokół patyka, zaciskam, wiążę dookoła patyka, dookoła liny. – Pokazuję wszystko sprawnie jak wytrawny żeglarz. – Wracam tą samą drogą dookoła kija, wiążę pólszytk... – Chwila zawahania. – Hm. No tak.
- Co: no tak? Zrobiłaś jeden czy dwa pólszytki?
- No właśnie... Nie pamiętam. Spieszyliśmy się na spotkanie. Pobiegłeś pierwszy. Zostawiłeś mnie samą. Byłam podenerwowana. Ale chyba zawiązałam dwa. – Przekładam sznurówkę i robię drugi pólszytk.

– „Chyba”. – Z gardła Agnara wydobywa się tubalne warknięcie. Zdejmuje but, ten bez sznurówki, na co ja uchylam się odruchowo, bo jestem pewna, że zaraz zdzieli mnie nim w łeb. Lecz on nawet nie patrzy w moim kierunku. Ściąga drugi, skarpety, spodnie, koszulkę... O Boże, tylko nie bokserki! Zaciskam powieki. Nie patrzę. Nie chcę przechodzić przez to po raz kolejny. Już wystarczy, że właśnie zostałam oślepiona posejdonową kłatą, nie zamierzam spłonąć tu czerwienią jak krab na widok gigantycznego węża morskiego.

- Angeli, to nie czas na drzemkę. Daj kluczyki.
- Piasek wpadł mi do oczu.

Moje powieki ani drgną. Macam na osłep prawą kieszeń sukienki i wyjmuję telefon. Macam lewą i wyciągam buteleczkę z wodą. Macam ponownie obie kieszonki i oblewa mnie zimny pot. Nie wyczuwam niczego. Puste jak kondom impotent!

Nieważne, czy ujrzę Agnara stojącego przede mną z fiutem na wierzchu. Otwieram oczy, rzucam telefon i butelkę na piach, zrywam się na równe nogi i zaczynam klepać się po tułowiu, jakby obsiadły mnie robale. Patrzę po sobie, czuję narastającą panikę.

– Angeli. Kluczyki – słyszę napięty głos, który, kurwa, wcale mi nie pomaga.

Bez zastanowienia ściągam sukienkę i zaczynam potrząsać nią jak sakwą. A tu nic. NIC! Siatkowy, przezroczysty materiał nie pozostawia złudzeń. Zgubiłam pieprzone kluczyki!

Serce trzepocze mi w piersi jak pstrąg złapany w sieć. Jak to możliwe? Takie rzeczy mi się przecież nie zdarzają! Od początku wylotu na Rodos wszystko się partoli. Te żenujące wpadki, upadki, głupstwa, potyczki. Ja taka nie jestem. Dotknęło mnie cholerne fatum. Jakiś pech. A może ktoś rzucił na mnie urok? Albo ten brodaty półgłówek przynosi mi pecha.

Podnoszę oczy na Agnara.

– Gdzie masz kluczyki? – Patrzy na mnie tak zimnym wzrokiem, że pot spływający mi po plecach zaraz zamarznie na sopol lodu.

– Nie mam.

– Jak to: nie masz?

– Nie wiem, jak to się mogło stać. – Czuję, że zaczynam dygotać z nerwów. – Może zgubiłam je po drodze na wzgórze albo ze wzgórza, albo... – Wstrzymuję powietrze. – Zostały w stacyjce.

Agnar bierze głęboki wdech i wsuwa sobie palce we włosy. Spogląda w stronę morza, następnie na wzgórze. Wzdycha, wydając z siebie tak ciężkie dudnienie, aż trzęsie się pode mną podłoże. A może to moje nogi drżą ze strachu?

– Ty szukasz na łódzie. Ja płynę na łódkę – zarządza.

– Nie lepiej poszukać ich razem? Co dwie pary oczu, to nie jedna. Poza tym nie wiem, czy dam radę wdrapać się na górę.

Myśli. Schyla się po moją sukienkę. Unosi ją wysoko.

– To za długo potrwa – oznajmia, wpatrując się w siatkowy materiał niczym w wyrocznię. – Łódź się oddali i zniknie z pola widzenia za jakieś pół godziny.

– A powiedziała ci to moja sukienka?

Unosi brwi z wyrazem mówiącym „pytasz serio?”, po czym odpowiada:

– Wiatr, Angeli. Wiatr.

Spoglądam na powiewający materiał, który ewidentnie wyznacza kierunek od lądu ku morzu.

– No tak. A co, jeśli nie ma kluczyków w stacyjce? Popłyniesz na marne.

– Spróbuję uruchomić łódź z kabli. Jeśli się nie uda, to ją przyholuję – odpowiada, lecz po jego minie wnioskuję, że nie jest w pełni przekonany do tego ostatniego pomysłu. Zresztą ja też. Jak niby zamierza to zrobić?

– Ona chyba sporo waży.

– Coś w okolicach trzystu kilogramów. – Zaczyna rozciągać ramiona.

– Dużo.

– Dużo. – Robi skłon, patrząc w kierunku oddalającej się łódki, która zaczyna zlewać się z horyzontem.

– A co, jeśli nie uda ci się jej przyciągnąć na wyspę?

– Zabiorę z niej to, co niezbędne.

– Niezbędne do czego?

Agnar spogląda mi prosto w oczy. Powietrze zastyga. Po mojej skórze przechodzi zimny dreszcz.

– Do przetrwania. – Odwraca się w stronę morza, robi jeszcze jeden skłon, po czym bierze głęboki oddech i zerka na mnie przez ramię. – Byłbym zapomniał. Jesteś zwolniona – oznajmia i rusza biegiem do wody, by po chwili dać głębokiego nura i zacząć płynąć kraulem.

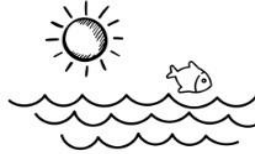
No to zajębiście. Gorzej być nie może. Nie dość, że zostałam sama na pustkowiu, gdzie kraby chroboczą odwłokami, to koleś, który nawet nie jest moim szefem, wylał mnie z roboty. Zawsze mogę go oskarżyć o molestowanie. Jakkolwiek by patrzeć, wywalił mnie tuż po tym, jak rozebrał się do naga. No dobra, do półnaga. Został w bokserkach. Jedyne plus tej pojebanej sytuacji.

Odprowadzam go wzrokiem, starając się nakierować myśli na pozytywny tor. Trzeba być mocnej



wiary. Agnar znajdzie kluczyki w stacyjce, przyplynie po mnie łódka, wrócimy do hotelu, wyśpimy się, nabierzemy dystansu, po czym w przeciągu najbliższych dni kupimy wyspę, a za tydzień będziemy się z tego śmiać.

Tak. Wszystko się dobrze skończy. Nie może być inaczej.



A jeśli utonął? Albo odpłynął łodzią w stronę Rodos, zostawiając mnie tu na pewną śmierć? Gdzie on, do cholery, się podziewa? Zamartwiam się okropnie i kreuję we łbie tak różne scenariusze, że mój mózg już spuchł do rozmiarów dyni olbrzymiej. Ledwie jestem w stanie utrzymać głowę na karku. Szyję mam nadwyręzoną od wypatrywania Agnara, który przepadł jak kamień w wodę. Podobnie jak kluczyki.

Przeszukałam całą drogę, jaką przebyliśmy na wzgórzu. Co więcej – wdrapałam się na ten cholerny szczyt i zeszłam z niego o własnych siłach. Przy okazji odrobinę się sturlałam. Poraniłam sobie kolana, palce, otarłam biodro i wyschłam na wiór, bo skończyła mi się woda. I wszystko na nic, bo niczego, kurwa, nie znalazłam! Przepraszam, znalazłam starą metalową miskę. Gdy tylko ujrzałam metaliczny błysk pod piaskiem w pobliżu miejsca cumowania, byłam pewna, że to kluczyki. Ryłam w mokrym żwirze wściekle niczym wygłodniały dzik w ziemi. Przez co moje ręce wyglądają teraz jak łapy kamieniarza. Czerwony lakier odprysł, opuszki są obolałe, na kostkach pojawiły się palące zadrapania. A ja nie mam nawet jak przemyć ran, bo przecież nie opłuczę ich w morzu, by sprawdzić na własnej skórze, czy powiedzenie „posypywać rany solą” faktycznie oznacza zadawanie cierpienia. Chociaż sól to naturalny konserwant, działa bakteriobójczo, może zapobiec zakażeniu. Nie mam pojęcia, co lepsze. Siedzę rozkraczona na plaży jak ostatnia ofiara i oglądam dokładnie otarcia na nogach i dłoniach. Niby nie leje się krew, ale naskórek jest uszkodzony i wyraźnie widać czerwone szramy. A chuj. Najwyżej trochę mnie zapiecze. Lepsze to niż sepsa. Zrobię to szybko, bez zbędnych ceregieli. Krótka piłka.

Wstaję z piachu, podskakuję kilka razy w miejscu dla rozluźnienia, biorę rozpęd, biegnę, wpadam do morza, zanurzam się... O, jaka miła niespodzianka. Woda daje chwilowe ukojenie. Nie jest aż tak źle, jak myślałam, prawie nic nie...

– O KURWA!

Moje ciało wzdryga się niczym rażone prądem. Parzą mnie kolana, biodro, palce u rąk. Czy to meduza? Niejedna. Musi być ich ze sto. Rozglądam się w panice, lecz żadnych stworzeń wokół siebie nie widzę. Sól na rany, kurwa mać! Najgorsza tortura. Wypadam z wody jak oparzona, biegam po plaży w tę i we w tę, macham rękoma, syczę, jęczę, krzyczę, tupię, dmucham, zgrzytam zębami, wołam błagalnie:

– Boże! Ześlij mi ukojenie!

– Jestem... – słyszę za sobą tubalny głos, a po nim tąpnięcie, od którego aż drży piach pod moimi stopami.

I tak Wszchemogący zstąpił z nieba na ziemię. Zamieram. Za żadne skarby się nie obrócę. Nie jestem godna. Modlę się od wielkiego dzwona, przeklinam, złorzeczę...

Nasłuchuję uważnie. Do moich uszu nie dociera żaden dźwięk prócz szumu wiatru i fal. Zerkam powoli przez ramię i wtedy dostrzegam ludzkie ciało. Topielec. Leży krzyżem na wznak. Nieruchomo. Wygląda znajomo. Serce mi podskakuje. O matko, to przecież...

– Agnar! – Ruszam w jego stronę, padam przed nim na kolana tuż obok przemoczonego plecaka.

Auć, moje rany! A tam. Jakoś przeżyję, on natomiast... Wygląda, jakby był martwy! Ale odezwał się wcześniej. I zdołał zrzucić plecak, zanim padł jak kłoda. A co, jeśli to wtórne utonięcie? Skupiam się na jego klatce piersiowej. Nie unosi się. A może unosi? Nie wiem! Ze stresu tak kręci mi się w głowie, że nie mogę skupić wzroku.

– Halo! Żyjesz? – Nachylam się nad jego twarzą i sprawdzam, czy oddycha. – Agnar, odezwij się. – Potrząsam go za ramię. Zero reakcji. – No, nie wygłupiaj się. – Klepię go po policzku, ale nawet

nie drgnie mu powieka. Przywieram uchem do jego nagiej piersi, staram się usłyszeć bicie serca, lecz zamiast niego słyszę własne tętno, które dudni jak szalone. – Radwan, ostrzegam cię. Jeśli nie odezwiesz się za pięć sekund, zrobię ci resuscytację. Odliczam. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... – Mój głos drży. – Ostrzegam, mogę przez przypadek połamać ci żebra. Wbrew pozorom jestem bardzo silna. – Żadnej reakcji. Normalnie trup.

Uderza we mnie fala gorąca. Kurwa, to nie są żarty. Jak się robiło masaż serca? Ważna jest liczba uciśnień. No i oczywiście tempo. Tylko jakie? Jak przez mgłę przypominam sobie szkolenie, które przechodziłam jako harcerka, i nagle doznaję olśnienia. No jasne! Śpiewaliśmy Bee Gees! Trzydzieści uciśnień, dwa wdechy ratownicze.

Kładę dłonie na szerokiej piersi, prostuję ramiona, układam je prostopadle do klatki piersiowej.

– Agnar, zaczynać czy otwierasz oczy? – upewniam się ostatni raz, ale nie otrzymuję odpowiedzi.

No to gazu. – *Ah, ha, ha, ha, stayin' alive, stayin' alive*<sup>9</sup>. – Uciskam rytmicznie, śpiewając. – *Ah, ha, ha, ha, stayin' alive*. I czas na wdech. – Nachyliłam się, rozszerzam usta Radwana, nabieram powietrze i przywieram do jego warg.

I nagle on otwiera oczy.

Serce mi staje. Odskakuję i padam dupskiem na piach.

– Umarłaka by zbudziło to wycie – odzywa się zachrypniętym głosem.

– Ty żyjesz! Uratowałam ci życie!

– Masz na myśli to smyranie po żebrach? – Odkasłuje i przewraca się na bok z jękiem. – Nawet myszy by nie odratowało. – Ponowne kasznięcie.

A to podlec.

– Może okażesz trochę wdzięczności. Podjęłam odpowiednie kroki, żeby ratować twoją marną egzystencję. Sądziłam, że utonąłeś.

– No to się myliłaś. – Oddycha powoli, ciężko. Podnosi na mnie wzrok. Oczy ma przekrwione, zmęczone.

– Jak się czujesz?

– Jakbym przez godzinę ciągnął łódź pod wiatr.

Obracam głowę w stronę morza z nadzieją, że ujrzę naszą motorówkę, ale przede mną tylko pustka bezkresnego morza.

– Nie widzę jej.

– Nie dałam rady. Ani odpalić, ani przyholować – wymawia takim zboliałym tonem, że momentalnie mam wyrzuty sumienia.

Cholera, dałam dupy.

– To przeze mnie.

– Nie. – Kręci głową i unosi się powoli na łokciu, pokasłując. – Prawidłowo zawiązałaś linę.

Węzeł trzymał się pnia jak przyspawany.

– Jak w takim razie łódź odpłynęła?

– Drewno musiało być zbutwiałe. Zawiał silniejszy wiatr, łódź się zakołysała, pociągnęła linę, a górna część pnia odpadła.

– Niemożliwe. – Zerkam w kierunku wystającego z piasku konara. Hm. Może faktycznie jest nieco krótszy, niż kiedy przywiązywałam do niego łódź. – Powinnam była się upewnić, czy nie jest spróchniały.

– Spieszyłaś się. – Podnosi się wyżej i siada. – To niczyja wina.

Ojej, jak miło z jego strony. Pewnie uderzył się w głowę przy holowaniu łodzi. A może jednak rozumiał, że był wobec mnie zbyt szorstki. Popływał troszkę, zeszło z niego napięcie i teraz będzie dla mnie...

– Co nie zmienia faktu, że utknęliśmy tu przez ciebie. – Spogląda na mnie gniewnie. – Pomyliłaś wyspy i zgubiłaś kluczyki. Znalazaś je chociaż?

I oto jest z powrotem. Wal się, ty norweski trollu.

– Nie. Tylko jakąś metalową miskę wyrzuconą przez morze. Leży tam, w krzakach. – Wstaję i wydaję z siebie syknięcie, rozprostowując powoli poranione kolana, które teraz dodatkowo są oblepione

piachem.

– Odmawiałaś za mnie litanie na klęczkach? – Agnar wpatruje się w moje nogi.

– Tak. Modliłam się, żeby pożarła cię zgraja piranii.

– Wtedy zostałabyś tu całkiem sama. Bez jedzenia, picia i środka do odkażania ran.

Na samą myśl o piciu i jedzeniu moje ślinianki zaczynają wiercić się niecierpliwie. A środek do odkażania... Cóż. Nie pogardzę.

– Plastry też masz?

– Mam. – Sięga po plecak i go otwiera. – Na łodzi była apteczka. Podstawowa, ale zawsze coś. – Wyjmuje plastikowy pojemnik i rzuca mi go pod stopy. – Tylko nie zużyj wszystkiego. Lepiej zachować coś na wszelki wypadek.

– Wszelki wypadek czego? – Siadam i otwieram skrzyneczkę.

– Wszystkiego. – Wyjmuje ociekającą torebkę z jedzeniem, a ja tracę nadzieję, że zjem cokolwiek z naszego lunchboxu. Wszystko przemokło. – Jest po sezonie, więc szanse na to, że jacyś turyści będą tędy przepływać, są znikome. – Wyciąga moją bluzę, która wygląda jak mokra szmata. – Nie mamy zasięgu, a tym samym kontaktu ze światem, nie wysłamy wezwania o pomoc z podaniem lokalizacji. – Rzuca na piach dwie liny, rozkłada na bluzie szczyryk, butelkę wody mineralnej, raketnicę, flarę...

– A gdzie mój portfel? – pytam.

– Nie było.

– Był! W plecaku, pod siedziskiem.

– Cholera. – Przesuwa dłonią po włosach, a ja mam ochotę go zamordować.

– Dowód osobisty, prawo jazdy, karty bankomatowe... Wszystko przepadło! – Patrzę na nasz skromny dobytek. – I tylko tyle udało ci się zabrać?

– Wziąłem to, co niezbędne. Nie dałbym rady ze wszystkim przepłynąć.

– Nie wierzę, że nie wzięłeś ze sobą niczego więcej. Zdejmuj gacie, kucnij i kaszlnij.

– Co? – Otwiera szeroko oczy.

– Przeszukanie. Portki w dół!

Agnar patrzy na mnie z takim politowaniem, aż robi mi się niezręcznie. Facet ma dar do krępowania samym wzrokiem.

– Jaki masz kontakt z bliskimi? – zmienia temat.

– Rewelacyjny – stwierdzam zgodnie z prawdą.

– Często się kontaktujecie?

– Codziennie.

– Dobrze. Czyli jeśli dzisiaj nie dasz im znać, podniosą alarm?

– Raczej jutro. Rano wysłałam im wiadomości, więc nie wzbudzi ich niepokoju, jeśli nie odezwę się wieczorem – wyjaśniam. – Ale jest jeszcze przewoźnik – przypominam pokrzepiającym głosem. – Na pewno zgłosi na policję kradzież łodzi i pokaże mojego SMS-a, w którym deklaruje, że zwrócimy ją dziś po południu.

– Jeśli wpierv nie zapije się z rozpaczy na śmierć – dodaje Agnar. – Utrata domu i łodzi w jeden dzień to idealny powód, by sięgnąć po butelkę.

– Nie kracz. Trzeba mieć nadzieję, że jutro policja rozpocznie poszukiwania.

– Zważywszy na to, że Grecja posiada ponad dwa i pół tysiąca wysp, faktycznie nadzieja bardzo nam pomoże.

– Oj, przestań być takim defetystą. Przecież nie będą nas szukać po całej Grecji, tylko w okolicach Rodos. Przewoźnik znał docelowe miejsce naszej podróży, norweskie biuro też, znajdą nas szybciej, niż sądzisz. A może ktoś jednak będzie przypadkiem przepływał? Zauważy nasze ognisko oraz wielki napis „HELP” ułożony na plaży i nas uratuje.

– Widzę, że znasz się na rzeczy. Czyli chcesz rozpalić ogień i stworzyć napis?

– Dokładnie.

– A co, jeśli ktoś, kto nie zna angielskiego, będzie akurat przelatywał nad wyspą i nie zrozumie napisu „HELP”?

– O matko, ale się czepiasz. Ułożę w takim razie „SOS”. Okej?

– Mhm. Potrzebujesz pomocy z ogniem? – Rozkłada wilgotne jedzenie na torebce foliowej.  
– To przecież dziecinnie proste. Byłam w harcerstwie. Poradzę sobie sama. – Wzruszam niby obojętnie ramionami, ale tak naprawdę jestem z siebie dumna.  
– Rób, co chcesz. Ja muszę coś zjeść. – Wgryza się w rozmiękłą kanapkę, a mnie aż mdli na sam widok. Jak on może to wziąć do ust?  
– Wpierw opatrzę sobie otarcia i pójdę zbierać drewno na opał. Dasz mi jakąś zapalniczkę albo zapaliki? – Wyciągam do niego dłoń.  
– Nie mam.  
– Jak to: nie masz?  
– Zwyczajnie. Nie było ani jednego, ani drugiego na łodzi.  
– Niemożliwe. – Sięgam po plecak i przeczesuję każdą kieszeń, ale ten jest pusty jak mój portfel za czasów studenckich. Wszystko, co zabrał ze sobą Agnar z motorówki, leży przed nim. I żadna z tych rzeczy nie pomoże mi w roznieceniu ognia. Ręce mi opadają. – To jak ja mam niby rozpalić ognisko? – pytam zrezygnowana.  
– Sądziłem, że to dziecinnie proste, a ty byłaś w harcerstwie i poradzisz sobie sama. – Wpatruje się we mnie tymi swoimi niebieskimi ślepiami i bierze drugi, a zarazem ostatni gryz kanapki.  
A żebyś się udławił, ty protekcyjnalny złamasie.  
– Bo tak jest. – Zadzieram głowę, zabieram apteczkę i idę w ustronne miejsce lizać rany. Byle jak najdalej od tego złośliwca.



Jak to możliwe, że dorastałam w czasach telefonów stacjonarnych oraz wielotomowych encyklopedii PWN i potrafiłam przeżyć jako nastolatka trzy tygodnie w mokrym lesie pod namiotem, a kiedy jestem po czterdziestce, nie umiem obejść się bez wyszukiwarki Google, żeby wskrzesić kilka iskieł na suchej jak wiór podpałce?

Po raz kolejny odświeżam przeglądarkę z wpisanym hasłem „Jak rozpalić ogień bez krzesiwa i zapalek?” i otrzymuję wciąż ten sam komunikat: „Brak internetu”.

– Kurwa mać! – Rzucam w krzaki patyk, którym wierciłam w korze tak długo, aż porobiły mi się pęcherze na palcach.

Opieram się o pochyłą sosnę rosnącą tuż przy plaży i wydaję z siebie głośny jęk. Jestem wykończona. Niebo nad morzem przybiera fioletowogranatową barwę, co zwiastuje zbliżający się schyłek dnia. Jakies pół godziny temu, kiedy skończyłam właśnie układanie z patyków napisu „SOS”, słońce schowało się za wzgórzem po zachodniej stronie wyspy. Agnar w tym czasie spał.

Nie zaprzeczam. Przeszło mi przez myśl, żeby wsunąć mu kij w rozchylone usta, dusić go przez kilka sekund, po czym opieprzyć za leniuchowanie. Bo kurde, ja tu próbuję uratować nam dupską, zbierając drewno na opał i tworząc monstrualnych rozmiarów płaską rzeźbę, która będzie widoczna dla helikoptera ratunkowego, a ten sobie ucina drzemkę. Ale odpuściłam. Nie lubię go, lecz chłopina dostał dzisiaj w kość. I tak, jestem w stanie wziąć za to część winy na siebie. Mogę sobie tylko wyobrazić, ile wysiłku kosztowała go próba holowania łodzi motorowej.

Teraz jednak mój gniew powrócił. Norweski jaśniepan sobie śpi, a mnie robi się chłodno, jestem głodna i chcę już odpocząć. Tymczasem moja bluza, którą powiesiłam na wbitym w piach badyłu, jest nadal mokra, kanapki przypominają solankową breję, a perspektywa spędzenia nocy na odludziu bez ognia napawa mnie niepokojem.

Ogień od wieków odstraszał dzikie zwierzęta, dawał sygnał o obecności człowieka, ogrzewał jego ciało i pomagał przygotować strawę. A my go nie mamy. Bóg jeden wie, co za bestie kryją się w zaroślach. To znaczy mniej więcej domyślam się jakie, bo zwierzęta Grecji są mi znane z okresu dzieciństwa. Przecież spędzałam tu niemal każde wakacje. Pytanie tylko, czy smok rodyjski, gekon,

kameleon, wąż, sęp i orzeł mieszkają również na tej wyspie i czy przypadkiem nie zechcą urządzić mi przyjęcia powitalnego tej nocy.

Czuję, że zaczyna mnie boleć głowa. Mam sucho w gardle, moje usta są spierzchnięte, jestem cholernie spragniona. Moja trzystumililitrowa podręczna buteleczka skończyła się jakieś sześć godzin temu. Przydałby się jakiś strumyczek, bo wątpię, żeby niecały litr mineralnej, który pozostał Agnarowi, wystarczył dla nas obojga. Ale jak na razie chyba mogę się napić odrobinę.

Wstaję z ziemi i podchodzę bezszelestnie do rozłożonych na piasku rzeczy, które leżą tuż przy śpiącym Radwanie. Pochylam się po cichutku, sięgam po półtoralitrową butelkę, odkręcam korek i przykładam ją do ust. Wiem, że powinniśmy oszczędzać wodę, lecz gdy tylko pierwszy łyk przepływa przez moje zaschnięte gardło, uświadamiam sobie, jak bardzo chce mi się pić. Przysysam się do gwintu i zaczynam pochłaniać łączywie haust za haustem, jakbym dopiero co wstała po całonocnym chlaniu i była na kacu gigancie. Zamykam oczy, jestem w raju. O tak, więcej, jeszcze, łyk i kolejny, i następny... Aż niespodziewanie ktoś odrywa mi butelkę od ust.

– Wystarczy – rozlega się głos Agnara.

Otwieram oczy, napotykam jego karcące spojrzenie i narasta we mnie ogromna złość. Jak na telefon wybudzający mnie z mokrego snu. No właśnie, à propos spania...

– Obudziłeś się, śpiący królewczu? – Ocieram brzegiem dłoni brodę, na której pozostały pojedyncze krople wody.

– Trudno spać, kiedy jęczysz, jakbyś spółkowała ze stadem krasnoludków, Królewno Śnieżko.

Mrużę oczy. O co mu chodzi? Bajki mu się pojebały czy jak? A może uważa, że jestem piękna jak Królowna Śnieżka? Też mam zazwyczaj usta czerwone jak wino, włosy czarne niczym heban, tylko cera biała jak śnieg się nie zgadza (greckie geny tatusia zrobiły swoje). No i mój wiek rodzi jeszcze wątpliwości. Ale może zdaniem Radwana wyglądam młodo.

– Dlaczego Śnieżka? – pytam, choć w zasadzie nie mam pojęcia, po co muszę to wiedzieć. Czy naprawdę aż tak bardzo potrzebuję usłyszenia komplementu z ust mężczyzny?

– Jesteś pazerna i najwyraźniej równie bezmyślna jak ona.

– Że co? – Momentalnie skacze mi ciśnienie. A to złób!

– Ona zżarła zatrute jabłko i padła na miejscu, a ty wypijaś zapas wody i padniesz z odwodnienia za trzy dni.

Spoglądam na butelkę, na której dnia pozostało nie więcej niż dwieście mililitrów płynu, i przygryzam wargę z nieskrywaną skruchą. Jasna cholera, nie sądziłam, że wypijałam aż tak dużo.

– Chciało mi się bardzo pić. Mój organizm tego potrzebował.

– Mój też, zwłaszcza po tym, jak spędziłem dwie godziny na morzu w pełnym słońcu. Mimo to się powstrzymałem i dawkowałem wodę, żeby wystarczyło dla nas obojga, dopóki nie przybędzie pomoc.

– Jutro na pewno ktoś się zjawi. Poza tym wbrew temu, co powiedziałaś, wątpię, żebym padła bez wody po trzech dniach. Nie jesteśmy na Saharze.

– Słyszałaś kiedyś o zasadzie wielkiej trójki?

– Pytasz o wielką trójkę przywódców światowych mocarstw z czasów wojny?

– Nie, choć ta również decyduje o pokonaniu wroga.

– Wroga?

– Śmierci – odpowiada z posągowym wyrazem twarzy, a po moim karku prześlizguje się lodowaty dreszcz. – Wielka trójka to powietrze, woda, jedzenie. – Wylicza na palcach. – Trzy minuty bez powietrza: trup. Trzy dni bez wody: trup. Trzy tygodnie bez jedzenia: trup. Oczywiście dużo zależy od kondycji i warunków fizycznych delikwenta oraz od klimatu, w którym przebywa. Większa pojemność płuc to dłuższa wytrzymałość na brak powietrza. Chłodny klimat opóźnia proces wydalania wody z organizmu. Otyłość to duże rezerwy tłuszczu trawionego przez organizm, co oszczędza mięśnie, w tym najważniejszy z nich, czyli serce – wyjaśnia poważnym tonem, a ja czuję napływający niepokój.

Uruchamia się we mnie tryb obronny.

– Chuje muje, dzikie węże, tylko tak straszysz, żeby ukarać mnie za wypicie całej wody.

Bierze ostatnie trzy łyki mineralnej, nie spuszczając ze mnie spojrzenia.

– Skoro mowa o dzikich węzłach... – Zakręca pustą butelkę i rzuca ją na resztę naszego ekwipunku. – Rozpaliłaś już ognisko? – Rozgląda się po plaży, a jego wzrok zatrzymuje się na stosie gałęzi, które ułożyłam wcześniej w kształtny stożek.

– Jeszcze nie. A co? Masz ochotę upiec na nim położa lamparciego? – drwię. Jestem pewna, że nie ma pojęcia, czym jest ów połów.

– Nie jestem smakoszem węzłowego mięsa, choć faktycznie, po katorżniczej wyprawie po łódź motorową przydałoby mi się trochę białka. – Mruży oczy, wpatrując się we mnie, jakby chciał powiedzieć: „nie zagniesz mnie tak łatwo”. – Pytałem raczej z troski o twoje życie. Węże panicznie boją się ognia. No chyba że chcesz spędzić noc w objęciach zaskrońca kociego.

Robię zde gustowaną minę. Nie wiem, co gorsze: zjedzenie obślizgłego gada czy konfrontacja z nim podczas snu.

– Jestem w trakcie procesu – oznajmiam, nie dając po sobie znać, że poniosłam sromotną klęskę podczas próby rozpalania ognia.

– Procesu? – Unosi brwi. – Skazujesz ogień za brak chęci współpracy?

– Ha, ha, ha. Mam wszystko przygotowane: rozpałkę, drewno, kamienie. Wystarczy tylko wzniecić iskrę.

– Tylko wzniecić iskrę. – Pociera zarost na policzku, patrząc na mnie z powątpiewaniem.

– Już prawie mi się udało, ale mam poranione palce po wspinaczce na wzgórzu i nie dałam rady wiercić dłużej patykiem.

– Wiercić?

– No wiesz. Obracałam w dłoniach patyk, trąc jego końcem o korę i licząc na to, że pojawi się iskra.

– Hm. – Agnar pochyla się nad plecakiem, wyciąga ze ściągacza sznurek, zabiera scyzoryk i rusza w kierunku mojej konstrukcji. Po drodze zbiera sobie kamyczki, co trwa całe wieki, a kiedy dochodzi do przyszykowanego paleniska, wyciąga z niego wygięty patyk. Siada, przygląda mu się uważnie, napręża go – to w jedną, to w drugą stronę – po czym wiąże sznurek na obu jego końcach, tworząc z niego niedużych rozmiarów łuk.

Na rękodzieło mu się zebrało czy jak?

– Znudziło ci się już bycie Posejdonem i zamierzasz robić za Erosa z tym łuczkiem? – pryham, bo nie mam bladego pojęcia, co on wyrabia.

– Zamierzam upolować węza na kolację.

– Tym? Nie żartuj.

– Sama zaczęłaś. – Wyjmuje z kieszeni scyzoryk. – Zdemontuj to prymitywne tipi i ustaw z patyków piramidę.

Jak to: zdemontuj? Tyle pracy na nic? Nie ma mowy.

– To przecież ma być ognisko, a nie grobowiec Cheopsa. – Zakładam ręce na piersi.

– Zgadza się, ognisko. Takie, które będzie wydajne i funkcjonalne. Twoja konstrukcja jest dobra na trzygodzinny biwak. Zużyje dużo drewna, szybko się wypali i będzie tak dymić, że uwędzimy się na zimno. Piramida jest znacznie efektywniejsza. Pali się od góry, dzięki czemu nie dymi, ogień jest równomierny, utrzymuje się dłużej i nie potrzebuje stałego nadzoru, co przydaje się zwłaszcza w nocy. Poza tym możesz postawić na nim naczynie, w którym można zagotować wodę lub jedzenie.

– Jakie naczynie? Nie mamy żadnego garnka. O wodzie i jedzeniu nie wspomnę.

– Mówiłaś, że znalazłaś metalową miskę. A wody i jedzenia poszukam z samego rana. Jeszcze jakieś wątpliwości czy zabierzesz się już do pracy? – Otwiera scyzoryk i zaczyna obrabiać nim koniec długiego, prostego patyka.

– A ty zamierzasz w tym czasie robić coś konstruktywnego? Czy będziesz strugał strzałkę do swojego łuczka Erosa i godził nią w serca wyspiarskich wiewiórek, żeby się kochały i rozmnażały ku twojej chwale?

– Jesteś irytująca. – Agnar kręci głową i struga dalej.

– Nie mniej niż ty, ale ja przynajmniej nie jestem leniwa.

– Nie jestem leniwy. – Przeszywa mnie spojrzeniem.

– Wcale. Przespałeś całe popołudnie, później kolekcjonowałeś kamyczki, a teraz ostrzysz jakiś patyk z dupy, który przyda się jak kurwie różaniec. W przeciwieństwie do ciebie ja robię coś pożytecznego.

Oczy Radwana przewiercają mnie na wylot. Zaciska dłoń na rękojeści scyzoryka tak mocno, że moja pierwsza myśl (i być może ostatnia w tym wcieleniu) to „pora spierdalać stąd jak najdalej, bo skończę z ostrzem w szyi”.

– Ten patyk z dupy, jak go nazwałaś, to świder. – Agnar pochyla się w moją stronę, opierając kij o nogę. – Łuczek Erosa to łuk ogniowy – mówi powoli, nie spuszczać ze mnie spojrzenia. – A kamyczek z mojej kolekcji to docisk. – Bierze w dłoń płaski, gruby kamień z wyraźnym wgłębieniem. – Z moją pomocą te trzy niepozorne przedmioty wraz z kawałkiem suchego drewnianka, ściółki i wysuszonej trawy uchronią twój upierdliwy, marudny tyłek przed zimnem, głodem, zakażeniem układu pokarmowego i atakiem dzikich zwierząt zamieszkujących tę wyspę, na której znaleźliśmy się przez ciebie. Dlatego daj mi chwilę spokoju, żebym mógł zająć się tym, czego ty nie potrafiłaś zrobić, i wykonaj w ciszy to, o co cię teraz poproszę. – Przenosi wzrok na kopczyk patyków i wskazuje palcem miejsce tuż obok niego. – Połóż równolegle na piachu trzy największe kawałki drewna, jakie znajdziesz...

– Oczywiście, już biegnę. Coś jeszcze? – przerywam mu solidnie poirytowana.

– Na nich powinien znaleźć się rząd trzech nieco cieńszych patyków, które będą leżeć prostopadle do tych z dołu – instruuje. – Kolejna warstwa ma wyglądać analogicznie do pierwszej, tylko z mniejszych kijków niż te pod spodem. Zbuduj pięć takich poziomów, dbając o to, aby patyki były ułożone w odpowiednich odstępach od siebie. Jeśli będą zbyt ciasno, dopływ tlenu do płomienia będzie utrudniony i nici z ogniska. Jeśli zbyt szeroko, piramida się zawali. Na szczycie umieść chrust, a ja dołożę do niego palącą się rozpałkę. Na końcu dodamy wokół paleniska kamienie, żeby stworzyć ekran cieplny. Coś powtórzyć czy wszystko jest jasne? – Patrzy na mnie wzrokiem nauczyciela matematyki, który tłumaczy drugoklasistom zasady mnożenia liczb naturalnych przez dziesięć.

On uważa mnie za debilkę!

– Wiem, jak układać ognisko piramidę. Byłam w harcerstwie. – Zaciskam pięści tak mocno, że zaraz z moich poranionych palców zaczną tryskać krew.

– Już to mówiłaś. Be, er, a, wu, o. Brawo, brawo, brawo, brawo – wymawia znudzonym głosem znany okrzyk harcerski, po czym wraca do strugania, dodając: – Na lewo zwrot, harcerzu. Odmaszerować.

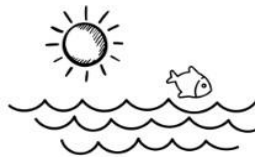
– Harcerko – wypowiadam przez zaciśnięte zęby i dodaję pod nosem: – Kołku.

– Nie jestem głuchy. – Maltretuje ostrzem biedny kijek.

Przedrzeźniam go niemo, wykrzywiając przy tym twarz tak nieludzko, aż boli mnie żuchwa. Wiem, to niedojrzałe, ale muszę jakoś dać upust emocjom i wyładować nieszkodliwie złość na tego palanta, bo nie ręczę za siebie.

– Ślepy też nie jestem – dodaje, nie podnosząc na mnie wzroku, a ja mam nieodpartą chęć wbić mu środkowy palec w oko i oznajmić z satysfakcją: „Teraz już jesteś”.

Zamiast tego odwracam się na pięcie i ruszam w stronę mojego tipi. Zbuduję Agnarowi taką piramidę, że padnie trupem z wrażenia. A później go w niej pochowam na wieki wieków, amen.



Kończę właśnie układać nasze rzeczy przy powalonym pniu drzewa, żeby zdążyć przed nocą, kiedy Agnar po raz kolejny wydaje z siebie głęboki pomruk niezadowolenia. Jestem pełna podziwu, w jaki opanowany sposób potrafi wyrażać złość. Na jego miejscu cisnęłabym już łukiem w krzaki i rwała sobie włosy z głowy. Palenisko jest gotowe, a iskry nadal brak. Na moje oko system, który zaproponował Radwan, musi zadziałać. Sznurek jest zawinięty wokół świdra, a ten porusza się w ruchu obrotowym po

drewienku wraz z przesuwaniem łuku w przód i w tył. Pod wpływem docisku i tarcia patyk ma się rozgrzać, wyprodukować węgiel drzewny i dym. Dorzucona ściółka powinna zacząć się tlić, generując płomień. Czysta fizyka, ale coś idzie nie tak.

– Może za szybko dorzucasz ściółkę albo robisz niepotrzebną przerwę w świdrowaniu?

– Coś jeszcze?

– Tylko głośno myślę. – Podchodzę bliżej. – A gdyby tak nie zaprzestawać kręcenia i dorzucać suchą trawę stopniowo, ale dopiero wtedy, kiedy dym będzie największy?

– Nie mam tyłu rąk. – Ociera ramieniem kroplę potu, która spływa mu po skroni.

– Mogę pomóc.

– Poradzę sobie sam.

– Mówisz tak, żeby mi dopiec za to, że wcześniej odrzucałam twoją pomoc?

– Nie pochlebiaj sobie.

– Twoja urażona duma naraża nas na spędzenie październikowej nocy bez ognia.

– Zeszłej nocy brak ognia nie przeszkadzał ci w spaniu na plaży.

– Miałam kołdrę, koc i piżamę, a leżaki osłaniały mnie od wiatru. Nie należę do wygodnickich, ale szesnaście stopni w nocy to jednak ciut za mało.

– Wytrzymasz. Ciesz się, że to nie Polska. – Zaczyna ponownie świdrować, a pojedyncze smużki dymu wydobywają się spod patyka.

Rozglądam się, po czym podnoszę z piachu kilka zeschniętych źdźbeł trawy oraz sosnowych igieł i siadam obok Agnara.

Dym powoli narasta, staje się coraz żywszy.

– Nie przestawaj świdrować – mówię.

– Zrobię, co uważam za słuszne – warczy kątem ust.

– No właśnie. Robisz to od godziny i gucio z tego jest. Spróbujmy moim sposobem. Kręć, a ja będę podkładać stopniowo podpałkę.

Wydaje gardłowy pomruk, ale nie oponuje, tylko świdruje dalej. Dym gęstnieje, kłębki unoszą się coraz wyżej. Kładę na deszczulce pojedyncze źdźbła trawy.

– Nie przerywaj. – Dokładam kilka igieł. – A teraz przyspiesz.

Agnar zwiększa tempo. Lewa ręka dociska kamieniem świder, prawa porusza energicznie łukiem w przód i w tył. Na napiętych dłoniach uwypuklają się linie żył, skóra przedramion błyszczy od potu, oddech jest szybki, lecz równy, jak podczas jednostajnego biegu.

Dorzucam trawę i igliwie stopniowo, z wyczuciem. Dym staje się coraz gęstszy, biały, zaczyna pachnieć ogniskiem. Nachylam się i delikatnie dmucham. Raz, drugi, trzeci.

– Stój! – Łapię Agnara za ramię, a on od razu przestaje świdrować.

Przez pewien moment nic się nie dzieje, lecz nie mijają dwie sekundy, kiedy podpałka się rozżarza i pojawia się pomarańczowy malutki płomień. Moje serce przyspiesza. Pochylam się ponownie i dmucham tak delikatnie jak na zdarte kolano córki po upadku z roweru, gdy była dzieckiem.

Płomień wzrasta, zajmuje trawę, pojedyncze igły. Agnar dorzuca odrobinę ściółki, ogieniek przygasa, jednak po chwili odradza się ze zdwojoną siłą i zaczyna kołysać na boki.

– Mamy go. – Agnar unosi się powoli z dREWNIEM, na którym tańczą żółtopomarańczowe wstążki, i rusza w kierunku ułożonej przeze mnie piramidy.

– Tylko go nie upuść. – Idę tuż obok niego, nie spuszczać ognia z oczu.

– Nie zamierzam.

– Trzymaj go mocno.

– Przecież trzymam.

Jestem tak niespokojna, jakbym wychodziła ze szpitala po ciężkim porodzie, a mój partner złamas, z którym zaszłam w ciążę przypadkiem, trzymałby w rękach mojego pierworodnego syna.

– Uważaj, kamień! – Wyciągam dłonie w stronę deszczulki, asekurując ją, na wypadek gdyby nieślubny ojciec ogieńka się potknął i go upuścił.

– Angeli, stresujesz mnie. Potrafię przejść cztery metry z kawałkiem drewna w rękach.

– Tak, ale nie patrzysz pod nogi, tylko obserwujesz ogień. Wołałam cię ostrzec.



Agnar nachyla się nad piramidą i kładzie uważnie nasze dziecię na przygotowanej wcześniej podpałce (wiem, to brzmi jak barbarzyństwo, kanibalizm i *child abuse* w jednym, jednak to wyłącznie taka metafora dla podkreślenia podniosłości tego wydarzenia). Nakrywamy płomyk ciepłą kołderką z kłębów trawy, cieniutkich patyków, drobnej kory i wtedy dzieje się cud. Ciemny, chłodny wieczór rozjaśnia nagle światło pełne nadziei, ciepła i radości. Niby taka banalna rzecz – ogień. Kiedy żyjesz w mieście, jest ci obojętny i potrafisz się bez niego obejść. Użyjesz czasem zapalek do podpalenia znicza na grobie babci albo pożyczysz zapalniczkę na imprezie, żeby zapalić okazjonalnego papierosa w towarzystwie znajomych. Lecz gdy stajesz oko w oko z naturą, bez latarni rozświetlających ciemność, bez grzejników wypełniających ciepłem mieszkanie, bez kuchenki, na której możesz podgrzać wodę i przygotować posiłek, ogień staje się niezbędny do przeżycia. Bez niego guzik zrobisz. Nigdy, przenigdy nie sądziłam, że tak bardzo będę się cieszyć z rozpalenia ogniska.

– Udało nam się. – Klaszczę w dłonie jak mała dziewczynka i zerkam na Agnara.

Nie spotykam się jednak z jego entuzjazmem. Bładoniebieskie oczy, które zdają się teraz świecić w ciemnościach, wpatrują się w ogień zajmujący stopniowo kolejne piętra piramidy.

– Nie cieszysz się? – pytam, starając się zrozumieć jego pochmurną minę.

– Nie ma z czego.

– Jak to: nie ma? Rozpaliliśmy ogień.

– Którym ani się nie najemy, ani nie napijemy.

– Ale nie zmarzniemy. Będzie nas chronił przed dziką zwierzyną i wyśle sygnał statkom przepływającym w nocy. Poza tym sam mówiłeś, że rano poszukamy czegoś do jedzenia i picia. Może w drugiej części wyspy ktoś mieszka i nam pomoże.

Agnar spogląda na mnie z uniesionymi brwiami.

– Czy byliśmy na tym samym wzgórzu, z którego rozpościerał się widok wyłącznie na las, skały i plażę?

– Może pod lasem ktoś ma małą chatkę, a my jej nie dostrzegliśmy.

Radwan kręci głową, jakby opowiadała mu bajkę dla dzieci.

– Wydoroślej, Angeli.

– A ty wrzuć na luz – mówię i w tej samej chwili odpowiada mi głośnie burczenie brzucha Agnara.

– I zjedz tę solankową breję, która została z mojej kanapki. Bo z głodu robisz się jeszcze bardziej marudny.

– Nic mi nie jest – odpowiada, choć bez przekonania.

– Twój zołądek zabrzmiał, jakby nosił w sobie obcego błagającego o wypuszczenie na wolność. Ja i tak nie będę jadła tego paskudztwa. Mam na myśli kanapkę, nie obcego. – Sięgam po torebkę z jedzeniem.

– Nie jesteś w ogóle głodna? – dziwi się.

– Jestem, ale nie aż tak, żeby połasić się na rozmoczoną kanapkę. Potrafię długo wytrzymać bez jedzenia. Poza tym mam co spalać. – Łapię brzuch w palce, pokazując tłuszczową oponkę, którą widać teraz w pełnej okazałości pod siatkową sukienką.

– Faktycznie. – Przygląda się mojej talii. – I dobrze. Mogą ci się przydać takie zapasy, na wypadek gdyby nie udało mi się jutro znaleźć niczego do jedzenia.

Momentalnie skacze mi ciśnienie. A to burak!

– Masz, żryj i tyj. – Rzucam w niego foliówką z lunchem i odwracam się na pięcie wielce urażona.

Tak, mam focha. Chyba każda czterdziestka by go miała na moim miejscu. Ja się uzewnętrzniam z moją oponką, co prawda tylko dla żartu, a ten od razu z grubej rury.

– Obraziłaś się? – pyta, przeżuając.

– Nie mówi się z pełnymi ustami.

– Nie są pełne. Są do połowy puste.

– No właśnie.

– Co: no właśnie?

– Jesteś chodzącym pesymistą. – Odwracam się z założonymi rękoma i szykuję wytoczenie artylerii. – Usta do połowy puste. Na wyspie niczego nie ma. Napis „HELP” może być niezrozumiały.

Ognisko stożkowe się nie nadaje. Nie znajdziemy jedzenia, więc dobrze, że jesteś gruba.

– Tego ostatniego akurat nie powiedziałem.

– Ale to miałaś na myśli.

– Nie miałem. Pokazałaś mi wałek tłuszczu na brzuchu, który nie jest niczym wyjątkowym u kobiety w twoim wieku...

– O właśnie. I znowu to podkreślasz.

– Co podkreślam?

– Kobię w moim wieku. – Czuję, jak zaczyna buzować mi krew w żyłach.

– A nie jesteś w swoim wieku?

– Jestem!

– Więc o co chodzi?

– O to, że, do kurwy nędzy, nie czuję się na swój wiek! – wybucham.

Agnar ściąga brwi. Przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– A ile właściwie masz lat?

– Nie drocz się. Doskonale wiesz, w jakim jestem wieku. Ciągłe mi o nim przypominasz.

– Nie wiem. Domyślam się.

Mrużę oczy. Ściemnia czy mówi na poważnie?

– A ile twoim zdaniem mam?

Wzrusza ramionami.

– Trzydzieści siedem, osiem... – Pakuje sobie resztę kanapki do ust, a ja mam ochotę go ucałować. Nawet jeśli jest w trakcie przeżuwania solankowej brei, od której zbiera mi się na wymioty.

– Naprawdę uważasz, że na tyle wyglądam?

– A to jest aż takie ważne? Mówiłaś, że nie obchodzi cię, co sądzą o tobie inni.

Pochyla się, żeby włożyć torebkę foliową po kanapce do plecaka, a ja mam ochotę dać mu kopa w tyłek. Co za czepialski, pamiętliwy typ. Zdecydowanie muszę uważać, co przy nim mówię.

– Bo mnie nie obchodzi. Idę spać. – Kolejny foch.

– Jeszcze nie.

– A właśnie, że tak. Jestem padnięta. – Okrażam ognisko, szukając odpowiedniego miejsca na rozwieszenie wilgotnej bluzy.

– Musimy zrobić ekran ciepły, inaczej zmarzniemy w tych letnich ciuchach. No chyba że chcesz się w nocy przytulać.

Podnoszę na niego wzrok.

– Do ciebie? W życiu.

– Tak myślałem. Trzeba przysunąć bliżej ogniska tamten kamień. – Wskazuje obmywaną przez fale skałę, która mierzy jakiś metr wysokości. – Będzie chronić nas od wiatru, a po nagraniu pełnić funkcję kaloryfera.

– Chyba się źle czujesz. Przecież ona waży ponad sześćset kilo. Wiem, że uważasz się za osiłka, ale trochę pokory, człowieku.

Jego oczy niebezpiecznie się zwężają.

– Skąd niby wzięłaś tę wagę?

– Z kątowni. To jest piaskowiec kwarcowy. Gęstość właściwa tego typu skały to około dwa i pół tysiąca kilogramów na metr sześcienny. Na oko ten monolit ma wymiary metr na pół na pół, co daje dwadzieścia pięć setnych metra sześciennego. Licząc z proporcji, wychodzi, że waży sześćset dwadzieścia pięć kilogramów.

Agnar patrzy na mnie zszokowany.

– Znasz gęstości skał?

– Petrologia to mój konik z lat młodzieńczych.

– Petrologia?

– Z greckiego *petros*: skała, *logos*: nauka. Kiedy byłam dzieckiem, spędzałam w Grecji każde wakacje. Uwielbiałam zbierać kamyczki, chodzić po górach, miałam swoją własną kolekcję skalnych próbek i hopla na punkcie wulkanów. Z czasem to hobby przekształciło się w prawdziwą pasję. Dostałam

się ze świetnymi wynikami na geologię, byłam najlepsza na roku, chciałam zostać wulkanologiem, pracować na greckich wyspach, takich jak Santoryn, Nisiros, Nea Kameni, Jali, później rozszerzyć działania na Włochy, Islandię, Norwegię, a następnie na Meksyk, ale zaszłam w ciążę i nauka musiała zejść na dalszy plan. Ledwie się obroniłam, a jedyną ofertę pracy, jaką otrzymałam w zawodzie, to etat w kopalni węgla trzysta kilometrów od domu.

– Nie możesz wrócić do tych planów?

– Nie mogę.

– Bo?

Bo każda podróż będzie wiązała się z samotnością, a tej nie jestem w stanie znieść nocą – odpowiadam w myślach.

– Bo kocham pracować u twojego ojca. – Kłamstwo przechodzi mi przez usta z zaskakującą łatwością.

– Tylko się u niego marnujesz.

– Powiedział ten, co też dla niego pracuje.

– Nie pracuję dla mojego ojca. Robię to dla Markusa.

Unoszę brwi. To mnie zaskoczył.

– Czyli Knut nie wie, że zamierzasz kupić wyspę za jego kasę?

– Nie chcę o tym rozmawiać. Skupmy się na istotnych sprawach. Myślę, że dźwignia da radę.

– Dźwignia?

– Zastosujemy dźwignię do przepchnięcia kamienia. – Podąża w stronę drzew.

– Ale żeś się uparł na ten głaz.

– Jeszcze mi podziękujesz. – Szuka czegoś po ciemku wśród sosen.

– Nie lepiej ułożyć murek na tej samej wysokości co skała, tylko że z mniejszych kamieni?

Zaoszczędzimy energię, a efekt będzie ten sam.

– Wiatr będzie przedostawał się przez szczeliny. – Wychodzi z wielkim pniem drzewa na plażę.

– Możemy uzupełnić je trawą i igliwem. Ba! Mam nawet lepszy pomysł! – Czuję narastające podekscytowanie. – Gdybyśmy trochę pogrzebali w ziemi, może udałoby nam się znaleźć pozostałości popiołu wulkanicznego. Po zmieszaniu go z wapnem ze skały znajdującej się w drodze na wzgórze oraz wodą otrzymalibyśmy cement, którym moglibyśmy pospajać dziury w murze.

– Cement. – Agnar patrzy na mnie, jakbym postradała rozum.

– I to bardzo trwałe. Starożytni Grecy stosowali mieszaninę wapna i popiołów wulkanicznych do wytwarzania spoiw hydraulicznych w budownictwie.

– Widzisz tu jakiś wulkan?

– Nie, co nie oznacza, że popiół nie naleciał po erupcji Thery na Strongili. Wybuch był tak potężny, że rozerwał wyspę, tworząc mniejsze wysepki, w tym oblegane przez turystów Santorini. Siła rażenia odpowiadała eksplozji czterech bomb atomowych, odgłos detonacji obiegnął kulę ziemską czterokrotnie, w powietrzu znalazło się ponad sto pięćdziesiąt miliardów ton skał wraz z pyłem wulkanicznym, który zasnuł niebo na trzydzieści dni. Santoryn jest jakieś sto kilometrów stąd, a to oznacza, że jeśli nasza wyspa istniała trzy tysiące sześćset lat temu, znajdziemy na niej popiół wulkaniczny – oznajmiam z satysfakcją.

– Hm. Muszę przyznać, że twoja wiedza z zakresu wulkanologii jest imponująca. – Agnar przystaje z pniem w rękach.

– Dziękuję.

– Popraw mnie, jeśli coś źle zrozumiałem.

– Tak? – Zakładam kosmyk włosów za ucho, zwarta i gotowa na rozwianie jego wątpliwości oraz udzielenie odpowiedzi na ewentualne pytania.

– Jest po godzinie dwudziestej, słońce już dawno zaszło, temperatura powietrza wynosi szesnaście stopni Celsjusza – zaczyna charakterystycznym dla siebie spokojnym tonem. – Nie mamy ciepłych ubrań i jesteśmy zmęczeni. Chce mi się pić i czuję głód, więc najchętniej poszedłbym już spać, żeby rano wybrać się po wodę pitną i jedzenie. Wspominałaś coś wcześniej o zaoszczędzeniu energii, co jest słusznym spostrzeżeniem. Możemy w przeciągu trzydziestu minut przesunąć głaz metodą

dźwigni, zyskując w ten sposób osłonę od wiatru i dodatkowe źródło ciepła, po czym udać się na spoczynek. Albo wybrać się po ciemku na poszukiwania wapna oraz zająć się wydobywaniem popiołu wulkanicznego, który prawdopodobnie osiadł na wyspie tysiąc sześćset lat przed naszą erą. Następnie przytaszczyć je w rękach na plażę, zmieszać z wodą, tworząc zaprawę, by najwcześniej o świcie dobrnąć wreszcie do etapu budowania murka z kamieni. Twoim zdaniem opcja druga jest lepsza. Zgadza się? – Patrzy na mnie tym swoim wkurwiającym i zarazem oceniającym wzrokiem, a ze mnie powoli uchodzi powietrze, a wraz z nim cała ekscytacja.

Uświadamiam sobie boleśnie, że mój pomysł z wytwarzaniem cementu jest równie genialny jak wybranie się w klapkach do wąwozu Samaria. Istnieje spora szansa, że dobrniesz do celu, ale po drodze zaryjesz o głębę z dziesięć razy i połamiesz sobie wszystkie palce u stóp.

– Angeli, zgadza się? – Agnar przechyla głowę, przyglądając mi się pytająco, a ja z bólem serca muszę przyznać mu rację, choć najchętniej pokazałabym mu język.

Lecz tego nie robię. Bo jestem, kurwa, dorosła i nie wypada.

– Myślę, że możesz już skończyć z tą wymuszoną elokwencją. Nie jestem idiotką. – Prostuję plecy i wypinam pierś do przodu, żeby dodać sobie odwagi i z godnością znieść porażkę.

Wzrok Radwana pada na mój biust.

– Nie powiedziałem, że nią jesteś – wymawia powoli, wpatrując się w moje cycki.

– Twoja mina i ton głosu zrobiły to za ciebie.

– Wątpię.

– Czy możesz, do cholery, na mnie patrzeć, kiedy do ciebie mówię?

Jego spojrzenie wędruje w górę. Nasze oczy się spotykają.

– Przecież patrzę.

– Teraz. Przed chwilą gadałeś z moimi piersiami.

– Jesteś przewrażliwiona. – Zabiera pień i rusza w stronę głazu.

– Nie jestem. – Idę za nim. – Przyznaję, że czasami ponoszą mnie emocje. Możliwe, że zbyt podkcytowałam się pomysłem uszczelniania murka, ale miałam dobre intencje.

– To wykorzystaj tę ekscytację w słusznej sprawie i owiń kamień liną cumowniczą. – Wchodzi po kostki do wody i zaczyna wbijać pal w mokry piach.

Zabieram linkę ze stosu naszych skarbów i przystępuję do wiązania jej po obwodzie skały.

– Zrobione. – Zaciskam węzeł najmocniej, jak potrafię.

– Dobrze. Podejdź do mnie. – Agnar trzyma pień, zapierając jego wkopaną część o spód głazu. –

Kiedy dam ci znak, zaczniesz dociskać kłodę z całą siłą w dół, tak żeby dźwigany przez nią głaz uniósł się jak najwyżej. Dasz radę?

– Postaram się.

– Trzymaj. – Robi mi miejsce.

Chwytam za pal, a wtedy Radwan podchodzi do ogniska, zabiera plecak, po czym zaplątuje o niego koniec liny, którą obwiązałam kamień. Następnie zakłada szelki, zapina pas piersiowy na klacie, biodrowy w talii i obraca się wokół własnej osi tak, że pozostała część liny otacza jego tułów wraz z plecakiem jak baleron.

Agnar rozciąga się, robi krążenia ramion, skłony, kilka podskoków, aż w końcu ustawia się tyłem do kamienia w pozycji biegacza szykującego się do startu.

– Gotowa?

Cholera, stresuję się. Wycieram każdą z dłoni o siatkową sukienkę, co wcale nie pomaga, bo nadal są wilgotne od potu, po czym zapieram się stopami o dno, tak że woda sięga mi aż do łydek. Parę oddechów. Mobilizujący wewnętrzny okrzyk „Dam radę!” i...

– Gotowa – odpowiadam.

Rozlega się komenda:

– Przyj!

„Przyj”? Zgłupiał chyba. Ale niech mu będzie. Zwał, jak zwał. Mogę i przeć. Biorę głęboki wdech, zapieram się nogami, naciskam na pal i pcham go w dół z całej mocy moich rąk, lędźwi i ud.

Agnar rusza z miejsca, lina naciąga się do maksimum, napręża się tak bardzo, aż ściąga go do

parteru. Dyszy, sapie, sunie do przodu. Jego mięśnie są napięte jak u kulturysty na zawodach Arnold Classic. Imponujący widok, ale na kamieniu nie robi żadnego wrażenia. Głaz ani drgnie.

– Mocniej – syczy Agnar przez zaciśnięte zęby, a ja nie wiem, czy to do mnie, czy tak motywuje samego siebie do działania. Na wszelki wypadek cisnę dalej ile sił w rękach, a głaz, kutas jeden, śmieje mi się w oczy. Jak stał, tak stoi. Twardy, obojętny i nieruchomy.

– Wystarczy. – Radwan pada na kolana i zwiesza głowę.

Oddycha szybko, jego skórę pokrywa warstwa potu, a mięśnie błyszczą w świetle ogniska niczym gigantyczne trufle czekoladowe pokryte płatkami złota. Nic, tylko zjeść. Ależ jestem głodna.

– Za ciężki. Nie dam rady. – Agnar ociera przedramieniem czoło, a ja mam ochotę powiedzieć: „A nie mówiłam”.

Powstrzymuję się jednak. Nie przepadam za nim, ale nie jestem sadystką. Monolit już się nad nim wystarczająco poznęcał. Norweski Goliat prawie wypruł sobie żyły, żeby ruszyć ten głaz z miejsca. Są nabrzmiące jak u Zoltana z *Pryncypium* w trakcie septyzacji. Hm, a może coś w tym jest? Agnar to Laufer, dlatego jest taki oziębły i nieczuły? No dobra, lekka przesada. Czytanie romansów fantastycznych Melissy Darwood zdecydowanie ryje banię, lecz przynajmniej pobudza wyobraźnię. Komórki mojej prawej półkuli mózgu zaczynają jazgotać jak wygłodniały pies, który pragnie zerwać się z łańcucha. W genialnym umyśle rodzi się rewelacyjny plan.

– Mam pomysł.

– Tak, już to mówiłaś. Zbudować murek z mniejszych kamieni. – Radwan wstaje i odsłania wyrzeźbiony brzuch, wycierając twarz koszulką.

– Niby Bóg obdarował cię hojnie mięśniami, ale tego najważniejszego pożałował.

– Nie teraz, Angeli. Jestem zmęczony. – Zaczyna obracać się wokół własnej osi, odplątując linę.

– Poczekaj. Daj mi chwilę. – Podpieram baryl od spodu kamieniem, żeby mi nie odpłynął, i ruszam w stronę naszych skarbów.

– Nie mam na to siły.

– Możesz mi chociaż raz zaufać?

– Już to zrobiłem. Kilkukrotnie. I zobacz, gdzie nas to doprowadziło.

– Och, zamknij się już i daj mi dwie minuty.

Agnar wydaje z siebie jęk niezadowolenia, ale kładzie się grzecznie na piachu i czeka. A ja działam. Zabieram drugą, dłuższą linę, podchodzę z nią do sosny rosnącej niemal w prostym odcinku od głazu i zawiązuję o pień. Sprawdzam węzeł i modląc się w myślach, aby sznur okazał się wystarczająco długi, ruszam w stronę Radwana.

– Trzymaj.

– Po co?

– Kiedy próbowałeś przeciągnąć głaz, brakowało ci oparcia dla rąk. Czegoś, czego mógłbyś się chwycić, żeby ruszyć do przodu. To załatwi sprawę.

Radwan ziewa, przygląda się linie, po czym zerka w stronę drzewa, a jego brwi lekko się unoszą.

– Jak się postarasz, to bywasz nawet pomysłowa... – Zawiesza głos, a ja czekam na sarkastyczne „ale”, po którym usłyszę wykład na temat wad mojego konceptu.

Jednak ani „ale”, ani wykład nie padają z ust Radwana. Zamiast nich rozlega się jedno słowo:

– Okej. – Wstaje i z determinacją w oczach odbiera ode mnie sznur. – Przetawmy ten cholerny głaz i chodźmy wreszcie spać.

Mimowolnie wykonuję radosny podskok, na co Agnar kręci głową. On naprawdę musi uważać mnie za mało dojrzałą. Trudno. Jestem, jaka jestem. Żaden pieprzony PESEL ani stetryczwały malkontent nie będą mi dyktować, jak mam się zachowywać.

Ruszam podbudowana do skały, chwytam za baryl i czekam na komendę tetryka.

A ten znów się rozciąga, robi skłony, podskoki...

– Moje pięty powoli wypuszczają korzenie – sugeruję delikatnie, żeby się pospieszył z tym stretchingiem.

– Rozgrzewam się.

– Przecież już się rozgrzewałeś.

– Niewystarczająco.  
– Palce u stóp marszczą mi się jak rodzynki.  
– I dobrze.  
– Dla kogo?  
– Dla ciebie. Będziesz miała lepszy opór. – Wymachuje ramionami w górę i w dół.  
– Co za bzdury – pryham.  
– Nie bzdury, tylko teoria ewolucji człowieka. Palce pod wpływem wilgoci wytwarzają swego rodzaju bieżnik, który pozwala im na lepszy chwyt i tarcie pod wodą.  
– Bieżnik.  
– Jak w oponach samochodowych. – Robi krążenie głową. – To potwierdzone badaniami eksperymentalnymi. Osoby z wymoczonymi dłońmi wykonywały o dwanaście procent sprawniej zadania z chwytaniem pod wodą niż te z niewymoczonymi.  
– Interesujesz się anatomią człowieka?  
– Dużo czytam. – Ustawia się tyłem do głazu i łapie za linę przywiązaną do sosny. – Gotowa? –  
Przyjmuje pozycję do startu.  
Chwytam mocniej za kij.  
– Gotowa.  
– No to przyj. – Rusza do przodu, napinając linę, która opasa jego korpus, a ja zaczynam podważać głaz. – Mocniej. – Trzyma w żelaznym uścisku sznur zakotwiczony na drzewie, daje krok, ciągnie, mięśnie przedramion się naprężają, łydki nabrzmiewają.  
Naciskam na badyl z całej siły, aż bołą mnie nadgarstki. Agnar robi kolejny krok, jeszcze jeden, następny... i nagle kamień drga z miejsca.  
– Ruszył się! Dawaj! – wołam, a wtedy Radwan wydaje z siebie niedźwiedzi ryk i z mocą sześciu koni rusza do przodu, ciągnąc za sobą monolit.  
Jest!!!  
Nie dane mi jest nacieszyć oczu dalszą drogą mocarza i skały, ponieważ kij, na który naciskałam całą sobą, traci oparcie, a ja wpadam razem z nim do morza.  
Woda zalewa mnie od stóp po czubek głowy. Wpływa do nosa, uszu, ust. Zahaczam potylicą o dno, a wtedy coś wbija mi się w kark!  
Pierwsza myśl: Zaryłam o skałę.  
Wynurzam się gwałtownie, wciągam łąpczywie powietrze i sięgam dłonią w tył, w miejsce ukłucia.  
Zamieram. Mrugam. Oczy mnie szczypią, ale to pikuś w porównaniu z bólem, który rozchodzi się po całej szyi. Macam powoli palcami kolczaste wybrzuszenie na karku i uderza we mnie fala gorąca. Ja pieprzę.  
– Jeżowiec! – Szukam panicznym wzrokiem Agnara.  
A ten stoi pochylony, głowa spuszczone, dłonie na kolanach, tyłek oparty o głaz. Wygląda, jakby miał zwymiotować.  
– Agnar!  
Podnosi wzrok. Twarz czerwona jak przy rumieniu napadowym, oczy błyszczące niczym w gorączce. No to dał czadu. Ale monolit stoi, gdzie miał stać. Mamy ekran ciepły. A ja złapałam pieprzonego pasażera na gapę.  
– Musisz mi pomóc. – Stoję z przekrzywioną głową, jakbym doznała paraliżu, co jest wielce prawdopodobne, zważywszy na to, jakie zwierzę wbiło mi się w skórę. Oby tylko nie był silnie jadowity, bo dostanę tu zapaści, zanim ktoś nas zdąży uratować.  
– Padam z nóg. – Łypie na mnie przekrwionymi oczami.  
– Proszę. – Mój głos drży, prawa strona ciała piecze jak cholera.  
– Co się takiego stało, że prosisz mnie o pomoc? – Uwalnia się z liny.  
– Wbił mi się jeżowiec.  
Unosi brwi.  
– Jesteś pewna?

– Nie. To pewnie tylko kolczasta narośl, której wcześniej nie zauważyłam. – Mam ochotę wyrwać jeżowca i cisnąć nim w tego tępego osiłka. – Oczywiście, że jestem pewna! Znam się na faunie i florze Grecji. Wiem, co to za mały, podstępny skurczybyk. O matko, jak piecze. – Wydaję z siebie syk i przygryzam wargę.

– Okej. Nie ruszaj się. Już do ciebie idę. – Agnar odwiązuje do końca sznur i zdejmuję plecak.

– Masz jakiś genialny plan na pozbycie się tej bestii? – pytam, bo przecież nie mamy na wyposażeniu żadnych rękawic.

On jednak nie odpowiada, tylko zdejmuję podkoszulek i podąża z nim w moją stronę.

Przesuwam spojrzeniem po spoconym torsie, umięśnionych ramionach, na których malują się żyły wciąż nabrzmiałe po wysiłku. No i ten jego brzuch niczym wyrzeźbiony w brązie. Agnar mógłby robić za modela współczesnej wersji fontanny Neptuna w Gdańsku. Wtedy to dopiero byłyby tam tłumy zwiedzających.

– Bardzo boli? – Podchodzi do mnie, a ja uświadamiam sobie, że dzięki jego nagiej klacie na jedną krótką chwilę zapomniałam o tym ciernistym dziadzie na karku.

Aż się wzdrygam na samą myśl o ostrych kolcach, co jedynie potęguje klucie.

– Jak cholera.

– Gdzie?

– Z tyłu. Po lewej stronie. – Odgarniam włosy.

Agnar przybliża się i wydaje z siebie przeciągłe gwizdnięcie.

– Będzie co jeść.

– Co? Aż taki wielki?

– Nie ruszaj się, bo nie widzę.

– Jak to: nie widzisz? To w końcu jaki on jest? Duży czy mały?

– Duży, ale jest ciemno. Wyciągnę go teraz, choć pewnie część kolców zostanie. Trzeba będzie się nimi zająć przy ognisku. Stój nieruchomo.

Kątem oka dostrzegam, jak owija koszulkę wokół dłoni. Moje ciało zaczyna drżeć, a ja nie wiem, czy to z zimna, bo jestem cała mokra, czy to pierwsze symptomy zatrucia organizmu: drgawki i gorączka.

– Uspokój się. Nic ci nie będzie. – Radwan najwyraźniej poza byciem bogiem mórz i oceanów jest również telepatą, bo czyta mi w myślach.

– A co, jeśli jest jadowity?

– Sama mówiłaś, że się na nich znasz. Słyszałaś kiedyś, żeby ktoś umarł od ukłucia greckiego jeżowca?

– Nie. W większości nie są jadowite.

– No właśnie – odpowiada i w tym samym momencie czuję, jakby ktoś wyciągnął ze mnie sto igieł.

– Ja pieprzę – syczę, a Agnar pokazuje mi jasnokasztanowego jeżowca spoczywającego na jego dłoni owiniętej koszulką. Od razu rozpoznaję, że to rodzaj żeński. Nie jest czarna i ma stosunkowo małe kolce. – Sporawa.

– Mówiłem, że będzie co jeść.

– Skąd wiedziałaś, że jest jadalna?

– Nieraz łowiłem i jadłem w Norwegii jeżowce. Są większe od tych greckich, różowe, pomarańczowe, ciemnoczerwone albo zielone, mają krótsze i delikatniejsze igły. Kawior z najwyższej półki.

No proszę. Znam kilku Greków, dla których gonady tych kolczastych franc to przysmak. Ale Skandynaw? W zasadzie nie powinnam się dziwić. W niektórych europejskich restauracjach kawior jeżowców jest serwowany z szampanem za grubych hajs i uznawany za prawdziwy afrodyzjak. Uwielbiam grecką kuchnię, z owoców morza najbardziej cenię ryby i świeże krewetki. Reszta – ośmiornice, homary, małże, kalmary – niezbyt mi podchodzą. Nie jestem aż tak głodna, żeby jeść dzisiaj jeżowca. Poza tym ile kawioru może być w niespełna trzydziestocentymetrowej kulce. Niech sobie Agnar smakuje tego rarytasu. Może i zyska trochę białka, witamin i minerałów, choć kilokalorii nie więcej niż z jednej marchewki. Obejdę się. Jutro na pewno ktoś po nas przyleci. Wytrzymam nieznaczne ssanie w żołądku,

a rano najwyżej poszukam jakichś owoców. Niekoniecznie morza.

– Ja nie mam ochoty. Sam go sobie zjedz, ale wpieryj ze mnie te piekielne igły. Piecze jak diabli.

– Chodź do ognia. – Rusza w stronę plaży.

– Dużo kolców zostało? – Trzymam cały czas włosy w górze i podążam za nim.

– Kilka, są ułamane.

Idę obolała, modląc się w duchu, żeby nie wdało się żadne zakażenie.

– Dobrze, że mamy środek odkażający. – Agnar znów czyta w moich myślach i sięga po płyn.

– Bardziej przydałaby się oliwa.

– Kawior z jeżowca z oliwą. Pycha. – Siada z westchnieniem w rozkroku na piachu.

A ten tylko o żarciu.

– Mówię o mojej szyi. – Rzucam mu karcące spojrzenie. – To sprawdzony patent babci Mirony.

Na pozostałości kolców, których nie dało się wyciągnąć, stosowała okład właśnie z oliwy. Pamiętam, jak zrobiła go mojej ciotce, dzięki czemu igły rozmiękły i zostały wydalone na wacik po kilkunastu godzinach. Niektórzy Grecy stosują też opatrunek z pomidora. Ważne, żeby nie babrać w skórze pincetą, bo może wdać się zakażenie.

– Nie będzie tak źle. Chodź tu. – Klepie miejsce pomiędzy swoimi rozszerzonymi udami, trzymając w ręce scyzoryk.

Patrzę na jego umięśnione nogi, po czym przenoszę wzrok na ostrze. Ani jedno, ani drugie mi się nie podoba.

– Nie będę siadać przy twoim kroczu, a ty nie będziesz grzebał mi tym czymś w skórze.

– To wygodna pozycja, a to coś jest do podtrzymania kolca. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie mam rąk chirurga i nie zamierzam cię tu operować. Chociaż coraz częściej nachodzi mnie ochota, żeby odciąć ci język.

Fujarkę se odetnij – mam ochotę odwarknąć, jednak się powstrzymuję. Nierozsądnie byłoby wchodzić teraz z Agnarem na wojenną ścieżkę. Jest mi potrzebny.

Bądź miła, bądź miła, bądź miła.

– To fakt, twoje dłonie przypominają raczej łapska King Konga. – Cholera, mam niewyparzony jęzor.

– Czyli sama chcesz sobie wyciągnąć kolce? – Unosi brwi.

Ech.

– Dobra. Ale masz być delikatny. – Podchodzę do niego i sadowię się pomiędzy jego nogami.

– Będę na tyle, na ile pozwolą mi moje goryle łapska. Pokaż to.

Robię, co każe, i przekrzywiam głowę na bok. Agnar nachyla twarz nad moim karkiem. Jest teraz tak blisko, że czuję na skórze jego ciepły oddech.

Przeszywa mnie dreszcz.

– Zaczynam – mówi tuż przy moim uchu, a po plecach przebiegają mi takie ciarki, aż cała się wzdrygam. – Jeszcze cię nawet nie dotknąłem. Siedź nieruchomo.

– Przecież siedzę. – Próbuję brzmieć swobodnie, ale mój głos jest dziwnie podniesiony.

– Cicho. Nie ruszaj się. – Zimne ostrze dotyka mojej szyi, po chwili dołączają do niego ciepłe palce, następuje ukłucie... – Mam. Jeden z głowy. – Wyciąga tuż przede mną dłoń, w której trzyma ciemny kolec. W zetknięciu z jego dwoma wielkimi paluchami przypomina krótkie, sztywne włosie dzika.

– Trzeba go zakopać, żeby w niego nie wleźć. – Robię dołek w piasku między nogami. – Wrzucaj.

Agnar się nachyla, by umieścić kolec w dziurze, a jego nagi tors przywiera do moich pleców osłoniętych wyłącznie mokrą sukienką. Zarost ociera się o mój policzek. Zalewa mnie fala gorąca. Kolejny pieprzony dreszcz!

– Zimno ci? – Zerka na mnie z ukosa.

– To chyba normalne, kiedy siedzi się w mokrych ubraniach.

– Nazywanie bikini i siatki na motyle ubraniami jest niedopowiedzeniem. – Wyrzuca kolec, powraca do swojej poprzedniej pozycji, a ja żałuję, że zrobił to tak szybko. Jego szeroka klata przez tę



krótką chwilę robiła za termofor. A teraz znów czuję chłód. Brrr...

Kolejne kilkanaście minut Agnar zajmuje się wyjmowaniem kolców z mojej szyi. Naliczyłam ich w sumie sześć.

– Ostatni siedzi za głęboko. – Ślęczy nade mną tak długo, aż zdrętwiały mi nogi i rozboleł kręgosłup. Raz po raz podszczypuje mnie krótkimi paznokciami i zahacza o skórę ostrzem scyzoryka.

– Długo jeszcze?

– Nie mogę go chwycić. Muszę naciąć skórę.

– Nie ma mowy. Może wdać się zakażenie.

Czuję, jak opadam z sił. Jestem wykończona. Najchętniej oparłabym się o tors Agnara, żeby się ogrzać i dać odpocząć plecom. Pod warunkiem, że siedziałby nieruchomo, w milczeniu, a po wszystkim zerknąłby na magiczny gadżet z *Facetów w czerni* i za sprawą oślepiającego błysku zapomniał o tym, że leżałam na jego kłacie.

– No to go wyszę. Inaczej nie wyjdzie – odzywa się Agnar.

Co?!

– Nie pozwalam! – Odwracam się gwałtownie i tuż przed twarzą śmiga mi błysk ostrza.

– Kurwa. – Agnar odchyła się jak fotel w aucie po naciśnięciu dźwigni. Jego mięśnie brzucha się napinają. Wisi nad piaskiem ze scyzorykiem w dłoni i zabija mnie wzrokiem. – Chcesz stracić oko? – Wraca do pozycji siedzącej.

– Nie. – Serce mi wali. Mało brakowało. Kolec w szyi jakoś można przeżyć, ale nóż w oku? To się dopiero nazywa pamiątka z bezludnej wyspy. Ahoj, zostałam piratką z klapką! – To był odruch. Nie pomyślałam.

– Często ci się to zdarza.

Pacan.

– Tylko przy tobie. Widocznie kto z kim przestaje, takim się staje.

Mruży te swoje niebieskie oczyska, jakby chciał nimi wypalić mi dziurę w czole.

– Wystarczy na dzisiaj. – Wstaje, a ja od razu żałuję wypowiedzianych do niego słów.

– Chyba mnie z tym nie zostawisz?

Nie odpowiada. Podchodzi do koszulki, na której leży jeżowiec, i przenosi go ostrożnie na kawałek kory.

– Obraziłeś się na mnie?

– Nie wszystko się kręci wokół ciebie – odburkuje, kuca i wbija w szkarłupnia ostrze scyzoryka.

Oho, ktoś tu ma niezłego wkurwa.

– To o co chodzi?

– Jestem wilczo głodny. – Zaczyna rozcinać twardą powłokę, a dźwięk ten przywodzi na myśl krojenie świeżego chleba z chrupiącą skórką.

Mój żołądek najwyraźniej skojarzył apetyczne brzmienie, bo momentalnie zasysa wnętrzności i wydaje z siebie złowieszcze burczenie. Spokojnie, brzuszku, nie daj się zwieść. Zapewniam cię, że to nie jest wiejskie pieczywko.

Obserwuję, jak Agnar rozpoławia jeżowca, po czym zanurza nóż we wnętrzu, nabija na ostrze pomarańczową gonadę i wkłada ją do ust. Przeżuwa, przymykając oczy, a z jego gardła wydobywa się tak zmysłowy pomruk, jaki chciałyby usłyszeć od mężczyzny każda niewiasta podczas zbliżenia intymnego.

– Aż tak dobre? – pytam, bo nie mogę uwierzyć w ten zachwyty na jego twarzy.

– Morze w gębie.

– Fuj. Mogłeś to chociaż opłukać.

– Czym? Wypiłaś całą wodę.

I znowu to samo.

– Nie całą. Nie wzbudzaj we mnie poczucia winy. Oddałam ci w zamian swoją kanapkę.

– A ja w zamian częstuję cię kawiozem. Na pewno nie chcesz? – Nabija kolejną porcję.

– Na pewno.

– Żałuj. Maślana konsystencja, słodkawy posmak, lekko jajeczny. – Wkłada żółtawą ikrę do ust.

Robi to, skubany, tak apetycznie, aż mam ochotę skosztować. Choć przecież doskonale wiem, jak smakuje jeżowiec.

– Dobra. Daj odrobinę. – Zamierzam wstać, ale on już podąża w moim kierunku i siada obok.

– Nabić czy sama chcesz to zrobić?

– Sama.

– No tak. Mogłem się domyślić. – Wyciąga w moją stronę korę, na której leży jeżowiec, i podaje mi nożyk.

Usiłuję nadziać najmniejszą gonadę na sam czubeczek, ale cholera ślizga się w gównianym szlamie. W końcu po kilku próbach się udaje. Wkładam ją do ust i rozgryzam. Za dużo tego nie ma. Smakuje trochę jak kawior, trochę jak pasta warzywna polana wodą morską. I tyle w temacie.

– I jak?

– Z cytryną i czosnkiem byłoby znacznie lepsze.

Agnar patrzy mi w oczy. Nic nie mówi.

– No co?

– Nic. Pomyślałem dokładnie o tym samym.

– Ledwo nabiłam ikrę na ostrze.

– To jesz? Czy może ci pomóc? – Zerka na scyzoryk.

– Pasuję. – Oddaję mu nóż.

Odbiera go ode mnie z dziwnym wyrazem twarzy, po czym nabija sprawnie gonadę, unosi ją z niepewnym wzrokiem i podsuwa mi pod usta.

Robię wielkie oczy.

– Co ty robisz?

– Chciałaś, żeby ci pomóc.

– Niby w czym?

– W nabiciu ikry. – Zerka na kawior, który dynda na końcu ostrza.

– Nie jestem niepełnosprawna, by mnie karmić. Kiedy cię niby o to prosiłam?

Marszczy czoło. Jest zbity z tropu.

– Zapytałem, czy ci pomóc, a ty odparłaś, że ci to pasuje.

Boże, co za młot.

– Że pasuję. „E” na końcu. Wiesz, jak w grach karcianych. Pas, czyli rezygnacja. Ja pasuję, ty pasujesz, ona pasuje, on pasu...

– Rozumiem – przerywa mi. – Nie jestem głupi.

– Może odrobinę?

– Może jedynie przy tobie? Kto z kim przestaje, takim się staje. – Wkłada kawior do ust.

No to mi dosrał kradzioną ripostą. Złodziej jeden. Ale niech mu będzie. Nie jest aż taki głupi. Poza tym już nie mam dzisiaj siły z nim walczyć. Pora zakopać (tymczasowo!) topór wojenny. Jestem wyczerpana. Wszystko mnie boli. Piecze mnie cała szyja. Chcę już zakończyć ten koszmarny dzień, pójść spać i obudzić się jutro przy dźwięku helikoptera ratowniczego krążącego nad tą piekielną wyspą. Pozostaje tylko jeszcze jedna sprawa do zakończenia.

– Mam do ciebie prośbę niezwiązaną z jedzeniem – odzywam się po dłuższym milczeniu.

Agnar podnosi na mnie zaskoczony wzrok w chwili, kiedy ma włożyć kolejną ikrę do ust, a wtedy ta upada na piach.

– I tak nie ma już czego jeść. – Odkłada z rezygnacją korę z jeżowcem i ze scyzorykiem, po czym spogląda z powrotem na mnie. – O co zamierzasz prosić?

– Wiesz o co.

– Nie mam pojęcia. – Patrzy na mnie z satysfakcją mówiącą „no prosz, prosz”.

Zaciskam zęby.

– Czy możesz wyjąć ostatni kolec?

– Mogę. – Wpatruje się we mnie. Czeka. A ja wiem dokładnie na co.

Parszywiec. A niech go w nocy pokasają pchły piaskowe. Najlepiej w jaja. Niech mu spuchną jak melony i swędzą wściekle. Niewyobrażalnie i nie do zniesienia.

– Proszę.

Wykrzywia usta, kiwa głową jak pieprzony ojciec chrzestny. Znów czeka.

Nikczemnik.

– Bardzo. Proszę – dodaję przez zaciśnięte zęby.

Padalec drapie się w policzek, czemu towarzyszy charakterystyczny dźwięk tarcia o zarost. Jeśli się spodziewa, że będę go błagać, to się ze swoimi niedoszłymi spuchniętymi jajami na łby pozamieniał.

Patrzę mu twardo w oczy, on w moje. Nie mrugam, on też. Akurat w tę grę jestem dobra. Zawsze zwyciężałam z siostrą, ale to było jakieś dwadzieścia lat temu, kiedy Hania była mała. To mi uświadamia, że dopiero co Agnar zarzucał mi niedojrzałość, tymczasem sam zachowuje się jak małolat. A może w każdym z nas, dorosłych, jest jakaś część dziecka, którą skrywamy pod maską dorosłości? Albo zwyczajnie się jej wstydzimy bądź wmówiono nam, że w pewnym wieku już nie wypada zachowywać się w ten sposób. Trzeba być dojrzałym, poważnym i odpowiedzialnym. Cztery z przodu zobowiązuje. I choć jestem daleka od tego, by rezygnować z dziecka, które czasami się we mnie odzywa, stawiam tym razem na dorosłość. Nie mam ochoty na zabawę z tym gówniarzem.

– Zrobisz to czy będziesz mnie tak zwodził, dopóki nie klęknę przed tobą na kolana i nie zacznę błagać? – pytam całkiem serio.

Agnar unosi brwi.

– „Na kolana”, mówisz?

Wywracam oczami, na co on rozszerza nogi.

– Wystarczy na siedząco. – Klepie w piach między swoimi udami.

Żenujące. Z sapnięciem przesuwam się bliżej i usadawiam tyłem do Radwana w tej samej pozycji co ostatnio.

– Włosy – nakazuje.

– Jak zamierzasz to zrobić? – Odślaniam kark i przechylam głowę.

– Tak jak w przypadku drzazgi.

– To znaczy?

– Nigdy nie weszła ci drzazga? – Obejmuje palcami fałd na szyi i nim zdążę odpowiedzieć, mój kark owiewa gorący oddech.

Cała się napinam, serce przyspiesza rytm, czuję, jak usta Agnara przywierają do miejsca ukłucia i zasysają skórę. Przeszywa mnie piekące rwanie. Wydaję z siebie syknięcie. Lecz on się nie cofa, zamiast tego przyciska wargi, pociąga nimi za skórę i... O Boże, czy to jego język? I co on robi zębami? Ponowne ukłucie. Po moim karku przepływa dreszcz, przemieszcza się przez dekolt, piersi i wnika aż do brzucha. Ból miesza się z dziwnym uczuciem ekscytacji. Serce bije coraz mocniej, oddech przyspiesza. Przez ułamek sekundy nachodzi mnie myśl, że może jednak jeżowiec był jadowity i to są skutki zatrucia toksynami. A wtedy moja głowa przekrzywia się mimowolnie na bok, a szyja wyciąga, jakby pragnęła więcej lizania, kłapania, ssania. Mocniej, intensywniej, dotkliwiej. Radwan wydaje z siebie gardłowy pomruk, pociąga skórę ustami, a następnie przygryza tak dogłębnie, aż drętwieje mi prawa strona ciała. Nie wzdygam się, nie wycofuję, nie uciekam. Wręcz przeciwnie, instynktownie nadstawiam szyję jak pieprzona masochistka. Przymykam powieki, wzdycham. Nie chcę, żeby przestawał! Ja pierdzielę, już wiem, skąd u niektórych kobiet fascynacja wampirami. To jest, kurwa, podniecające. Twardnieją mi sutki! Czuję mrowienie w dole brzucha...

I nagle Agnar się odsuwa.

Chłód owiewa moją szyję. Jest wilgotna, piecze, tętni wspomnieniem gorących ust. Twarz mi płonie, serce wali ogłuszająco. Jasny gwint, co to było?

Radwan stuka mnie w ramię.

Odwracam się w stronę faceta, który zrobił mi najlepszą ratunkową malinkę w moim życiu, i od razu napotykam jego rozchylone usta. Na czubku języka spoczywa malutki, ciemny kolec.

Jest! Udało mu się!

Mam ochotę go uściskać. To znaczy Agnara, nie kolec.

Podnoszę wzrok na wpatrujące się we mnie niebieskie oczy.

– Wyciągnąłeś go. Dziękuję. – Moja ręka odruchowo wędruje w stronę igielki, ale w ostatnim

momencie zawieszam ją w powietrzu.

No chyba mnie słońce dzisiaj za mocno przygrzało. Co ja wyrabiam? Już mam ją cofnąć, kiedy Agnar chwytą mnie za nadgarstek i przyciąga moją dłoń tak blisko swoich warg, aż czuję na knykciach jego oddech.

Rozszerzam oczy.

– Mam ją zabrać? – pytam z niedowierzaniem.

Przymyka powieki w niemym potwierdzeniu. Domyślam się, że obawia się ściągać miniaturowy kolec tymi wielkimi paluchami, żeby go przypadkiem nie połknąć. Zwłaszcza że trudno jest pozbyć się takiego maleństwa ze śliskiego języka, kiedy ma się krótkie paznokcie. Moje nadają się do tego doskonale. Nie za długie, w sam raz.

– Nie brzydzisz się? To są paznokcie kobiety, która uwięziła cię na dzisiejszą noc na wyspie, bez jedzenia, picia i ciepłego posłania. – Poruszam z drwiącą miną palcami tuż przed jego oczami.

Agnar zaciska dłoń mocniej na nadgarstku i rzuca mi ponaglące spojrzenie, mówiące „nie drocz się, babo, tylko zabieraj to coś z mojego języka”.

– Dobra, już dobra. – Wyswobadzam rękę, przekręcam się i klękam naprzeciwko niego.

Moja twarz znajduje się teraz na wprost jego.

– Nie ruszaj się – ostrzegam i z precyzją robota chirurgicznego da Vinci przybliżam palec wskazujący do języka, po czym przesuwam po nim opuszką i chwytam paznokciami kolec. Zero wahania, żadnego drżenia, tylko to moje głupie serce, nie wiedzieć czemu, telepie się, jakby miało atak padaczki. Spokojnie, to stres. To był naprawdę chujowy dzień, ale już się skończył. Wszystko jest dobrze.

Wyciągam ostrożnie igielkę i kiedy unoszę ją triumfalnie przed twarzą Agnara, dostrzegam, że jego źrenice są tak czarne i wielkie, jakby naćpał się amfy. Wbijają we mnie wzrok, jego nozdrza są rozszerzone, usta nadal rozchylone. Przypomina dzikiego wilka, który lada moment rzuci się na swoją ofiarę. Co prawda wspominał, że jest wilczo głodny, lecz chyba nie aż tak, żeby posunąć się do kanibalizmu.

A kto go tam wie. Nie znam człowieka. Nic o nim nie wiem. Lepiej trzymać się z daleka, jeśli jest taka możliwość. Pomógł mi uporać się z jeżowcem, jestem mu wdzięczna, jednak ostrożności nigdy za wiele.

– I do dołka. – Wstaję, robię duży krok w tył, nie spuszczać oczu z Agnara, wygrzebuje stopą zagłębienie w piachu, po czym szybkim ruchem umieszczam tam kolec i przysypuję.

Cały czas mam wilka na radarze. Ale ten najwyraźniej już stracił apetyt, bo wykopuje obok siebie większy dołek, wrzuca do niego pozostałości po kawiorowej uczcie, następnie strzepuje do niego koszulkę, wstaje, ubiera się i zasypuje dziurę.

I tak rozpoczyna się nasza cisza nocna.

Radwan od razu kładzie się spać, a ja w milczeniu zdejmuję mokrą sukienkę, wkładam lekko wilgotną bluzę i wyciągam spod niej górę od kostiumu. Rozwieszam je na mojej prowizorycznej suszarce z patyków, po czym układam się skulona na boku między ogniem a nagrzanym głazem, tak że głowy moja i Agnara niemal się stykają.

Cholerka, miał rację z tym ekranem cieplnym. Jakbym leżała przy letnim grzejniku. Tylko w nogi zimno.

Nie widzę twarzy Radwana, ale gdy zamykam oczy, ta zjawia się przede mną jak żywa. Nie muszę nawet się wysilać, by dostrzec każdy detal – kształt nieco skośnych niebieskich oczu, prostego nosa, ostro zarysowanych kości policzkowych, linii kwadratowej żuchwy, szatynowego zarostu ze srebrnymi nitkami, zmierzwionych włosów z siwymi pasmami na skroniach... Słyszę i czuję całą sobą jego oddech. Jest równy, spokojny, głęboki. Sprawia, że otula mnie błogość i niepojęta senność. Robi mi się ciepło. Muszę być naprawdę nieziemsko padnięta, bo nie wiem nawet, kiedy zasypiam.



Nie życz bliźniemu źle, bo dopadnie cię to samo, ale ze zdwojoną siłą. I z taką oto myślą budzę się rano cała pogryziona. Z tym wyjątkiem, że nie przez pchły piaskowe, lecz przez cholerne komary. Mało tego, jestem zziębnięta, głodna, spragniona, obolała od spania na ziemi i nadal piecze mnie kark po wbiciu się jeżowca. Full pakiet. Nic, tylko się zająbać. Plus taki, że pogoda dopisuje. Słońce jest już wysoko na niebie. Dzisiaj znowu będzie ciepło. Wygrzeję się, jednak najpierw koniecznie muszę znaleźć coś do picia.

Najwyraźniej mój towarzysz (wspomniany wcześniej „bliźni”) jest w dużo lepszej formie, bo pływa sobie w najlepsze. Chociaż ten jego styl wydaje mi się jakiś dziwaczny. Raz nurkuje, następnie się wynurza, brodzi w wodzie po pas, po czym znów daje nura. I zaraz, zaraz. Czy on trzyma moją sukienkę?!

– To nie twój rozmiar! – wołam, a wtedy zerka na mnie i przykłada sobie palec do ust w uciszającym geście.

Twarz ma całą wysmarowaną ciemną mazią, podobnie jak ramiona i pierś.

Co on tam, u licha, robi?

Zerkam na telefon, żeby sprawdzić zasięg: zero kresiek. Co więcej, pozostało mi trzydzieści trzy procent baterii. Wstaję ociężale z piachu. Moje ciało jest obolałe, jakbym przerzuciła wczoraj tonę węgla. Przeciagam się z głośnym ziewnięciem, na co Agnar rzuca mi karcące spojrzenie i znów upomina mnie wielkim paluchem.

Jezu, co on taki wrażliwy? Przecież jestem cicho. Podążam w jego stronę i już mam zanurzyć stopy, kiedy on ze spuszczoną głową wyciąga dłoń w moim kierunku jak pieprzony policjant na skrzyżowaniu nakazujący bezwarunkowe zatrzymanie.

Jeśli myśli, że może mi tak dyrygować, to się grubo myli.

– Możesz już przestać bawić się w pantomimę i powiedzieć mi, co robisz z moją sukienką? – Wchodzę do morza.

– Stój – wymawia cicho, zanurzając kieckę.

Przyglądam się, jak wachluje nią pod wodą, i zachciewa mi się siku. Uświadamiam sobie, że ostatnio załatwiałam się wczoraj w południe. Mam nadzieję, że to nie są pierwsze objawy odwodnienia. Na samą myśl o mineralnej drętwieje mi język, który zmienił się w sezonowaną deskę. Boże, ależ mnie suszy.

– Muszę się napić. Idziesz ze mną szukać wody czy bawisz się dalej? – Drapię się po kolanie, na którym pojawił się już wielki bąbel od ugryzienia komara.

Agnar nie odpowiada.

– Ej, mówię do ciebie. – Chlapię na niego, na co on zamiera, obraca się w moją stronę i wystrzeliwuje lasery z tych swoich jaskrawoniebieskich tęczówek.

– Angeli – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– No co? Chce mi się pić.

– A jeść nie?

– Też, choć wytrzymam.

– A ja nie.

– Woda jest ważniejsza. Sam mówiłeś. Wielka trójka, te sprawy.

– Wodę już mamy.

– Mamy? To wspaniale! – Podryguję z radością.

– Byłoby też jedzenie bogate w białko, ale ty oczywiście musiałaś wszystko zepsuć.

I się zaczyna.

– Co zepsuć? Przecież dopiero wstałam.

– I już zdążyłaś spłoszyć rybę. Masz talent.

– Rybę?

Patrzę, jak wyjmuję z morza moją sukienkę, i dopiero teraz dociera do mnie, do czego ją wykorzystywał.

– Łowiłeś.

– Bystrzacha z ciebie. – Rusza w stronę plaży, a ja czuję się jak debilka. Jak mogłam się nie domyślić? Gdyby nie moje gapiostwo, zjedlibyśmy pożywne śniadanie. A może faktycznie zaczynam się odwadniać i mam już pierwsze objawy: utratę spostrzegawczości, brak racjonalnego myślenia...

– Niedługo pewnie po nas przylecą. Wytrzymamy bez jedzenia do tego czasu – zapewniam.

– A jeśli dzisiaj nie przylecą?

Fatalista.

– Przylecą. A ja zaraz znajdę nam coś pożywnego – przekonuję.

– Wątpię. Dotarłem do połowy wyspy. Nie ma tu żadnych zwierząt prócz ptaków.

– Może nie zauważyłeś. Skoro jest źródło wody, nieopodal muszą żyć jakieś stworzenia. –

Podążam za nim.

– Nie ma źródła. Woda jest z kałuży. – Podchodzi do ogniska i rozwiesza moją sukienkę na kijkach tuż obok mojego stanika i swojej koszulki, na której widnieje brązowa plama.

– Skąd?

– Z niewielkiego bajora. – Wskazuje butelkę po mineralnej, która stoi wypełniona do połowy cieczą o rdzawym zabarwieniu. Na sam widok aż się wzdrygam.

– Piłeś to coś?

– Tak. Połowę zostawiłem dla ciebie.

O, jaki szczodry.

– Tak jak myślałam. Nie grzeszysz jednak inteligencją.

– Słucham?

– Najwyraźniej chcesz dostać sraczki stulecia. Pomijam, że to coś, co nazywasz wodą, to syf z gilem. Najgorsze jest to, czego nie widzisz gołym okiem, te wszystkie bakterie, wirusy, pierwotniaki. – Aż mną zaczyna telepać. – Na bank jakieś zwierzęta mieszkają na tej wyspie i załatwiały się w twoim bajorku. A ty wypięłeś sobie ich odchody i najwyraźniej też wytarzałeś się w nich jak dzika świnia, bo masz umorusane plecy, twarz, ramiona i klatkę piersiową.

– W przeciwieństwie do ciebie uniknę poparzenia.

– Co?

– Błoto sprawia, że promienie ultrafioletowe nie wnikają w skórę. Rozumiem, że ty masz ze sobą krem z filtrem i greckie słońce ci niestraszne.

Och, o tym akurat nie pomyślałam. Wczoraj rano posmarowałam się w hotelu, bo mieliśmy spędzić większość czasu na łódce. Cóż. Równie dobrze mogę przebywać w cieniu. Poza tym jest październik, słońce nie operuje już tak mocno.

– Mam ciemną karnację. Nic mi nie będzie.

– Jak uważasz. Chcesz pić?

Zerkam na butelkę z rdzawą cieczą i mdli mnie na jej widok.

– Za żadne skarby nie wezmę tej gnojówki do ust.

– Więcej dla mnie. – Sięga po swój T-shirt, po czym naciąga go na znaną wczoraj misę i obwiązuje całość sznurkiem.

Przyglądam się z zaciekawieniem, jak bierze ostrożnie butelkę, na której dnie znajduje się mętny osad, odkręca ją i zaczyna łać wodę na materiał. Pojedyncze krople uderzają o metaliczne dno naczynia, a ja odruchowo zwilżam spierzchnięte usta językiem. Boże, ależ chce mi się pić. Kiedy jednak dostrzegam osadzające się na koszulce pojedyncze igły i brunatne farfocle przypominające rozmiękczone zajęczy kał, pragnienie mija w try miga. Na razie wolę wydalać z siebie wodę, niż ją

spożywać w takiej postaci. Zwłaszcza że ta wygląda jak mocz. No właśnie. Muszę siku.

– Idę za potrzebą. Przy okazji poszukam czegoś do jedzenia. – Zabieram stanik z prowizorycznej suszarki, bo w moim wieku podtrzymywanie piersi to konieczność, jeśli nie chce się mieć obwisłego biustu.

– Powodzenia – odpowiada takim tonem, jakby mówił: „Prędeż mi bananowiec na ręce wyrośnie, niż ty coś znajdziesz”.

No to jeszcze zobaczmy.

Wchodzę w nadmorski piniowy las i zmierzam ku krzakom oleandrów, których opadłe różowe kwiaty zwiastują nadchodzącą jesień. Skrywam się za chaszczami, wkładam górę od kostiumu, po czym zarzucam na siebie bluzę, a następnie zsuwam majtki. Kucam, zaczynam sikać i zamieram ze wzrokiem wbitym w suchą, glinianą ziemię. Ja pieprzę, sikam ciemną whisky. W jednej tyciej sekundzie przychodzi mi na myśl, że może warto spożytkować ten drogocenny napój. W końcu nazwa „whisky”, czyli z gaelickiego *uisge beatha*, oznacza „wodę życia” i... O Boże, ja naprawdę zaczynam mieć kłopoty z głową. To żadna pieprzona woda życia, tylko mocz, którego ciemna barwa nie świadczy wcale o tym, że organizm zaczął produkować wysokojakościowy trunek alkoholowy, lecz o tym, że mam pierwsze objawy odwodnienia! Chociaż... Gdzieś kiedyś słyszałam, że europejscy turyści, którzy zabłądzili na afrykańskiej pustyni, przeżyli dzięki temu, że pili swój mocz. Komentarze znawców tematu były różne. Od pochwał za poradzenie sobie w ekstremalnej sytuacji po wytykanie głupoty podróżników – uryna obciąża bowiem nerki, które i tak już mają przesrane z powodu odwodnienia. Na survivalu znam się tyle, ile na samochodach. Wiem, że trzeba tankować, żeby jeździć, i nie wlewać do baku paliwa pochodzącego z niepewnych źródeł. Lubię siebie, nie uważam swojego ciała za niepewne źródło, ale zdecydowanie nie jest ono studnią głębinową ani górskim strumykiem, więc mówię stanowcze „nie” dla picia własnego moczu. Nie podejmę takiego ryzyka. Przecież nie umieram z pragnienia.

Podciągam majtki i rozglądam się po lesie. Myśl, Kora, myśl. Co tu możesz zjeść? Skąd wziąć wodę? Nie jestem wegetarianką, ale zdecydowanie nie zamierzam polować i zabijać żadnych zwierząt. Jeden dzień głodówki z ewentualnym wspomaganie dietą wegetariańską dobrze mi robi. Poza tym rośliny zawierają w sobie wodę. Wilk syty i owca cała. Szukam wzrokiem jakiegokolwiek zieleniny, która nadałaby się do spożycia, lecz wokół tylko sosny, oleandry, wysuszona gleba i igliwie. Nie jestem wiewiórką, więc szyszek nie będę jeść. Życie mi miłe, dlatego liście oleandrów też sobie daruję, bo są trujące. Staram się odtworzyć w pamięci, czy w drodze na wzgórze widziałam jakieś jadalne rośliny, i nagle mnie olśniewa. Horta!

Ruszam szybko w stronę wzniesienia. Doskonale kojarzę, że u jego zbocza rosła tak ubóstwiana przez moją babkę dzika zielenina. Wielu Greków ma hopla na punkcie chwastów, które stanowią ważny element diety śródziemnomorskiej. Już mityczny heros Tezeusz opychał się nimi przed walką z bykiem. Współcześni Grecy, którzy mieszkają w miastach, kupują hortę na targu w cenie przekraczającej wartość dobrego mięsa. U babci stanowiła ona zawsze dodatek do dań i zup. Z tego, co pamiętam, jest ponad tysiąc gatunków hort, lecz Grecy znają zaledwie kilkanaście z nich. To trochę tak jak u nas z grzybami i ziołami. Jest ich od groma, ale kojarzysz tylko te najbardziej znane.

Gdy docieram do zbocza, zauważam liście dzikiego szczawiu, marchwi i mniszka lekarskiego. Są już odrobinę przerośnięte, bo najlepiej zbierać je wiosną, ale trochę je podgotuję wraz z korzeniami w wodzie morskiej i będzie wyżera. A i na surowo, po umyciu, też się skuszę. Będą gorzkawe, jednak to zawsze jakieś źródło wody.

Wsadzam sobie komórkę w gacie, ściągam bluzę i związuję razem rękawy, robiąc prowizoryczny kosz. Rozpaczam zbiory. Słońce osiąga zenit i grzeje coraz mocniej. W pobliżu wyłącznie skały, kosodrzewina i zero cienia. Jest mi gorąco, mam spierzchnięte wargi, chce mi się diabelnie pić. Zaczynam żuć liście horty, żeby odrobinę pobudzić ślinianki i nie czuć aż takiej suchości w gardle i ustach. I to działa. Mam wrażenie, że z każdym zjedzonym kęsem dzikiej zieleniny mam coraz więcej siły, choć to słońce mnie wykańcza. Zerkam na bluzę, jest prawie pełna. Jeszcze tylko kilka pęczków i...

– Mee... – rozlega się tuż nade mną, a moje serce podskakuje jak rażone prądem.

Podnoszę wzrok i napotykam złote oczy z podłużnymi czarnymi źrenicami. Wpatrują się we mnie z zaciekawieniem. Ogarniam spojrzeniem jasnobrażowy pysk, wzdłuż którego biegną ciemne pręgi.

Zwierzę ma długie, zawinięte rogi, szczupłe nogi zakończone kopytami i krótką sierść.

Moje tętno powoli się uspokaja. Stoi przede mną cud natury.

– Kri-kri. Aleś mnie wystraszyła – odzywam się łagodnym głosem. – Co tu robisz, maleńka? – Sięgam do bluzy i podaję dzikiej kozie garść liści.

Patrzy na mnie przenikliwie, ale nie podchodzi. W życiu spotkałam tylko raz agrimi10 i do tej chwili sądziłam, że występują jedynie na Krecie oraz na kilku pobliskich wysepkach. Ta, którą widziałam w wąwozie Samaria, była nieco mniejsza i chyba oswojona przez turystów, bo bez skrępowania podchodziła, kiedy wyciągało się w jej stronę jedzenie.

Może ten kozioł widzi człowieka pierwszy raz w życiu i czuje się onieśmielony? Robię kolejny krok ku niemu. Tuż za nim dostrzegam mniejszego osobnika i trzy maleńkie kózki. Gdy tylko mnie zauważają, odbijają w bok i uciekają, stukając raciczkami. Słodziaki.

– Poczekajcie! – Wyjmuję szybko telefon, żeby sfilmować umykające przede mną maluchy. Odblokowuję aparat, unoszę, a wtedy kamera wyłapuje wielkie, zawinięte rogi skierowane w moim kierunku.

Zerkam poza ekran. Moje serce wykonuje salto. Nie trzeba być behawiorystą dzikich zwierząt, by dostrzec, że kozioł się na mnie wkurwił.

– Nic im nie zrobię. Spokojnie. – Zaczynam cofać się pomału, co stanowi nie lada sztukę, zważywszy na to, że jestem w sandałkach, pod stopami mam skaliste podłoże, w jednej ręce trzymam komórkę, a w drugiej bluzę wypchaną zielskiem. – Wyglądasz na opiekuńczego ojca. Rozumiem, bronisz rodziny. Już sobie idę. – Schodzę ostrożnie tyłem, a ten rogacz idzie wprost na mnie.

Niedobrze, bardzo niedobrze. Coś z nim jest nie tak. Przecież dzikie kozy to łagodne, nieśmiałe zwierzęta, które powinny uciekać przed człowiekiem. Łatwo się udomawiają i są inteligentne. Skoro ten oto osobnik nie czmycha przede mną, to powinien być nastawiony przyjaźnie, tymczasem on pochyła łeb, ugina kolana i...

O Boże. Rusza na mnie!

W nogi!

Odwracam się i zaczynam biec. Stopy ześlizgują się z kamieni, bluzka majda na boki, ziele sypie się jak na procesji, tętno galopuje, a wraz z nim wściekły kozioł, który chce mnie nadziać na rogi!

Nawet nie jestem w stanie obejrzeć się za siebie, tak szybko spierdałam. Słyszę, jak mnie goni. Stuka kopytami, meczy, parska, prycha. A mnie brakuje tchu. Ja pierniczę. Kora, szybciej, bo skończysz nadziana jak szaszłyk!

Wbiegam na iglaste poszycie i włączam turbodopalacze. Serce mi wali ogłuszająco, krew szumi w uszach, gałęzie smagają mnie po łydkach, pędzę ile sił w nogach. Już widzę w oddali prześwit, już dostrzegam błękit morza, drę się wniebogłosy:

– Goni mnie!

Widzę Agnara na skałkach w wodzie.

– Kozioł! – krzyczę. – Wielki! – Pędzę. – Dziki! – wrzeszczę. – Wściekły... – dyszę, potykam się o korzeń i padam jak długa na glebę.

– Gdzie? – słyszę głos Radwana, który właśnie do mnie dobiega.

Duszę się ściółką zmieszaną z piachem, nie mogę nabrać powietrza.

– Kora, gdzie jest kozioł? – Przekręca mnie na plecy, a ja pluję i chwytam łapczywie oddech. – No mów!

Udaje mi się tylko wskazać ręką w kierunku wzgórze, a mój obrońca już gna w tamtą stronę, żeby przepędzić wściekłego kozła. Tego się po nim nie spodziewałam. Prawdziwy z niego mężczyzna.

Nie mam pojęcia, ile tak leżę niczym truchło, ale wiem jedno: musiałby nastąpić cud, bym się podniosła. Mało tego, że nie mam siły. Ja jestem wyżęta jak stara ściera do podłogi. Umieram. Skwar przypala zwłoki, nad ciałem krążą sępy, muchy składają larwy w uszach, szczury rozpoczęły żer.

– Nie ma. Jesteś pewna, że to był kozioł? – Agnar staje nade mną. Cień wypiera skwar.

– Yyy... – wydaję z siebie trupi jęk. Szczury uciekają.

– Może ci się wydawało? Nie ma żadnych śladów.

– Wody... – wymawiam z trudem. Muchy odlatują.



– Co?

– Daj... wody.

– Czy wyglądam ci na kelnera?

Skacze mi ciśnienie. Krew uderza do głowy. Zmartwychwstaję.

– Daj mi wody, bo cię zabiję! – Siadam sztywno jak zombie. Sępy odlatują.

Agnar stoi nade mną z miną mówiącą: „oszalała”.

– Nie wyglądasz za dobrze. Ile palców widzisz? – Podsuwa mi wielką grabę tuż przed nos, aż robi mi się zez zbieżny.

Zaraz go ugryzę. Przysięgam. I wcale nie dlatego, że jestem głodna.

– Spieprzaj. – Uderzam go w łapsko i wybijam sobie palca. – Kurwa! – Łapię się za dłoń. Czy może być gorzej?

Ano może.

Bo właśnie w tym momencie rozlega się w oddali rytmiczny turkot. Puls mi przyspiesza. Zerkamy na siebie.

– Helikopter? – pytam.

– Helikopter.

– Raca! – krzyczymy równocześnie.

Natychmiast wracam do żywych.

Nie mija sekunda, a Agnar już wrywa ku plaży. Zasuwa w stronę naszego obozu, jakby gonił go sam diabeł. Zrywam się na równe nogi, ruszam za nim, zerkam w górę, lecz nie widzę nigdzie śmigłowca. Ale go słyszę. Gdzie on, do cholery, jest? Wbiegam do morza, rozglądam się po niebie. Dostrzegam za wzgórzem ogon maszyny. Znika, oddala się.

– Agnar, strzelaj. Teraz! – wołam.

Radwan wybiega na środek plaży, szuka wzrokiem helikoptera.

– Gdzie jest?

– Za wzgórzem. Odlatuje. – Wskazuję.

Unosi raketnicę, prostuje dłoń, czekam na wystrzał.

– No strzelaj!

– Strzelałam.

– Nic się nie dzieje!

– Przecież widzę. – Opuszcza pistolet, otwiera, wyjmuje flarę, ładuje ją ponownie. Znowu celuje w niebo. Nic. – Kurwa. Nie działa.

Odgłos śmigła niknie w oddali, helikopter znika mi z oczu. O Boże, Boże, tylko nie to.

– Pomocy! – Unoszę ręce. – Halo! – Wbiegam głębiej do morza. – Tu jesteśmy! – wołam, skaczę, macham, krzyczę... I idę pod powierzchnię.

Wynurzam się, łapiąc oddech, woda sięga do ramion, szumi mi w uszach. Mój wzrok namierza Agnara. Wyciąga z pistoletu nabój, dmucha, chucha, ponownie wkłada, wyciąga naładowany w górę, naciska cyngiel i... nic się, kurwa, nie dzieje. Potrząsa raketnicą, celuje. Uderza nią o udo, znowu celuje. Próbuje kilkakrotnie wystrzelić z taką determinacją, aż wychodzą mu żyły na przedramieniu.

Nasłuchuję odgłosów helikoptera – nic nie słyszę. Wypatruję – nic nie widzę. Ja pierdołę, to się nie dzieje naprawdę! Szczypię się w rękę tak mocno, że ta drętwieje. Szyja mi cała pulsuje. Serce wali tak mocno, aż kłuje mnie w żebrach. Próbuję postawić krok w stronę plaży, ale jestem jak sparaliżowana. Brakuje mi powietrza. Chcę wziąć wdech, nie mogę. Robi mi się słabo. Przed oczami zjawiają się ciemne plamy...

Ostatnie, co widzę, to Radwan z uniesionym pistoletem, a potem błękitne, bezchmurne niebo, a na nim palące słońce i żadnej pieprzonej flary.



– Jesteś odwodniona, pij. – Ktoś ujmuje moją głowę, przytyka jakieś żelastwo do ust, czuję posmak rdzy i zgnilizny. Mimo to pozwalam, by obrzydliwa, gorąca woda spłynęła mi do gardła. Co gorsza, chcę więcej, jeszcze, dajcie mi pić! – Spokojnie. Powoli.

Biorę łyk, po nim kolejny, parzy mnie język, strużki lecą mi po brodzie, moje powieki wreszcie się unoszą. Nie są już takie ciężkie. Otwieram oczy i pierwsze, co jestem w stanie zobaczyć, to morda idioty, który nie potrafi odpalić flary ratowniczej.

– Przez ciebie muszę pić ten syf.

– I oto jesteś z powrotem.

– Dlaczego nie strzeliłeś? – Odsuwam od siebie miskę, którą trzyma Agnar. – Przerósł cię mechanizm obsługi racy ratowniczej?

– Wolałem, kiedy byłaś nieprzytomna. – Odchodzi w stronę ogniska, zabierając ze sobą wodę.

Siadam z trudem. Bola mnie głowa i mięśnie, ssie mnie w żołądku i jestem wściekła jak diabli.

– Więc? Co się stało z pistoletem?

– Z pistoletem nic. Gorzej z flarą. Albo przemokła, gdy była w plecaku, albo jest trefna. – Stawia miskę z wodą na ogniu i wrzuca do niej obraną hortę. Moją hortę, którą zbierałam w pocie czoła; dla której narażałam życie; z której powodu omal nie zostałam zaciukana przez dzikiego kozła.

– Co robisz z moim jedzeniem?

– Twoim?

– Tak, ja to zebrałam.

– A ja to. – Pokazuje mi plastikowy pojemnik od apteczki wypełniony do połowy małżami w muszelkach dwuklapowych, po czym wsypuje je do miski. – Dzielimy się czy każdy je tylko to, co zebrał?

Cóż. Mule to nie jest moje ulubione danie, zwłaszcza takie niedoprawione, ale naprawdę jestem głodna.

– Wyczyściłeś je chociaż i przebrałeś?

– Mhm.

– Niektóre są otwarte. Wyrzuc je.

– Stukałem, zamykają się, więc się nadają. Nie będę marnował jedzenia. – Zaczyna mieszać wszystko w misie.

Patrzę na gotujące się mule z hortą i czuję, jak żołądek mi się zasysa do środka. Nigdy nie byłam aż tak głodna, a przecież ostatni posiłek spożyłam zaledwie trzydzieści godzin temu. Nie mam pojęcia, jak ludzie stosujący głodówkę oczyszczającą mogą się po niej dobrze czuć. Ja odnoszę wrażenie, jakby moje ciało zaczynało trawić samo siebie. Może tak mi źle dlatego, że prócz głodu czuję dodatkowo pragnienie?

Mijają minuty. Agnar wyjmuje patykiem parującą małżę, kładzie ją na kamieniu, otwiera, po czym dmucha i wciąga jej wnętrze do ust.

– I co, dobra? – pytam, a mój żołądek aż się skręca ze zniecierpliwienia.

– Może być. Chcesz?

– Chcę.

Wyciąga kolejną mulę i podaje mi ją na kawałku kory. Pachnie średnio, ale nie wybrzydzą. Do momentu, aż jej kosztuję.

– Oj nie. Nie jestem jednak aż tak głodna. Ograniczę się do horty. – Połykam mięczaka z niesmakiem.

– Więcej dla mnie. – Agnar wyjmuje następnego omułka, po nim kolejnego. Zaczyna pożerać jednego za drugim. Aż dziw, że nie parzy sobie palców i języka. Siorbie przy tym, wdycha, mlaska. Nie pojmuję zachwytu.

Sięgam po patyk i zaczynam wygrzebywać z parującej misy zielsko, odkładając je na korę. Wygląda jak gotowany szpinak. Biorę odrobinę do ust. Tak, szpinak – bez soli, bez czosnku, bez masła. Czuję się, jakbym żarła ugotowaną trawę.

Mam nadzieję, że jutro ktoś po nas przyleci, bo nie uśmiecha mi się tu siedzieć kolejny dzień bez uzdatnionej wody i normalnego jedzenia.

Przyglądam się pałaszującemu w najlepsze Norwegowi, analizuję całą sytuację z nieudaną akcją ratunkową i chce mi się płakać. Pomijam, że raketnica nie wystrzeliła i straciłam przytomność, wołając o pomoc. Bardziej martwi mnie to, że nikt nie zauważył ognia i napisu „SOS”.

– Nie rozumiem, dlaczego helikopter leciał od zachodu, a nie od strony Rodos – odzywam się do obżartucha.

– Może to nie był śmigłowiec ratunkowy i wcale nikt nas nie szuka. – Zasysa z apetytem kolejną małżę.

– Moja rodzina na pewno zgłosiła zaginięcie.

– W takim razie albo nie rozpoczęli poszukiwań, albo prąd zniósł łódkę na zachód, więc przeszukują tamtą część morza. – Agnar wyciera przedramieniem wargi, zestawia misę z ognia, sięga po gruby kij i zaczyna strugać jego koniec.

Zerkam do naczynia. Puste. Skubany wszystko wtranżolił. Spoglądam na moje danie i odechciewa mi się żyć.

– Myślisz, że wrócą tu jeszcze dzisiaj?

– Nie mam pojęcia. Nawet jeśli wrócą, nie mamy flary. Jedyne nadzieje w ogniu i napisie „SOS”.

– Którego nie widzieli.

– Dlatego dobrze zrobiłaś, że wybiegłaś w morze. Gdyby tylko helikopter znalazł się po tej stronie wyspy, na pewno by cię zauważyli.

– Tak dobrze zrobiłam, że omal się nie utopiłam.

– Bo jesteś odwodniona, zasłabłaś. Powinnaś więcej pić. – Ostrzy kijek.

– Nie jestem w stanie. Ta woda jest okropna. Od samego patrzenia na nią mam mdłości.

– Piję ją od rana i nic mi nie jest. Ty jej nie piłaś i zemdlałaś. – Wkłada ostry koniec badyla w ogień i przypala go dokładnie. – Zaraz pójde po więcej. Butelka jest już pusta. – Wyjmuje osmolony kij, ogląda uważnie wystrugany czubek i sprawdza jego ostrość palcem. – Idealnie.

– Na co ci to?

– Na kozła.

– Przecież już sobie poszedł. Nic mi nie grozi.

– Ale mnie grozi.

– Niby co?

– Głód.

– Przed chwilą zjadłeś pół misy muli z hortą.

– Nie wytrzymam za długo na zielsku i owocach morza. Potrzebuję białka. Nie udało mi się wcześniej złapać kozła, ale jeśli gdzieś tu faktycznie krąży, to go poszukam i na niego zapoluję.

Zamieram. Czyli nie chodziło mu o pogonienie rogacza, żeby ten nie wyrządził mi krzywdy, tylko o jego upolowanie. A ja uważałam Radwana za mężnego. Złamas. Oczywiście mam za złe kozłowi, że mnie pogonił, lecz w sumie nic złego nie zrobił, nie zaatakował, nie zranił. Po prostu bronił stada. Przypominam sobie kozłatka oraz duże złote oczy kri-kri i na samą myśl, że Agnar miałby go zadźgać tym kijem i osierocić biedne maleństwa, ogarnia mnie współczucie.

– Nie zabijesz go.

– Zabiję.

– Nie zgadzam się.

– Nie potrzebuję twojej zgody. Jestem głodny. Ważę sto pięć kilogramów, mam metr dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i około piętnastu procent tkanki tłuszczowej. Muszę jeść mięso, bo tu padnę.

– Ale żeby od razu zabijać niewinne, bezbronne zwierzę? Nie możesz!

– Zjadłabyś schabowego z kapustą i ziemniakami?

Na samo wyobrażenie o chrupiącej panierce, młodych ziemniaczkach z koperkiem i kapustką mój żołądek wjeżdża na pełnej piździe i woła „daj zjeść!”.

– Aha. – Czuję, jak ślinka mi cieknie.

– A burgera z frytkami?

O Boże. Sadysta.

– Tak.

– A makaron sojowy z kurczakiem i warzywami w sosie słodko-kwaśnym?

O matko, ale jestem głodna.

– Też.

– Więc rozumiem, że świnia, krowa i kurczak zabite do przygotowania tych dań dopuściły się ogromnej zbrodni i noszą sztylet w dupie, dlatego masz prawo je zjeść.

– Co?

– Powiedziałaś, że nie mogę zabić kozła, bo jest niewinny i bezbronny. Co w takim razie z mięsem zwierząt, które właśnie zjadłaś w myślach? One nie są niewinne i bezbronne?

– Są, ale...

– Ale co? Kozioł przynajmniej ma szansę uciec, a wspomniana reszta? Siedzi w oborze, klatce czy innym więzieniu i idzie pod nóż bez szans na ratunek.

– On ma rodzinę. Osierocisz małe kozłatka, uczynisz z kozy wdowę.

– Takie życie. Taki świat. Taki ekosystem. Jeśli nie zjemy go my, zrobi to orzeł.

– Widziałeś tu jakiegoś orła?

– Nie, ale kozła też nie zobaczyłem, a jednak twierdzisz, że cię gonił. No chyba że wyobraźnia cię poniosła.

Po jego minie wnioskuję, że mi nie wierzy.

– Gonił mnie.

– A niby gdzie go spotkałaś?

– Na zboczku wzgórza. Jak zbierałam horty.

– No to w drogę. – Agnar wstaje.

Wrzuca do plecaka scyzoryk i puste butelki po wodzie, zabiera dzidę... A ja uzmysławiam sobie, że mnie podpuścił. Zdradziłam mu miejsce zamieszkania koziołka!

– Nigdzie nie idziesz. – Zrywam się jak oparzona i chwieję.

Boże, ależ mi się kręci w głowie.

– Idę. A ty zostajesz. Ledwie trzymasz się na nogach. Zjesz mięso, napijesz się wody, to ci się poprawi.

– Nie. – Zastępuję mu drogę. – Ktoś po nas przyleci. Nie musimy posuwać się do morderstwa. Nie umieramy z głodu.

– Skoro ktoś ma przylecieć, powinnaś tu czekać i machać, jak tylko ujrzysz helikopter. – Omija mnie, ale ja nie daję za wygraną.

– Nie puszczę cię. – Wyprzedzam go, stoję naprzeciwko niego i kołyszę się jak pijana.

– Daj spokój. Jesteś śmieszna. – Robi krok w lewo, a ja podążam za nim.

– A ty okrutny. Nie przejdiesz.

– Przejdę. – Staje tak blisko, że jego klata niemal styka się z moją twarzą.

– Nie. – Zadzieram głowę i napotykam jego spojrzenie.

– Nie? – Wbija we mnie niebieskie ślepie.

– Nie – odpowiadam stanowczo, a wtedy Agnar obejmuje mnie jedną ręką w talii, unosi i obraca.

– Puszczaj! – Szamoczę się, a on stawia mnie jak kukłę i czmycha w las. – Stój! – Ruszam za nim, próbuję go dogonić, co stanowi nie lada wyzwanie. On jest najedzony i nawodniony, a ja nie. Jego jeden krok to moje dwa. Czysta fizyka i matematyka. W życiu go nie dogonię.

Przystaję, łapię oddech, pochylam się i opieram dłonie o kolana. Ja pieprzę. Przebiegłam dwadzieścia metrów i ledwo zipię. Kręci mi się w głowie, w ustach pustynia, nogi z budyniu. Unoszę wzrok w poszukiwaniu Radwana, ale już go nie ma. Słysząc tylko gdzieś w oddali pojedyncze trzaski gałęzi.

A żeby kozioł zrobił ci z dupy dwa donaty. Odwracam się i wracam na plażę. Muszę odpocząć.



Budzi mnie chłód. Otwieram oczy, wokół różowa szarówka. Ognisko dogasa. Rozglądam się za Radwanem, ale nigdzie go nie widzę.

– Agnar! – wołam, lecz odpowiada mi tylko szum spokojnego morza.

Zerkam na smartwatch. Osiemnasta pięć, bateria na poziomie siedemdziesięciu procent. W ustach nadal sucho, w brzuchu pusto.

– Agnar!

Cisza.

Gdzie on jest? Robi się ciemno. Trzeba dorzucić chrustu. Wstaję powoli. Moje ciało jest ciężkie, jakbym zamiast kości miała ołowiane drągi, w dodatku boli mnie głowa i chce mi się diabelnie pić. Dokładam patyki do ognia, po czym rozglądam się po plaży. Nie ma plecaka, butelek z wodą, co oznacza, że morderca kozłat jeszcze nie wrócił. Rozstaliśmy się dobre cztery godziny temu. Coś za długo go nie ma. Zerkam odruchowo na komórkę. Zero kresk zasięgu, dwadzieścia pięć procent baterii.

Wkładam bluzę i idę do gaju.

– Agnar! – wołam, ale odpowiada mi jedynie echo. Drzewa zasłaniają niebo, muszę wyteżać wzrok, by dojrzeć cokolwiek w półmroku.

Zmierzam w stronę wzgórza, raz po raz wzywając mojego towarzysza. Męcę się przy tym nieziemsko. Ostatnio taka słaba byłam podczas infekcji wirusowej, którą przyniosła Aga ze szkoły.

– Radwan, do diabła, odezwij się. – Im głębiej wkraczam w wyspę, tym ciemniej się robi, a mnie zaczyna ogarniać niepokój.

Nie żebym się martwiła o tego betonowego dupka. Ale, jaki by nie był, zawsze to jakieś towarzystwo. Lepszy chujowy Norweg niż nikt. Wołam go zachrypniętym głosem, moje wysuszone gardło jest w opłakanym stanie. Naprawdę czuję się, jakbym była chora. Nie mam siły, przed oczami pojawiają się ciemne plamy. Muszę usiąść, bo znowu zemdleję. A wtedy kto mi pomoże?

Nagle słyszę w oddali niepokojący odgłos. Brzmi zupełnie tak, jakby ktoś się krztusił. Albo to kozioł, który dogorywa z podciętym gardłem, wykrwawiając się na śmierć, albo...

Serce mi podskakuje.

– Agnar? – Przyspieszam kroku. Przerażliwy dźwięk się powtarza. – Agnar!

– Nie podchodź – odpowiada słabym głosem.

Próbuję go dostrzec w mroku, ale widzę same drzewa, aż moje spojrzenie pada na ziemię. Radwan leży na boku skulony jak dziecko.

– Agnar! – Podbiegam do niego.

Twarz ma zielonkawą jak zabieleną szczawiową, wykrzywioną w bólu, zlaną potem. Trzyma się za brzuch.

– Co ci jest? – Kucam przy nim, przykładając mu dłoń do czoła.

Cholera, jaki on ciepły.

– Odejdź – mamrocze.

– Pomogę ci.

– Odejdź.

– Ale...

Nie zdążam dokończyć, bo puszcza pawia.

Odskakuję jak oparzona, zerkam w dół...

No kurwa, nie wierzę. Zarzygał mi całe sandałki. Mam wymiociny między palcami. Ciepłe, śmierdzące, kleiste, obślizgłe... Czuję, jak mi się cofa zawartość żołądka. Rozglądam się panicznie za czymś, czym mogłabym odrąbać sobie stopy, lecz najwyraźniej niepisane jest mi kalectwo, bo nie

dostrzegam niczego prócz plecaka i wystającej z niego butelki. Stawiam dwa kroki, stopy ślizgają się w sandałkach, jakbym łażyła w błocku, ale to nie jest błoto, tylko bełt Agnara.

– Ostrzegałam cię, żebyś nie pił tej wody. – Odkręcam korek i polewam sobie nogi.

Odpowiada mi niewyraźny jęk.

– Co mówisz? – pytam.

– To... nie... woda...

– I tu się zgadzamy. Szlam, szambo, jeden syf. Na pewno nie można tego nazwać wodą. – Obmywam stopy. Uratowana.

Żeby nie było. Raczej się nie brzydę. Mam wysoki próg odporności na fizjologiczne ohydztwa. Aga ze trzy razy mnie obrzygała, jak była mniejsza, i nawet się nie skrzywiłam. Ale to moja córka. Dziecko. A nie dwumetrowy prawie obcy facet, za którym dodatkowo nie przepadam.

– A ty mnie tym poiłeś. Wielkie dzięki. Pewnie też zaraz będę chora. – Wrzucam do połowy opróżnioną butelkę do plecaka i zarzucam go na ramię.

Agnar wydaje z siebie tak głębokie beknięcia, aż się wzdrygam. Jest półprzytomny, zlany potem. Uwaga, kolejny bełt! Chryste, ale go ścięło. Chłop niczym dąb, a zaczyna trząść się jak osika.

Zastanawiam się, co poradzić. Przecież go tu tak nie zostawię. I wcale się o niego nie martwię. Po prostu nie uśmiecha mi się spędzanie samotnej nocy na dzikiej plaży, bo na bank zakończy to się atakiem paniki.

– Dasz radę się podnieść?

– Neeee... – odpowiada bełkotliwie z zamkniętymi oczami.

– Boli cię brzuch?

– Taaa...

– Biegunkę też masz?

– Neeee...

– Hm. Przynajmniej można się z tobą wreszcie normalnie skomunikować.

– Zołzaaa...

– Okej, będziesz żył. Wstawaj. – Podchodzę do niego i unoszę jego rękę, żeby mu pomóc. O matko, jaka ciężka. – Czy możesz współpracować? – Dźwigam go z całych sił. Co za bezwładny kloc.

– Neeee...

– A właśnie, że tak. Nie będę spać sama na plaży tylko dlatego, że ty masz niestrawność. No ruszaj się. – Wbijam mu paznokcie w plecy.

To najwidoczniej działa, bo Agnar rozwiera przekrwione oczy, po czym unosi się ociężale i powolnie, stając o własnych siłach. Chwieje się, opiera o drzewo. Przytrzymuję go mocno w pasie, zarzucam jego ramię na swoje barki i wsuwam się pod jego pachę, dając mu podparcie.

– W razie konieczności rzygaj w bok. Nie na mnie. Idziemy. – Robimy krok i nogi się pode mną uginają.

To będzie istna droga krzyżowa.

I jest.

Sto metrów dalej: Kora upada pod Agnarem po raz pierwszy.

Padłaś, powstań. Masz w sobie siłę. Zostało trzy razy tyle.

Dziesięć minut później: Kora ledwo zipie. Agnar obejmuje drzewo i wymiotuje. Jasna cholera. Do jutra nie dojdziemy na plażę. No już! Zbieraj cielsko i idziemy dalej. Chyba słyszę morze.

Sto pięćdziesiąt metrów do celu: Kora upada pod Agnarem po raz drugi.

Pierdołę. Nie damy rady. Ja płaczę. Radwan jęczy. Leżymy trupem i zdychamy.

Na serio rozważam, czy go nie zostawić, ostatkiem sił doczłapać się do naszego obozu i wrócić tu z ogniem, żeby rozpałcić ognisko. Ryzyko zaproszenia jest jednak zbyt wielkie. Susza, wokół jedynie drzewa i ściółka. Wystarczy iskra i wyspa pójdzie z dymem jak Rzym za Nerona. Plus taki, że może wtedy ktoś zauważy pożar, przyleci go ugasić i nas uratuje. Albo nie przyleci, a my spłonimy żywcem. No chyba że przeczekamy na brzegu, w wodzie. I będziemy tak stać i czekać, aż ktoś łaskawie przybędzie. Ale co do tego czasu będziemy jeść i pić?

Myślę o tym tak intensywnie, tak bardzo aktywnie, że w końcu mój przegrzany mózg resetuje

system operacyjny i się wyłącza. Usypiam.

Budzi mnie jęk, słowa wypowiedane niewyraźnie, powoli. Uchylam powieki. Wokół czarna noc. Księżyc skrywa się za konarami drzew. Sięgam po telefon do kieszeni bluzy, druga dziesiątka, dwadzieścia procent baterii. Zapalam latarkę i mój wzrok od razu pada na twarz Radwana. Mamrocze coś pod nosem we śnie. Na czole perli się pot. Ciało drży. Klatka piersiowa unosi się i opada w rytmie przyspieszonego oddechu. Dotykam białych policzków. Lodowate. Dłonie też. Nogi również.

– Agnar? – Nie jestem do końca pewna, czy powinnam go budzić. Podobno sen to najlepsze lekarstwo.

– Nie... zostawiaj... mnie... – Szczęka zębami.

– Nie zostawiam. – Zdejmuję bluzę i przykrywam jego ramiona.

– To... nie jej wina... – Dygoce.

– Czyja?

– Tato... Proszę... – majaczy.

– Agnar. Obudź się. – Potrząsam jego ramieniem, a on syczy przeciągle.

– Tato...

Cofam się. No dobra. Zaczynam się o niego martwić. To nie wygląda jak zwykła niestrawność.

Wstaję z trudem, jestem wykończona. Ale przytomna. W przeciwieństwie do mojego towarzysza. Nie jest mi niedobrze. Może to jednak nie zatrucie wodą? Też ją piłam i nic mi nie dolega. I nagle mnie olśniewa. Mule! Niby woda w morzu wyglądała na czystą, nie widziałam kwitnących alg, choć może ich nie zauważyłam. Omułki mogły zaabsorbować toksyny wydzielane przez plankton. Radwan zjadł ich kilkanaście. Objawy pasują.

Przeszywa mnie zimny dreszcz. Przypominam sobie rady ojca, który zawsze uprzedzał mnie, że mule muszą być łowione w czystej wodzie, świeże, żywe, gotowane we wrzątku w zamkniętej skorupie. Ostrzegął, że zatrucie może być groźne i nie ma na nie lekarstwa. Leczy się je tylko objawowo.

Boże, spraw, żebym się myliła. Jeśli w każdej z małż była toksyna, to Agnarowi może grozić paraliż, a nawet zgon! On tu umrze, a ja zostanę całkiem sama. Nikt mnie nie odnajdzie. I w końcu też umrę z głodu, pragnienia, ataków paniki albo pożarta przez wściekłego kozła.

Moje serce zaczyna bić szybciej, robi mi się gorąco.

Stop! Nie nakręcaj się. Przyjrzyj się faktom – zarządza głos rozsądku. Agnar twierdził, że ma doświadczenie w przygotowywaniu owoców morza. Wyglądał na takiego, który wie, co robi.

Co jeśli nie był w stanie tego przewidzieć? Omułki były skażone i są winowajcą zatrucia?

A może jakaś była po prostu nieświeża, martwa i dolegliwości szybko mu przejdą? Wróci rankiem do formy, w południe ktoś po nas przyleci i wszystko dobrze się skończy.

Wpatruję się w dygoczącego olbrzyma i już pomijam strach o samą siebie – robi mi się go żal. Fakt, wkurzał mnie do tej pory potwornie, do tego był ciągle nienażarty, więc sam jest sobie winien. A jednak kiedy tak na niego patrzę, to zamiast satysfakcji, że dostał wreszcie za swoje, ogarnia mnie współczucie. I wyrzuty sumienia, że kilka razy źle mu życzyłam.

Muszę mu jakoś pomóc. Przecież nie będę tak siedzieć beczynnie i czekać, aż się chłop wykończy.

Zabieram plecak z butelką i zerkam na śpiącego Radwana.

– Trzymaj się, wikingu. Niedługo wrócę – zapewniam i ruszam w stronę plaży.

Gdy tylko dochodzę na miejsce naszego obozowiska, dokładam gałęzi do ognia i precedzam wodę przez złożoną w kostkę sukienkę. Za wiele to pewnie nie da, ale nie mam niczego, co mogłoby w tym momencie posłużyć za filtr. Siateczka przynajmniej będzie robić za sitko i zatrzyma większe farfocle.

Stawiam misę do zagotowania i postanawiam poszukać jakichś lekarstw w apteczce, lecz jej zawartość pozostawia sporo do życzenia. Prócz środka do dezynfekcji i plastrów znajduję przeterminowane leki: ibuprofen i amoksycylinę. Jeśli Agnar ma zatrucie bakteryjne, to drugie powinno pomóc, jeżeli jednak zaszkodziły mu toksyny, to antybiotyk wybije też dobre bakterie, które wspomagają jego układ odpornościowy, i może mu się pogorszyć.

Przygryzam wewnątrz policzka, studiuję ulotkę dla pacjenta, skutki uboczne i nie mam pojęcia,

jaką podjąć decyzję. Zwłaszcza że w przypadku obu leków daty przydatności do spożycia minęły ponad rok temu.

Głowię się, myślę, skupiam, lecz bulgocząca woda w misie skutecznie mnie rozprasza. Chcę zdjąć misę z ognia i nagle zdaję sobie sprawę z tego, że nie mam czym jej chwycić. Bluza i koszulka Agnara, które pełniły wcześniej funkcję rękawic kuchennych, zostały razem z nim. Jedyne materiały, jakie mam, to moja sukienka, która jest za cienka, plecak, który jest zbyt sztywny, i...

Doznaję objawienia. Biustonosz od kostiumu! Nada się idealnie. Ma przecież gąbeczki w miejscu miseczek.

Sięgam do sznurków, rozwiązuję i zdejmuję stanik. Chłodne powietrze momentalnie stawia moje sutki na baczność. No proszę, niby taki skromny kawałek materiału, a jak potrafił ochronić. Najchętniej wskoczyłabym w sukienkę, ale ta jest mokra od przefiltrowywania wody. No cóż. Jakoś muszę wytrzymać. Gdy tylko doczłapię się z misą do Agnara, który i tak leży półprzytomny, od razu włożę biustonosz z powrotem.

Wsuwam za gumkę od majtek lekarstwa, telefon z włączoną latarką, zdejmuję za pomocą moich innowacyjnych rękawic naczynie z ognia i ruszam do chorego.

Zadziwiające, jak człowiek w obliczu zagrożenia potrafi się zorganizować i pomimo wycieńczenia znaleźć energię do działania. Jakimś cudem nie czuję ogromnego zmęczenia, głodu, nawet pić już mi się tak bardzo nie chce. Serce bije szybko, adrenalina buzuje w żyłach i jedyne, czego pragnę, to pomóc teraz Agnarowi. Mam imponująco wysoki poziom samokontroli w stresujących sytuacjach. Jestem z siebie dumna. Tak chyba muszą czuć się lekarze z powołaniem, którzy nawet po morderczym dyżurze znajdują w sobie siłę do ratowania życia pacjentów.

Staram się iść ostrożnie. Nie dość, że jest ciemno, co rusz natykam się na korzenie, to jeszcze muszę uważać, żeby nie wylać wody. Mam nadzieję, że nie zabłądzę. To chyba było za tamtym drzewem.

Próbuję dojrzeć jakikolwiek kształt przypominający ludzkie ciało spoczywające na ziemi, ale jedyne, co dostrzegam, to swoją porzuconą bluzę. Podchodzę bliżej i nagle dobiega mnie dźwięk ciekącej wody. Zerkam na dno misy, czy przypadkiem nie ma w niej dziury, lecz od spodu jest sucha. Skąd więc ten odgłos? Rozglądam się, a wtedy niespodziewanie mój wzrok pada na znajomego węża morskiego – spoczywa w męskiej dłoni i tryska nierównym strumieniem pod drzewo.

– Och – wyrzywa się z moich ust.

Agnar, który do tej pory sikał oparty o sosnę, kieruje głowę w moją stronę. Oczy ma wąskie jak szparki, twarz zmęczoną, chwieje się, lecz kiedy tylko mnie dostrzeżga, jego powieki się rozszerzają, plecy prostują, wąż morski wypada z dłoni...

Przez trzy bite sekundy gapimy się na siebie oniemiałi. On na moje sterczące z zimna cycki, a ja na jego dyndającego fallusa. Po trzech sekundach następuje otrzeźwienie.

Agnar chowa węża, a ja odwracam się do niego plecami. Z twarzy buchają mi płomienie.

– Wstałeś. – Stwierdzam oczywistość. Przecież widać, że wstał.

– Musiałem siku. Idę się położyć.

– Przyniosłam ci przegotowaną wodę i lekarstwa. – Stoję wciąż do niego tyłem, czekając, aż wróci na miejsce. – Znalazłam antybiotyk i lek przeciwbólowy. Nie byłam pewna, czy ci je podawać. Ale skoro już ci lepiej, to znaczy, że to jednak nie toksyny, tylko zatrucie pokarmowe i śmiało możesz je wziąć. Może któraś mula była nieświeża albo woda niedostatecznie przegotowana i jakieś bakterie się namnożyły...

Słyszę za sobą kroki i po chwili Agnar nieoczekiwanie okrywa mnie bluzą.

– Wezmę to. – Otacza mnie ramionami od tyłu, sięgając po misę, odbiera ją razem ze stanikiem, unosi nad moją głową, po czym odchodzi z nią na bok.

Wsuwam ręce w rękawy, obserwując Radwana, który kuca pod drzewem, odstawia naczynie, a następnie zwała się z jękiem na glebę jak ścięte drzewo.

– Jak się czujesz? – Podchodzę do niego, zapinając suwak.

– Nie mam siły – wymawia z trudem. – I boli mnie brzuch.

– Oprzyj się o pień. Musisz się napić.

Siada niezdarnie, a ja wyjmuję zza gaci komórkę oraz leki, odkładam je na ściółkę, kucam przy



nim i podaję mu misę. Bierze kilka małych łyków.

– Za gorąca. – Krzywi się.

– Wymiotowałeś, jak mnie nie było? – Odstawiam naczynie.

– Nie. Ale nadal mnie mdli.

Odruchowo sięgam do jego czoła, które nabrało już nieco zdrowszych kolorów. Agnar przymyka powieki i opiera głowę o drzewo.

– Nie masz gorączki i nie jesteś lodowaty. – Trzymam cały czas dłoń na jego skórze i nie wiem czemu nie mam ochoty jej opuścić. Mogę ewentualnie ją odrobinę zniżyć. O, właśnie tak. Dotykam policzka, przesuwam opuszkami po szorstkim zarostu. – Chyba najgorsze za tobą. Weźmiesz leki?

Agnar uchyla powieki.

– Skąd mam mieć pewność, że nie chcesz mnie nimi otruć?

Noż kurwa, on tak na serio?!

– Jesteś podły. To ja tu z sercem na dłoni... – Cofam rękę, lecz on ją przytrzymuje.

– Wcześniej nie byłeś mi przychylny.

– Bo nic ci nie było. Przekomarzać się ze zdrowym pacanem to jedno, a udzielać pomocy choremu to drugie.

– Uważasz mnie za pacana?

– Teraz? Tak. Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, że chcę cię otruć? Znalazłam cię na półprzytomnego, pomagałam ci dotrzeć do obozowiska, polecałam po leki i wodę. – Zaczynam się nakręcać. – Jesteśmy tu tylko we dwoje, zdani na siebie. A co, jeśli umrzesz? Nikt po nas nie przyłeci? Zostanę tu całkiem sama... Nie mogę być sama, zwłaszcza w nocy. Nie mogę, bo oszaleję. – Głos mi drży, czuję szczypanie pod powiekami, moje oczy napełniają się łzami.

I tyle w temacie mojego wysokiego poziomu samokontroli w stresujących sytuacjach. Prawdziwa ze mnie twardzielka. Przygryzam wargi, które wykrzywia grymas zwiastujący wybuch płaczu, i próbuję wyrwać Agnarowi dłoń. Nie chcę, żeby patrzył, jak się rozklejam. Nie chcę pokazywać przed nim swojej słabości. Zaczynam dygotać, sama nie wiem, czy to z zimna, czy z emocji. Dosłownie szcękam zębami.

– Puszczaj. – Próbuję się wyrwać.

Lecz on mnie nie słucha, co więcej, niespodziewanie przyciąga mnie do siebie i zamyka w ramionach.

– Nie jesteś sama – odzywa się dudniącym, niskim głosem.

Staram się od niego uwolnić, ale nie potrafię. Czuję ciepło bijące od jego ciała, silne ręce dające mi schronienie przed dziczą. Chcę do domu. Do córki. Do psa. Do łóżka. Do cywilizacji. Biorę głęboki wdech i coś we mnie pęka.

Walczę sama ze sobą. Staram się wyprzeć niechciane uczucia, ale one są tak silne, tak rozpaczliwie pragną ujścia, że przegrywam z kretesem. Z mojego gardła wyrывa się szloch.

– To był kiepski dzień. – Agnar przytula mnie do piersi. – Nigdzie się nie wybieram, więc będziesz musiała się ze mną jeszcze pomęczyć, zołzo.

W pierwszym odruchu mam ochotę zdzielić go za tę „zołzę” (i to podwójną), jednak jestem tak zmęczona, że brakuje mi sił nawet na otarcie łez z twarzy.

Ale zdołam odszczeknąć:

– Łakomy obżartuch. Odkupujesz mi sandaalki, które obrzygałeś. – Pociągam nosem.

– Ehe. Bądź już cicho. Chcę spać.

– Co z lekarstwami?

– Jak mi się pogorszy, to wezmę. Śpij. – Obejmuje mnie mocniej, a moje ciało instynktownie się poddaje, rozluźnia i wtula w jego pierś.

Boże, ależ jestem zmęczona.

Słyszę miarowe bicie serca Agnara, jego spokojny oddech i robi mi się ciepło, błogo.

Powieki opadają.

Ostatnią myślą przepływającą przez mój umęczony umysł jest pytanie: Jak to, do cholery, możliwe, że czuję się tak bezpiecznie w objęciach prawie obcego faceta, który tak niemiłosiernie mnie wkurwia?



Jeśliby interpretować powiedzenie „jesteś tym, co jesz”, to dosłownie rzecz biorąc, już mnie nie ma. Leżę jak trup na plaży w cieniu drzewa, obok mnie drugi trup odsypiający zatrucie pokarmowe. Godzina piętnasta siedem. Dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Dziewięć procent baterii w telefonie. Cisza, szum morza, trzask gałęzi z ogniska, świergot ptaka w lesie, cykada szeleszcząca w koronie sosny.

Gdyby ktoś przywołał taką wizję tydzień temu, pomyślałabym: Raj. Zajebiste wakacje, czego marudzisz? Korzystaj! Ale tylko ten, kto nie jadł od ponad dwóch dni i pił rudawą wodę z zardzewiałej miski, jest w stanie zrozumieć, że raj staje się piekłem, gdy odczuwasz głód oraz pragnienie, które wyniszczają twój organizm i psychikę.

I mogłoby się wydawać, że przesadzam, bo to przecież jedynie dwa dni. Robię z siebie księżniczkę, jestem nieodporna, moje geny nie miały prawa przetrwać na drodze ewolucji. Powinnam wziąć dupę w troki i znaleźć coś do żarcia. Wczorajszy dzień jednak przeorał mnie tak doszczętnie, że jedyne, na co mam siłę, to sen. Z trudem przywlekliśmy się przed południem do obozowiska, zdążyliśmy napić, dorzucić do ognia gałęzie, które zebraliśmy po drodze, i oboje padliśmy z wycieńczenia. Żadne z nas, pomimo dokuczliwego ssania w żołądku, nie było w stanie wyruszyć na poszukiwanie jedzenia.

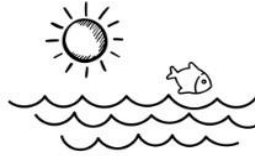
Agnarowi głódówka dobrze zrobi na jelita, nie mdli go już, ale jest mocno osłabiony. Drzemie, wstaje, żeby napić się wody, i znów zasypia. A ja idę w jego ślady. Z tym wyjątkiem, że on sprawia wrażenie, jakby spał spokojnie, głęboko, regeneracyjnie, ja zaś balansuję na krawędzi snu i jawy, po czym przebudzam się gwałtownie z walącym sercem i jestem jeszcze bardziej zmęczona niż przed zaśnięciem. Ten, kto wymyślił nazwę „marzenia senne”, chyba nigdy nie miał koszmarów. Słowo „marzenie” powinno się kojarzyć ze spełnianiem życzeń i przyjemnymi wyobrażeniami o przyszłości. Tymczasem moje marzenia senne z ostatnich pięciu godzin to utonięcie w wannie, zgon w wyniku eksplozji śmigłowca, rozkładające się zwłoki kozy, po której łążą białe robale, a na koniec wisienka na torcie: sen we śnie snu. A dokładnie: leżę na dnie wykopanego dołu na plaży, Agnar za pomocą miski sypie piach na moją twarz. Nie jestem w stanie uchylić powiek ani warg, zaczynam się dusić. Modlę się, żeby to był tylko zły sen. Szamoczę się, krzyczę, łapię chciwie powietrze, ale zamiast niego mam pełno ziemi w ustach.

W końcu jednak się wybudzam. Otwieram oczy i odkrywam, że znajduję się na dnie morza, z rękoma przywiązany mi wężem cumowniczym żeglarskim do dwóch pali. A że nie jestem pieprzoną rybą, znów przeżywam to samo: nie mogę, kurwa, oddychać! Panikuję, szarpie się, ale gdzieś tam podświadomie wiem, że muszę śnić. Bo kto niby miałby mnie przywiązywać do dna morza? Zaraz się obudzę.

I faktycznie się budzę. Siedzę przy ognisku w naszym obozie, obgryzam mięso kraba i nagle coś ściska mnie za gardło. Brakuje mi powietrza. Agnar pyta, dlaczego jem skorupiaka, skoro jestem uczulona. I znów panika. Jestem uczulona? Nie. Nie jestem. To musi być sen. Więc dlaczego się duszę? Chcę nabrać powietrza, ale nic z tego. Krtań mam zawiązaną na węzeł. Tak, na ten sam węzeł – cumowniczy żeglarski! Zaraz tu padnę. Umrę!

I wreszcie się budzę. Z wielką łapą na ustach, która odbiera mi tlen. Zrzucam z siebie ciężką dłoń śpiącego Radwana i biorę haust powietrza. Rozglądam się, wszystko wygląda realnie, ale żeby mieć stuprocentową pewność, strzelam sobie z liścia w twarz. Polik mnie szczypie i tym samym pozbawia wątpliwości – tak wygląda bolesna rzeczywistość. Mój mózg jest pojebany.

Zapamiętać: nie jeść tutejszych krabów!



Po prawie całym przespanym dniu, około siedemnastej, nieco się ożywiamy. Czuję niepokój i mój kompan chyba również, bo żadne z nas nie słyszało od wczoraj odgłosu śmigłowca ani motorówki, ani żadnego innego środka transportu, który zabrałby nas z tej cholernej wyspy.

– Musimy pozyskać wodę, jedzenie i drewno na opał. – Agnar dorzuca do ognia ostatnie grube patyki.

Rozglądam się po plaży z naiwną wiarą w to, że może w przeciągu ostatniej doby wyrósł na niej bananowiec. Boże, z głodu miesza mi się we łbie.

– Muszę coś zjeść. Mule odpadają, jeżowce też, zbyt ryzykowne. Kraba nie tknę.

– Dlaczego kraba nie?

– Otrzymałam boskie ostrzeżenie.

– Co?

– Śniło mi się, że dostałam wstrząsu anafilaktycznego od zjedzenia skorupiaka i umarłam.

– Masz alergię?

– Nie. Ale we śnie miałam.

Agnar patrzy na mnie, mruga, po czym kręci głową i układa kijek na ogniu.

– Twoje alter ego z sennej rzeczywistości może spać spokojnie. Nie widziałem tu ani jednego kraba.

– Nie kpij. Sny czasami mają znaczenie.

– Czy przyśniło ci się w takim razie, gdzie możemy znaleźć jedzenie, od którego nie umrzemy?

– Nie.

– Szkoda.

– Ale na zboczu wzgórza są ho... – Momentalnie gryzę się w język. Nie chcę tam wracać i natknąć się na kozła. Skoro do tej pory Agnar nie wspomniał o swoim morderczym polowaniu, lepiej nie kusić losu.

– Są co?

– Cholernie piękne widoki na resztę wyspy – kończę błyskotliwie.

– Nimi raczej się nie najemy.

– Ale owocami jak najbardziej. Dostrzegłam ze zbocza liściaste drzewa po południowej stronie wyspy – mówię zgodnie z prawdą. – Może warto je sprawdzić?

– Jesteś pewna, że je stamtąd widziałas? – Agnar bierze kawałek spalonego drzewa, rozkrusza go w dłoni, zanurza palec w czarnym proszku i niespodziewanie wkłada go sobie do ust.

O Chryste! Sfiksował z głodu!

– Tego się nie je! – Zrywam się na równe nogi, żeby uratować go od skonsumowania reszty paleniska. Marzyć o bananowcu to jedno, ale wpierdalać węgiel drzewny?

– Uszpokój sie. – Zatrzymuje mnie brudną ręką, kiedy chcę pociągnąć go za dłoń.

– Sam się uszpokój. Co ty wyrabiasz? – Patrę z niedowierzaniem na jego umorusaną gębę.

– Mye żemby. – Rozdziawia szerzej paszczę i zaczyna szorować brudnym palcem trzonowce.

– Oszalałeś? Jak to niby ma umyć ci zęby? Przecież to węgiel drzewny. Masz mordę czarną, jakbyś zżarł... zżarł... – Próbuję wymyślić jakieś trafne porównanie, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to: – Węgiel drzewny!

Agnar wznosi oczy ku niebu, jak gdyby to mnie odwaliło, a nie jemu, po czym przesuwając palcem po siekaczach, wyszczerzając je niczym wampir.

– Okropne. – Krzywię się. – Jesteś obrzydliwy. – Odsuwam się z niesmakiem.

Najchętniej odwróciłabym wzrok, ale oczy mnie nie słuchają. Są zafascynowane tym makabrycznie odrażającym widokiem. To jak z oglądaniem horroru, niby nie chcesz patrzeć, jednak patrzysz. Na bank znowu będę miała koszmary.

Agnar przesuwa dynamicznie po każdym zębie palcem wskazującym. Robi to dokładnie, miejsce obok miejsca, od zewnątrz, później od środka. Przynajmniej potrafi myć poprawnie zęby. Ale na litość boską! Niech nie robi tego węglem!

W końcu wyjmuję obśliniony paluch, sięga po misę z zagotowaną wodą i płucze jamę ustną. Płucze, pluje na czarno. Płucze, pluje na szaro. Płucze i voilà! Jest i rdzawy odcień naszej lokalnej kałużanki.

Przyglądam się, jak z satysfakcją wodzi językiem po dziąsłach, i nagle szczęka mi opada. Jego zęby lśnią jak licówki Toma Cruise'a!

– Jak to możliwe? – Gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Ty, pół-Greczynka, tego nie wiesz?

– Nie wiem czego?

– Starożytni Grecy używali węgla drzewnego do usuwania plam z zębów, pozbywania się bakterii i maskowania nieprzyjemnego zapachu z ust. To dosyć inwazyjna metoda, bo ściera szkliwo, ale na chwilę obecną musi wystarczyć.

Zabiera się do pakowania pustych butelek do plecaka, a ja odruchowo sprawdzam językiem stan swoich zębów, które najwyraźniej zmarzły tej nocy, bo odziały się w zimowy kożuch. Odwracam się tyłem do Radwana, chucham w dłoń. Ojoj. Miętą to mój oddech zdecydowanie nie pachnie.

Ruszam w stronę ogniska, sięgam po zwęglone drewnienko, rozgniatam je w dłoni, zanurzam opuszkę w proszku...

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – odzywa się Agnar.

– Jesteś aż tak samolubny? Chcesz patent na czyste zęby zastrzec tylko dla siebie? – Wkładam palec do ust i zaczynam szorować.

– Brakło wody.

– Czo?

– Woda do płukania się skończyła. – Pokazuje mi pustą miskę.

Zamieram z palcem na siekaczach. Czuję smak wędzonki zmieszany z węglowym pyłem i na samą myśl, że nie pozbędę się ich w przeciągu godziny, robi mi się niedobrze.

Zaczynam pluć. Nie mam śliny. Doskakuję do Radwana, wyrywam mu miskę z rąk, przykładam do ust, przechylam...

Kap, kap, kap, pojedyncze krople spływają leniwie, a we mnie się gotuje.

– Do cholery! – Charczę jak żul i spluwam w bok. – Zrobiłeś to specjalnie!

– Ja? – Agnar unosi brwi.

– Nie udawaj głupiego. Dobrze wiedziałeś, że nie ma już wody, mimo to zachęcałeś mnie do umycia zębów węglem drzewnym.

– Nie zachęcałem. Tłumaczyłem. A ty byłaś tak zazdrosna o moje czyste zęby, że nawet nie zapytałaś, czy będzie czym wypłukać usta. Zgodziłaś się wcześniej, że musimy pójść po wodę, widziałaś, jak pakuję puste butelki. Mogłaś się domyślić, że się kończy. Jediną osobą, do której możesz mieć pretensje, jesteś ty. – Zakłada plecak. – Idziesz ze mną czy będziesz tu tak stać i marudzić?

Ściskam w dłoniach miskę i mam ochotę pieprznąć nią Radwana w potargany łeb. Ale tego nie robię. Jest mi potrzebny. Wystarczająco najadłam się strachu, kiedy miał zatrucie pokarmowe. Z dwojga złego lepszy taki towarzysz, który cię wkurwia, niż pozostanie samej na bezludnej wyspie.

Boże, spraw, żeby jutro ktoś po nas przyleciał, bo oszaleję z tym norweskim ćwokiem.

– Idę. – Rzucam miskę na piach.



Nikt jednak po nas nie przylatuje. Ani następnego dnia, ani kolejnego. Sytuacja zaczyna robić się poważna. Woda w kałuży się kończy, w południowej części wyspy znaleźliśmy tylko (albo aż) poletko hort i trzy drzewa pigwy, których owoce są obecnie naszym jedynym źródłem pokarmu. I choć z wyglądu przypominają jabłka odmiany golden delicious, to nie są zjadliwe na surowo – zbyt twarde i za cierpkie. Prużymy je w misie kilka razy dziennie i spożywamy w formie rozgotowanej, kwaskowej papki. Podejrzewam, że takie bezcukrowe konfitury są zdrowe i pełne witamin, ale też niskokaloryczne – pół godziny po posiłku znów mamy pusto w żołądkach. Śmiem twierdzić, że wręcz pobudzają nasz apetyt. Jesteśmy osłabieni, podenerwowani, bezsilni. Powinniśmy ruszyć na zachodnią część wyspy, żeby poszukać jedzenia i słodkiej wody, lecz oboje mamy świadomość, że kilkunastokilometrowa wyprawa w jedną stronę w ciepły dzień będzie drogą przez mękę.

Snujemy się więc bez celu po plaży jak smród po gaciach. Ktoś dorzuci do ognia, ktoś przyniesie opał z laski, ktoś naszykuje powidła, ktoś zagrzeje wodę. I choć staramy się myśleć pozytywnie, brak żywności sprawia, że obojgu siada nastrój. Nawet nie mamy ochoty się ze sobą kłócić. Zupełnie jakby nasze organizmy chciały zaoszczędzić energię na mówieniu.

Agnar jest głodny do tego stopnia, aż postradał rozum. Od kilkadziesiąt minut (nie wiem dokładnie ilu, bo wczoraj rozładowały mi się smartwatch i telefon) stoi nieruchomo w morzu, z kijkiem w górze. I mówiąc „nieruchomo”, mam na myśli „jak posąg”. Nawet nie drgnie. Wpatruje się jedynie w wodę. Nie pojmuję, jakim cudem udaje mu się utrzymać uniesiony baryl. Mnie już by ze trzy razy odpadło ramię. Ale on dzielnie się trzyma. Pytanie tylko: po co?

– Bawisz się z planktonem w raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy?

Nie reaguje. A ja nie drażę dalej. Tak się zmęczyłam poszukiwaniem w pamięci nazwy dziecięcej zabawy i wymówieniem całego zdania na głos, że jakbym nawaliła się litrem wódki, przechodzę bezwładnie z pozycji siedzącej do leżącej. Znowu chce mi się spać. Oczy same się zamykają. Ziewam. Muszę coś zjeść, bo jak tak dalej pójdzie, wpadnę w narkolepsję, a jedynymi słowami, jakie zdołam wymówić, będą: „Kora chceć jeść, pić i spać”.

– Mam! – Niespodziewanie wyrывa mnie z letargu okrzyk Agnara.

Unoszę powiekę. Zwracam głowę w kierunku morza i jestem pewna, że to mi się śni. Radwan trzyma trzepoczącą się rybę i zmierza wraz z nią w stronę plaży. Moje serce momentalnie zaczyna skakać na trampolinie, żołądek dołącza, wykonując dodatkowo radosne salto.

Zrywam się, jakby mnie kto raził prądem, i ruszam Agnarowi na spotkanie. Mam ochotę go ucałować. Zjemy rybę! Prawdziwą rybę! WIELKĄ RYBĘ! Jestem tak szczęśliwa, że wbiegam do morza i rzucam mu się na szyję.

– Uważaj! – rozbrzmiewa krzyk, któremu wtóruje pluśnięcie.

Radwan stawia krok w tył, zanurza ręce w wodzie, krąży z szałem w oczach, a ja zauważam uciekającą przed nim rybę. Tę prawdziwą, wielką rybę, którą mieliśmy zjeść. Co więcej, uzmysławiam sobie, że owa ryba spierdoliła przeze mnie!

Nie zastanawiam się, gonię kolację! Próbuje ją złapać, szalenie się staram, lecz przypomina to wyławianie maskotki z automatu z zabawkami. Niby już ją masz, już jest twoja, gdy nagle wyślizguje się ze szczypek i po zawodach. Ale że nasz automat jest bezpłatny, to gramy dalej. Rzucamy się w wodę, biegamy, nurkujemy, przeklinamy, złorzeczemy, błagamy, a ta mała rybka pipa bawi się z nami w ganianego i macha do nas wesoło płetwą odbytową. Zajebię sukę i zeżrę. Obiecuję!

Ale jak to mówią: obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Po morderczym pościgu z zabawy w

ganiego przeszliśmy do chowanego, która zakończyła się zranieniem w duży palec lewej nogi u Agnara, szramą pod moim prawym kolanem i pustymi żołądkami u obojga. Mój towarzysz jest na mnie zły. Akurat w tym przypadku muszę przyznać mu rację. Ma prawo się na mnie wściekać. Sama jestem na siebie wkurzona i pragnę odpokutować winy.

– Jeszcze raz przepraszam. Zdradzisz mi chociaż, jak udało ci się ją złapać? – Stoimy w wodzie jak ostatnie ofery i wpatrujemy się w szczelinę między skałami, w której skryła się ryba.

– Wtopiłem się w krajobraz – odpowiada chmurnym tonem.

Już mam mu uświadomić, że choć przypomina boga mórz i oceanów, to nim nie jest i nawet jeśli stałby tam rok, wodne żyjątka nie uznałyby go za swojego władcę. Lecz wtedy on dodaje:

– Stałem nieruchomo tak długo, aż ryby przestały mnie zauważać i postrzegać jako zagrożenie.

Zaczęły przepływać obok, jakbym stanowił część ekosystemu.

Spoglądam na niego z zaciekawieniem.

– I dużo ich w sumie przepłynęło?

– Pięć, może sześć.

– Sześć? – Na samą myśl o takiej uczcie mój żołądek zanosi się dramatycznym płaczem.

– Tak, szybkie jak diabli. Ta, którą złapałem, była najwolniejsza. Wyczekałem moment i dźgnąłem ją kijem. Trafiłem tylko w płetwę, lecz to wystarczyło, by ją oszołomić i chwycić. Później nadbiegła jakaś wariatka, obezwładniła mnie i uwolniła rybkę, żeby ta spełniła jej trzy życzenia.

A to cap.

– Och, wal się. Przecież to był wypadek. Ile razy mam cię przepraszać?

– Aż przestanie mi burczeć w brzuchu z głodu. – Odchodzi i kieruje się w stronę plaży.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Przez ciebie nie zaspokoilem jednej z ważniejszych potrzeb fizjologicznych. Pozwól, że zrealizuję chociaż tę najpilniejszą. A może to też chcesz mi odebrać? – mówi, nawet się do mnie nie odwracając.

Naburmuszony złośliwiec.

Rozumiem, że dałam ciała, ale nie musi być aż tak podły. A idź sobie, idź. Sama coś dla nas złowię.

I z tym postanowieniem chwytam naostrzony kij, który od ostatniego połowu Agnara dryfuje przy brzegu. Przyjmuję dokładnie tę samą posagową pozycję co on i czekam. Mijają minuty, drętwieje ręka, nogi uginają się w kolanach, robi mi się słabo. A ryb brak. Chce mi się płakać. W życiu nie byłam taka głodna. Jakim cudem gatunek ludzki dotrwał do obecnych czasów? Przetrawanie bez rolnictwa, hodowli, maszyn wydaje się w tym momencie niemożliwe. Jeśli wierzyć teorii ewolucji i australopiteki są faktycznie naszymi przodkami, to przez cztery miliony lat udawało nam się żyć w skrajnie survivalowych warunkach. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę wyłącznie czas od powstania homo sapiens, minęło trzysta tysięcy lat. Dlaczego więc współczesny człowiek nie zachował podstawowych umiejętności, które posiadali nasi przodkowie? Dlaczego w prymitywnych warunkach tak trudno zdobyć nam wodę, pożywienie, zapewnić sobie ciepłe ubranie i schronienie? Coś w pewnym momencie poszło nie tak. Jesteśmy ludźmi, do diabła! Mamy supermózgi, dzięki nim latamy w kosmos, robimy zakupy online, produkujemy masowo jedzenie i dobra, których nawet nie jesteśmy w stanie skonsumować, nasza technologia i cywilizacja rozwinęły się tak dynamicznie, a zarazem ekspansywnie, że zaczęły zagrażać całej planecie. Tymczasem my dwoje, ludzie niegłupi, nie potrafimy przeżyć kilku dni na jakiejś pieprzonej greckiej wysepce, gdzie nie zagrażają nam tygrysy szablozębne ani złe warunki pogodowe. Jedyнным dzikim zwierzęciem, którego wystraszyłam się tu na śmierć, był kozioł. KOZIOŁ, kurwa! Telepię się z zimna w nocy przy piętnastu stopniach Celsjusza. NA PLUSIE!

Jesteśmy słabi. I nie mam na myśli tylko siebie i Agnara, bo jestem pewna, że moja siostra, córka, matka czy były mąż poradziliby sobie jeszcze gorzej od nas. Jesteśmy słabi jako gatunek. Pytanie brzmi: kiedy, u licha, utraciliśmy tak niezbędną zdolność do przetrwania w prymitywnych warunkach i dlaczego? A niech teraz coś pierdolnie. Przykładowo – trzecia wojna światowa z użyciem broni jądrowej, meteoryt, zemsta matki natury jak w *Luonto*. Ci, którzy fartem przeżyją, zostaną z palcem w dupie. Nie odbudujemy już świata na nowo. Wiemy, jak obsłużyć w domu płytę indukcyjną, ale nie radzimy sobie

z rozpaleniem na pustkowiu ognia bez iskry. Umieemy przyrządzić pieczeń w piekarniku, a głodujemy w dziczy. Nie jesteśmy w stanie zapewnić sobie tego, co potrafili nasi przodkowie. Jakim więc cudem mielibyśmy przetrwać, kiedy wszystko, co tworzyliśmy przez tysiące lat, zostałoby nagle zniszczone? Nie będzie wyszukiwarki Google, żeby wpisać pytanie: „Jak złowić rybę bez wędki i ją wypatroszyć?”. Szczerze? Sama nie mam zielonego pojęcia, jak to zrobić. Do tej pory kupowałam gotowe filety i obrobione tusze w markecie. Cała nadzieja w Agnarze, że się tym zajmie. Jeśli tylko coś uda mi się złapać.

– Jest białko! – rozlega się niespodziewanie jego wołanie.

Zerkam w stronę plaży. Radwan kroczy dumnie z kawałkiem drewna w rękach. Niesie je z namaszczeniem jak berło na koronowanie królowej. Wyteżam wzrok, nie dostrzegam niczego, co nadawałoby się do jedzenia. Walczę ze sobą. Podejść do niego czy stać dalej w bezruchu? Spoglądam w dół. Wokół mnie pływają wyłącznie pojedyncze nitki glonów. Nie ma czego spłoszyć. Ciekawość zwycięża.

Ruszam do obozowiska, gdzie mój towarzysz siedzi po turecku i dłubie patykiem w spróchniałej beli. Podchodzę bliżej, przyglądam się i nagle zamieram, bo Agnar właśnie wkłada sobie ów patyk oblepiony robalami do ust!

– Co ty jesz?

– Termity. Mają więcej białka i żelaza niż wołowina. Chcesz spróbować?

Gapię się z niedowierzaniem, jak Radwan przeżuwa, i wtem zauważam małego robaczka, który spaceruje po jego policzku. Instynktownie doskakuję i walę w niego z plaskacza tak mocno, aż prąd przechodzi mnie od nadgarstka do łokcia.

– Mam cię. – Zerkam na wnętrze dłoni. – Zabity. – Pokazuję Agnarowi zmiażdżonego termita.

Niebieskie tęczówki błyskają niebezpiecznie, czarne źrenice wypalają mi dziurę w czole. Na policzku rozchodzi się różowa plama.

Ups. Chyba trochę mu przyjechałam.

– Sorry. Miałeś robaka na twarzy.

– Owada – wymawia przez zaciśnięte zęby.

– Co?

– Termity to owady. – Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Zwał, jak zwał. Nie jestem zoologiem, ale to coś nie wygląda na jadalne.

– Masz rację.

– Mam?

– Nie jesteś zoologiem. – Wsuwa patyk do zmurszałego drewna, wygrzebuje jasne robaki (poprawka: owady!) i wkłada je do ust.

A ja mam odruch wymiotny. Odwracam się od obrzydliwego widoku.

– Jesteś pieprzony.

– Jestem głodny. A to w niektórych regionach Afryki, Australii i Ameryki Południowej stanowi przysmak.

– Agnar Makłowicz-Cejrowski poleca – pryham i usiłuję oddychać głęboko, żeby pozbyć się mdłości. I choć cały czas patrzę na morze, to nadal mam przed oczami wspomnienie Radwana żrącego robale (poprawka po raz drugi: owady!!!). – Byłeś tam chociaż, że tak się wymądrzasz? Widziałeś, jak je jedzą?

– Byłem. Widziałem. I sam jadłem je w Wenezueli.

– Termity?

– Tak, ich larwy nazywane są buszmeńskim ryżem.

– Dziękuję za obrzydzenie ryżu.

– Nie smakują jak ryż. Są kwaśne z powodu kwasu mrówkowego, za to posiadają dużą dawkę witaminy C. Może jednak spróbujesz? Tylko musisz uważać, niektóre osobniki mają szczęki i mogą ugryźć w język.

O Boże, niech on już przestanie!

– Zdecydowanie wolę jedzenie, które nie pogryzie mnie podczas posiłku. Idę łowić. – Nawet na

niego nie zerkam, wracam do wody.

I stoję.

I czekam. Staram się nie ruszać, ale marnie mi idzie. Czuję zimno, morzą mnie głód i wyczerpanie. Spinam jednak poślady, bo Agnar właśnie do mnie dołącza w pasjonującej czynności łowienia w bezruchu. I stoimy razem. I czekamy razem. Jak totalni idioci. Gdyby to był kadr z filmu *Gdzie jest Nemo?*, wszystkie okoliczne ryby obserwowałyby nas teraz z ukrycia i drwiły: „Ale głupie te człowieki. Ubaw po płetwy”.

Zerkamy na siebie z rezygnacją, lecz żadne nie zamierza poddać się jako pierwsze. Wzdycham ciężko. Agnar mi wtóruje. Wokół ani jednej ryby. Czyżby poszły spać? Słońce powoli zachodzi, może to ich pora, żeby udać się na spoczynek?

Dobra, szkoda zdrowia. Jebać to, pójdę spać głodna.

Już mam wychodzić, kiedy nagle dostrzegam tumany piachu poruszające się tuż przy dnie. Serce zaczyna mi szybciej bić.

– Pst – daję jak najciszej znać Agnarowi, wskazując wzrokiem zawirowania wody.

Radwan od razu zerka w tamtym kierunku. Jego brwi unoszą się wysoko.

– Płaszczka – wymawia niemo i powraca do mnie spojrzeniem.

Patrzemy sobie w oczy przez chwilę, jakbyśmy chcieli porozumieć się telepatycznie, ale nie słyszę w głowie jego głosu i on chyba mojego też nie. Bo ani nie przytakuje, ani nie zaprzecza, kiedy pytam go w myślach: Atakujemy ją?

A pytanie to jest zajełście ważne. Bo płaszczka to nie jakaś tam zwyczajna rybka. To pieprzony mutant, który prócz tego, że wygląda jak statek obcych (co samo w sobie napawa niepokojem), to posiada długi ogon z kolcem jadowym. Jak bardzo jest toksyczny? To zależy od gatunku. Nie znam się na płaszczkach, nie potrafię ich od siebie odróżnić, za to pamiętam, jak znany przyrodnik z *Animal Planet* i prezenter telewizyjny Steve Irwin zginął od przebiccia klatki piersiowej kolcem jadowym, który trafił w serce. Skoro nieustraszony i obeznany ze światem zwierząt łowca krokodyli padł ofiarą płaszczy, to marnie widzę nasze szanse na bezpieczne starcie z pływającym spodkiem zakończonym śmiertelnie groźnym biczem.

Agnar najwyraźniej nie słyszał o tragicznej śmierci Australijczyka, bo niespodziewanie robi zamach dzidą i zanurza ją pod wodę. Płaszczka umyka przy dnie, a we mnie najwidoczniej wstępuje pierwotny instynkt przetrwania, bo próbuję dźgnąć ją swoim patykiem... I chybiam. Niech to szlag! Ryba jednak nie odpływa za daleko. Wabi nas. Kusi. Krąży wokół. Mój pusty żołądek alarmuje zmysły. Przed oczami widzę już usmażoną rybkę na talerzu, z frytkami, keczupem, surówką z kiszzonej kapusty. Czuję jej zapach, smak.

– Musimy ją zjeść – postanawiam na głos.

– No to do ataku.

Następuje wyrzut adrenaliny. Oboje wpadamy w dziki szał polowania.

Przez kolejne kilkadziesiąt sekund naparzamy patykami w rybę, próbując nabicić ją na któryś z kijów. A ta umyka. Odskakujemy raz po raz, chroniąc nogi przed zabójczym biczem. Emocje sięgają zenitu. Krzyki niosą się po morzu.

– Celuj!

– Ucieka!

– Widzę ją!

– Jest przy mnie.

– Uważaj na ogon.

– Uważam.

– Teraz!

Uderzam z całych sił.

– Mam! Mam! – Trzymam dzidę wbity w tułów płaszczy tak mocno, aż trzęsą mi się ręce. Serce mi wali.

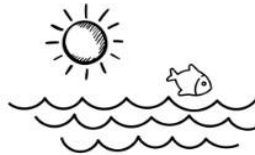
Ryba się szarpie, wije, miota. Agnar wykonuje zamach swoim kijem i zadaje śmiertelny cios. Kłęby krwi unoszą się z dna. Płaszczka leży nieruchomo. Trzeba przyznać, że w swej nietypowej



brzydocie ryba ta jest piękna. To znaczy była. Teraz jej widok jest zwyczajnie smutny. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Pływała sobie bez troski, wolna, szczęśliwa, pełna życia, a my ją bestialsko zamordowaliśmy.

– Pora się najść. Mamy pożywienia na dwa dni. – Agnar wyciąga z wody okazałych rozmiarów cielsko, a moje wyrzuty sumienia momentalnie ustępują miejsca pragnieniu zaspokojenia przemożnego głodu. – Idź dorzucić do ognia, a ja się nią zajmę. – Zarzuca sobie płaszczkę na plecy i rusza w stronę plaży.

Obserwuję go, jak odchodzi, i sływa na mnie uczucie ulgi zmieszanej z wdzięcznością. Być może Radwan bywa złośliwy, sztywny i opryskliwy, ale przynajmniej zna się na survivalu. Coś mi się zdaje, że lepiej nie mogłam trafić.



– W życiu nie jadłam niczego pyszniejszego. – Pochłaniam rybie mięso tak łapczywie, aż parzę sobie język i podniebienie.

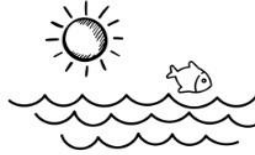
Agnar nawet nie odpowiada, tylko pożera swoją porcję, mrużąc przy tym jak niedźwiedź.

Zapach pieczonej ryby unosi się nad ogniem. Zjedliśmy dopiero jedną trzecią tego, co zostało po wypatroszeniu, a ja już jestem pełna. Nie przeszkadza mi brak soli, cytryny, dodatków w postaci frytek, chleba czy surówki. Jestem zadowolona z tego, co mam. Dopiero w takich chwilach jak ta człowiek docenia dobra, z których nie zdaje sobie sprawy na co dzień. Pomijam wygodne łóżko, ciepły prysznic, mydło, szampon, pastę do zębów czy choćby maszynkę do golenia. Jestem w stanie zaakceptować, że stopniowo zaczynam przypominać kobietę pierwotną – potargane włosy, majty wyprane na cieple w wodzie morskiej, pojedyncze włoski na brodzie i meszkowaty wąsik, czarny język na nogach, pod pachami i w pachwinach. O tak, w miejscach intymnych zaczyna dziać się nieciekawie. Gdyby ktoś zobaczył mnie teraz nagą, mógłby wręcz zarymować: „Gęsty las, ciemny bór, weź tę pizdę w końcu zgól”.

Bujne owłosienie to moja odwieczna zmora. Ojciec podarował mi je w genach wraz z ciemną karnacją. Dwa dni bez maszynki i pincety, a upodabnam się do wspomnianego wcześniej australopiteka. Próbowalam lasera – mam alergię. Przez trzy tygodnie od pierwszego zabiegu wyglądałam jak truskawka i tak kurewsko swędziała mnie skóra, że miałam ochotę ją z siebie zedrzeć żywcem. Nigdy więcej! Krem śmierdzi, depilator boli, plastry to czysty masochizm. Teraz oddałabym za nie półroczną pensję.

Ale to nic w porównaniu z uczuciem, które mnie prześladowa, kiedy myślę o wodzie pitnej i jedzeniu. Ich obecność w moim życiu wydawała się naturalna. Jak to możliwe, że ich nie doceniałam? Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo są istotne i niezastąpione? Miałam je za pewnik! Ile razy wyrzucałam resztki ziemniaków, zupę czy mięso po obiedzie, choć mogłam je wykorzystać do zrobienia kopytek, innej zupy czy gulaszu na następny dzień. Wylewałam wodę mineralną do zlewu, bo stała zbyt długo po otwarciu, a tak naprawdę była jeszcze zdatna do spożycia po zagotowaniu. Robiłam zakupy na wyrost, zawałając lodówkę jedzeniem, którego spora część ostatecznie lądowała w koszu, bo nie zdążyliśmy go zjeść przed upływem terminu ważności. Takie marnotrawstwo, taka szkoda, taka niegospodarność i krótkowzroczność!

Biorę kolejny kęs ryby i delektuję się smakiem oraz uczuciem sytości. Jestem taka szczęśliwa, że udało nam się ją złapać, upiec i zjeść, aż zbiera mi się na płacz. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo byłam głodna. I najwyraźniej mój żołądek drastycznie skurczył się przez tych kilka dni postu, bo nie zjadłam aż tak dużo, a czuję się naprawdę najedzona. Krew odpływa mi z całego ciała do jamy brzusznej, ogarnia mnie senność. Dokańczam jednak to, co zostało na moim prowizorycznym talerzu, którym jest kawałek sosnowej kory. Czynię to z uśmiechem na ustach, w niepojętej błogości i wdzięczności do Boga oraz Agnara za sycącą strawę. Mój mózg zaczyna wracać do formy. Zaraz będę formułować myśli trzynastogłoskowcem. Albo i nie. Bo gdy tylko przełykam ostatni kęs, zwałam się jak kłoda na piach i momentalnie zasypiam.



Mam wilgotno w majtkach. Pierwsza myśl: sen erotyczny.

– Jesteś mokra – mówi Agnar.

Druga myśl: sen erotyczny z udziałem Radwana.

– No wstajesz wreszcie czy zamierzasz dryfować tak do południa? – odzywa się tym razem głośniej.

Uchylam lekko powieki. Ledwo wstaje świt. Czuję, że bluza klei mi się do ciała, jest mi cholernie zimno, stopy mam lodowate, wręcz skostniałe.

– Musimy się przenieść. Ogień przepadł. Ryba też. – Agnar krząta się nerwowo.

– O czym ty mówisz? – Ziewam przeciągle, podpieram się na łokciach, żeby wstać, a te grzęzną w wilgotnym piachu. Spoglądam w dół i zachłystuję się powietrzem. – Jasna cholera, zalało nas! – Zrywam się na równe nogi.

Mój wzrok przebiega po mokrej plaży i aż chce mi się zawyć z niemocy. Napis „SOS” zniszczony, ognisko zgaszone, po naszej kolacji, która miała być też śniadaniem, ani śladu. Zaczynam się trząść i szczękać głośno zębami.

– Co ci jest? – Agnar zerka na mnie z ukosa, przeglądając w kuckach ocalałe rzeczy.

– Zimno w chuj. – Otulam się ramionami.

– A mnie w stopy. – Wraca do przerzucania naszego dorobku.

Chwilę mi zajmuje, zanim łapię jego durny żart. Już mam mu wygarnąć, że lepsza baba z chujem niż facet bez jaj. Ale tych akurat Agnarowi nie można odmówić. Zarówno metaforycznie, jak i empirycznie. Wiem, co mówię. Moje oczy widziały i potwierdzają.

– Nie mogę znaleźć dużej butelki. – Jego głos przerywa moje głębokie rozmyślenia.

– Jak to: nie możesz znaleźć? – Rozglądam się.

– Musiała odpłynąć. – Wodzi wzrokiem po plaży, a na mnie pada błądy strach.

– To czym będziemy nabierać wodę?

– Zostały nam tylko mała butelka i miska. Problem będzie z ilością i filtrowaniem.

Nie mogę w to uwierzyć. A może nadal śnieć? Szczypię się w rękę, ale ewidentnie to nie sen.

– To jakiś koszmar. Jak to w ogóle możliwe, że nie poczuliśmy przyływu?

– Nie wiem.

– Myślisz, że zdarza się tu regularnie?

– A wyglądam ci na meteorologa? – odburkuje i pakuje nasze rzeczy do plecaka.

– Przestań mówić do mnie takim tonem. – Ściągam z siebie mokrą bluzę.

– Co jest nie tak z moim tonem?

– Jest naburmuszony. To nie moja wina, że nas zalało. Też mnie to wkurza, co nie oznacza, że się na tobie wyżywam. Mógłbyś być dla mnie nieco miłszy.

Agnar podnosi wzrok.

– Nieco miłszy.

– Tak.

Mruży oczy.

– Wybacz, że cię uraziłem. Czy możesz w takim razie ruszyć swój tyłeczek i poszukać naszej butelki? Grzecznie proszę. No chyba że zamierzasz transportować wodę w swych cudownych dłoniach albo umrzeć z pragnienia – wymawia każde słowo powoli i dokładnie, po czym wbija we mnie niebieskie ślepia i dodaje: – Było wystarczająco miło?

Waż.

– Nie musisz być złośliwy. – Rozglądam się. – Gdzie niby mam jej szukać? W morzu?

– To plastik. Powinna się unosić na powierzchni.

Biorę głęboki wdech i wypuszczam głośno powietrze. Zaczyna się napięciowy ból głowy.

– Nadal nie pojmuję, jak mogliśmy się nie obudzić. – Masuję nasadę nosa, ale to nie pomaga. – Byliśmy zbyt zmęczeni? Za bardzo najedzeni?

– Może jedno i drugie. Nie ma sensu tego roztrząsać. Trzeba założyć nowy obóz.

Podnoszę na niego oczy.

– Nowy? Gdzie?

– Gdzieś, gdzie nie będzie nas zalewać.

– I nie zjedzą nas robale.

– I zauważy nas helikopter oraz łódź.

– Czyli las odpada – stwierdzam. – Może zachodnie wybrzeże? Jeszcze tam nie byliśmy, a skoro przyплыw był ze wschodu, tam będzie bezpieczniej.

– Dobra myśl.

Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni. Ewentualnie.

– Możesz powtórzyć? Aż muszę to usłyszeć ponownie.

– Co?

– Jak mówisz do mnie: „Dobra myśl”.

– Po co?

– Ustawię sobie jako dzwonek w telefonie.

– A nie padła ci komórka?

– Spadaj.

Odwracam się i rozglądam. Choć szczerze nie znoszę tej wyspy, to do tej pory ta plaża wydawała się najlepszym miejscem, żeby wypatrywać pomocy. Przywiązałam się do niej. Nierozsądnym jednak byłoby tu dalej czekać na ratunek. Zmoczyło nas raz, może zmoczyć i drugi. Mieliśmy szczęście, że przyплыw nas nie potopił.

Przesuwam spojrzeniem po brzegu i nagle w zagłębieniu między dwoma skałami dostrzegam dryfujące śmieci.

Agnar mnie o coś pyta, ale ja mu nie odpowiadam, tylko ruszam w stronę znaleziska.

– Idziesz szukać butelki? – odzywa się ponownie.

– Chyba mam coś więcej. – Zaczynam biec. Czuję podekscytowanie. Serce przyspiesza rytm. Słyszę, że Radwan podąża za mną.

Z każdym krokiem, kiedy zbliżam się do skałek, a moim oczom ukazują się zdobycze wyrzucone przez morze, mój nastrój się poprawia. Może jednak ten przeklęty przyплыw okazał się zbawieniem, a nie katastrofą?

Coś mi się zdaje, że nie tylko ja mam takie wrażenie, bo Agnar mnie wyprzedza, wbiega do wody i dorywa się do śmieci jak dzieciak do prezentów pod choinką.

– To sieć. – Zaczyna wyciągać poplątane sznurki.

– I cztery butelki. Dwie z korkami! – Wyławiam plastiki i zauważam błysk metalu na plaży.

Wychodzę z wody, okrążam skałki i moje serce robi radosny podskok.

– Puszka! – Łapię znalezisko, które może służyć jako dodatkowe naczynie do gotowania. Po chwili mój wzrok pada na kolejne zdobycze. O ja pierdzielę! – Mam reklamówkę i plastikowe wiadro! – drę się na całe gardło. Torba nie jest w idealnym stanie, ma kilka dziurek, lecz na zbiór hort i owoców nada się znakomicie. Wiadro natomiast wygląda na szczelne.

– Jest też linka druciana. Zaplątała się w sieć – dopowiada Agnar.

– Ale łupy. – Wrzucam butelki z puszką i foliówką do wiaderka. – Pokaż swoje. – Zostawiam skarby na plaży i wracam do wody. Buzia sama mi się śmieje. W życiu bym nie przypuszczała, że śmieci mogą sprawić taką radość.

– Muszę wyciągnąć całość na brzeg. – Szarpie się ze sznurkami, które zaczepiły się o skałę.

– Pomogę. – Zaczynam rozwiązywać razem z nim.

Widzę po wyrazie jego twarzy, że też jest zadowolony ze znaleziska. Co prawda nie uśmiecha się, ale jak na swój flegmatyczny styl bycia, jest nad wyraz ożywiony.

– Do czego wykorzystamy linkę? – pytam.

– Do drewna.  
– A dokładnie? – Przekładam siatkę przez jego ręce, a on odwiązuje kolejny supeł.  
– Zrobię z niej piłę strunową.  
– Piłę? Niby jak?  
– Wyrzeźbię rączki z drewna i przywiąże je do końców linki. Będziemy mogli przeciąć większy bal drewna.  
– Umiesz rzeźbić?  
– Umiem. – Uwalnia plecionkę. – Na razie musimy poszukać nowego miejsca na obóz.  
– Jak zabierzemy się z tą siecią? To kawał drogi.  
– Nie masz siły? – Rzuca płataninę sznurków na piach.  
– Mam. Jestem najedzona, wyspana i dziwnie podekscytowana. Tylko zastanawiam się, czy damy radę wszystko udźwignąć. To jakieś kilkanaście kilometrów marszu. Nie znamy terenu...  
– Musimy spróbować. Nie zostawię tu sieci, a wracanie jedynie po nią to strata energii.  
– Wiem. – Pocieram ręką czoło. – Najlepiej by było, gdyby sieć nieco przeschła, będzie lżejsza.  
– Racja. – Rozwiązuje sznurki. – Ja zajmę się siecią, a ty zagrzej wody. Diabelnie mnie suszy.  
– Superplan. – Klepię go po plecach z udawanym entuzjazmem. – Zupełnie jakbyś kazał współnikowi wejść do banku bez spluwy, zgarnąć kasę i uciec z łupem, podczas gdy ty będziesz czekał na niego w aucie trzy skrzyżowania dalej.  
– Nie rozumiem. – Rozplątuje dalej.  
– Jak mam to wszystko sama ogarnąć? Nie mamy ognia, suchego drewna ani wody. Zapomniałeś?

Podnosi na mnie wzrok. Mruga. Najwyraźniej dociera do niego sens moich słów, bo wzdycha ciężko.

– Cholera. Racja.

Ręce mu opadają. Z rezygnacją ciska sieć na piach. Ma tak rozczarowaną minę, aż mi go żal. Patrzy na śmieci jak archeolog na unikalne znalezisko. Czyżby nowe zdobycze pochłonęły go tak bardzo, że zapomniał o bożym świecie i wyparł z pamięci poranną katastrofę? Po sobie bym się tego spodziewała. Po nim – w życiu. Hm, może nie różnimy się od siebie tak bardzo, jak sądziłam?



A jednak się różnimy. I to tak znacząco, że gdybym ja była inteligentnym, rasowym kotem, on byłby głupim, skundlonym psem. Zero sprytu, refleksu i wyostrzonych zmysłów. Zaraz wydrapię mu oczy!

– Mówiłam, że coś słyszę. Przez ciebie odlecieli!

– Mogłaś sama biec. – Agnar dyszy, pot leje mu się po skroniach.

– Nie mogłam! Byłam w krzakach za potrzebą!

– Trzeba było podciągnąć gacie i gonić helikopter. – Podnosi ze ściółki sieć i zarzuca ją na plecy.

– A żebyś wiedział. Potwierdza się, że najlepszy skutek odnoszę, kiedy wszystko robię sama.

Zaciskam zęby tak mocno, aż trzeszcza. Nie dość, że się nie wysrałam, to jeszcze przez moje zatwardzenie przegapiliśmy kolejną szansę na ratunek. Choć jeśli mam być szczerą, wątpię, żeby udało mi się dobiec do zachodniej plaży, gdybym znajdowała się w takiej samej sytuacji co Agnar. Zanim pozbył się bagażu i popędził w stronę wybrzeża, helikopter już był hen, hen daleko. Słyszałam go zaledwie przez kilkanaście sekund.

Czuję, jak zaczyna mnie boleć żołądek. Nie wiem, czy to z powodu stresującej sytuacji, czy dlatego, że ostatnio numer dwa robiłam w hotelu, czyli... Liczę dni i nagle do mnie dociera, że straciłam rachubę.

– Który dzisiaj jest?

– Nie wiesz? Sądziłem, że ze wszystkim sobie świetnie sama radzisz. Łącznie z liczeniem dni. –  
Rusza w stronę plaży.

Pacan.

– Zegarek i komórka padły mi dwa dni temu... – zaczynam głośno myśleć, drepcząc za Radwanem. – Dziwiłam się, że wytrzymały aż cztery dni bez ładowania. A to oznacza, że...

– Jutro mija tydzień – dopowiada lodowatym głosem Agnar.

A mnie zmraża. I wcale nie od jego tonu ani od tego, że od wczoraj temperatura znacznie spadła i marzną. Przeraza mnie, że jesteśmy tu już tak długo.

Przystaję. Biorę głęboki wdech. Mam lodowate stopy i dłonie. W piersi zaś tli się żar.

– Po jakim czasie zaprzestaje się poszukiwań? – wymawiam ze ściśniętym gardłem.

Radwan poprawia sieć i zerka na mnie przez ramię.

– Nie mam pojęcia. Pewnie zależy od determinacji i środków finansowych rodziny. Czy to coś zmienia, ile będą nas szukać?

– No pewnie.

– Co?

On tak na serio pyta?

– Wszystko!

Zatrzymuje się i odwraca w moją stronę.

– Czy dzięki temu będziemy mieli picie, jedzenie i miejsce do spania?

Patrzę na niego i nie rozumiem, o co mu chodzi.

– No przecież kiedy nas znajdą, będziemy mieli, czego dusza zapagnie.

– Jeśli nas znajdą. Mogą nas szukać, ale nie odnaleźć. Dwa razy mieliśmy szansę na ratunek, mimo to nadal tu jesteśmy. Zdani całkowicie na siebie. Sami musimy zadbać o własne przetrwanie. Nikt nie robi tego za nas, choćby latał śmigłowcem dzień i noc nad Morzem Egejskim.

– Sugerujesz, że mamy się poddać? Uznać, że nikt nas nie szuka? Stracić nadzieję?

Kręci głową.

– Tego nie powiedziałem. Ale musimy być realistami. Skoro do tej pory nie trafili na nasz ślad, szanse na ratunek z każdym dniem maleją. Musimy przestać myśleć o tym miejscu jak o chwilowym przystanku i zacząć je traktować jak tymczasowy dom. Jutro mija tydzień, a my nie mamy stałego dostępu do wody pitnej i pewnego źródła jedzenia. A co, jeśli będziemy musieli tu zostać przez kolejne siedem dni albo czternaście? Kałuża jest pusta, zjedliśmy wszystkie pigwy, noce robią się coraz chłodniejsze. Jeśli nie podejmiemy metodycznie do dalszego pobytu na wyspie, to padniemy z pragnienia, głodu albo dostaniemy zapalenia płuc.

– Przecież umiemy już polować na ryby.

– Stać i czekać. To zbyt czasochłonne i wyczerpujące.

– Teraz mamy sieć. Możemy złowić więcej w krótszym czasie.

– Otóż to. Dzięki żyłce możemy ściąć mniejsze drzewa i zbudować szałas, który ochroni nas przed zimnem.

– W zasadzie... Przydałby się jakiś daszek nad głową.

– Dzisiaj jesteśmy najedzeni wczorajszą kolacją. Mamy siłę i energię. Trzeba to wykorzystać.

Przede wszystkim musimy rozglądać się za wodą.

– Problem w tym, że w lesie jest sucho jak na pustyni. Ze wzgórza widziałam drzewa liściaste, ale one rosły bliżej wybrzeża. Może tam podłoże będzie bardziej mokre.

– No to w drogę. Wiemy, co mamy robić. – Odwraca się, poprawia sieć i rusza przed siebie.

A ja za nim. Zaskakująco zmotywowana.



Moja motywacja wzrasta dwukrotnie, gdy tylko wchodzimy w liściasty gaj. A to dlatego, że po pierwsze: gleba jest mniej sucha niż w borze sosnowym. To oznacza, że szanse na pozyskanie wody rosną. A po drugie: rosną tu figowce! Co prawda owoce już opadły, ale na ziemi jest ich jeszcze multum. To oznacza, że zyskaliśmy nowe źródło pożywienia bogatego w witaminy, żelazo, wapń, magnez, potas i cukier. Po takiej wyzerce na bank się wysram. Ta perspektywa tak mnie podnieca, że uruchamia nowe pokłady kreatywności.

– Po co tam włączysz? Zbieramy z ziemi. Na drzewach już nic nie ma. – Agnar podnosi wzrok, kiedy zaczynam wdrapywać się na figowiec.

– Są liście. Grube, wielkie. Idealnie się nadają.

– Nadają do czego?

– Uszyję nam kołderki.

– Kołderki?

– Tak. Żebyśmy mieli pod czym spać.

– A czym zamierzasz je szyć?

– Zrobię dziurki w każdym liściu i połączę je linami. Mamy akurat dwie. – Chwytam za gałąź i zapieram się nogą o ułamany konar.

– Nawet o tym nie myśl.

– Dlaczego?

– Liny wykorzystam do budowy szałas.

– A czemu to niby ty masz o tym zdecydować, do czego zostaną użyte?

– Bo przytargałem je na własnych plecach z łodzi. Poza tym są za masywne, porozrywają liście.

– Zbiera figi z podłoża.

Czuję, jak drętwieją mi ręce. Podciągam się wyżej i siadam na grubej gałęzi. Uspokajam oddech. Niby takie niepozorne drzewko, a wspięcie się na dwa metry solidnie mnie zmęczyło. Zrywam liść, oglądam go z każdej strony i robię w nim dziurę palcem. Zastanawiam się przez chwilę nad słowami Agnara i z rozżaleniem muszę przyznać mu rację. Linka będzie zbyt toporna. Zaczynam zbierać jeden po drugim, kombinując, czym je związać. Myślę, mózg mi paruje, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Gdy mam już pełne ręce materiału na uszycie kołderek, narasta we mnie tak wielka frustracja, że się poddaję i pytam o zdanie Agnara:

– To czym powinnam je ze sobą połączyć?

– To ty jesteś tu projektantką. Ja bym w życiu nie pomyślał o zrobieniu kołderki z liści. – Wrzuca garść owoców do reklamówki.

– To pomyśl. Możesz zostać współtwórcą. Opatentujemy to razem.

– Skoro tak. – Prostuje się, wyciera figę o koszulkę i pakuje ją sobie do ust. Przeżuwa, mruży oczy i przesuwając po mnie takim spojrzeniem, jakby rozbierał mnie wzrokiem. – Możesz wykorzystać swoją siatkę na motyle – oznajmia.

Odruchowo zerkam na siebie i w tej samej chwili tyłek ześlizguje mi się z gałęzi.

Lecę! Nie zdążam nawet krzyknąć i wpadam wprost w ramiona Agnara. Deszcz liści szeleści. Serce bije mi jak szalone. Leżę na rękach Radwana i staram się uspokoić oddech.

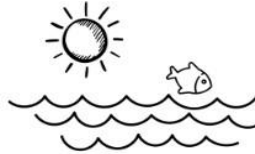
– Który to już raz cię ratuję? – odzywa się z wyższością, tonem pełnym łaski.

– To dwa metry. Nic by mi się nie stało, gdybyś mnie nie złapał. – Próbuję zgrabnie się wyswobodzić, ale nie sięgam stopami do podłoża. – Postaw mnie.

Agnar mnie puszcza i w tej samej chwili rozlega się dźwięk prutego materiału. Staję o własnych nogach, zerkam na siebie.

– Rozprułeś mi sukienkę! – Przyglądam się rozdarciu od kolan aż po brzuch.

– Przynajmniej masz już nici na kołderki. Zabieraj swój materiał i ruszamy dalej.



Gdy tylko docieramy do wybrzeża, naszym oczom ukazują się malutka kamienista plaża i niskie klify, które niejako zasłaniają zachodnią część wybrzeża od pozostałych stron świata. Ręce nam opadają. Na takim terenie nie sposób normalnie żyć. Jak mamy niby chodzić, siedzieć, spać na kamieniach? Wchodzenie do wody też odpada, bo za ślisko, za dużo jeżowców. No chyba że w butach, ale wtedy te będą ciągle mokre. Pomijam, że przez klify nikt nas tu nie dostrzeże, jeśli nie będzie nadlatywał z zachodu.

Opadamy na kamienie, które nieludzko wrzynają się w tyłek. Jesteśmy spragnieni i rozczarowani.

– I co teraz? – Wyciągam figę z leżącej pomiędzy nami reklamówki.

– Musimy obejść klify i znaleźć lepszą plażę. – Agnar też bierze owoc i wkłada go do ust.

– Jestem zmęczona. – Chcę się położyć, ale kiedy moje plecy dotykają gruntu, wzdrygam się z bólu. – Do dupy. Nie mam siły pójść dalej, a tu nie chcę zostać.

– A kopać masz siłę?

– To znaczy?

– Wykopać dół. Gleba w lesie jest wilgotna, może uda się wydobyć wodę.

– Mam zrobić studnię? – Patrzę na niego z niedowierzaniem. – Przecież to zajmie całe wieki.

– Nie, jeśli zrobimy studnię cygańską.

– Czyli jaką?

– Taką, która sięga trzydziestu centymetrów w głąb poniżej poziomu wilgotnej ziemi.

Podejrzewam, że tutaj trzeba będzie zrobić dół o wymiarach pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

– Okej... Masz miarkę i łopatę?

– Mamy puszkę i misę. Miarka to łokieć. Królewski to pięćdziesiąt dwa centymetry, krakowski pięćdziesiąt osiem.

– A Korowy i Agnarowy?

– Pewnie podobnie, plus minus. Trzeba mierzyć od środkowego palca do stawu łokciowego.

– Czyjego?

– Twojego.

– Czyli już postanowiłeś, że ja mam kopać.

– Wolisz szukać miejsca na obozowisko?

Wzdycham ciężko. Za cholere nie chce mi się łązić, a kopać dół mogę równie dobrze na leżąco.

– Tylko pójdz w głąb lasu. Im bliżej brzegu, tym większe prawdopodobieństwo, że natrafisz na słoną wodę – dodaje Agnar, jakby czytał w moich myślach, po czym zabiera ze sobą metalową linkę i scyzoryk. – Wrócę, nim się ściemni.

No ja myślę. Nie ma bata, żebym siedziała tu sama po ciemku.



Pięćdziesiąt mis i sto puszek przesypanej ziemi później udaje mi się dokopać na głębokość łokcia. Wpatruję się w pustą dziurę i mam ochotę się w niej pochować. Ręka mnie rwie niemiłosiernie, dłonie są czarne jak przy pracy na roli, czuję suchość w ustach, ledwo żyję. Niby gleba w dole jest wilgotna, ale po wodzie ani śladu. Najwyraźniej mój zegar biologiczny totalnie się rozregulował, bo czuję narastającą senność. Zawsze byłam sową – kładłam się spać nie wcześniej niż o pierwszej w nocy i z trudem wstawałam o poranku. Tymczasem tutaj od trzech dni odpływam, gdy tylko zaczyna się ściemniać, i budzę się razem z ptakami. Mam wrażenie, że natura przejęła całkowitą kontrolę nad moim dobowym rytmem życia. Czyżbym zaczynała dziczeć?

Opadam na plecy tuż przy dole i zamykam oczy. Wokół spokój. Z oddali słychać szum morza, gdzieś z prawej strony skrzeczy ptak, z lewej rozbrzmiewa cykada. Lekki wiaterek muska mój spocony kark, zachodzące słońce przedziera się przez drzewa i ogrzewa twarz. Dziwne. Jestem głodna, spragniona i zmęczona, ale im dłużej leżę, wsłuchując się w odgłosy wyspy, tym bardziej się rozluźniają moje ciało i umysł. Nie czuję aż tak wielkiej frustracji jak podczas kilku pierwszych dni. Zupełnie jakby organizm przewidywał, że po okresie postu i zmęczenia przyjdzie pora na sycący posiłek i odpoczynek. Przypominam sobie wczorajszą kolację – jakie to było niewiarygodne uczucie najeść się do pełna i usnąć po męczącym dniu. Ta świadomość satysfakcji i spełnienia, że zrobiło się coś wartościowego, dzięki czemu żyje się dalej. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak zadowolona z samej siebie. Dałam radę. Sami zdobyliśmy pokarm – ciężką pracą, wysiłkiem, uporem, wytrwałością. Czy tak właśnie przez większość czasu czuli się nasi przodkowie? Ich głównym celem było przetrwanie, a każde zdobyte pożywienie dawało powód do radości i dumy? Bo jeśli tak, to okazuje się, że naprawdę niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia. Dlaczego o tym zapomnieliśmy? Wybraliśmy natłok cywilizacyjnego szumu, pędu, zdobywania więcej, mocniej, szybciej, żeby zaspokoić potrzeby wyższego rzędu, zamiast trzymać się tych podstawowych, związanych z przetrwaniem i po prostu cieszyć się z drobnych, a zarazem oczywistych we współczesnym świecie rzeczy.

Ło matko, spadł mi cukier i bredzę jak znikowany Unabomber. Dajcie mi kartkę, napiszę własny manifest. Albo zostanę amiszka. Ja, która nie pójdzie do pracy bez pomalowanych rzęs i paznokci, kocha wieczory z winem, pizzą oraz VOD, a przed położeniem się spać sprawdza trzy razy, czy podłączyła komórkę do ładowarki, bo bez telefonu z pełną baterią nie ruszy się z domu.

Co mi jest?! Może to kwestia tego miejsca, które rządzi się zupełnie innymi prawami i wydobywa z człowieka to, co pierwotne. Bez presji, pośpiechu. Jesteś skupiona tylko na jednym – przetrwaniu: zjeść, napić się, wyspać, nie zmarznąć. Reszta nie ma znaczenia.

Biorę głęboki wdech, po nim robię wydech. Chłonę zapach ziemi, świeżego powietrza, morskiej bryzy. I po raz pierwszy od przybycia tutaj napełnia mnie spokój oraz pewność siebie. Gdzieś w głębi czuję, że sobie poradzimy – skoro już raz znaleźliśmy wodę, najedliśmy się do syta, to dlaczego nie miałyby nam się to udać ponownie. Być może to sprawka szumu morza, ptaków i cykad, które wprowadzają sielankowy klimat, ale w tej właśnie chwili jestem pogodzona z wyspą. Rzekłabym nawet, że jest mi teraz całkiem przyjemnie. Tu jest tak... Tak...

– *Jest bardzo, bardzo, bardzo cicho!* – pomrukuje pod nosem piosenkę Maanam. – *Słońce rozpala nagie ciała. Morze i niebo ostro lśni. Dobrze mi, ach, jak dobrze mi. Jem słodkie, słodkie winogrona – nuceę głośniej. – Ty śpisz w moich, w moich ramionach. Morze i niebo ostro lśni. Dobrze mi, ach, jak dobrze mi. – Wstępuje we mnie wokalna moc. – Cykady na Cykladach! – śpiewam głośno. – Cykady na Cykladach! W nocy gwiazdy spadają. A dyskoteka gra...*

– Dyskoteki i winogron nie ma. Ale jest piaszczysta plaża i mięso – rozlega się tuż nade mną tubalny głos, a ja wzdrygam się z przestrawieniem.

Otwieram oczy i pierwsze, co widzę, to zakrwawione ręce Agnara.

– Co ci się stało!?

– A, to. – Zerka na swoje dłonie i przygląda im się, jakby dopiero teraz zauważył, że są we krwi.

– Zabiłem kozła.

– Co zrobiłeś?

– Zabiłem kozła.

Uderza mnie fala gorąca. Podrywam się jak ukłuta szpilką. Momentalnie obezwładniam Radwana, wyciągam scyzoryk z jego kieszeni i jednym ruchem podrzynam mu gardło, sycząc złowieszczo do ucha: „To za kri-kri”.

– Widzę, że mamy co pić. – Niespodziewanie głos niedoszłego trupa wyrywa mnie z morderczej fantazji.

– Hę? – Mrugam. Nadal leżę na ziemi. Otrząsam się z makabrycznej wizji.

– Słodka? – Agnar kuca nad dołem.

– Zabójca kozłat – fukam złowrogo.

– Daj spokój. Woda jest słona czy słodka?



- Jaka woda? – Przekręcam się z pleców na bok, a wtedy mój wzrok pada na wykopaną przeze mnie dziurę napełnioną w jednej czwartej rdzawą cieczą. Gdybym nie leżała, tobym z wrażenia upadła.
- To niemożliwe. Nic tu nie było. – Wpatruję się z niedowierzaniem w dno.
- Ale się napełniło. Cygańskie czary-mary. – Agnar moczy mały palec w wodzie, po czym wkłada go sobie do ust.
- No pojeb.
- Brudny paluch od zwierzęcej krwi do syfiastej wody, a potem do gęby. Widzę, że chcesz mieć powtórkę z rozrywki. I prawidłowo. Posraj się, porzygaj. Należy ci się dożywotnia jelitówka za zbrodnię na niewinnym zwierzęciu.
- Słodka. – Ignoruje mnie i sięga po butelkę.
- Krew czy woda?
- Woda. I ty.
- Ja?
- Tak. Jesteś słodko naiwna. – Zanurza szyjkę w wodzie.
- Nie jestem naiwna.
- Jesteś. Wydaje ci się, że przetrwamy tu o samych owocach, hortach i, jeśli szczęście nam dopisze, złowionej rybie. Potrzebujemy białka, tłuszczu, węglowodanów, witamin i minerałów. Podstawowe czynności podtrzymujące życie, takie jak oddychanie, krążenie krwi, utrzymywanie ciepłoty ciała, nawet myślenie, to wydatek energetyczny na poziomie około tysiąca ośmiuset kalorii dziennie. A my musimy dodatkowo rozpaścić ogień, nazbierać drewno, zbudować szałas, chodzić po wodę, zdobywać pożywienie... To minimum dwa tysiące kalorii. Łącznie na osobę wychodzi jakieś cztery tysiące na dobę. Ryby to dobre źródło energii, ale żadnej akurat nie mamy. Jest za to kozie mięso zawierające białko, tłuszcz i minerały. No i prócz tego jest skóra.
- Nie masz litości. Mało ci, że ograbiłeś go z życia, chcesz jeszcze zachować jego futerko jako trofeum?
- Nie trofeum, tylko okrycie. Powiedzmy, że twoja koncepcja kołderki z liści mnie nie przekonała.
- Zamierzasz garbować koziołka?
- Nie mam garbnika, ale namoczenie w wiadrze z gorącą wodą i popiołem powinno zmiękczyć skórę. Wyczyszczę ją scyzorykiem, ściągnę martwą tkankę i resztki mięsa, trąć o naostrzony pień drzewa, a później wypłuczę w morzu. Dym znad ognia zakonserwuje skórę, słońce wysuszy i jeśli dobrze pójdzie, jutrzejszą noc spędzę pod ciepłą kołdrą. – Zakręca korek.
- Pomijam fakt, że na samą myśl o wyprawianiu koziołka jest mi niedobrze i mam ochotę płakać. Zastanawia mnie jednak, skąd Agnar wie tak dużo o sztuce rozpalania ognia, zdobywaniu wody, patroszeniu ryb, skórowaniu zwierząt... Takich umiejętności nie nabywa się, pracując w korporacji.
- Gdzie się tego nauczyłeś?
- Nabierania wody do butelki? To nie takie trudne. Sama spróbuj. – Podaje mi pusty plastik.
- Nie kpij. Wiesz, o czym mówię. Te wszystkie survivalowe umiejętności, polowanie, łowienie.
- Skąd to znasz?
- Z życia.
- W mieście?
- A skąd wniosek, że żyję w mieście?
- To gdzie?
- Nad jeziorem Lomsjøen.
- W Norwegii?
- Mhm.
- I co tam robisz?
- Zajmuję się leśnictwem, myślistwem i łowieniem ryb.
- Ale z czego żyjesz?
- W Norwegii osiemdziesiąt procent lasów jest prywatnych, drewno jest w cenie.
- Masz własny las?

- Dziadek zostawił mi dwa tysiące hektarów zalesionego terenu. Dużo mnie nauczył. Umarł trzynaście lat temu, wtedy wprowadziłem się do jego leśniczówki na stałe. Dobrze mi to zrobiło. Rozszerzam oczy.
- Czyli ty naprawdę nie pracujesz w firmie ojca.
- Pracowałem kiedyś. I to dawno temu. Nigdy więcej.
- To co tu robisz?
- Aktualnie nabieram wodę.
- Przestań. Dlaczego znalazłeś się w Grecji zamiast Markusa?
- Już mówiłem. Pomagam mu.
- A powiesz mi wreszcie, dlaczego trafił do szpitala?
- Z powodu przedawkowania. Aresztowali go za posiadanie narkotyków. – Zakręca butelkę, wstaje i wkłada ją do plecaka.
- A mnie zmraża. Jasna cholera. Tego się nie spodziewałam.



Docieramy do nowej miejscówki w milczeniu. Nie wypytuję o Markusa, chociaż język aż mnie świerzbi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Kiedy moim oczom ukazuje się plaża jak z pocztówki, szczeka mi opada. Jest urokliwa, niewielka, osłonięta z trzech stron niskimi klifami wynurzającymi się z morza. To ma swoje plusy, bo jesteście chronieni od wiatru i słońca, ale dostrzegam też znaczący minus.

– Nikt nas tu nie wypatrzy – zauważam, stawiając wiadro z napełnionymi butelkami. – Nie zobaczą ogniska. Brakuje miejsca na ułożenie napisu „SOS”.

– Wiem, ale w tej okolicy to jedyna piaszczysta plaża. Mamy dostęp do morza z łagodnym zejściem, więc szanse na złowienie ryb wzrastają. Możemy za dnia palić liście, żeby uzyskać dym, który będzie widać z powietrza. – Kładzie plecak na piachu przy sieci, a mój wzrok pada na zakrwawioną linkę leżącą tuż obok.

Od razu przed oczami staje mi rzeź kozła: Agnar zachodzi go od tyłu, zakłada mu pętlę na szyję, zaciska mocno i podrzyna mu gardło scyzorykiem. Kri-kri nie ma szans. Wydaje z siebie ciche: „Mee, nie zabijaj mnie”, po czym pada trupem, a przerażona kozica i jej dzieci uciekają na klif.

Rozglądam się za zwłokami, ale nigdzie ich nie widzę.

- Gdzie on jest?
- Kto? – Agnar ustawia nasz ekwipunek z zapasami pod ścianą skarpy.
- Kozioł. Widzę narzędzie zbrodni.
- Nie ma ciała, nie ma zbrodni.
- Bardzo zabawne. Gdzie go trzymasz?
- W krzakach w lesie. Przykryłem go gałęziami, żeby muchy i gryzonie go nie dopadły. Zaraz go przyniosę, oskóruję i podzielę.
- Nie! Idź sobie tam, gdzie go schowałeś, i rób swoje. Ja nie chcę na to patrzeć.
- Na pewno? Możesz się sporo nauczyć na przyszłość.
- Niby po co? Mięso mam w markecie, na tacce. I nie jest to kozioł.
- Miałem na myśli najbliższą przyszłość. Kto wie, ile będziemy tu siedzieć. A może szlag mnie trafi i zostaniesz tu sama. Co wtedy będziesz jeść?
- Horty, figi, pigwy i ryby. Nie tknę żadnego zamordowanego zwierzęcia.
- Jak sobie chcesz. – Agnar opróżnia wiadro i bierze je ze sobą. – Nazbieraj gałęzi na ognisko, ułóż piramidę pod ścianą i przefiltruj wodę. Jak skończysz, to mnie zawołaj. Rozniecimy ogień razem, tak jak poprzednio – poleca i odchodzi w stronę lasu.

Rozglądam się po malutkiej plaży. Nie ma tu za wiele miejsca, zwłaszcza że planujemy budowę

szalasu. Za to jest bajecznie pięknie.

Wystawiam twarz do słońca, które zbliża się ku zachodowi i wygląda nieśmiało zza klifu. Biorę głęboki wdech, a wraz z wydechem mój żołądek wydaje z siebie przeciągłe burknięcie. Ależ mi się chce jeść. Muszę jednak być twarda. Nie tknę koziółka. Figi mi wystarczą, szczególnie że przydałoby mi się wreszcie zrobić numer dwa. To parcie jest męczące. Biorę garść owoców z reklamówki i ruszam po drewno w przeciwną stronę lasu niż Agnar, żeby tylko nie natknąć się na jego rzeźnię.



Kupy jak nie było, tak nie ma. Za to są: naszykowana piramida, sucha rozpałka, przefiltrowana woda (nazwa lokalna: Cyganeczka) i spory kopiec gałęzi, które udało mi się uzbierać na budowę szalasu.

Wołam Agnara, lecz ten nie odpowiada. Zabieram się do szycia kołderki i już po kilku minutach dociera do mnie, że mój pomysł był poroniony i zdecydowanie nie mam zdolności krawieckich. Liście się drą, a ja razem z nimi.

– Kurwa, co za badziew! – Ciskam wszystko w kął i nawołuję Radwana. Odpowiada mi tylko echo odbijające się od drzew i ścian klifu.

Słońce zalewa złotą poświatą plażę, zniża się do widnokregu, morze lśni w blasku promieni, a białe skarpy kontrastują z błękitem wody. Idealna miejscówka na wypoczynek. Dlaczego więc, do cholery, nikt tu nie przyplęwa? Przecież ta wyspa nie znajduje się na krańcu świata. Może jutro ktoś się zjawi? Jacyś turyści?

W październiku? Na pewno...

To może chociaż pasjonaci żeglarstwa? Ta zatoczka to wymarzone miejsce na przystanek, żeby rozprostować nogi na lądzie.

Patrzę na horyzont, kołyszące się łagodnie fale i nagle jakieś sto metrów od brzegu dostrzegam piętrzące się skały. O nie. Tylko nie to.

Wchodzę do morza, dno jest piaszczyste, co dobrze wróży. Idę dalej, woda sięga mi już po pachy, zaczynam płynąć i z każdym metrem dostrzegam coraz wyraźniej głazy wynurzające się z głębin. Ręce mi opadają. Czuję narastającą niemoc.

Nikt nie dopłynie do brzegu, bo tuż przed naszą wyspą znajduje się inna wyspa. Tyle że pod wodą.

Zawracam. Płynę do brzegu. Czuję buzującą w środku frustrację. Wybiegam na plażę, wkładam sandaalki i pędzę do lasu.

– Agnar! Gdzie jesteś?! – Wkraczam w zacieniony gaj. – Agnar!

– Tutaj – rozlega się po lewej stronie.

Przyspieszam. Jestem zdruzgotana.

– Nikt do nas nie dopłynie. – Chce mi się płakać.

– Bo? – dochodzi mnie głos zza krzaków.

Przedzieram się przez zarośla.

– Jakies sto metrów od brzegu są skały, które...

Zamieram. Nogi się pode mną uginają. A to dlatego, że trzy kroki dalej leży obdarty ze skóry, rozczłonkowany koziół.

Skóra osobno, nogi osobno, głowa osobno, flaki osobno...

– O Boże. – Żołądek podchodzi mi do gardła, odwracam się, mam odruch wymiotny.

Uciekam. Byle jak najdalej stąd.

– Naszykowałeś już wszystko? – słyszę za plecami rozbawiony głos rzeźnika.

Nie odpowiadam. Jeśli tylko otworzę usta, na bank puszcze pawia.

Szybki marsz mi pomaga. Próbuję wyrzucić z głowy krwawy obraz mięsa, ale nie potrafię. Cały czas mam go przed oczami.

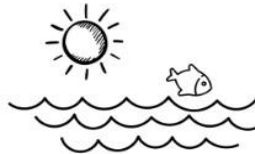
Wychodzę na plażę. Biorę kilka głębokich wdechów. Boli mnie brzuch. Może ze stresu, może z głodu, a może dlatego, że chce mi się kupę.

Zabieram puszkę i wracam w miejsce, w którym zbierałam drewno. Po drodze zrywam liście jako zamiennik papieru toaletowego, wykopuję dołek pod drzewem, kucam w nowo zaaranżowanej sralni i nic. Napinam się. Nic. Zapieram się plecami o pień. Nic. Zaciskam i rozwieram zwieracze. Nic. A przecież czuję, że chce mi się srać jak diabli!

– Kora! – dobiega mnie wołanie z plaży.

– Idę! – Wrzucam liście do dołka i podciągam majtki.

Najem się na kolację fig, to jutro rano walnę takiego kloca giganta, że chowajcie się wszystkie wyspiarskie mrowiska.



Muszę przyznać, że zgrany z nas zespół. Tym razem rozpalenie ognia zajmuje nam dosłownie kilka chwil. Agnar wierci, ja dmucham, dorzucam suchej trawy i *voilà!* Już się pali!

W pierwszej kolejności grzejemy wodę, bo oboje jesteśmy spragnieni. Zajadam figi (dużo fig), marząc o jutrzejszym wypróżnieniu. Tymczasem Agnar nadziewa kozią nogę wyciągniętą z wiadra na naostrzony kij, opiera go na dwóch innych rozstawionych po bokach i robi sobie prywatnego grilla.

Nie patrzę. Próbuję sobie wmówić, że to noga wielkiego kurczaka. I wcale nie zwracam uwagi na zapach, który wkrada się do moich nozdrzy, gdy tylko mięso zaczyna rumienić się nad ogniem. O Boże, chroń mnie od złego i pohamuj pokusę obżarstwa – modłę się w myślach, a wtedy Pan przychodzi mi z pomocą, bo Agnar wyjmuje kawałki kozła z wiadra, po czym wkłada je do reklamówki i zakupuje przy brzegu. Mało tego. Po schowaniu jedzenia w morskiej lodówce zabiera się do obrabiania skóry.

A grill pachnie. Nęci. Kusi. Tłuszcz topi się, opadając z syknięciem na rozgrzane drewno, a ja zajadam głód figami.

– Chyba gotowe. – Agnar zostawia skórę i okręca kij z udem nad ogniem.

Skwierczenie wtóruje burczeniu w moim żołądku. Pakuję kolejny owoc do ust. Jestem twarda, nie zjem koziołka. Nie! I już.

Radwan zdejmuje parujące mięso znad ognia i odkłada je na korę, tuż obok mnie. Łypię. Ślinka mimowolnie mi cieknie. Zapach mnie przyciąga.

– Niech chwilę przestygnie. Tymczasem zagrzeję wodę – gada do siebie Agnar, po czym ustawia misę nad ogniem i wraca do garbowania.

A ja jestem na skraju załamania nerwowego.

Już nie łypię, lecz gapię się beczelnie na zrumienione olbrzymie udo jak hiena na padlinę. Ślinka już mi nie cieknie, wypływa z kącików warg i skapuje po brodzie.

Żołądek błaga o jedzenie, burczy, piszczy, skomle, zaciska się bezlitośnie. Nie wytrzymam. Jestem pioruńsko głodna. Wpycham trzy figi naraz do ust. Zamykam oczy, wyobrażam sobie, że wtrącałam karczek z grilla. Wdycham aromatyczną woń...

Dobiega mnie odgłos zlewanej wody. Uchylam powieki. Agnar odstawia miskę, wygarnia puszkę spod ogniska popiół, dosypuje go do wiadra, po czym zanurza skórę w roztworze i ugniata ją delikatnie kijem.

– Zrobione. Pora na posiłek. – Idzie umyć ręce w morzu, a ja mimowolnie spoglądam na mięso. Moje ślinianki szaleją. Żołądek wariuje. Całe ciało krzyczy, że chce jeść. Litości!

– Zaraz pożresz moją kolację wzrokiem. Na pewno nie chcesz? – Radwan siada obok mnie i zaciąga się zapachem grillowanego uda.

– Nie. – Odwracam głowę w przeciwnym kierunku, a wtedy prawa gałka oczna robi mi psikusa i zerka ukradkiem na mięcho. Zez ekstremalny. Nawet nie wiedziałam, że tak potrafię.

Agnar wgrzyza się w udo i wydaje z siebie pomruk zachwyty. Zaczyna jeść, mlaska, wzdycha.

– Idealne. – Odgryza kawał mięcha i przeżuwa. – Może jednak się skusisz? – Wyciąga na wpół objędną nogę w moją stronę.

Walczę ze sobą. Walczę wytrwale. Walczę zaciekle...

I polegam.

– Daj. – Wyrrywam mu jedzenie z dłoni i zatapiam w nim zęby jak dzikuska.

Ten smak. Ten zapach. Ten aromat i soczystość. O święty Franciszku z Asyżu, patronie dzikich zwierząt, błagam o wybaczenie.

Jestem w raju. Jęczę, wzdycham, biorę kolejny gryz i następny.

– Zostawisz mi coś? – dopomina się rzeźnik.

Łypię na niego wzrokiem wygłodniałego psa, któremu chcą odebrać apetyczną kość. Zaraz zacznę warczeć.

– Okej. Poczekam. – Agnar unosi ręce w poddańczym geście, a ja pałaszuję dalej, aż trzęsą mi się uszy.

Czy mam wyrzuty sumienia z powodu kri-kri? NIE. Powiem więcej: jebać kozła! Gdybym wiedziała, że będzie tak nieziemsko pyszny i sycący, sama bym go już wcześniej ukatrupiła. Sorry, ale takie jest życie. Wygrywa silniejszy. Liczy się wola przetrwania.

O rany, jakie to dobre!



Po uczcie od razu kładę się spać. Skała klifu zdążyła się już nagrzać, jestem najedzona, zadowolona, zmęczona i pełna optymizmu. Przykrywam się bluzą, obserwuję spod na wpół przymkniętych powiek, jak Agnar wyżyma skórę kozła, rozwiesza ją starannie przy ognisku, wylewa wodę z wiadra i...

Usypiam.

Budzi mnie stukanie, któremu wtóruje ból brzucha. Otwieram jedno oko. Świta, ale jest jeszcze bardzo wcześnie. Płomień harcuje w najlepsze, a Agnar wbija gruby pał w piach. Jeden z pięciu stojących już na plaży.

– Co robisz? – Przeciagam się, ziewam i czuję skurcz żołądka. O matko, ależ chce mi się kupę. Wiedziałałam, że figi zadziałają.

– Szałas. Wstajesz? Przyda mi się pomoc. – Nawala puszką w drewno.

– Najpierw muszę za potrzebą. – Biorę parę łyków ciepłej wody z misy, po czym wstaję i zauważam potężny stos naciętych gałęzi oraz okazałych pni. Kiedy on to naznosił? – Spałeś coś w ogóle? – pytam, bo ja jestem totalnie niewyspana.

– Tak. Podaj mi linę.

Robię to, o co prosi, ale z mozołem. Tak mnie rżnie w dole brzucha, aż nie mogę oddychać. Będzie kupa stulecia.

– Co ci jest? – Radwan najwidoczniej zauważa grymas na mojej twarzy.

– Takie tam trudne sprawy. Naprawdę muszę do lasu. – Czmycham do gaju w to samo miejsce co wczoraj, po drodze zbieram liście, a następnie kucam nad wykopany dołem i... Nic.

Napinam się. Nic. Zapieram się plecami o pień. Nic. Zaciskam i rozwieram zwieracze. Nic. A czuję, że chce mi się srać jak diabli! I to podwójnie! Pieprzony dzień świstaka czy co?

Nie daję za wygraną. Zmieniam pozycję. Łapię za drzewo. Przechylam się w przód. W tył. Na boki. Podskakuję w kuckach. Nogi mi zaraz odpadną! A ta pieprzona małpa nie chce wyleźć. Brzuch mnie rwie nieziemsko. Uda drżą. Czuję parcie porównywalne do porodu, ale jaśnie pani kupa upodobała sobie najwyraźniej dolny odcinek jelita grubego, bo nie zamierza z niego wyjść. Zaraz się poryczę.

– Dlaczego? Przecież zjadłam z kilogram fig. – Napinam się z całych sił, lecz nic nie drgnie. – Kurwa!!! Wyłaż, no!!! – wyję, ponowne parcie...

I gówno. A dokładnie gówna brak. Dyszę, sapię, kręci mi się w głowie. Kto by pomyślał, że zatwardzenie może być tak męczące. Nie poddam się. Wyprę cię, suko, a potem zakopię żywcem w tym pieprzonym dole.

– Wszystko w porządku? – rozbrzmiewa niespodziewanie głos Agnara. Słyszę trzask gałęzi. Idzie!

Co on tu, kurwa, robi? Mówiłam mu, że muszę za potrzebą.

– Idź stąd!

– Nic ci nie jest?

– Nic.

– Na pewno?

Ja pierdołę. Co on nagle się zrobił taki troskliwy?

– Na pewno.

– Bo wołałaś.

– Nie ciebie.

– To kogo?

Zaraz go zabiję.

– Kupę! Mam zaparcie! Idź sobie i daj mi się wysrać w spokoju!

– Gdybyś mnie potrzebowała...

– Spieprzaj, Radwan!

– Dobra. Już idę. – Słyszę, że odchodzi.

Przekręcam się w kuckach i opieram o pień. Tak mi zdrętwiały nogi, że nie wiem, czy zdołam je wyprostować w kolanach. Boże, jak mi gorąco. Unoszę się odrobinę i ściągam bluzę. Jestem cała mokra. Może sobie odpuścić na jakiś czaaa...

– Aaa!!! – Ależ mnie rżnie brzuch!

O nie. Muszę się załatwić, bo mnie rozerwie. Więc powtórka numer trzy. Napinam się. Nic. Zapieram się plecami o pień. Nic. Zaciskam i rozwieram zwieracze. Nic. Zmieniam pozycję. Łapię za drzewo. Przechyliłam się w przód. W tył. Na boki. Podskakuję w kuckach...

– Idę! Zasłoń się! – dobiega mnie męski głos.

Pieprzony Agnar! On mnie wykończy. Jeśli wcześniej nie zabije mnie zatwardzenie.

– Po co? – Prostuję nogi. O matko, ale bołą.

– Chcę ci pomóc.

– Niby jak? – Naciągam majtki.

– Mogę podejść?

Robię kilka kroków do przodu. Dół jest pusty, lecz jakoś tak mało komfortowo prowadzić dysputę przy survivalowym sraczu.

– Czego chcesz?

Agnar wyłania się zza krzaków, dzierżąc w dłoni butelkę z wodą.

– Trzymaj. – Podaje mi ją dumnie niczym berło zdobywcy.

– Przed chwilą piłam.

– To nie do picia.

– A do czego?

– Lewatywy.

– Co?! Oszalałeś?

– Ja nie, ale ty zaraz oszalejesz, jeśli się nie wypróżnisz. To ci pomoże.

– I co ja mam z tym zrobić?

– Naprawdę chcesz, żebym ci tłumaczył, jak działa wlew doodbytniczy?

– Nie.

– Tak właśnie myślałem. – Wkłada mi butelkę do rąk.

Przyglądam się jej z każdej strony. Lewatywę miałam raz w życiu – przed porodem, w szpitalu. Przygotowanym do tego specjalnie irygatorem i płynem. Zadziałało niemal natychmiastowo. Ale to? Przecież jestem w cholernym lesie, to nie jest irygator, tylko zużyty plastik z brudną wodą. Choć chyba

przegotowaną, bo butelka jest ciepła.

– Trzeba tylko mocno ścisnąć – radzi Radwan, jakby czytał w moich myślach. Podnoszę na niego wzrok, który najwyraźniej mówi „nie mam pojęcia o robieniu lewatywy w terenie”, bo Agnar od razu dodaje: – Mogę nacisnąć za ciebie. Położysz się na boku, podkurczysz nogi, wsuniesz szyjkę do...

– Cicho bądź! – Zakrywam sobie uszy butelką i dłonią. Twarz mi płonie. – Poradź sobie sama.

– Jasne, że tak. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, wołaj – oznajmia, po czym odchodzi.

Odczekuję dobrych kilka minut, nasłuchuję, ale nie dociera do mnie żaden dźwięk, który mógłby sugerować obecność kogokolwiek w pobliżu. Okej, trzeba to zrobić raz a dobrze. Dasz radę, Kora.

Odkręcam butelkę, moszczę się na ziemi na boku, podkładam sobie bluzę pod głowę, podciągam kolana i wypinam tyłek. Parę głębokich oddechów... I siup. Gwint w pupie. Łatwo poszło. Teraz tylko nacisnąć i po sprawie. No to naciskam. I dupa blada. A to dlatego, że w tej pozycji dysponuję wyłącznie jedną ręką, która jest zbyt słaba, by zgiąć plastik wystarczająco mocno i opróżnić przynajmniej połowę butelki. Potrzebny jest wtrysk. Silny ucisk. Druga ręka do pomocy...

Przez jedną setną sekundy przemyka mi przez głowę, żeby zawołać Radwana, i od razu tak mocno się na siebie wkurwiam za tę absurdalną myśl, że automatycznie zaciskam dłoń na butelce. Rozlega się dźwięk giętego plastiku, fontanna analnych doznań tryska do wnętrza i wypełnia mnie Cyganeczką. Czuję przelewanie w jelicie grubym. Jest głośne, przypomina bulgotanie dobiegające z syfonu pod kuchennym zlewem podczas pracy zmywarki. Chyba się udało.

Wyciągam powoli szyjkę, odkładam butelkę i wtedy zauważam krew na dłoni.

Zamieram. Wstrzymuję oddech. Jezus Maria, rozerwałam sobie odbyt!

Wpadam w panikę. O Boże, Boże. Jak to się stało? Przecież to tylko woda z butelki, a nie kaskada z węża strażackiego. Zabiję Radwana. To przez niego! To był jego poroniony pomysł! Macam tyłek, ale nie wyczuwam żadnej szczeliny. Nie czuję bólu oprócz rwania w dolnej części brzucha i cholernego bulgotania. Zerkam ponownie na dłoń, żeby się upewnić, że to krew. No krew jak żywa, jebana mać! Może rozpieprzyłam sobie jelito? Masakra. Tragedia! Co teraz?

Parcie narasta. Lewatywa zaczyna działać. O matko, zbliża się! Wstaję szybko, kucam nad dołkiem i... Tak! Idzie. Jest tuż-tuż!

– Ooo... Ach... – Przechodzi mnie dreszcz, wydaję z siebie przeciągłe westchnienie.

Poszło.

Nigdy w życiu sranie nie było aż tak przyjemne. Jaka ulga, co za lekkość. Tylko to krwawienie. Skąd? Dlaczego? Zerkam w dół. Eno, kupa jak ta lala. Nie widać żadnej krwi. Nic mnie nie boli. No może prócz tego ciąglego rwania w podbrzuszu, które przypomina...

I nagle doznaję objawienia. Przeliczam prędko dni, sięgając czystą dłonią do cipki, po czym zerkam na palce.

Kurwa, niemożliwe! Dostałam okresu tydzień przed terminem!



Zostawiam butelkę w lesie wkopaną do połowy w ziemię na wypadek ponownego zaparcia (bo przecież z wiadomych względów nie będziemy już z niej pić) i z gaciami wypchanymi liśćmi idę pokracznie w stronę obozu. Zaraz się poryczę. Pomijam fakt, że szeleszczę przy każdym kroku jak leszczyna na wietrze. Najgorsze jest jednak to irytujące klucie w miejscach intymnych, które doprowadza mnie do szału.

Gdy tylko wchodzę na plażę, dostrzegam Agnara. Pracuje przy szałasie, na patykach w słońcu suszy się skóra, nad ogniem piecze się mięso, a obok w misie stoi przegotowana woda. Ależ jestem głodna i spragniona.

– I jak się czujesz? – zagaduje, kiedy mnie dostrzeża.

– Lepiej nie pytaj.

– Nie pomogło?  
– Pomogło. Ale dopadło mnie coś innego. – Mijam go, a wtedy jego wzrok pada na moje majtki od kostiumu.

– Chyba zostało ci kilka liści po... – Chrząka. – No wiesz.

– Zapewniam cię, że to nie po tym, o czym myślisz.

– To skąd?

– Z lasu.

– Po co ci one? – drąży, a ja nie mam ochoty się z nim droczyć. Napieprza mnie brzuch, jestem padnięta. Muszę się położyć.

– Wchłaniają krew.

Jego brwi wędrują w górę.

– Zraniłaś się?

– Dostałam okresu. Masz jeszcze jakieś pytania czy mogę już odpocząć w spokoju?

– Aha. No tak. Jasne. Odpocznij. – Patrzy na mnie jakoś dziwnie. Ze współczuciem? Z zawstydzieniem. A może litością?

Nie mam jednak siły dociekać, skąd u niego ten objaw empatii. Wypijam niemal całą misę wody, robię sobie poduszkę z bluzy i kładę się przy ogniu, żeby rozgrzać rwący brzuch.

Natychmiast usypiam.

Budzi mnie zapach wędzonki, któremu wtóruje skurcz żołądka. Otwieram oczy. Agnar siedzi bez koszulki i porcuje gorące mięso. Ślinka mi cieknie. Rzecz jasna na widok jedzenia, nie nagiej, umięśnionej klaty Radwana. Tak na marginesie, trochę mu się schudło w porównaniu z dniem, kiedy widziałam go rozebranego po raz pierwszy. Zero grama tłuszczu, aż widać żebra.

– Podzieliś się? – Siadam przodem do niego, a wtedy jego wzrok pada na moje krocze.

– Tak sądziłem, że liście obleją egzamin – stwierdza, a ja od razu zerkam w dół i...

– Ja pierdołę. – Mam karmazynowy przyływ między udami! Zasłaniam się rękoma. – Nie patrz!

– Za późno. Już zobaczyłem.

Do czerwieni w dole dołącza purpura na górze. Niemal czuję, jak rumień żenady rozlewa się na twarz, szyję, dekolt... Sięgam po bluzę, zakrywam uda, jestem zakłopotana i załamana. Co teraz począć? Nie mam gaci na zmianę, liście ewidentnie nie nadają się na podpaskę. Mam wsadzić sobie w cipkę zawiniątko z resztek kiecki i udawać, że to tampon? Przecież to nie wypali. Koszmar jak z krwawego horroru.

– Zrobiłem coś dla ciebie. – Agnar wskazuje spojrzeniem plecak, na którym leży jego koszulka rozdarta na trzy części, dziwnie powiązana i przepleciona paroma sznurkami.

– Co to jest?

– Powinno pomóc. – Odwraca głowę i kontynuuje krojenie mięsa.

Obwiążuję bluzę w pasie, zapinam ją na ekspres, robiąc z niej prowizoryczną spódniczkę, wstaję i podchodzę do plecaka.

Przyglądam się podartej koszulce i nie mam pojęcia, na co patrzę. Sięgam po cudaczny twór z materiału z paskami i wreszcie dostrzegam, czym jest.

– Majtasy! – Aż podskakuję.

– Menstruacyjne. Trzy sztuki.

Oglądam ten cud inwencji twórczej. Domyślam się, że sznurki wiąże się na biodrach tak samo jak majtki od kostiumu, a bawełna pełni funkcję podpaski. Nie mogę uwierzyć, że Agnar je dla mnie zrobił. Poświęcił swoją koszulkę i linki, które planował wykorzystać do budowy szałas. Aż łezka kręci mi się w oku.

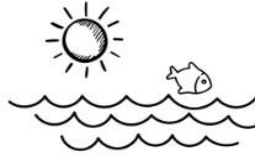
– Dziękuję, to... – Czuję szczypanie pod powiekami. Cholera, Kora, tylko się tu nie rozklej. Pieprzone okresowe hormony. – Nie musiałeś.

– Nie musiałem, ale chciałem. – Wstaje. – Skoczę do lasu po drewno, a ty w tym czasie możesz się umyć i przebrać. Jak wrócę, to zjemy obiad, a potem będziemy dalej budować szałas – oznajmia pełen entuzjazmu, po czym zabiera metalową linkę i rusza w stronę gaju sprężystym krokiem.

A ja stoję jak wryta. Zamurowało mnie. Brak mi słów. Co, do licha, dolega Agnarowi? Dostał



udaru słonecznego czy jak? Jest taki miły i tryska energią. Może to dzięki kozłowi. Nażarty Radwan to szczęśliwy Radwan. Tylko zanim trafiliśmy na wyspę, nie chodził głodny, a zachowywał się jak buc. Może to chwilowa niedyspozycja albo menstruacyjne feromony podziałały na niego ogłupiająco. Kiedy skończy mi się okres, na pewno mu przejdzie.



Ale mu nie przechodzi. Wręcz się nasila. Po trzech dniach mojego miesiączkowania małomówny i niezbyt ruchawy norweski troll zmienia się w rozmownego smerfa Pracusia. Nasz szałas przypomina willę Tarzana. Sześć metrów kwadratowych! Mamy dach pokryty liściastymi konarami, legowisko pod ścianą ogrzewaną ogniem oraz ciepłą kołderkę. Najwyraźniej oboje przekroczyliśmy już barierę skrępowania, bo po kolacji i toalecie (mycie zębów węglem drzewnym to nasz codzienny poranny i wieczorny rytuał) układamy się do siebie plecami, nakrywamy kozłecą skórą i mówimy sobie „dobranoc”. Grzecznie, bez zbędnych podtekstów – jak współlokatorzy, którzy dzielą przestrzeń z konieczności, nie z wyboru.

I wszystko byłoby w jak najlepszym porządku, gdyby nie fakt, że moje powalone serce chce rozerwać mi klatkę piersiową za każdym razem, kiedy Agnar przywiera twardymi pośladkami do moich albo w ciągu nocy przekręca się na bok i bezwiednie obejmuje mnie w pasie. Wtedy mam ochotę się do niego przytulić. Przywrzeć mocno do jego nagiego ciała i spać z nim tak do świtu. Tłumaczę sobie, że to skutek izolacji społecznej. Tęsknię za córką, siostrą, mamą. Chciałabym poczuć z kimś fizyczną bliskość. A że Radwan akurat jest na wyciągnięcie ręki, to przychodzą mi czasami do głowy takie właśnie pojebane pomysły jak nocne przytulanki. Ale się powstrzymuję. Niepotrzebne nam tu komplikacje. Zwłaszcza że on nie wykazuje mną żadnego zainteresowania. Traktuje mnie jak survivalową partnerkę. Choć coraz częściej z uznaniem wypowiada się o moich dokonaniach na rzecz naszej dwuosobowej społeczności, mówi mi coś miłego albo przeszywa mnie tymi swoimi błękitnymi oczami tak, aż mam ciarki. Podejrzewam, że prawdopodobnie jest sapioseksualny, a co za tym idzie, może go pociągać wyłącznie mój intelekt, a nie ciało. I doskonale. On nie kręci mnie, ja jego. Taka seksualno-fizyczna obojętność wychodzi nam na dobre. Myślę, że to dzięki niej partnerstwo w przetrwaniu na wyspie opracowaliśmy niemal do perfekcji.

Wykopaliśmy cztery dodatkowe studnie, więc wody nam nie brakuje. Na noc osadzamy w morzu sieć, która codziennie dostarcza nam kilka ryb. Prócz nich jemy figi i horty, a tych jest w okolicy pod dostatkiem. Agnar został bohaterem wczorajszego dnia, bo znalazł na drzewie ptasie jaja, a ja zostałam bohaterką dzisiejszego popołudnia. Podczas wyprawy na kupę (tak, oświadczam z dumą, że pozbyłam się zaparc) dojrzałam bowiem w pękniętej sośnie barć. Radość przeogromna. Radwan dzielnie odstraszył pszczoły za pomocą dymu i dzięki naszej współpracy na kolację obzaraliśmy się plastrem miodu. Energetyczna żyła złota, przez którą oboje nie możemy teraz usnąć.

– Jak to się stało, że aresztowali Markusa? – pytam, kiedy leżymy obok siebie na plecach przykryci skórą, wpatrując się w cienie tańczące na patykowym suficie.

– Zaczął brać narkotyki, żeby poradzić sobie ze zbyt dużą presją.

– Presją spowodowaną czym?

– Ojcem. Stary jest wymagający, krytyczny, pazerny na pieniądze, nie znosi porażki. Wszystko musi być wykonane według jego instrukcji, nie pozostawia miejsca na błędy, torpeduje pomysły, szantażuje wydziedziczeniem, gdy mu się sprzeciwisz. Markus od dłuższego czasu starał się go zadowolić. Radziłem mu, aby odpuścić, mówiłem, że gra jest niewarta świeczki. Ale on się uparł. Uważa, że ojciec powinien przejść już na emeryturę i mianować go prezesem firmy. Lars i Henrik z kolei mieliby zostać jego zastępcami. Ojciec jednak czuje się świetnie i na żadną emeryturę się nie wybiera.

– A co z tobą? Jesteś najstarszym synem. Czy to nie ty powinienes zostać prezesem po jego odejściu?

– Powinienem, nie chcę jednak mieć ani z nim, ani z takim życiem nic wspólnego.

– Dlatego zmieniłeś nazwisko? – Podpieram się łokciem, żeby lepiej widzieć Agnara.

– Matka mi je nadała po rozwodzie. Wtedy jeszcze byłem mały i nie rozumiałem, jakim podłym człowiekiem potrafi być mój ojciec. Kiedy podrosłem, zaczął mi imponować pieniędzmi, władzą, pozycją, znajomościami. Zabiegałem o jego uwagę. Gdy tylko stałem się pełnoletni, przeprowadziłem się do Norwegii, zacząłem pracować w jego firmie, brałem udział w licznych szkoleniach biznesowych, z roku na rok stawałem się coraz lepszy w negocjacjach, piąłem się po szczeblach, aż doszedłem do etapu, w którym podpisywałem kontrakty na miliony euro. Ojciec nigdy mnie nie pochwalił, nie docenił, najwyżej rzucił: „Dobra robota, choć mogłoby być lepiej”. Więc cisnąłem na maksa, żeby mu pokazać, że potrafię; że jestem godzien jego uznania. Sądziłem, że tak właśnie powinno wyglądać moje życie: praca od rana do wieczora, idąca za tym kasa, drogie auta, podróże, hotele, imprezy, kobiety, alkohol, narkotyki... – Zawiesza głos. – I wtedy wszystko się posypało. W przeciągu niespełna pół roku moje życie wywróciło się do góry nogami. To było piętnaście lat temu. Od tamtej pory nie utrzymuję kontaktu z ojcem, jestem niezależny, mam własny biznes, który zostawił mi dziadek. Nie pochwalał taktyk wychowawczych swojego syna.

– Musisz być w takim razie bardzo blisko z Markusem, skoro zdecydowałeś się na powrót do firmy tylko dlatego, że poprosił cię o pomoc.

– Nie wróciłem. Markus upoważnił mnie do działań w jego imieniu przy tym konkretnym projekcie. Namawiałem go, by odpuścił sobie firmę, skupił się na sobie, ale on nie chciał zawieść ojca, bo obawiał się, że tym samym straci szansę na prezesurę. Nie ufał umiejętnościom negocjacyjnym Larsa i Henrika, dlatego zwrócił się do mnie, żebym zajął się zakupem wyspy w jego imieniu.

– A ty się zgodziłeś. Dlaczego? – dopytuję, bo nie mogę pojąć, skąd po tylu latach od zerwania kontaktu z rodzinną firmą wzięła się decyzja Agnara o udziale w tak istotnej transakcji biznesowej.

– Markus obiecał, że gdy tylko prawnicy wyciągną go z aresztu, a ja dopnę umowę, pójdzie na odwyk.

No proszę. Wiking ma wielkie braterskie serce. Nie pytam o więcej szczegółów, choć jestem ciekawa jak diabli, co takiego się wydarzyło, że Agnar zerwał relację z ojcem i diametralnie zmienił swoje życie. Doceniam, że opowiedział mi o sobie tak dużo. Zdecydowanie wolę takiego kompana wyspiarskiej niewoli niż złośliwego mruka.

– Dziękuję, że ze mną o tym porozmawiałeś. To wiele dla mnie znaczy – wyznaję całkiem szczerze.

Przez dłuższą chwilę patrzymy sobie w oczy, a z każdą upływającą sekundą odnoszę coraz silniejsze wrażenie, że wreszcie między nami nawiązała się emocjonalna nić porozumienia. Do momentu, aż Agnar się odzywa:

– Przynajmniej wiesz, kogo możesz mieć na sumieniu.

– Słucham?

– Przez ciebie nie udało nam się kupić wyspy. Jeśli z tego powodu Markus nie dotrzyma danego mi słowa, następnym razem może przedawkować.

Wredny podlec!

– Z mojego powodu? – Siadam. Zaczyna się we mnie gotować. – Czyli już nie obarczysz winą swojego ojca, który najwyraźniej jest toksycznym wampirem, tylko mnie? Sam stwierdziłeś, że to przez niego Markus nie wytrzymuje presji i szuka ukojenia w narkotykach.

– Źle zrozumiałaś...

– Myślę, że dobrze. A z ciebie jest dwulicowy, pamiętliwy tłuk. Sądziłam, że już mi odpuściłeś. Siedzimy tu razem prawie dwa tygodnie, naprawdę się staram. Myślałam, że jesteśmy zespołem, że choć trochę mnie polubiłeś, a ty cały czas...

– Bo polubiłem – przerywa mi w połowie wywodu.

– I tak okazujesz sympatię? Rozgrzebujesz stare rany, wypominasz mi błąd, który już odpokutowałam? Co mam niby zrobić, żebyś przestał mi dokuczać? Kajać się, błagać cię na klęczkach o wybaczenie?

– Do klękania przejdziemy później. – Niespodziewanie chwyta mnie za kark, przyciąga do siebie

i całuje w usta.

Serce mi staje, po czym zaczyna bić jak szalone. Czuję smak Agnara, zapach jego skóry, bliskość jego ciała. Kręci mi się w głowie, pulsuje mi w skroniach. Przez krótką chwilę mam ochotę trwać w tym stanie upojenia, lecz po pięciu sekundach odzyskuję trzeźwość myślenia.

Ja pitolę, co tu się odjebało?!

– Co ty wyrabiasz? – Odrywam się od niego, jednak on mnie nie puszcza.

Wpatruje się we mnie niebieskimi oczami, jego wargi są tuż przy moich.

– Okazuję ci sympatię – odpowiada niskim głosem, a moje serce wali jeszcze szybciej. Zaraz dostanę zawału.

Kora, spokój!

– Jak niby? Przed momentem obwiniłeś mnie za niedoszłą śmierć swojego brata.

– Przekręcasz moje słowa. Powiedziałem, że przez ciebie nie udało nam się kupić wyspy i jeśli z tego powodu Markus nie dotrzyma danego mi słowa, to może następnym razem przedawkować.

– To nie to samo?

– Nie.

– Moim zdaniem tak.

– Moim nie. Koniec tematu.

– Koniec tematu. Oczywiście! Ale z ciebie jest apodyktyczny arogant. – Próbuję się wyrwać.

– A z ciebie zadziorna zołza. – Ponownie wpija się w moje usta.

Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Czuję płasające robaczki w żołądku i smyranie w dole brzucha, zupełnie jakbym znowu miała siedemnaście lat, a najprzystojniejszy chłopak w ogólniaku właśnie mnie pocałował. Nie chcę się tak czuć. Powinam być oburzona, walczyć, zgłosić to na policję.

O! I to jest myśl. Zaraz go ostudzę.

Odsuwam się, zapierając rękoma o jego brzuch. O rany, wyczuwam kaloryfer. Jaki on ciepły i...

Napalona babo, przestań!

– Jak myślisz: jaka grozi ci kara za molestowanie seksualne w pracy? – odrywam się, nie tracąc rezonu.

Radwan ściąga brwi. Wpatruje się we mnie zaskoczony.

– Pytasz serio? – Powoli mnie puszcza. – To tylko pocałunek.

– Naruszyłeś moją cielesność.

– Nie powiedziałaś „nie”.

– Ale nie powiedziałam też „tak”.

– Czyli tego nie chcesz?

No i mnie ma. A ja mam rozstrojenie jaźni! Tak. Nie. Nie wiem. Skurczybyk! Trzyma mnie w potrójnym szachu.

– Kora. – Patrzy na mnie, a ja mam taką kluchę w gardle, że nie jestem w stanie wymówić słowa.

Nie oszukujmy się, nigdy nie byłam biegłą w sprawach damsko-męskich. Ledwie dojrzałam, a już miałam narzeczonego, później dziecko, żadnego innego partnera prócz męża. A ten muskularny wiking wyskakuje z grubej rury z pytaniem, czy tego chcę.

Ale czego? Pocałunku? Seksu? Z nim? Tutaj? Teraz?

Do jasnej anielki, ja nawet nie mam pewności, czy go lubię!

Może trochę mnie pociąga...

No dobra, nieco bardziej niż trochę. To chyba jednak za mało, żeby pójść z facetem do łóżka, prawda? Boże, przecież tu nawet nie ma pieprzonego łóżka! Śpimy na piachu, próbujemy przetrwać na bezludnej wyspie, żyjemy w bańce, tylko on i ja. Gdybyśmy wpadli na siebie przypadkiem na ulicy, Agnar nawet by na mnie nie spojrział. Gdybym ja poznała go na imprezie firmowej, nie zamieniłabym z nim ani słowa. Bo niby o czym? O tym, jak zabić i wypatroszyć karpia na wigilię? Jesteśmy totalnie różni. Absolutnie do siebie nie pasujemy. A on pocałował mnie dlatego, że nie ma tu nikogo oprócz mnie. Z braku laku i kit dobry. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Co prawda przyznał, że mnie lubi, ale czy to jest wystarczający powód, żeby kogoś całować albo uprawiać z nim seks? Lubię mojego listonosza, a na samą myśl o wymianie z nim płynów ustrojowych cofa mi się ryba z kolacji.

Ble, fuj, tfu...

– Okej. Ta mina mówi sama za siebie. – Agnar wstaje, wyrywając mnie z jakże głębokich przemyśleń.

– Co? Jaka mina?

– Obrzydzenia. Zrozumiałem. Nie jesteś zainteresowana. – Podchodzi przygarbiony do ogniska, zabiera jeden z palących się badyli i wychodzi.

– Gdzie idziesz?

– Przenocuję dzisiaj poza szalasem.

– Co? – Momentalnie przechodzi mnie lodowaty dreszcz. Że niby mam tu spać sama? Zrywam się na równe nogi i walę łbem w sufit. Auć, kurwa. – Gdzie zamierzasz nocować? – Rozmasowuję głowę i idę za Radwanem.

– Może na klifie. Zobaczę.

– Na klifie?! Nie żartuj.

– Nie żartuję. Dobrze nam zrobi, jeśli od siebie odpoczniemy. – Podąża z pochodnią w stronę lasu.

– W nocy? Nie możesz odpoczywać ode mnie za dnia? – Czuję, jak narasta we mnie panika.

– Przecież najlepiej radzisz sobie sama. Masz ogień, skórę, szalas. Dasz sobie radę.

– Agnar, nie wygłupiaj się. – Lęk powoli ogarnia moje ciało. Zwalniam kroku. – Agnar! – wołam za nim, ale on wkracza do gaju, totalnie mnie ignorując.

Podlec! Obrażalski pacan. A niech sobie idzie.

– Przewiania dupy i hemoroidów od spania na zimnym! – złorzeczę. – Nie będę za tobą ganiać po ciemnicy. Tak! Poradzę sobie sama, a żebyś wiedział.

Zawracam dziarsko do szalasu, a z każdym krokiem moja irytacja miesza się z narastającym niepokojem. Sadowię się w środku pod skałą, otulam skórą, wystawiam stopy do ognia. Lecz te są tak lodowate, że nie mogą się rozgrzać. Podobnie jak dłonie. Znam to uczucie: kończyny skostniałe, jakbym trzymała je w zamrażarce, a resztę ciała opanowują piekielne płomienie.

Spokojnie, tylko spokojnie. Nie jesteś sama. Agnar jest tuż obok. Łazi nocą jak popierdolony neandertalczyk z pochodnią po lesie. Oddychaj głęboko. Głęboki wdech i wydech. I jeszcze raz. Wdech... Zaczynam się trząść, serce wali mi ogłuszająco.

O Boże, zaczyna się. Spokojnie, nic się nie dzieje. Nie jestem sama.

I nagle uderza we mnie paniczna fala lęku. Strach paraliżuje mnie od głowy po czubki palców. Próbuję wziąć kolejny oddech, ale klatka piersiowa zaciska się tak mocno, jakby ktoś wsadził mnie w gigantyczne imadło i miażdżył coraz mocniej i mocniej, i... Kurwa! Zwariuję. Walczę całą sobą, staram się myśleć racjonalnie, lecz lęk jest silniejszy. Odbiera mi zdrowy rozsądek. Boję się, że zaraz umrę. Niczego bardziej nie pragnę, jak uciec od tego przerażającego uczucia. Tylko dokąd? Jak mam uciec od samej siebie?

Nie mogę, nie mogę! Niech mi ktoś pomoże!!!

Odrzucam kołdrę i wybiegam na plażę. Wokół ciemność, blade światło księżyca rozświetla granatem mroczny las.

– Agnar... – Mój głos zagłuszają powiewy wiatru. – Agnar, gdzie jesteś?! – Podchodzę bliżej gaju.

Cała się trzęsę. Tak bardzo się boję. Nie wytrzymam. Zaczynam walczyć o oddech. Zalewa mnie mrok – mroczne myśli, mroczne zwidy, mroczne przeczucia. Wszystko jest czarne, koszarne, przerażające. Niewidzialna pętla zamyka się na mojej szyi. Tracę dech. Umrę tu. Sama. Umrę!

– Agnar!!! – Jest mi tak gorąco, że zaraz się spalę żywcem, mimo to drzę. – Agnar, boję się! – Jestem na granicy szaleństwa. – Wracaj! Nie chcę być sama. – Opuszczam powieki, obejmuję się, kulę w sobie. Chcę wypełnić własnym dotykiem pustkę, wywołać złudzenie bliskości, obecności drugiego człowieka, ale nie potrafię. Potrzebuję żywej istoty, kogokolwiek, kto nie jest mną.

– Jestem – dobiega mnie niski głos.

Otwieram oczy. Agnar wyłania się z ciemnego lasu. Wychodzi bez pochodni, ledwie go widzę w mętnej poświacie księżyca. Jego sylwetka rozjaśnia wszystko wokół. Wrócił. Nie jestem sama. Wrócił!

Napięcie, które trzymało moje ciało w ryzach, błyskawicznie puszcza. Coś we mnie pęka. Zginam się wpół, osuwam na klęczki i wybucham szlochem.

– Czyli przeszliśmy do etapu klękania. – Widzę jego stopy jak przez mgłę.

Podchodzi bliżej.

Łzy zalewają moje policzki. Nie mam siły. Padam na plecy, zasłaniam twarz dłońmi i ryczę, jakbym była świadkiem własnego pogrzebu. A przecież przeżyłam! Przetrwałam jeden z czterech najsilniejszych ataków paniki w życiu.

– Chodź tu, zołzo, bo nabawisz się hemoroidów od leżenia na zimnym. – Niespodziewanie Radwan nachyla się nade mną i bierze mnie na rękę.

Nie oponuję. Jestem tak wycieńczona, że nie doszłabym o własnych siłach do szałas.

Agnar niesie mnie z taką lekkością, jakbym nic nie ważyła. Nie sapie, nie wzdycha z wysiłku, jest wyprostowany, patrzy przed siebie. A ja nie mogę oderwać wzroku od jego twarzy. Ściągniętych brwi, zmierzwionych włosów, mocnej żuchwy, ostrych kości policzkowych, szorstkiego zarostu...

I choć mam świadomość tego, że przez ten atak paniki postrzegam Radwana jako księcia z bajki, który uratował mnie na białym koniu przed strasznym potworem, muszę obiektywnie stwierdzić, że tak przystojny mężczyzna jeszcze nigdy nie niósł mnie na rękach. No dobra, nikt mnie nie nosił na rękach. Przerzucenie przez próg remizy strażackiej na weselu się nie liczy. To były zaledwie dwa kroki, po których szanowny małżonek dostał zadyszki.

Tymczasem mój wybawiciel wnosi mnie do szałas, kładzie przy palenisku i przykrywa zwierzęcą skórą, po czym dokłada patyków do ognia. Nadal doskwiera mi niepokój, lecz gdybym miała go określić w skali od jeden do dziesięciu, gdzie jeden to „w zasadzie nic mi nie jest, ciut się boję”, a dziesięć to „umieram i padam trupem, tracąc przytomność z hiperwentylacji”, to dałabym mu cztery. Czyli jest całkiem dobrze, zważywszy na to, że osiągnęłam dzisiaj mocną dziewiątkę. Mimo że solidnie znieczuliłam się płaczem, moje ciało nadal odczuwa skutki ataku – drzę, mam problem z uspokojeniem oddechu, serce wciąż bije mi zbyt szybko. To nie jest spokój, jakiego pragnę. Przydałby się zastrzyk w tyłek z klorazepanu dla totalnego rozluźnienia. Ale nie ma. Trzeba więc cierpieć i poczekać, aż samo przejdzie. Chyba że...

Najwyraźniej w wyniku ostrego przebiegu paniki doznałam porażenia zwojów mózgowych, bo moje usta wyrzucają z siebie dwa słowa:

– Przytulisz mnie?

Tak bardzo pragnę teraz ukojenia, odprężenia, wyciszenia, poczucia bezpieczeństwa i bliskości drugiego człowieka, że jestem gotowa wręcz błagać o nie Radwana.

Zerka na mnie przez ramię. Patrzy przenikliwie, a ja doświadczam empirycznego znaczenia poetyckiej metafory „utonąć w czyichś oczach”. Boże, ależ on ma niebieskie te ślepie. Gdybym nie czuła się tak koszmarnie, zanuciłabym razem z Billie Eilish: *I've been watching you for some time. Can't stop staring at those ocean eyes*<sup>12</sup>.

– A nie wyskoczysz znowu z molestowaniem seksualnym w miejscu pracy? – Agnar przerywa moje liryczne przemyślenia, powodując u mnie mimowolny uśmiech. Spadam w skali lęku z czwórki na trójkę.

– Nie. Przyrzekam – mówię pełnym przekonania głosem i unoszę skórzane okrycie, robiąc mu miejsce koło siebie.

Radwan odkłada kijek do ogniska, przysuwa się bliżej mnie, po czym kładzie na plecach pod zwierzęcą kołdrą i otacza mnie ramieniem. Bez wahania przywieram do nagiego torsu. Jego skóra jest gorąca, pokryta krótkimi włoskami, które łaskoczą mnie w policzek. Mięśnie klatki piersiowej są tak twarde, że wpijają mi się w żuchwę. Mimo to wtulam się w niego z uczuciem bezkresnej ulgi. Słyszę bicie jego serca, a z każdym uderzeniem echo lęku cichnie, słabnie, odchodzi w zapomnienie. Wyczuwam na czole jego ciepły oddech, dzięki któremu strach przygasa, rozmywa się i ulatnia w nicość. Rozpływam się w szumie wiatru, przypląwie morskich fal, trzaskaniu ognia i tchnieniach mężczyzny, który leży tuż obok. W miejscu mroku, paniki i koszmaru pojawia się spokój i błoga senność. Leżymy w bezruchu, wsłuchując się w odgłosy wyspy. Jest mi dobrze. Z trójki na skali lęku wkraczam w bezpieczną dwójkę. Odczuwam tak niewymowną ulgę, aż chce mi się z tego powodu płakać.

– Dziękuję, że wróciłeś. – Spoglądam na Radwana.

– Lepiej się już czujesz? – Zerka na mnie z ukosa.

– Tak. Jestem tylko bardzo zmęczona. Ale to norma po... – Zawieszam głos. Prawda jest taka, że o mojej fobii wiedzą jedynie najbliżsi: mama, ojciec, córka, przyjaciółka, siostra i były mąż. Niełatwo się przyznać do bycia niezbyt normalnym, zwłaszcza przed kimś, kogo znasz zaledwie od kilkunastu dni.

– Po atakach paniki? – kończy za mnie.

Przygryzam wargę i bez słowa potakuję.

– Od dawna je masz?

– Odkąd skończyłam siedem lat.

– Często?

– Różnie. Bywają długie okresy spokoju, ale kiedy pojawia się stresujący czas, ataki się nasilają. Choć żaden nie był tak potężny jak ten pierwszy. Wtedy byłam pewna, że umieram. Prócz niego wystąpiły jeszcze trzy, równie mocne. Jeden, gdy miałam siedemnaście lat i ojciec nas zostawił. Drugi dwa lata temu, po rozwodzie. I trzeci dzisiaj. Pozostałe były dokuczliwe, nie miałam jednak wrażenia, że umieram.

Agnar wciąga powietrze przez nos.

– Gdybym wiedział...

– Nie mogłeś wiedzieć. Bo niby skąd? Odkąd cię poznałam, dawałam ci jasno do zrozumienia, że sama sobie ze wszystkim poradzę. – Prycham. – A jak na ironię, nie jestem w stanie zostać sama po zmroku, bo cierpię na jakąś wybiórczą formę autofobii.

– Autofobii?

– Lękiem przed samotnością. Tylko że ja nie czuję strachu za dnia, lecz wyłącznie w nocy.

– I nie wiesz dlaczego?

– Oczywiście, że wiem. I to od dawna. Moja psychoterapeutka kupiła sobie nowe auto za wieloletnie sesje analizy mojego przypadku. A przypadek jest banalny. Kiedy miałam siedem lat, obudziłam się w środku nocy, żeby zrobić siusiu. Poszłam do kibelka, a w drodze powrotnej postanowiłam wskoczyć rodzicom do łóżka. Nie zastałam ich w sypialni. W pokoju też ich nie było. Ani w kuchni. I w łazience. Mieszkanie było puste. Wołałam, szukałam ich w szafie, na balkonie, a gdy chciałam wyjść na klatkę schodową, okazało się, że drzwi są zamknięte od zewnątrz. Nie muszę ci przypominać, bo też żyłeś w latach osiemdziesiątych, że nie było wtedy komórek.

Agnar przytakuje skinieniem głowy.

– Miałam do dyspozycji tylko telefon stacjonarny i listę kontaktów zapisanych w notesie leżącym na stoliku obok aparatu – ciągnę. – Postanowiłam zadzwonić do babci. Podniosłam słuchawkę, a tam głucho, brak sygnału. I wtedy naprawdę się przeraziłam. Byłam zupełnie sama, przekonana o tym, że rodzice mnie porzucili. Dalej pamiętam jedynie strach, uczucie dławienia, walącego serca, utraty powietrza, lodowatych rąk i stóp, wrzenia reszty ciała i poczucia, że umieram. Później to, że leżałam w swoim łóżku, lekarz z pogotowia mierzył mi ciśnienie, a ratownik podawał zastrzyk w tyłek. Przez kolejnych kilka tygodni nie byłam w stanie zostać nawet na minutę sama. Gdy tylko się orientowałam, że nikogo nie ma w pobliżu, uczucie strachu wracało. Ot i cała historia w skrócie. Wszystko podane na tacy. Jest przyczyna, jest skutek. Pomimo tego, że rodzice wcale mnie nie porzucili, tylko wyskoczyli tamtej nocy na imprezę do sąsiadki, odłączając przed wyjściem telefon, żeby nikt mnie nie obudził; i mimo wielu lat terapii, zrozumienia problemu i ciągłej pracy nad wyzbyciem się fobii nie jestem w stanie przeżyć ani jednej nocy zupełnie sama. Choć zauważam postęp. Potrafię usnąć bez lęku w towarzystwie udomowionych zwierząt. Ważne, by wydawały z siebie jakikolwiek odgłos.

Agnar przygląda mi się nieodgadnionym wzrokiem. Nic nie mówi. O nic nie dopytuje i kiedy zaczynam podejrzewać, że w jego umyśle awansowałam z zadziornej zołzy na zadziorną zołzowatą psycholkę, on przyciąga mnie mocno do siebie i składa pocałunek na moim czole.

– Obiecuję, że niezależnie od tego, jak długo tu będziemy, nie zostawię cię samej na noc – oświadcza głębokim głosem.

Moje serce podskakuje tak mocno, aż brakuje mi tchu. Brzuch wypełnia fala ciepła. Bliżej niezidentyfikowane smyrałki rozpoczynają dzikie pląsy w żołądku. Przez ciało przepływa przyjemny

elektryzujący prąd, którego nie czułam od...

Od ponad dwudziestu lat! Dziwnie się czuję. Bardzo dziwnie. Zupełnie jakbym...

O ja pieprzę, chyba zakochuję się w Radwanie!

Na skali lęku: zero. Na skali podekscytowania: dziesięć.

A miałam się wyciszyć. Może to jakiś syndrom wybawiciela? Coś jak zakochanie się w policjancie albo strażaku, który uratował cię z opresji? Agnar pomógł mi wydostać się z otchłani panicznego mroku i w jakiś pokrętny sposób zapalałam do niego uczuciem. Na pewno coś takiego istnieje w psychologii i zostało nawet nazwane. A ja właśnie stałam się tego ofiarą. To tylko chwilowe. Minie. Muszę się po prostu porządnie wyspać.

– Na mnie już pora. – Ziewam ostentacyjnie i odwracam się na bok, tyłem do Radwana. Serce uderza mi szybko. Za szybko! – Dobranoc – dodaję ze ściśniętym gardłem, modląc się, aby Agnar nie przytulił mnie na łyżeczkę.

– Dobranoc – odpowiada i pozostaje w niezmienniej pozycji na wznak.

I prawidłowo. Tak ma być. Jutro na pewno ktoś po nas przyleci albo przyplynie i wielka miłość skończy się tak prędko, jak się zaczęła.

Tysiąc pięćset siedemdziesiąt dwa przeskakujące przez płotek koziołki później zasypiam.



Potwierdza się teza, że miłość i sraczka przychodzą z nienacka. Ta pierwsza spadła na mnie jak grom z jasnego nieba i za nic nie chce odejść. Zamiast tej drugiej dzisiaj leci gównem z nieba – ni to deszcz, ni to grad. Już sama nie wiem, co byłoby gorsze w obecnej sytuacji: biegunka czy oberwanie chmury z gradobiciem.

A zaczęło się tak niewinnie, od drobnego kapuśniaczku w nocy. Uszczelniliśmy nad ranem dach podwójną warstwą gałęzi, nabieraliśmy drewna, które jeszcze nie zdążyło namoknąć, wyłowiliśmy ryby z sieci i zrobiliśmy zapas wody.

I całe szczęście, bo od kilku dobrych godzin leje jak z cebra, pizga złem i wali grzmotami, aż nasz domek cały się trzęsie. Burza nad morzem to dopiero widowisko. Strach się bać. Fale szaleją, błyskawice rozjaśniają ponure niebo, wiatr świszczy, aż bołą uszy. I ten ziąb. Siedzimy skuleni pod kozią skórą tuż przy ogniu i telepiemy się z zimna. Temperatura musiała spaść do jakichś dziesięciu stopni Celsjusza, co w sytuacji, kiedy oboje jesteśmy pozbawieni ciepłego ubrania, a nasz szałas jest równie szczelny jak rozstaw zębów czterolatka, może wywołać tylko jedno:

- Cieknie mi z nosa. – Szczękam zębami, obejmując kolana.
- A mnie na głowę – odpowiada chmurnie Agnar.

Unoszę wzrok. Faktycznie, dach przecieka, i to w wielu miejscach.

– Co robimy?

– Trzeba przeczekać. Jak deszcz osłabnie, dołożymy gałęzi. – Radwan grzebie patykiem w ognisku, a ja zamiast czuć ciepło od płomieni, doświadczam właśnie mroźnego podmuchu wiatru, który wkrada się pod zwierzęcą kołdrę i spowija chłodem bok ciała.

- Marzę o gorącej kąpieli – jęczę.
- Ja też.

Na samą myśl o Agnarze ze mną w jednej wannie z ciepłą wodą przechodzi mnie przyjemny dreszcz. O, jak miło!

- Z pianą czy bez? – Podgrzewam atmosferę.
- Bez.

No tak. Widać wszystko bardzo wyraźnie. Przyjemna wizja.

- Do umycia pleców gąbka czy szczota?
- Szczota, lubię na ostro.

O tak, coraz cieplej.

– Do tego kieliszek półwytrawnego wina i taca z kawałkami parmezanu – dodaję, bo zaczynam robić się głodna.

- Ser tak, alkoholu nie piję.
- W ogóle?
- W ogóle.
- Od dawna?
- Od piętnastu lat.
- Dlaczego?
- Nie służy mi. Zamiast wina wolę gorącą czekoladę.
- Do sera?
- Do truskawek. – Zerka na mnie. – Zjadłabyś?
- Zdecydowanie.



Wyobraźnia podsuwa mi tak rzeczywisty obraz Agnara, który zamierza nakarmić mnie truskawką namoczoną w gęstej czekoladzie, że bezwiednie rozchyłam usta. Jego spojrzenie momentalnie pada na moje wargi. Wpatruje się w nie tak intensywnie, aż brakuje mi tchu. Robi mi się piekielnie ciepło, tętno przyspiesza, a kiedy Radwan nachyla się nade mną, moje serce zaczyna dudnić tak głośno, że zagłusza szalejącą burzę. Wiem, co się teraz stanie. Pocałuje mnie. Pocałuje! A ja pragnę tego tak bardzo, że z trudem się powstrzymuję, żeby nie rzucić się na niego pierwsza. Z podekscytowania aż zasycha mi w gardle. Zwilżam usta językiem, a wtedy niebieskie oczy rozświetla żar pożądania. Agnar wsuwa dłoń w moje włosy, przyciąga mnie do siebie i...

Sufit zwala nam się na łby.

– Kurwa! – Radwan instynktownie nakrywa mnie ciałem, dociskając tym samym moją twarz do swojego krocza.

Woda leje się strumieniami, wiatr świszczy, deszcz zacina. A pośrodku tego burdelu my – przygniecenii stertą bali i gałęzi. Scena jak z kiepskiego porno pod tytułem *Fellatio podczas sztormu*. On stęka, ja się dławię...

– Nic ci nie jest? – słyszę nad sobą stłumiony głos.

Przekręcam z wysiłkiem głowę i nabieram powietrza.

– Ciężko mi się oddycha – odpowiadam zgodnie z prawdą, bo jestem zgięta w pół, czoło mam wciśnięte między uda Agnara, który dodatkowo napiera na mnie wielkim cielskiem. – Wypuść mnie – wypowiadam z trudem.

– Nie mogę.

– Bo?

– Utknąłem.

Wyczuwam, że próbuje się poruszyć.

– Nie możesz wstać?

– Nie mogę. A czy ty możesz nie gadać?

– Dlaczego?

– Poruszasz ustami tuż przy moim penisie. To nie pomaga. – Stara się podźwignąć, ale z marnym skutkiem.

– I tak nie zrobiłabym ci dobrze w takiej pozycji. Mam ograniczone ruchy i kłopoty z oddychaniem.

– Nad ruchami i oddechem popracujemy później. Teraz milcz i się nie ruszaj.

Tyran. Nie znoszę, gdy ktoś mi rozkazuje. Jeśli podczas seksu też jest taki władczy, to... Cóż. To w zasadzie nie jest jakaś tam wielka tragedia. Kiedy w życiu miałaś tylko jednego partnera, z którym w łóżku było waniliowo, to siłą rzeczy ciekawia cię również inne smaki.

Boże, o czym ja właściwie dysputuję z samą sobą? Z braku powietrza mam niedotlenienie mózgu!

Z gardła Agnara wyrzywa się zwierzęcy okrzyk. O, no właśnie. Do smaków dorzucam werbalne doznania.

Czuję, jak napręża ciało, unosi się powoli, ciężko.

– Kora, wyłaż – mówi przez zaciśnięte zęby, a ja wygrzebuje się spod niego i kiedy tylko dostrzegam szparę w zwalonym dachu, wyczołguję się na zewnątrz.

Momentalnie silny podmuch uderza mnie w twarz, deszcz smaga po policzkach. Dopadam do gałęzi i zaczynam odrzucać je na bok, podczas gdy Agnar dźwiga większe bale na barkach, by w końcu uwolnić się spod ich ciężaru.

Kolejne minuty, kwadransy, godziny to istna mordęga.

Nie wiem, jak długo przekopujemy ruiny naszego domku w poszukiwaniu dobytku, ale nie czuję rąk. Udaje nam się wydostać misę, butelki, skórę, wiadro i złowione rankiem ryby.

– Nigdzie nie widzę puszki. – Woda spływa mi po włosach, wdzierając się do oczu i zamazując pole widzenia.

– Skup się na szukaniu scyzoryka. Bez niego nie naostrzę kijka i nie rozpalimy ognia. – Agnar z rozgorączkowaniem przerzuca gałęzie.

– I tak go nie rozpalimy. Wszystko jest mokre, nie mamy schronienia... – Czuję, że ogarnia mnie

niemoc. – To bez sensu. – Zbiera mi się na płacz. – Jestem cała mokra, zziębnięta, głodna i mam dość tej pierdolonej wyspy!

– Coś wymyślimy. Szukaj – przekrzykuje wiatr, odgarniając resztki dachu.

Nie pojmuję, skąd w nim tyle energii i optymizmu. Przecież to jakiś pieprzony armagedon. Opieram dłonie o uda, nogi mam miękkie w kolanach. Wokół szaro od deszczu, wicher dmie, nie widać nic na odległość metra. I te cholerne grzmoty, które przyprawiają mnie za każdym razem o zawał serca. Nie dam rady. Poddaję się. Niech się dzieje wola nieba, ja wysiadam. Klapię na tyłek, po czym padam plecami na piach i zasłaniam twarz rękoma.

– Co ty wyrabiasz? – Wichura zagłusza głos Agnara.

– Przechodzę załamanie nerwowe.

– Co?! Nie słyszę!

– Mam załamanie nerwowe! – Wydaję z siebie okrzyk rozpacz, wyrzucając ręce w górę, i w tym samym momencie piorun uderza tak blisko nas, aż ziemia podskakuje.

Natychmiast zrywam się na równe nogi. Słyszę rumor spadających kamieni. Serce mi wali. Próbuję dojrzeć miejsce, w które trafiła błyskawica, ale wszystko przysłania ściana deszczu.

– W co walnęło? – Rozglądam się.

– Chyba w sąsiedni klif. – Agnar jak gdyby nigdy nic szuka dalej scyzoryka.

Wpatruję się w skałę, wyostrzam wzrok, lecz niczego nie widać. Coś jednak przyciąga mnie w tamtą stronę. Mam albo wyostrzony zmysł survivalowca, albo absolutny brak instynktu przetrwania. Po prostu czuję, że muszę zobaczyć, gdzie uderzył piorun.

– Idę tam. – Ruszam w kierunku klifu.

Pokonuję dziarsko wiatr i ulewę. Jestem niepokojąco rozemocjonowana, krew krąży szybciej, mam w sobie nowe pokłady energii. Może rażenie pioruna było tak silne, że fala uderzeniowa napełniła moje ciało prądem elektrycznym i stałam się superbohaterką z ponadprzeciętnymi mocami? Jasne... I przy okazji doznałam zwarcia komórek mózgowych, bo pieprzę w tej swojej głowie jak potłuczona. To najzwyczajniejszy wyrzut adrenaliny wskutek silnego pobudzenia nerwowego. Tak przecież grzmotnęło, że nawet umarłaka by pobudziło. Chociaż Radwana szczególnie nie ruszyło. Mogłoby się walić, palić, a ten szuka scyzoryka. Zafiksował się na jego punkcie jak więzień na kosie. Odkąd tu przybyliśmy, nosi go non stop przy sobie.

Moje przemyślenia przerywa ponowny odgłos osuwających się kamieni. Przyspieszam kroku i nagle dostrzegam wysypisko skalne, nad którym zionie czernią wyrwa w klifie. Przystaję. Przyglądam się. Dziura. Jama. Jaskinia!

– Agnar! – wołam, choć jestem pewna, że nie usłyszy mnie w tej zawierusze.

Nie zamierzam zawracać. Jestem zbyt podekscytowana odkryciem potencjalnego schronienia. Zaczynam wspinać się po kamieniach. Są śliskie, chybotliwe, zdradzieckie. Ale moja desperacja i pragnienie osuszenia się w osłoniętym miejscu są tak silne, że sięgam w głąb siebie po nieodkryte dotąd zapasy energii i wspinam się jak wprawny himalaista. A może jednak dziabnął mnie ten piorun, dzięki czemu już zawsze będę silna i żwawa?

Czy to błyskawica? Nie. Czy to Flash? Nie. To Kora Angeli – kobieta żywiol uwięziona w ciele czterdziestolatki.

Lecz kiedy docieram pod grotę, zyskuję pewność, że to nie żadna nadprzyrodzona moc błyskawicy, tylko jednak stara, pocziwa adrenalina. Gdy tylko bowiem moja stopa staje na suchym podłożu i zagrożenie mija, opieram się o ścianę jaskini, zjeżdżam po niej plecami i rozkraczam się bezwładnie na ziemi jak dmuchana lalka, którą zabawiała się ekipa napaleńców w wieczór kawalerski. Róbta ze mną, co chceta, zaliczam zgon.

Nie mam pojęcia, jak długo tak leżę, ale gdy emocje opadają, dociera do mnie, jak bardzo jestem zmordowana, mokra i zmarznięta. Zerkam w głąb jaskini i przechodzą mnie ciarki. Czerń absolutna. Przenoszę spojrzenie na plażę. Widoczność wciąż praktycznie zerowa, jest buro, sino, obrzydliwie. Do momentu, aż zza kotary deszczu wyłania się Agnar. Przemoczony, obładowany, nabuzowany. Na ramionach zarzucona skóra, na niej powiewa sieć, w jednej ręce wiadro z rybami, pod pachą misa z drewnem, w zębach reklamówka z butelkami. Rozgląda się zdezorientowany, szukając najwyraźniej

swojej ulubionej żoły. Moje norweskie słońeczko, które swoim przybyciem rozświetliło właśnie ten pojebany dzień. Aż buzia sama się uśmiecha.

– Tutaj! – Macham do niego i wychodzę mu na spotkanie.

Stąпам ostrożnie po kamieniach, po czym doskakuję do Agnara radośnie i wyjmuję mu z zębów uchwyty torby foliowej.

– Coś taka zadowolona? – Porusza żuchwą na rozluźnienie.

– Znalazłam nam miejscówkę. Uderzenie pioruna odkryło jaskinię.

– Właśnie widzę. – Patrzy w stronę jamy. – Duża?

– Nie wiem. Nie wchodziłam głębiej. Ciemno tam jak w grobowcu.

– Ciekawe, czy są nietoperze.

Nietoperze? O tym nie pomyślałam. Wzdrygam się na myśl o atakujących gackach, które wplątują się we włosy i zarażają zmutowanymi wirusami. Przełykam ślinę. Czuję, że mam sucho w gardle.

– To może ja nazbieram deszczówki do butelek, a ty sprawdź, czy nikt tam nie mieszka.

– Póki nie rozpalimy ognia, to się nie przekonamy. Później pójdziesz po wodę, a ja zajmę się rybami. Zaczniemy od ogniska. Znalazłem scyzoryk, puszkę i udało mi się wydostać spod dachu suche drewno. – Unosi ramię, którym osłania patyki przed deszczem niczym ptasia mama okrywająca pisklęta skrzydłem.

Zerkam ku jaskini. To nie tak, żebym bała się jakoś przeraźliwie nietoperzy, ale nie za bardzo mam ochotę dzielić z nimi lokum. Innego miejsca na przeczekanie burzy raczej nie znajdziemy, a sądząc po tym, jak szczelnie zasnute jest niebo, słońca przędko nie minie.

Nie zdążam jednak wyrazić swojej opinii, bo Radwan już podąża ku grotcie. Niby taki obładowany, a wspinaczka po kamieniach idzie mu całkiem sprawnie. Wręcz nie mogę oderwać wzroku od jego umięśnionych tydek i prężących się pośladków. Idę o zakład, że są twarde jak ta skała.

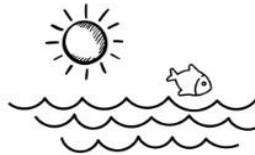
– Przestań gapić się na mój tyłek, tylko śmigaj do środka – upomina mnie.

Pieprzony Argus o stu oczach, w tym pięćdziesięciu z tyłu głowy.

– Wcale się nie gapię, czekam, aż wejdziesz. Nie chcę, żebyś podczas spadania przygniótł mnie swoim olbrzymim cielskiem.

Chociaż w zasadzie... Gdyby w trakcie spadania obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, przodem do mnie, pozbył po drodze ekwipunku wraz ze spodenkami i przygniótł mnie nagim ciałem (nie gwałtownie i rzecz jasna bez uszczerbku na zdrowiu), mogłoby być nawet ciekawie. Tylko ten deszcz. I mokry piach. Plus zimny wiatr. Aż mam gęsią skórę... Nie. Definitywnie odpada. To się nie uda, nawet w mojej wyobraźni.

Ech. Trudny ze mnie przypadek. Niby chętna i napalona, lecz za mało wyluzowana. Krótko mówiąc: spięta niedopchnięta. Zdecydowanie nie nadaję się na survivalove igraszki.



O, jak ciepło. O, jak dobrze. O, jak przyjemnie. Jakże niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia. Leżymy pod koźłą skórą oparci o ścianę jaskini, a ogień dostarcza nam rozrywkę, rzucając na sufit cienie, które tańczą w rytm deszczu. Jesteśmy najedzeni, nawodnieni i ogrzani. Ogarnia mnie senność i nie dziwota – to był koszmarny poranek, do tego biomet niekorzystny, jak padało, tak pada, ale przynajmniej przestało grzmieć. Niebo zasnute jest całkowicie chmurami, co oznacza, że zapewne spędzimy tu dalszy ciąg dnia i najbliższą noc.

– Pora zwiedzić jaskinię. – Agnar, ku mojemu niezadowoleniu, wstaje.

Eee? Po kiego grzyba? Sądziłam, że może się poprzytulamy albo coś więcej. Lecz on ewidentnie nie może usiedzieć w miejscu. Wypija duszkiem prawie całą butelkę niezagotowanej wody. Kilkadziesiąt minut mojego żmudnego zbieractwa w deszczu i na wietrze, liść po liściu, kropla po kropli, ulatnia się

w przeciągu paru sekund. Dobrze, że napełniłam dwie butelki. Zostawiłam też wiadro i puszkę na zewnątrz, żebyśmy mieli zapas wody na później.

– Idziesz ze mną? – Zapala kij i unosi go niczym pochodnię.

– Nie ma mowy. Nie zamierzam stać się pożywką dla tych wampirzych stworzeń i dostać wścieklizny.

– To nie lasy podzwrotnikowe. Nietoperze w Europie żywią się owadami i owocami. Nie zaatakują cię, nie wplaczą ci się we włosy i nie wyssą z ciebie krwi. Może nawet ich tu nie ma.

– Oby tak było, bo nie zmrużę oka tej nocy.

– Czyli nie idziesz?

– Nie idę. I nie wołaj mnie na pomoc, gdyby cię zaatakowały. – Otulam się koźlą kołdrą, wystawiam stopy do ognia i podkładam sobie zwiniętą bluzę pod głowę.

O tak, ciepelko. Drewno trzaska przytulnie, szum morza i krople deszczu kołyszą mnie do snu. Powieki mi ciężą. Zapadam w popołudniowy letarg, a wtedy niespodziewanie rozlega się wołanie. Otwieram oczy. Nie jestem pewna, czy mi się śniło, czy to Agnar.

– Kora! – niesie się echem.

A jednak Agnar. Po kij mnie budzi?

– Co?!

– Chodź tu, szybko!

Chyba ocipiał.

– Nie.

– Kora!

– Mówiłam, że nie pomogę. Radź sobie z nimi sam!

Nie odpowiada. I dobrze. Nigdzie się stąd nie ruszam. Poprawiam sobie poduszkę i nagle rozbrzmiewa rumor kamieni. Wzdrygam się.

– Agnar?

Cisza.

– Radwan! – Wstaję. – Wszystko okej? – wołam, wypatrując pochodni.

A tam ciemno, pusto i głucho jak w mojej dupie po lewatywie Cyganeczką. Psiakrew. Człowiek nie może się nawet zdrzemnąć po obiedzie. Po jaką cholere on tam w ogóle polazł?

Wkładam bluzę, narzucam na głowę kaptur (tak, nadal uważam, że nietoperze z premedytacją wplątują się we włosy), podpalam jeden z dłuższych badyli i ruszam powoli w głąb pieczary.

– Agnar! – nawołuję, lecz nie otrzymuję odpowiedzi.

Rozglądam się w poszukiwaniu wiszących do góry nogami gacków, mroczków, nocków, ślepych lelków czy innych rękoskrzydłych, na szczęście nie dostrzegam ani jednego.

Chociaż tyle. Ale gdzie jest ten pieprzony Norweg?

– Agnar, odezwij się, do diabła! – Serce mi galopuje, podążam powoli przed siebie, a z każdym krokiem odnoszę wrażenie, jakby odgłos deszczu się wzmacniał. Co jest mało prawdopodobne, zważywszy na to, że oddalam się od wejścia do groty. Mało tego, zamiast robić się coraz czarniej, staje się widniej. A może to złudzenie i mój wzrok po prostu się przyzwyczaił? Albo mam udar i zaraz tu umrę.

– Agnar!!! – wydaję z siebie okrzyk, a wtedy z oddali dobiega mnie ledwo słyszalne:

– Tutaj...

– Czyli gdzie!?

– Cały czas prosto...

– A ja myślałam, że w dół – fukam pod nosem.

– A potem w dół – dodaje, a mnie zapala się lampka ostrzegawcza.

Kurwa, spadł. Zapadł się w jakąś ciemną jamę i leży połamany. Tętno mi skacze. Przyspieszam kroku.

– Już idę!

– Pospiesz się! – Zagłusza go narastający dźwięk deszczu.

Zaczynam biec. Oświetlam sobie drogę pochodnią, żeby nie wpaść w dziurę, w której znalazł się

Radwan. Ogień jednak okazuje się zbyt cenny, bo gdy tylko docieram do wielkiego urwiska, moim oczom ukazuje się najpiękniejsze miejsce, jakie widziałam w całym ponadczterdziestoletnim życiu.

W sklepieniu nade mną znajduje się niewielka wyrwa, przez którą dostaje się snop światła wraz z deszczem. Stapiają się parę metrów niżej ze ścianą wodospadu wpadającego łagodnym, powolnym rytmem do lazurowego stawu, gdzie w najlepsze pławi się grecki bóg o równie niebieskich oczach jak woda.

– Jesteś wreszcie! – Unosi ręce, kiedy mnie dostrzega.

Tak, jestem. Zauroczone, zszokowana, ba, nawet wzruszona. Przecież to istny raj.

– Wchodzisz czy będziesz tak stać z rozdziawionymi ustami, jakbyś nie widziała w życiu wodospadu? – woła, starając się przekrzyczeć szum wody.

– Nie widziałam. Nie taki!

Nawet najpiękniejsze miejsca w Polsce, jak Wodospad Kamieńczyka w Sudetach, Wodospad Szklarki w Karkonoszach czy Sikława w Tatrach, nie mogą się nawet w jednej czwartej równać z tym cudem natury. Przejrzysta woda, znad której unosi się para, pojedyncze samosiejki kosodrzewiny i pinii wyrastające ze skał wapiennych. Toż to zjawisko na skalę światową. Dlaczego nie ma tu tłumu turystów nagrywających tiktoki do dźwięku: *No, seriously, what is this place? This is heaven*<sup>13</sup>?

Nie waham się ani sekundy. Zagaszam patyk w ziemi, ściągam bluzę, po czym zaczynam schodzić powoli po zboczach w stronę stawu.

– Uważaj pod koniec. Gdy schodziłem, spadło kilka kamieni – ostrzega Agnar.

To pewnie ten dźwięk wzbudził moją czujność. Stawiam ostrożnie krok za krokiem, kilka kamieni faktycznie osuwa się pod stopami, lecz ja przytrzymuję się jednej z karłowatych sosenek i utrzymuję równowagę.

Kiedy wreszcie dochodzę do brzegu, ściągam sandały, zanurzam stopę w wodzie i aż wstrzymuję oddech.

– Ciepła!

– Ciepła – potakuje Agnar.

– Ja pierdzielę. To niemożliwe. – Wchodzę głębiej, na ramionach pojawia się gęsia skórka, przesywa mnie przyjemny dreszcz. Zaczynam płynąć w stronę Radwana. Boże, jak ciepło, jak wspaniale. Ogarnia mnie uczucie ekscytacji. – Myślisz, że to źródło geotermalne?

– Najwyraźniej. – Przygląda mi się uważnie, a kiedy zbliżam się do niego, zanurza się i nurkuje.

Rozglądam się za nim, widzę, jak wyłania się pod wodospadem i... Och, co za widok! Gdybym była gejem, normalnie by mi stanął. Agnar unosi głowę, otwiera usta i pije prosto z kaskady. Dociera do mnie kolejny atut tego magicznego miejsca.

– Słodka?! – wołam do Radwana, ale on mnie nie słyszy.

Podpływam bliżej, a kiedy staję naprzeciwko niego i ponawiam pytanie, on odrywa się od wodopoju, a z jego ust prosto na mnie tryska fontanna.

– Spacaniałeś do reszty? – Ocieram twarz i chlapię go wodą w odwecie.

– Słodka – odpowiada z szerokim uśmiechem, a ja zamieram na ten widok.

O matulu. Jaki on śliczny. Odkąd go poznałam, nie uśmiechnął się ani razu. Nawet odrobinę. Nawet ciutkę. A teraz stoi tu przede mną cały uchachany, z tą swoją umięśnioną klatą, wodą ściekającą po muskularnych ramionach i błyskiem w tęczęwkach mieniących się błękitem. Wachlarze zmarszczek rozchodzą się równomiernie z zewnętrznych kącików oczu, dodając męskiej twarzy tyle uroku, że z trudem się powstrzymuję, aby się na niego nie rzucić.

– Z czego się śmiejesz? – Chlapię go ponownie wodą, a wtedy on z zaskoczenia chwytam mnie w pasie i zanurza się razem ze mną.

Co za dzieciak. Otwieram oczy pod powierzchnią, widzę tuż przed sobą zadowolonego Radwana. Łapie mnie za uda, rozsuwa mi nogi, przyciąga mnie do siebie, po czym wynurza się ze mną.

Oboje bierzemy głęboki wdech. Jego ręce zaciskają się na mojej talii, oplatają go nogami w biodrach. Oddychamy szybko. Patrzymy sobie w oczy. Serce dudni mi tak mocno, aż boli mnie w piersi.

A niech tylko teraz coś nam przeszkodzi, to...

Nie kończę myśli, bo usta Agnara przywierają do moich. Mocno, zachłannie, zaborczo. Są

miękkie, namiętne, przyprawiają mnie o zawrót głowy. Wydaję z siebie westchnienie, rozchylając nieświadomie wargi, a wtedy nasze języki instynktownie się łączą w gorącym tańcu. Nie kojarzę dokładnie, kiedy ostatni raz całowałam się po francusku, ale to musiało być wieki temu. Nie pamiętam również, by było aż tak zmysłowo i podniecająco. Tak, wiem, mam już swoje lata i zostało mi trzy ćwierci do śmierci, jednak najwyraźniej moja kobiecość uważa inaczej, bo czuję tak silne świerzbienie w cipce, że jeśli się zaraz o coś nie otrę, to zwariuję. Więc się ocieram. O Agnara. Zarzucam mu ręce na kark, zaciskam mocniej uda na jego biodrach i posuwistymi ruchami wprowadzam w euforyczny stan swoją klitoris. I chyba nie tylko ją, bo właśnie wyczuwam między nogami imponujący wzwód tego oto mężczyzny.

– Chryste, oszaleję przez ciebie – cedzi Radwan przez zaciśnięte zęby, przenosi mnie za kaskadę i przyciska do ściany.

Czuję na plecach chłód bijący od skały, krople z wodospadu zraszają mi twarz. Gorące usta Agnara błędzą po mojej szyi, męska dłoń wsuwa się w majtki, pociera wargi sromowe, zahacza umyślnie o lechtaczkę – raz, drugi, trzeci, coraz szybciej, intensywniej, mocniej, aż nagle palce wślizgują się do środka, wypełniając moje wnętrze.

– O rany. – Przeszywa mnie dreszcz rozkoszy.

Wbijam paznokcie w plecy Radwana, a wtedy on chwyta zębami miseczkę stanika, odsłania sutek, przysysa się do brodawki i równocześnie zaczyna posuwać mnie palcami.

Czuję mrowienie na całym ciele. Spoglądam w dół i wzdycham na widok twarzy Agnara przy mojej nagiej piersi. Mokre włosy opadają mu w nieładzie na czoło, ramię napina się w rytm ruchów, którymi mnie zadowala. I te jego gardłowe pomrukiwania... Że niby on oszaleje przeze mnie? To ja zwariuję przez niego. Opętał mnie, jestem jak obłąkana. Mało tego, dobrze mi z tym jak jasna cholera i nie zamierzam za prędko wracać do stanu normalności. Pragnę więcej i teraz, chcę Agnara całego, tylko dla siebie.

Sięgam do jego spodenek, wsuwam w nie dłoń i momentalnie napotykam twardego członka. Wstrzymuję oddech i czuję ukłucie zawodu. Dlaczego, do diabła, Mateusz nie mógł mieć takiego wielkiego? Tyle mnie ominęło. Tyle życia upłynęło w przeświadczeniu, że mój mąż jest dobrze wyposażony. Mały, wredny kutas. Nie dosyć, że mnie zdradził, to oszukiwał przez ponad dwadzieścia lat, chwając się ponadprzeciętnym rozmiarem. Mogłam mu zmierzyć siura i sprawdzić dane w internecie. Na pewno znalazłabym wiarygodne statystyki dotyczące wymiarów penisa – długość, obwód, mediana, dominanta... Nie wiem, ile mierzy członek Agnara, ale zdecydowanie pinduś Mateusza się nie umywa. A co, jeśli rozmiar nie ma znaczenia? Napalam się na Radwana jak mol spożywczy na mąkę, wyobrażam sobie, że robi mi niebywałym fallusem Bóg wie co, tymczasem może się okazać, że nie jest wcale takim ogierem, jak...

– O Boże, Agnar... – Czuję zbliżającą się falę orgazmu, kiedy jego palce wyczyniają cuda i dziwy w mojej cipce. – Zaraz dojdę... – wzdycham i w przyływie emocji zaczynam zadowalać go coraz szybciej.

Z jego gardła wydobywa się westchnienie.

– Zwolnij, bo dojdę przed tobą. – Opuszcza moje wnętrze, chwyta mnie za dłoń, wyjmuję ją ze spodenek, po czym zsuwa mi majtki, klęka przede mną i nieoczekiwanie przywiera ustami do mojej kobiecości.

Ja pierdzielę! A tam, chuj z jego chujem. Wystarczą mi te jego magiczne palce, zajebisty język i szorstki zarost. W życiu nie doświadczyłam czegoś podobnego. Zanurzam dłonie w jego włosach, spoglądam na przystojną twarz między moimi nogami. I nagle doznaję porażenia gałek ocznych.

Chryste Panie, moja cipka jest owłosiona jak żubr z Puszczy Białowieskiej! Momentalnie zaciskam uda.

– Przestań. – Odsuwam głowę Radwana.

Spogląda na mnie spod na wpół przymkniętych powiek, wzrok ma zamglony, usta nabrzmiąle.

– Coś nie tak? – Wpatruje się we mnie jak w święty obrazek.

O Boziuuniu, jaki on piękny (Agnar, nie obrazek).

– Tak. – Zasłaniam żubra rękoma.

– Nie podoba ci się?

Wargi sromowe mi pulsują, pragną całowania, ssania, pocierania... Jezu, zaraz się poryczę z frustracji.

– Podoba, ale...

– Ale co? – Wlepia we mnie swoje niebieskie oczy, a ja wydaję z siebie jęk.

– Jestem nieogolona.

– I co z tego? Ja też.

– Jak to: co z tego? Mam tam włosy. To musi być dla ciebie... – Szukam delikatnego synonimu, którym mogłabym zastąpić słowa: „obleśne”, „odpychające”, „obrzydłe”... – Nieprzyjemne?

– Nieprzyjemne. – Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, po czym wstaje z kolan, opiera się ręką o ścianę i zagląda mi w oczy. – Czy myślisz, że gdyby było mi nieprzyjemnie, to lizałbym twoją cipkę?

– Może jesteś po prostu uprzejmy...

– Uprzejmy. – Nieoczekiwanie uwalnia członka ze spodenek, rozsuwa mi uda i przywiera nim do mojego krocza. – I miałbym z powodu tej uprzejmości taki wzwód? – Pociera główką penisa o łechtaczkę, a pode mną uginają się nogi.

– Nie wiem. – Przełykam ślinę.

– A ja wiem. I wiem też, czego pragnę – mówi w moje usta.

– Tak? – Głos mi się rwie.

– Tak. I sądzę, że domyślasz się czego. – Unosi mi udo i przesuwam członkiem po wilgotnym wejściu.

Wzdycham głośno, podczas gdy on krąży prąciem nęcąco po kobiecości, zahacza o klitoris, po czym ponownie ociera się o szparkę, doprowadzając mnie tym do szaleństwa. Oddycham coraz szybciej, moje biodra unoszą się instynktownie, a ten drań, wiking jeden, drażni się, bawi mną, nie spuszczać ze mnie hipnotyzujących oczu. I czeka. Czekaj, kurwa, aż pęknę.

– Agnar... – Jestem na skraju wytrzymałości.

– Kora? – Opiera czoło o moje, przymyka powieki i muska wargami moje usta, kontynuując swoje mordercze tortury.

Czuję, że cała drzę z podniecenia, niepewności i żądzy. Za każdym razem, kiedy twardy kutas ociera się o moją dziurkę, liczę na to, że wreszcie wsunie się we mnie, chociaż odrobinę. A wtedy ten paskudny Norweg znowu się wycofuje w stronę łechtaczki, pogłębiając pocałunek i wzmagając narastające pragnienie spełnienia.

Ja pitole! Ile można?!

– Wystarczy. Zróbmy to – dyszę w jego usta i całuję go równie namiętnie, jak on mnie.

– Zróbmy co? – Oddycha szybko.

– No... to.

– Czyli co?

Noż kurwa, zaraz go utopię w tym stawie.

– Wejdz we mnie.

– Jesteś pewna? – Zagłębia się nieznacznie w cipce, a moja cierpliwość się kończy.

– Tak. Teraz. – Przysuwam biodra w jego stronę, a wtedy on wbija się we mnie mocnym pchnięciem.

Wstrzymuję oddech. Zaciskam palce na ramionach Radwana. Oboje zastygamy w bezruchu. On we mnie, cały, wielki, wypełnia mnie aż do końca, a ja zyskuję odpowiedź na swoje durne pytanie: Tak, rozmiar ma cholernie ogromne znaczenie.

– Oddychaj. – Agnar patrzy mi w oczy ze ściągniętymi brwiami. – Powoli. – Wysuwa się ze mnie odrobinę, a ja wypuszczam głośno powietrze.

Nogi mi drżą, serce łomocze, a kiedy Agnar wchodzi we mnie powtórnie, jęczę, marząc jedynie o tym, żeby zrobił to jeszcze raz i ponownie, i znowu, aby posuwał mnie, aż padniemy z wycieńczenia.

A że marzenia czasami się spełniają...

– Kurwa, jak ja cię pragnę. – Radwan przywiera władczo do moich ust, zaciska dłoń na moim udzie i zaczyna mnie pieprzyć. Szybko, mocno, bez zahamowań. Wbija się we mnie głęboko, ociera

łonem o łechtaczkę, a ja całkowicie mu się poddam. Przyjmuję, co mi daje. Całą sobą. I płonę. Spalam się. Obejmuję go za kark, przywieram piersiami do jego torsu i spajam się razem z nim.

Wzdychamy oboje, nasze jęki niosą się echem po jaskini, gonimy spełnienie. A ono jest coraz bliżej, nadciąga jak bezkresna fala i kiedy uderza we mnie z mocą tsunami, wydaję z siebie okrzyk, jakiego nigdy wcześniej u siebie nie słyszałam – dziki, głośny, nieposkromiony. I nie jestem w tym osamotniona, bo chwilę po mnie z wyrazem nieopisanej ekstazy na twarzy dochodzi mój bóg morza (i jak się właśnie okazało, również bóg zajebistego orgazmu). Ściągnięte brwi, zaciśnięte powieki, rozchylone usta, napięty każdy mięsień. Agnar podczas szczytowania wygląda tak zniewalająco i seksownie, że definitywnie skreślam grubą krechę słowo „chyba” ze stwierdzenia: „O, ja pierdolę, chyba zakochuję się w Radwanie!”.

Jestem w nim zabujana po uszy.





To nic, że mam obolałe plecy od ocierania się o ścianę. I to nic, że rwie mnie w pachwinie, a cipka jest opuchnięta i wygląda jak gigantyczna brzoskwinia. Jestem w siódmym niebie. Ptaki śpiewają, słońce świeci, świat jest piękny, a tak naprawdę jest ciemno, leje jak z cebra, a nam kończy się jedzenie. Ale ja i tak nie jestem głodna. Żywię się miłością, spojrzeniami ukochanego, brzmieniem jego głosu, wyglądem jego boskiego ciała. Tak. Odjechało mi. Zabawa hormonami po czterdziestce to nie przelewki. Nie mam pojęcia, jak długo powinien utrzymywać się podwyższony poziom serotoniny, oksytocyny, prolaktyny i innych „yny” po seksie, lecz mój organizm ewidentnie ześwirował od ich nadmiaru tuż po tym, jak miałam orgazm życia.

Z Agnarem i jego hormonami chyba też nie jest najlepiej. Ewidentnie testosteron przejął kontrolę nad jego ciałem i umysłem. Włączył mu się łazik, zdobywca i łowca. Gdy tylko wróciliśmy znad stawu, upiekł na ogniu trzy ryby, a że ja nie byłam głodna, wciągnął wszystkie naraz, po czym uznał, że skoro skończyły nam się zapasy, on wyruszy na poszukiwania jedzenia. To nic, że słota, szaro, buro, mokro, zimno. Ja padłam ze zmęczenia, a on poszedł na polowanie.

Wrócił po zmroku, a wraz z nim dwadzieścia siedem żab!

I stoi teraz nad ogniem z metrowym szaszłykiem z żabich udek i rozprawia żywo o tym, jak ludzkość zbłądziła wraz z postępem technologicznym.

– Konsumpcjonizm. Wszystkie korporacje, które dążą do nieustającego wzrostu i zysku, wmawiają nam, że koniecznie należy kupować niezliczoną ilość dóbr, choć ich nie potrzebujemy – monologizuje z przejęciem, obracając szaszłyk nad ogniem. – Zostaliśmy uwarunkowani, zrobiono nam pranie mózgu, że chcemy mieć więcej i więcej. Nieznaczny bodziec wystarczy. Firmy przekonują nas, że musimy nabyć ich produkt, który tak naprawdę nie jest nam niezbędny do życia. Dysponują gigantycznymi środkami finansowymi na kampanie marketingowe, najnowsze technologie. Reklamują się w social mediach, opłacają znanych ludzi, a ci pokazują się w markowych ubraniach, chwala produkty, w które nie wierzą. Warunkują nas, docierają do naszej podświadomości. Staliśmy się idiotami. Globalna produkcja jest w nadmiarze, ludzie kupują w nadmiarze. Wszystkiego jest w nadmiarze. Przesyt. Jedzenie się marnuje, brakuje miejsca na wysypiskach na tworzywa, których nie można poddać recyklingowi. Wypruwamy sobie żyły, żeby zarobić na rzeczy, a te dają nam złudne poczucie szczęścia i bezpieczeństwa. To chore... – Obraca kij nad płomieniem. – Telewizja i media nas oglupiają, narkotyki i alkohol przyćmiewają nasze umysły, ludzie nie czytają, nie dociekają, idą jak barany za tym, który beczy najgłośniej. I to jest na rękę wielu przywódcom państw i Kościołów. Niewiedza. Nie mamy swojego zdania. Gonimy za tym, co jest na topie. Świat jest popieprzony. – Kręci głową wyraźnie pobudzony.

Co on się tak nakręcił?

– Wiesz, każdy żyje według własnego uznania – oznajmiam. – Ty masz leśniczkówkę na zadupiu w Norwegii, żywisz się dziką zwierzyną, którą upolujesz, złowionymi rybami z jeziora i palisz w kominku drewnem z własnego lasu. Niektórzy wolą mieszkać w apartamentowcu z centralnym ogrzewaniem, zarabiać pracą w biurze od dziewiętej do siedemnastej, żeby kupić sobie burgera bądź sushi w restauracji, a w weekend odreagować na zakrapianych imprezach.

– I to ci odpowiada? – Patrzy na mnie niemal oskarżycielsko.

– Nie powiedziałam, że prowadzę taki styl życia. Znam jednak takich, którym to pasuje. Uważam, że trzeba mieć umiar. W odpowiednich proporcjach wszystko jest dla ludzi. Też nie jestem fanką konsumpcjonizmu, ale takie mamy czasy i trudno się od tego zupełnie odciąć. Nasze pokolenie jest

jeszcze w stanie zrozumieć pojęcie przesyty, lecz moja córka... To zupełnie inna mentalność i podejście do świata. Moje dzieciństwo to lata osiemdziesiąte: blokowisko, fikołki na trzepakach, gra w gumę, w klasy, jazda na rowerze, klapsy w tyłek za nieposłuszeństwo, chleb z margaryną i solą, trampki, getry, kilka bluzek, mandarynki na święta Bożego Narodzenia i najcenniejsza zabawka w postaci używanej lalki Barbie, którą pod choinkę przysłała ciotka z Niemiec. Moja córka natomiast od małego dostawała wszystko, czego dusza zapagnie: pluszaki, lalki, wózeczki, domki, piekarniki, książeczki, klocki Duplo i Lego. Teraz ma najnowszego iphone'a, ciuchy prawie wszystkie markowe, przeszła na wegetarianizm, kontaktuje się z koleżankami głównie na Messengerze, nie chodzi do kina, woli abonament VOD i oglądanie filmów oraz seriali na laptopie. Takie czasy. To chyba dobrze, że możemy żyć tak, jak nam się podoba. Nikt nas nie zmusza do porzucenia prostoty, nie wciska nam na siłę konsumpcjonizmu, sami się na to decydujemy. Chociaż na pewno niepokojące jest to, że dzieciaki zamiast biec po szkole na boisko, wolą zamknąć się w pokoju i grać na komputerze. Dorośli są za to odpowiedzialni i mają wybór. Każdy z nas stanowi według własnego uznania. Sam mówiłeś, że nie pijesz alkoholu od piętnastu lat, choć wcześniej ważne dla ciebie były drogie auta, hotele, imprezy, kobiety, mocne trunki, narkotyki. Coś jednak sprawiło, że od tego odszedłeś. Dokonałeś wyboru. Podjąłeś taką, a nie inną decyzję, prawda?

Agnar ściąga brwi.

– To co innego. – Nie patrzy na mnie. Przygląda się pieczonemu żabom.

– To znaczy?

– Nie wybrałem tego świadomie. Życie podjęło decyzję za mnie. Dobrze się stało.

– Twierdziłeś, że nie pijesz alkoholu, bo ci nie służy.

– Bo nie służy. Nie mogę pić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Nie odpowiada, czym wzbudza moją ciekawość.

– Czy gdybym teraz postawiła przed tobą szklankę wódki z colą, lodem i limonką, tobyś ją wypił?

Podnosi na mnie wzrok, przetyka ślinę.

– Bez wahania.

Zapala mi się lampka ostrzegawcza. Szukam odpowiednich słów, żeby zadać mu umiejętnie pytanie, które od razu mi się nasuwa.

– Nie możesz pić, bo jesteś alkoholikiem?

Taaa, to było bardzo umiejętnie.

– Nie. – Odsuwa szaszłyk od ognia.

– I nigdy nim nie byłeś? – dopytuję, choć doskonale wiem, że z alkoholizmem jest jak z opryszczką: jak już cię dorwie, to zostaje z tobą na całe życie.

– Nie – oznajmia pewnie, zdejmując mięso z patyka.

– To dlaczego nie możesz pić?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Wkłada sobie mięso do ust. – Ile ci nałożyć? – Zsuwa udka na korę, kończąc ewidentnie temat alkoholu.

Czuję bolesne ukłucie w sercu.

– Nic.

– Smakują jak kurczak i mają tyle kalorii co jedna czwarta skrzydełka. Spróbuj.

– Nie.

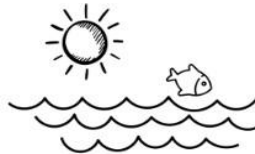
– Dlaczego?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Strzelam focha, odwracam się do niego plecami i zakrywam koźlą skórą.

Tak, obraziłam się i jest mi przykro. Sądziłam, że po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, a zwłaszcza po dzisiejszym seksie pod wodospadem, zbliżyliśmy się do siebie. A on mi wyskakuje z tekstem, że nie chce ze mną rozmawiać. Nie to nie. Ja też mam swoje wielkie tajemnice. To znaczy miałam, jedną, którą mu wypaplałam. Ale mam jeszcze inne, nieco mniejsze, aczkolwiek ciekawe. Na przykład tę, że trzymam w szufladzie z majtkami wibrator, z którego korzystam systematycznie, odkąd się rozwiodłam; albo że chowam pod materacem paczkę papierosów na czarną godzinę, mimo że dziesięć lat temu rzuciłam palenie; albo że jestem uzależniona od raffaello – mój rekord to karton zbiorczy

zjedzony podczas wieczornego oglądania *Gambitu królowej*, czyli osiem opakowań po dwieście trzydzieści gramów, co daje w sumie sto siedemdziesiąt sześć pralin za jednym posiedzeniem. To nic, że po tym białym szaleństwie nie zdażyłam w nocy do kibla i obsrałam sobie piżamkę na brązowo. Każdemu może się zdarzyć.

Boże, ależ bym zjadła teraz coś słodkiego. Wyobraźnia momentalnie podsuwa mi pyszności, które wjeżdżają na wielki stół: czekolada mleczna z orzechami, bezy, krówki, kasztanki, bułka z jagodami, drożdżowiec z truskawkami, makowiec, keks, sernik, lody z bitą śmietaną i gofry z owocami... Wszystko pyszne, wszystkiego w bród. Jem zachłannie, łapczywie. Zjawiają się batony i wafelki: snickers, mars, twix, bounty, prince polo i knoppers... A ja ładuję jednego za drugim do ust, jestem w ekstazie, nie mogę przestać jeść. Aż w końcu od nadmiaru słodkości dopada mnie śpiączka cukrzycowa i zapadam w sen.



Śni mi się, że jestem na koncercie zespołu Queen, a Freddie Mercury w całej swojej krasie śpiewa: *Tonight I'm gonna have myself a real good time. I feel alive and the world turning inside out. Yeah! I'm floating around in ecstasy*<sup>14</sup>.

To mój ukochany solista, najlepszy wokalista wszech czasów, dlaczego więc od jego zawodzenia puchną mi bębni słuchowe? Głos ma niski, tubalny, brzmi jak niedźwiedź na bani.

Nie. Nie wytrzymam. Tego nie da się słuchać.

– *So don't stop me now. Don't stop me*<sup>15</sup>.

O Chryste! Mam ochotę odciąć sobie uszy. Niech mnie ktoś stąd zabierze!

Otwieram oczy. Na zewnątrz pada deszcz, mój wzrok wyłapuje stos ryb, kilkanaście martwych zab i parę krabów leżących przy ognisku.

A to skąd się tu wzięło?

– *'Cause I'm having a good time, having a good time*<sup>16</sup>.

Wzdrygam się na dźwięk donośnego buczenia.

Przenoszę spojrzenie w kierunku źródła dźwięku i napotykam pochyloną sylwetkę Radwana.

Wiąże ze sobą jakieś patyki, kalecząc przy tym ciąg dalszy piosenki *Don't stop me now*.

Czuję, że zaczyna boleć mnie głowa.

– Możesz przestać? Zaraz dostanę migreny. – Pocieram czoło.

Agnar nie reaguje. Płacze nadal z przejęciem sznurek wokół długasných kijów, podśpiewując.

– Radwan. Ucisz się. – Podnoszę się ociężale.

Spogląda na mnie. Oczy mu błyszczą, twarz jest pogodna.

– Wstałaś! – Jego usta układają się w szeroki uśmiech.

Porzuca badyle, podchodzi w dwóch krokach, po czym niespodziewanie chwytą mnie w pasie, unosi i okręca się razem ze mną wokół własnej osi.

Jezu, a temu co? Mój błędnik dostaje kręcka.

– Przestań – wydaję z siebie pisk.

– *Don't stop me now. 'Cause I'm havin' such a good time.* – Robi jeden obrót za drugim, a mnie kołuje się w głowie.

– Agnar.

– *Don't stop me now. Yes, I'm havin' such a good time.*

– Niedobrze mi. Opuść mnie.

Stawia mnie na ziemi, łapie za dłoń, drugą trzyma na talii i zaczyna ze mną tańczyć.

– *Don't stop me, don't stop me, don't stop me, hey, hey, hey!* – dudni basowo, a ja mimowolnie się śmieję. Totalnie mu odjechało. – *Don't stop me, don't stop me, ooh, ooh, ooh...* – Nieoczekiwanie przechyla mnie w tył i całuje w usta. Namiętnie, głęboko, pożądlawie.

Serce mi wali od porannej gimnastyki i żarliwego pocałunku. Cóż za odmiana. Uwielbiam

takiego Radwana!

Lecz nagle przypominam sobie jego wczorajszą niechęć do rozmowy i mój entuzjazm słabnie. Odrywam się od gorących warg.

– Chyba powinniśmy zwolnić. – Odsuwam go, jednak on nie chce mnie puścić.

– Raczej przyspieszyć. – Oplata mnie ramionami mocno w pasie. – Miałaś rację. Wszystko jest dla ludzi. Chcę się zabawić, napić, zapalić, tańczyć z tobą do upadłego – mówi szybko, jak nakręcony. – I uprawiać seks. – Przywiera ustami do mojej szyi. – Dużo seksu. Wszędzie. – Bierze mnie na ręce. – W łóżku, na blacie w kuchni, pod prysznicem. – Przenosi mnie na koźłą skórę i kładzie. – W samolocie, w aucie, w windzie... – Przygniata swoim ciałem, całuje sutki...

– Kuszące, ale nierealne – dyszę, czując narastające pożądanie. – Z wymienionych rzeczy mamy tylko prymitywny prysznic z sadzawką.

– Dlatego musimy wrócić. – Zsuwa mi pospiesznie majtki i rozchyła nogi. – Jak najszybciej. – Wzrok ma rozogniony, podekscytowany, całuje mnie zachłannie po piersiach.

– Przez ten deszcz... – Głos mi się rwie, zaczynam drżeć z podniecenia. – Nikt nas nie uratuje... – Zanurzam palce w jego zmierzwionych włosach.

– Sami się uratujemy. – Uwalnia ze spodenek sterczącego na baczność członka i ociera się nim o cipkę.

– Niby jak? – Instynktownie wypycham w jego stronę biodra. Pragnę, żeby mnie wypełnił.

– Zbuduję tratwę. – Wchodzi we mnie mocnym pchnięciem, a ja tracę dech. – Odplyniemy stąd pojutrze skoro świt. – Porusza się, a ja wydaję z siebie jęknięcie. – Do wieczora dotrzemy do Rodos. – Wysuwa się i wbija ostro ze stęknięciem, a ja zaciskam palce na jego ramionach. – A później będziemy imprezować do rana i pieprzyć się cały dzień w hotelowym pokoju. – Przywiera wargami do moich i zaczyna mnie posuwać. Porywcz, nieokrzesianie, do utraty tchu.

Ja pitole, znowu będą mnie boleć uda, a cipka spuchnie jak po użądleniu roju szerszeni. Ale walić to. Jest bosko, rewelacyjnie, nieprawdopodobnie! Kto by się spodziewał, że chmurny wiking z takiego drewniaka przerodzi się w pełnego wigoru i chuci junaka. Zupełnie jakby ktoś podmienił go na brata bliźniaka o odmiennym temperamencie. Humor mu dopisuje, jest miły i uczynny, rozpiera go energia... I ten jego popęd. Nie sądziłam, że można w tym wieku uprawiać tak niewiarygodny seks. Muszę tylko pilnować dni płodnych. Dopiero miałam miesiączkę, więc możemy sobie jeszcze pofolgować. Zwłaszcza że w moim wieku pula i jakość komórek jajowych przypomina liczbę suszonych rodzynek w babeczce z taniej piekarni. Niby jakieś są, ale wyłącznie dla dekoracji. Mimo to trzeba być czujnym. Sama myśl o zajściu w ciążę przyprawia mnie o mdłości i zgagę. Daję nam cztery dni wolności, a później basta! No chyba że Agnar faktycznie zrealizuje swój ambitny plan, będziemy już na Rodos, gdzie kondomów i pigulek antykoncepcyjnych jest pod dostatkiem. A wtedy zaruchamy się na śmierć.

Niegrzeczna Kora. Takie słownictwo u dojrzałej kobiety. Wstydź się – odzywają się resztki przyzwoitości.

– Jasna cholera, jesteś taka gorąca – syczy Agnar przez zaciśnięte zęby, zamyka palce na mojej szyi i wbija się we mnie ostro, jeszcze raz i ponownie.

Jestem w ekstazie. Wiję się pod nim, jęczę, moje ciało rozpala dreszcz, nadchodzi spełnienie, zaraz dojdę. Zaciskam uda na męskich biodrach, przesuwam paznokciami po umięśnionych plecach.

– O tak. Mocnej! Mocniej! – błagam.

Kora, nie wypada. Pohamuj instynkty. Zachowujesz się jak dzikuska – to znów ta nawiedzona przyzwoitość.

A co, jeśli jestem dzikuską, hę? I jest mi z tym zajebiście? Wypad stąd. Mam teraz ważniejsze sprawy niż...

– O Boże! – Cipka się zaciska, wybucha we mnie wulkan doznań, wrząca lawa spala ciało.

Wydaję z siebie okrzyk jak jaskiniowiec, a mój pierwotny mężczyzna dołącza do mnie zaledwie kilka sekund później.

Cóż za donośna aria na dwa głosy. Aż mam ciary. Plus tego, że przebywamy na wyspie we dwoje – jesteśmy nieskrępowani.

Zapamiętać: wynająć w hotelu pokój z dźwiękoszczelnymi ścianami.



Zaczynam poważnie podejrzewać, że Agnar znalazł gdzieś na wyspie tajemniczą, silnie narkotyzującą roślinę o właściwościach pobudzających i nocami wymyka się z jaskini, by ępać do rana. Rankami, kiedy się budzę, jego już przy mnie nie ma. Są za to złowione ryby, zabite żaby, figi, pigwy, horty, których nie jesteśmy w stanie przejeść, zapas gałęzi na cały tydzień, a na plaży leży niemal gotowa tratwa z parą wiosel.

To kolejny dzień opadów, a te ewidentnie nie przeszkadzają Radwanowi w realizacji jego planu. Wspina się po drzewach w deszczu, wycina gałęzie, struga, rzeźbi, tnie, wiąże. Robi przerwy wyłącznie na picie wody, toaletę i szybki seks. W życiu nie spółkowałam tak często, intensywnie i namiętnie. Nigdy nie podniecałam swojego męża tak jak Agnara i naprawdę trudno jest mi się przyzwyczaić do tego, że współżyjemy po trzy, cztery, czasami pięć razy dziennie. W zasadzie nie mam nic do roboty prócz kopulowania, jedzenia i zażywania kąpieli w źródle geotermalnym. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułam się tak zrelaksowana psychicznie i zmęczona fizycznie jednocześnie. Moja córka pewnie powiedziałaby, że mam niezłą essę. Jezuniu, jak mi jej brakuje (córki, nie essy). Gdyby nie tęsknota za nią, uznałabym, że ostatnich kilka dni na tej wyspie to przymusowy urlop. Agnar we wszystkim mnie wyręcza. Jest ożywiony, aktywny, niezmordowany, nienasycony i podekscytowany jak kot na targu rybnym. Z tym wyjątkiem, że nie ekscytuje go jedzenie ryb, ale ich łowienie i wszystko, co związane z pozyskiwaniem pożywienia. Zrobił z gałązek specjalne kosze do połowu, które przypominają ule z wikliny, porozstawiał sidła z patyków w lesie na małe gryzonie. Mamy jedzenia dla pułku wojska, a nie ma kto tego jeść. Agnar jakby zapomniał, że pokarm jest niezbędny do przetrwania. Żywi się pracą, entuzjazmem i seksem. Jak tak dalej pójdzie, to tu padnie. Gdybym go wcześniej nie znała, stwierdziłabym, że to taki nadpobudliwy, pozytywnie nakręcony, ekstrawertyczny typ. Jego zachowanie tak bardzo nie zgrywa mi się jednak z tym, jaki był do tej pory (wyciszony, zrównoważony, stale nienażarty, zgryźliwy introwertyk), że próbuję dociec, skąd u niego aż tak drastyczna przemiana. Analizuję wszystkie sytuacje zaistniałe podczas naszego pobytu na wyspie i prócz zacieśnienia naszej relacji nie znajduję żadnego wydarzenia, które mogłoby spowodować taką zmianę. Ja rozumiem, że miłość uskrzydła, ale że aż tak?!

– Jest już późno. Może się położysz? – zachęcam Radwana, który stuka i puka u podnóża grotu w drewniane bale jak nawiedzony dziecko.

Nie przeszkadza mu, że jest ciemno i siąpi deszcz.

– Pracuję.

– Nic nie jadłeś. Upiekłam ryby. – Wychylam się z jaskini. Ledwo jestem w stanie dojrzeć go w deszczowym półmroku.

– Nie mam czasu na jedzenie.

– Nie jesteś głodny, zmęczony, zziębnięty?

– Czuję się świetnie. Dzisiaj w nocy skończę tratwę. Przed świtem sprawdzę pułapki, nabiorę wodę, upiekę ryby i żaby na podróż – mówi szybko, nie odrywa się nawet na sekundę od roboty.

– Nie zamierzasz w ogóle spać? – Schodzę do niego.

– Nie jestem śpiący. Szkoda czasu. – Wiąże mocno sznurki.

Przyglądam się i zaczyna mnie niepokoić jego zachowanie. Ruchy ma żwawe, wzrok pobudzony, mięśnie napięte, oddech przyspieszony. Przecież on tu zejdzie na zawał. Podchodzę do niego i obejmuję go od tyłu.

– Agnar, zwolnij. Odpocznij chwilę, zjedz, prześpij się. Nie pali się. – Przytulam się do jego mokrych pleców.

– Nie mam czasu. – Nie przestaje wiązać.

– Jesteśmy tu ponad dwa tygodnie. Jeden dzień w tę czy we w tę nas nie zbawi. Mamy jedzenie, wodę, schronienie... – Szczękam zębami, bo mimo że deszcz przeszedł w lekką mżawkę, a księżyc zaczyna nieśmiało wyglądać zza chmur, nadal jest chłodno.

- To za mało. Chcę zobaczyć ludzi, zabawić się, korzystać z życia. Mam dosyć tej stagnacji.
- Do tej pory żyłeś na odludziu w Norwegii i ci to nie przeszkadzało.
- Ale teraz mi przeszkadza. Musimy się stąd wydostać.
- Nawet nie wiemy, czy ta tratwa nas uniesie. A co, jeśli się potopimy?

Odwraca się do mnie przodem.

– Oczywiście, że uniesie. Nie ma innej opcji. – Ujmuje moją twarz w dłonie, wbijając we mnie rozgorączkowane spojrzenie. – Szkielet ma osiemnaście pni. Są mocno związane. Szczeliny uzupełnione gałęziami. Wyrzeźbiłem wiosła. Musi się udać. Zobaczysz, jutro będziemy na Rodos, ściągniemy do Grecji twoją córkę, matkę, mojego brata, zaprosimy lokalsów, urządzimy zajebistą imprezę. Zaszalejemy, będziemy pić, palić, może uda się załatwić MDMA...

– MDMA?

– Ecstasy. Euforia wchodzi po kilku minutach. Przeżyjesz ze mną najlepszy seks w swoim życiu – mówi rozemocjonowanym głosem.

Unoszę brwi. Co on pieprzy?

– Ale ja już mam z tobą najlepszy seks w życiu. Nie potrzebuję do tego narkotyków.

– Nie wiesz, co możesz zyskać.

– Kaca.

– Pieprzenie. Ecstasy wyostrza zmysły, rozluźnia, intensyfikuje odbiór bodźców, wzmacnia popęd...

– Tego ostatniego akurat nam obojgu nie brakuje.

– Ale może być lepiej. Najpierw jednak muszę nas stąd wydostać. I wiem, że tego dokonam, jestem o krok od sukcesu. Wierzysz mi? – Patrzy na mnie, a ja dostrzegam w jego niebieskich oczach tak ogromny entuzjizm, że nie mam serca go studzić.

Może ta obietnica wielkiej biby i bzykania na haju to tylko takie pierdolongo zestresowanego faceta, który wziął sobie za punkt honoru, by uratować swoją kobietę z bezludnej wyspy? Chcę wierzyć, że tak jest i że ta euforia minie, kiedy Agnar skończy tratwę, dopłyniemy nią do cywilizacji, a on ochłonie, wyśpi się w wygodnym łóżku i odpocznie. Jak dotąd dał mi wiele dowodów na to, że jest odpowiedzialnym facetem z wysoko rozwiniętymi umiejętnościami survivalowymi. Dlaczego więc tym razem miałyby być inaczej?

– Oczywiście, że ci wierzę. Nie znam bardziej zaradnego mężczyzny od ciebie. Na pewno uda ci się dokończyć tratwę i nas stąd wydostaniesz – oświadczam, a wtedy w jego źrenicach rozbłyśka jeszcze większy żar.

Agnar przywiera do mnie ustami i wydaje z siebie gardłowy pomruk. Rozchyłam wargi, a on obdarowuje mnie tak głębokim i zniewalającym pocałunkiem, aż uginają się pode mną kolana. Wsuwam palce w jego mokre włosy. Szorstkie dłonie wodzą po moich plecach, rozwiązują sznurki od stanika, po czym obejmują zachłannie nagie piersi, a mnie przeszywa rozkoszny prąd. Robi mi się ciepło, rozpala się we mnie ogień pożądania. Po raz czwarty tego dnia! Radwan jest niewyżyty. Napiera na moje udo naprężonym, twardym jak skała członkiem. Chyba muszę spuścić z niego trochę pary, bo naprawdę obawiam się o jego pikawę. W tym wieku, w takim stresie i z tyloma wrażeniami różnie to może być.

Klękam więc przed nim i zsuwam mu spodenki, uwalniając okazały wzwód. To mój pierwszy raz od jakichś dziesięciu lat. Obym podołała.

Przesuwam dłonią po członku i oblizuję jego główkę koniuszkiem języka, a wtedy z gardła Radwana wydobywa się westchnienie.

– O tak. Weź go. – Odchyła kciukiem moją dolną wargę i instynktownie wypycha biodra.

Spełniam poddańczo jego prośbę. Wsuwam nabrzmiałego penisa do ust, spoglądam na Agnara i zaczynam go zadowalać. Nie mogę się napatrzeć na jego ostre rysy twarzy, mięśnie klatki piersiowej i brzucha, które lśnią teraz w bladym świetle księżyca. Ten widok mnie tak podnieca, że fellatio staje się przyjemne jak nigdy dotąd. Pragnę dać mojemu kochankowi rozkosz, chcę, by zatracił się w moim spojrzeniu, żeby nie spuszczał ze mnie oczu. I tak właśnie się dzieje. Agnar zatapia dłonie w moich włosach, zaczyna nadawać rytm biodrami, rozchyła namiętne usta, z których wydobywają się gardłowe pomruki.

– Jak dobrze. Jesteś cudowna – wzdycha, poruszając się we mnie coraz szybciej, szybciej i szybciej, aż nagle zamiera. Bierze głęboki wdech. Po nim kolejny. Przymyka powieki. – Zaraz dojdę – mówi przytłumionym głosem. – Odwróć się tyłem na klęczkach. – Wyślizguje się z moich ust.

– Nie chcesz skończyć...? – Przełykam ślinę.

– Chcę skończyć w tobie. Wypnij seksowny tyłek.

O rany. „Seksowny tyłek”? Jak wiele kobiet w moim wieku może usłyszeć taki komplement z ust mężczyzny, który wygląda niczym grecki bóg? Nie zastanawiam się ani chwili dłużej. Przekręcam się na kolanach i opieram rękoma o mokry piach. Serce bije mi szybko, zagłuszając szum morza. Powietrze jest rześkie, wilgotne, pachnie minionym deszczem. Powinno być mi zimno, tymczasem cała płonę.

Agnar zsuwa mi majtki, rozszerza moje uda, czuję, jak usadawia się tuż za mną i nagle jego gorący oddech owiewa cipkę.

– Jesteś wilgotna. – Wodzi po niej językiem, a ja drżę z podniecenia. – I taka soczysta. – Całuje wargi sromowe i lechtaczkę. Wiję się pod wpływem tej pieszczoty, wypycham w jego stronę machinalnie pupę. – O tak. – Zaciska palce na pośladku. – Wypnij się dla mnie, kochanie. – Odchyła półdupek i wsuwa się we mnie twardym kutasem.

Wzdychamy równocześnie. Agnar porusza się powolnie, głęboko, wysuwa się nieznacznie, po czym dociska mocno, do samego końca. Czuję pulsowanie w podbrzuszu, cipka zaciera się z rozkoszy z każdym pchnięciem. A te stają się żwawsze, intensywniejsze, płytsze.

– O tak. O tak. O tak! – Niecierpliwe dłonie błądzą po moim tyłku, twardy kutas posuwa mnie coraz szybciej.

Po ciele rozchodzi się wrzący prąd, doznania są silniejsze, gwałtowniejsze. Uwalniają we mnie dzikie żądze.

– Głębiej... – Chwytam w dłonie piach, gniotę go w pięściach. – Weź mnie... Mocniej... Proszę...

– Skoro prosisz. – Daje mi ostrego klapsa w pośladek i zaczyna posuwać do utraty tchu.

Ja jęczę, on stęka. Nasze ciała obijają się o siebie w rytmicznym pędzie. Oboje zagłębiają się w zniewalający stan uniesienia.

– Zajebisty widok. Jesteś cudowna. – Agnar niespodziewanie wsuwa palec w moją ciasną dziurkę.

Powinłam się wzdrygnąć, zaprotestować, odsunąć, ale nie jestem w stanie. Bo kiedy on zagłębia się równocześnie kutasem i kciukiem w obie szparki, moje wszystkie mięśnie napinają się w ekstremalnej ekstazie. To nie orgazm, to spazmgazm! Wydaję z siebie euforyczny okrzyk, po czym tracę kontakt z rzeczywistością. Gwiazdy migoczą przed oczami, krew dudni w skroniach, całe ciało pulsuje, szumi w uszach. Ledwie dociera do mnie męski odgłos spełnienia, a tuż po nim stwierdzenie:

– Było świetnie. – Agnar całuje mnie w kark, a ja padam wyczerpana na piach.

Staram się uspokoić oddech, serce uderza szybko...

I nagle dołącza do niego znajomy stukot. Unoszę ciężko głowę, zerkam w bok i robię wielkie oczy. Radwan tłucze puszką w bale.

– Co ty robisz? – wypowiadam słabym głosem.

– Muszę wyrównać lewą stronę tratwy. Te dwie kłody wystają.

– Nie zmęczyłeś się?

– Nie. Czuję się świetnie.

A ja zdycham. Wiem, nie powinnam narzekać, ale taka ilość seksu to jednak dla mnie za dużo. Moja vagina zdecydowanie potrzebuje dłuższego odpoczynku. I reszta ciała też. Głowa bezsilnie opada mi na podłogę. Wpatruję się w naporzającego w kłody Agnara i nie znajduję żadnego racjonalnego wytłumaczenia jego skrajnego ożywienia. Przedawkowanie narkotyzującej rośliny o właściwościach pobudzających i wszechpotężna miłość do mnie to jedyne sensowne uzasadnienia, które przychodzą mi na myśl. Co prawda nie zauważyłam, aby jadł lub palił coś podejrzanego, nie wyznał też ani razu, że mnie kocha. Jednak to muszą być przyczyny ponadprzeciętnego pobudzenia. No bo co innego?



To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nieważne, że jestem nieprzytomna, bo Agnar zrobił mi pobudkę seksem od tyłu skoro świt. Nie powiem, przyjemne doświadczenie. Leżysz sobie na boczku, a twój mężczyzna wykonuje całą męczącą robotę i zadowala cię na łyżeczkę imponującym, porannym wzwodem. Lepszego budzika w życiu nie miałam. Rozpieszcza mnie ten mój wiking. Tylko przydałaby mi się jakaś maść na odparzenia i otarcia po seksie. Boże, marudzę jak stara baba!

Wątpię, by tej nocy mój niezmordowany kochanek zmrzył chociaż na chwilę oko, bo kiedy wstaję, okazuje się, że prowiant na podróż jest już zapakowany na tratwie, która czeka na nas przy brzegu. Pogoda dopisuje – słońce wygląda co jakiś czas zza chmur, nie jest gorąco, zero wiatru. Idealna aura na powrót.

Wprost nie mogę uwierzyć, że wreszcie się stąd wydostaniemy.

Przesuwam wzrokiem po klifach, zerkam ostatni raz w stronę grotty i ku własnemu zdziwieniu czuję lekką nostalgię. Gdyby tak spojrzeć całościowo na nasz pobyt na wyspie, to prócz koszmarnych dni (zwłaszcza na początku) zdarzały się również dobre. Ba, nawet bardzo dobre. Od razu na myśl przychodzi mi dzień, w którym odkryliśmy źródło geotermalne, i uśmiecham się sama do siebie. Po chwili jednak mój wzrok pada na szczątki szafasu na plaży i przypominam sobie, dlaczego przenieśliśmy się w tę część wyspy i z jakiego powodu zamieszkaliśmy w jaskini. Uzmysławiam sobie, że pobyt tutaj dał mi tak po dupie jak nic nigdy wcześniej.

– Wskakuj. – Agnar sprawdza po raz ostatni mocowania bali.

– Może wsiądę, gdy tratwa będzie na wodzie? Trudno ci będzie zepchnąć ją razem ze mną.

– Dam radę. Ładuj się.

– Okej. Mam siadać przodem czy tyłem? – Wchodzę na drewnianą konstrukcję.

– Przodem. Lepiej mi będzie się wiosłowało tyłem.

Usadawiam się według instrukcji, a drewniane sęki wrzynają mi się w pupę. Nie narzekam jednak. Jakżebyś śmiała. Przecież ta łajba to nasze wybawienie. Szczerze, nie mogę wyjść z podziwu, że Agnar ją zbudował wyłącznie za pomocą metalowej linki, kilku sznurków i scyzoryka. Ma fach w rękę. Szkoda, że tak mało przydatny we współczesnym świecie. Bo po kij komuś w dwudziestym pierwszym wieku tratwa?

Rzeźbiarz cudotwórca zapiera się z całej siły i wypycha swoje dzieło wraz z ukochaną w morze. Wstrzymuję oddech. Łódeczka kolibie się na lewo i prawo, a ja wpatruję się w szczeliny wypełnione liśćmi oraz igliwem i sprawdzam, czy przypadkiem zaraz nie wypełnią się wodą. Nic nie przecieka. Nie idzie na dno. Łajba dryfuje w najlepsze, ja na niej. Pełny sukces!

– Udało się! – Wyrzucam ręce w geście zwycięstwa. – Agnar, jesteś geniuszem! – Odwracam się gwałtownie w jego stronę, a wtedy tratwa się przechyla i wpadam do wody.

Na litość boską! Mam tak dosyć morza, że przez najbliższe dziesięć lat będę jeździć na wakacje w góry.

Wynurzam się i ocieram twarz dłońmi.

– Ta pieprzona wyspa ewidentnie nie chce mnie puścić – pryham. – Czyżby mnie aż tak polubi... Au!!! Kurwa! – Podskakuję jak rażona prądem. – Parzy!!! – Zaczynam biegać w miejscu. Stopa i łydka palą mnie żywym ogniem.

– Co się stało? – Agnar podbiega.

– Moja noga! To chyba meduza.

Woda sięga mi do kolan, próbuję dojrzeć sukę, która mnie tak urządziła, ale odczuwam tak silny



ból, że nie jestem w stanie skupić wzroku w jednym miejscu.

– Pewnie to ta. I tamta. I kolejna. – Radwan wskazuje na meduzy, które w najlepsze odpływają sobie w stronę skałek.

Dziwne one jakieś: wielkie, fioletoworóżowe, jakby świecące... Nigdy takich nie widziałam.

– Zabij!

– Szkoda czasu. Siadaj. – Chwyta mnie pod pachy i sadza na tratwie. – Pokaż.

Unoszę stopę, która parzy, jakby ktoś pochlastał mnie wiązanką z pokrzyw, a wtedy Agnar niespodziewanie ściąga sobie gacie i wyjmuję dorodne przyrodzenie.

O matko, mój facet to podofil.

– To nie czas na seksy, nawet jeśli kręcą cię moje stopy.

– Kręci mnie całe twoje ciało, ale nim zajmiemy się po powrocie. – Ujmuje penisa i niespodziewanie zaczyna sikać na moją nogę.

Jezus Maria! Do tego urofil!

– Co z tobą?! – Odpycham go i unoszę stopę. Piecze jak jasna cholera. – Jesteś fetyszystą?

Jego oczy się zapalają.

– Mogę być, jeśli chcesz. – Całuje mnie w usta.

– Jezu, ochłoń! – Odsuwam go. – Ja cierpię.

– Wiem. Dlatego chcę ci pomóc.

– Oddając mocz na moją nogę?!

– To pomaga na oparzenie przez meduzę.

– To mit! Teraz boli jeszcze bardziej. – Dmucham na zaczerwienioną skórę. Łzy napływają mi do oczu.

– Skąd wiesz, że nie pomoże?

– Jestem pół-Greczynką, do diabła. Znam się na tym. – Dostrzegam blad różowe nitki w okolicach kostki, łapię bluzę z tratwy i ścieram czubki parzące. – Aaa! – Zaraz zemdleję z bólu. Zaciskam zęby, zanurzam nogę w morzu i przecieram ją ponownie materiałem, wykonując głębokie wdechy.

– Za kilka godzin będziemy w hotelu i opatrzy cię lekarz. – Agnar okrąża łódkę i wchodzi na nią od drugiej strony.

– Jeśli wcześniej nie umrę z bólu albo nie utoniemy. – Wyjmuję obolałą nogę z wody i padam plackiem na bale.

– Damy radę. Będzie dobrze. Będzie zajebicie. Jesteśmy niepokonani! – Chwyta wiosła, przynosi jedno z nich nad moją głowę, a następnie rozstawia je po bokach łódki. – *Veni, vidi, vici!*<sup>17</sup> – wydaje z siebie okrzyk zwycięstwa i zaczyna wiosłować.

Unoszę głowę. Nie powiem. Widok Agnara nieco mnie znieczula. Na twarzy nieustraszona pewność siebie, silne ramiona prężą się atletycznie z każdym zamachem w tył. Mogłabym nieustannie i z zachwytem gapić się na pracujące pod skórą mięśnie karku, klatki piersiowej, brzucha, ostry zarys żeber... Ale jestem skonana i otumaniona piekącym bólem, więc nasycam wzrok jeszcze przez kilka dłuższych chwil, po czym wracam do pozycji horyzontalnej.

No to mi ta kurewska wyspa urządziła imprezę pożegnalną. Oby Rodos bardziej się postarała, organizując powitalną. Swoją drogą, może warto nadać suce jakieś imię? Takie, które upamiętni naszą walkę o przetrwanie. A ponieważ proste rozwiązania są najlepsze...

– Co powiesz na nazwę *Survival18*? – odzywam się ni z gruchy, ni z pietruchy do Agnara.

– Nazwę czego? – odpowiada między głośnymi wdechem i wydechem.

– Naszej wyspy.

– Nie należy do nas.

– Wiem, ale przez ponad dwa tygodnie była jakby nasza.

– Pewnie jakoś już się nazywa. – Dyszy ciężko, rytmicznie.

– Pewnie tak. Ciekawe jak. – Patrzę w błękitne niebo, po którym suną bieluteńkie kłębiaste cumulusy, i staram się skupić na czymkolwiek, co odciągnie moją uwagę od bólu porównywalnego do użądlenia kilkunastu pszczoł naraz. Nie żeby coś podobnego mi się kiedyś przytrafiło. Pszczoła użądliła mnie dwa razy w życiu. I było to z dziesięć razy mniej dotkliwe niż obecnie.

Nagle mój wzrok wyłapuje chmurę przypominającą gigantyczne zwierzę. No wreszcie.

– Osioł. – Wskazuję palcem w górę.

– Co znowu zrobiłem?

– Nie ty. Tam, na niebie.

Agnar unosi wzrok.

– Hm. Faktycznie. Obok, po lewej, masz młot.

Przenoszę spojrzenie dalej.

– Rzeczywiście. A tu hamburger. – Samo wypowiedzenie tego słowa sprawia, że mój żołądek wybrzmiewa żałobną pieśnią. – Zjadłabym.

– Są przecież ryby. Chcesz?

– Nie. Chcę hamburgera. Albo cheeseburgera, z frytkami.

– Do tego zimna cola – dodaje Agnar.

– Jest przecież woda. Chcesz? – odgryzam się za ryby.

– Gdybym nie wiosłował, tobym cię dopadł.

– I co byś mi zrobił?

– Przekonasz się dzisiaj w nocy. Lepiej prześpij się teraz na zapas, bo nie dam ci zmrużyć oka nawet na minutę.

– Może gdybyś miał takiego, tobym uwierzyła. – Wskazuję palcem na ogromną chmurę, która po zmrużeniu oczu przypomina siurka z jajami.

Unoszę lekko głowę, żeby zerknąć na Agnara.

– Doigrasz się. – Na jego twarzy pojawia się seksowny uśmiech.

– Tak tylko straszysz – chichoczę.

– Nie straszę. Obiecuję.

Hi, hi, jaki zabawny ten mój...

– Auuu! Chryste, jak kłuje! – drę się z bólu. – Niech mi ktoś odetnie nogę!

– Dwa tygodnie temu spełniłbym z rozkoszą tę prośbę. Ale teraz wytrzymaj.

Więc staram się wytrzymać, choć mam giczoł wielki jak Maczuga Herkulesa z Ojcowskiego Parku Narodowego!

Plusk wody od uderzeń wiosel się wzmaga, wiatr się nasila. Zerkam na Agnara, który wachluje szybko jak na regatach olimpijskich. Tym razem jednak nie zdobywam się na zachwyt nad jego boskim ciałem. Dziwnie się czuję. Mam dreszcze i zaczyna mnie mdlić. Ja pierdzielę, coś jest nie tak. Noga mi pulsuje, czuję napływające duszności, głowa opada mi bezsilnie.

Tracę kontakt z rzeczywistością.



Unoszę się na pierzastej chmurce. Śpiewają mi chóry anielskie. Grają rajskie harfy. Czyli tak wygląda niebo. Tylko ten bas w tle nie pasuje do podniosłej atmosfery. Dudni, nasila się, irytuje niemiłosiernie.

– Cisza. Wyłączcie to...

– Spokojnie – zwraca się do mnie ktoś po grecku. – Imprezują na waszą cześć.

Otwieram oczy. Leżę w łóżu małżeńskim w pokoju, tuż obok mnie stoi ciemnowłosa mężczyzna w średnim wieku w białych gumowych rękawiczkach i majstruje coś przy moim ramieniu.

– Kim pan jest? Gdzie ja jestem?

– Doktor Enosis Dikefalos. Jest pani w hotelu Aphrodite na Rodos. – Uśmiecha się, ukazując śnieżnobiałe zęby, i wyjmuje mi igłę z wenflonem z żyły.

– Co? – Rozglądam się półprzytomna.

Telewizor, mała lodówka, telefon stacjonarny, na stoliku moja komórka, paląca się lampka, za oknem balkonowym noc. Serce zaczyna mi mocniej bić.

– Jezus Maria. Ja chyba śnię.

– Nie, ale faktycznie długo pani spała. W sumie dziewięć godzin. – Stawia na stoliku buteleczkę i jakąś tubkę. – Podałem pani kroplówkę z elektrolitami, lek przeciwbólowy, glikokortykosteroidy i antybiotyk na wypadek zakażenia.

– Zakażenia czego? Jestem ranna? – Oglądam siebie i dopiero teraz zauważam rozlane poparzenie na nodze. – Meduzy.

– Pan Agnar wspominał, że były jasnioletowe. Sądząc po objawach i utracie przytomności, to sprawka kilku meduz z rodzaju *Pelagia noctiluca*. Miała pani pecha.

– Pecha? Nieraz byłem świadkiem poparzenia przez meduzę, ale nikt nie skończył jak ja.

– Poparzenia wywołane przez ten gatunek są bardziej dotkliwe. Pojawił się w naszych wodach jakieś trzy lata temu. Wszystkiemu winne jest ocieplenie klimatu. – Odwiązuje zużytą kroplówkę od oparcia łóżka. – Nazywamy ją meduzą świecącą, jest piękna, ale zdradliwa. Dobrze, że na miejscu przemyśla pani oparzenie słoną wodą, a nie słodką, i usunęła większość parzydełek. Znalazłem jeszcze trzy. Niestety polanie skóry moczem zwiększyło toksyczność jadu.

– Wiedziałam. Pieprzony Agnar obszcynoga.

– Rozmawiałem z panem Radwanem. Był poruszony pani stanem. Gdyby nie przyplłynął w porę, mogłoby się skończyć nieciekawie. – Wrzuca zużyty sprzęt i rękawiczki do torebki foliowej. – Zalecam pani odpoczynek i nienadwyrażanie nogi.

– Ale mnie nic nie boli.

– Dzięki lekom znieczulającym. Zdezaktywowałem nematocysty. Rana jest oczyszczona i odkażona. Proszę obmywać ją dwa razy dziennie płynem antybakteryjnym i smarować maścią, którą pani zostawiam. – Pakuje torbę lekarską, po czym przesuwa po mnie dziwnym wzrokiem, wzdychając. – Ogromnie się cieszę, że się państwo odnaleźli. Cała obsługa hotelu, policja i lokalne władze były poruszone państwa zaginięciem.

Poruszone. Pfff. Wszyscy, kurwa, są poruszeni. Doktorek ewidentnie ma słabość do tego słowa.

– Mogli nas szukać.

– Szukali.

– Nieskutecznie.

– Starali się, ale nie znaleźli. – Mężczyzna wzrusza ramionami. – Przykro mi. Najważniejsze, że

wszystko dobrze się skończyło. – Zabiera torbę wraz z foliówką z odpadami medycznymi. – Gdyby się pani pogorszyło, proszę dzwonić. – Podaje mi wizytówkę.

– Dziękuję. Oby nie było takiej potrzeby.

– Również na to liczę. Wszystkiego dobrego. – Uśmiecha się, a na odchodne rzuca: – Rachunek zostawię w recepcji. Do widzenia. – Wychodzi, zatraskując za sobą drzwi, a ja czuję zabójcze parcie na pęcherz. To pewnie od kroplówek.

Wpierw jednak muszę zadzwonić do córki. Sięgam po komórkę, ale ta się nie włącza. No tak, nikt nie wpadł na to, żeby ją podładować. Łapię za słuchawkę telefonu ze stolika nocnego, wybieram numer. Puls mi przyspiesza, łzy napływają do oczu, nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę głos Agi. Odzywa się poczta głosowa. Próbuję ponownie. Znów to samo. W końcu zostawiam wiadomość:

– Córca, żyj! Jestem w hotelu Aphrodite na Rodos. Wszystko dobrze. Mam ci tak dużo do opowiedzenia. Oddzwon koniecznie, nawet w środku nocy. Tak bardzo chcę cię zobaczyć. Kocham cię. – Łamie mi się głos. – Kocham cię najbardziej na świecie. – Zaczynam płakać. – Wyrobię dokumenty i wracam do domu. – Pociągam nosem. – Czekaj na mnie. I zadzwoń koniecznie...

Przerywa mi sygnał poczty głosowej. Cholera.

Wybieram numer przyjaciółki i znów powtórka z rozrywki – poczta głosowa. Dzwonię do mamy – identyczna sytuacja. Na litość boską, dlaczego mają wyłączone komórki? Czemu nikt nie czeka na mój telefon? Czuję ukłucie rozczarowania.

A walcie się! Sama sobie dam radę. Rzucam słuchawkę, siadam na łóżku i czuję, że naprawdę muszę do kibelka. Stawiam delikatnie spuchniętą stopę na przyjemnie chłodnej posadzce. O, jak dobrze. Żadnego igliwia, piasku, kamieni. Powierzchnia czysta i gładka niczym lustro. Dociera do mnie, że dzisiejszej nocy będę spać w łóżku, w pościeli, z poduszką pod głową! A za moment, już za sekundę, usiądę wygodnie na bielusim sedesie i podetrę się mięciutkim papierem toaletowym! Żegnajcie, kucki pod drzewem i liście figowe! Witaj, cywilizacja!

Kuśtykam do łazienki, odciążając poparzoną nogę. Zapalam światło, otwieram drzwi i...

– Aaaa! – Serce mi staje na widok obcej kobiety w kostiumie kąpielowym. – Kim pani...? – Nagle zamieram z pytaniem na ustach. Mrugam. Unoszę powoli rękę, macham pomalą, na co kobieta odmachuje mi w identyczny sposób.

Matko Przenajświętsza, to moje odbicie w lustrze! Patrę na siebie z niedowierzaniem. Wyglądam jak woskowa kukła z muzeum prehistorii: „A tu widzą państwo kobietę z epoki kamienia łupanego”. Włosy mam skołtunione, tłuste, wypłowiałe, poprzeplatane srebrnymi pasmami na skroniach. Twarz wychudzoną, suchą, pomarszczoną i spaloną słońcem niczym rodzynka. Brwi zrosnięte jak u Fridy, z tą różnicą, że ona nie miała siwych. Ja mam. I to z tuzin!

Szkarada! Maszkara! Potwora! Przecież spędziłam na wyspie dwa tygodnie, a nie dwa lata! Jak to możliwe, że aż tak bardzo zbrzydłam? Unoszę górną wargę, dostrzegam czarne kropki na zębach i się wzdrygam. Czy to próchnica? Niemożliwe! Chwytam jednorazową szczoteczkę do zębów w folijce, odpakowuję, moczę (pod bieżącą wodą, co za luksus!), wkładam do ust i trę nerwowo włosiem. Pluję, płuczę (jak bosko!), przeglądam się w lustrze, szczerząc kły, i odczuwam ulgę. To tylko resztki węgla drzewnego po porannej toalecie. Radwan nawet się słowem nie odezwał, że wyglądam jak bezdomna z próchnicą. W zasadzie niedziwne, był zbyt zajęty ratowaniem mojego tyłka.

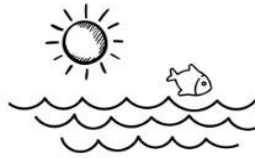
No właśnie, gdzie jest Agnar?

Zaraz go poszukam. Wpierw muszę skorzystać z dobrodziejstw tego przybytku. Myję twarz mydłem (jęczę), wycieram puszystym ręcznikiem (wzdycham), zerkam z podekscytowaniem na lśniący biały wucet (zaraz cię dosiędę, mój biały rumaku).

Kiedy kończę kameralną kłopotówkę tak długą, aż drętwieją mi nogi, postanawiam odprężyć się w wannie pełnej gorącej wody. Będę musiała się nieco nagimnastykować, żeby nie zamoczyć poparzonej nogi, ale będzie warto. Na samą myśl o umyciu głowy hotelowym szamponem jestem podniecona jak u fryzjera w dniu własnego ślubu. I choć moim marzeniem była kąpiel w wannie z nagim wikingiem, odkładałam to na później. Najpierw zrobię się dla niego na bóstwo.

Rozpakowuję jednorazową maszynkę do golenia i przyglądam się z powątpiewaniem pojedynczemu ostrzu. Może być problem, by zgolić nią mój czarny las, ale muszę spróbować. Agnar za

pomocą metalowej linki ścinał drzewa, to i ja poradzę sobie z moim buszem. Chcę być piękna, zadbana, gładka i pachnąca dla mojego wybawcy. Tej nocy odwdzięczę mu się za ratunek.



Gdy wychodzę z łazienki, orientuję się, że w pokoju nie ma mojego bagażu. Planowałam szybką depilację brwi, makijaż i włożenie ubrań. Moje bikini jest tak wytarte, że od razu łąduje w koszu. Siedzę teraz odziana w hotelowy szlafrok i dzwonię do recepcji.

Po serdecznym powitaniu dowiaduję się, że moja walizka została odesłana do Polski tuż po zakończeniu poszukiwań przez służby ratownicze tydzień temu.

Zajebicie. Długo się naszukali. Czyli co? Wystarczy kilka dni i człowieka spisują na straty?

Nie mam więc ciuchów, kosmetyczki, dokumentów, pieniędzy, ładowarki, niczego! Może Agnarowi udało się coś załatwić? No właśnie, gdzie on się włóczy?

Jak na zawołanie dobiega mnie z zewnątrz znajomy głos przebijający się przez dudniącą muzykę:

– Jestem królem świata!

Wychodzę na balkon, przy basenie tłum ludzi, tańczą, piją, pływają. Muszą mieć mocno w czubie, bo temperatura stanowczo nie zachęca do wodnych igraszek. Próbuję zlokalizować Radwana, a wtedy ponownie słyszę jego wołanie:

– Na główkę czy na bombę?!

Zerkam w kierunku, z którego dobiega dźwięk, i zamieram. Agnar stoi na skraju dachu baru i szykuje się do skoku do basenu. Oszalał!

– Bomba! Bomba!

– Główka! Główka!

Tłum skanduje. Skoczek uśmiecha się szeroko. W to mu graj. Robi kilka kroków w tył, szykuje się do lotu. Oczyrna wyobraźni już widzę, jak wali łbem w dno basenu, łamie kręgosłup i zostaje sparaliżowany.

– Stój! – wołam, ale mój głos niknie w hałasie.

– Bomba! Bomba!

– Główka! Główka!

– Nie rób tego! – krzyczę, lecz na próżno.

Agnar bierze rozbieg, skacze, rozpościera ramiona i nogi na boki, jakby leciał w wingsuicie, po czym wydaje z siebie głośnie: „Miau!”, zgina się wpool, robi koci grzbiet i wpada do basenu.

Rozlega się gromki śmiech, wszyscy biją brawo i wznoszą toast na cześć Radwana.

Wypatruję go z walącym sercem, modląc się w duchu, by wypłynął. A on wynurza się zadowolony i krzyczy:

– Pijemy! Kto ma zioło?

– Pajac – pryham pod nosem.

Czy jestem na niego zła? No kurwa, oczywiście, że tak. Ja tu leżę chora, dostaję kroplówki, a on bawi się w najlepsze. Przecież mieliśmy świętować razem.

Wracam do pokoju, próbuję włożyć sandaalki, ale stopa jest zbyt spuchnięta. Jednorazowe hotelowe kapcie też nie wchodzi. Olać buty. Wyjmuję kartę z czytnika i wychodzę z pokoju na bosaka.



Muzyka gra, wszyscy się bawią, atmosfera jak podczas karnawału. Przeciskam się przez tłum, jest tu ponad czterdzieści osób. Skąd oni się wzięli? Tańczą, jedzą, piją, palą, rozmawiają. Zdziwiająco, jak bardzo udziela mi się ich pozytywny nastrój. Aż buzia sama się raduje. Nie zdawałam sobie sprawy

z tego, jak brakowało mi ludzi. Porywam ze stołu kawałek fety i zagryzam ją pomidorem. O matko, ale pyszne. Łapię za serowy koreczek, wkładam łączywie do ust i wtedy do moich uszu dobiega tubalny, znajomy śmiech. Rozglądam się i zaledwie parę metrów dalej napotykam sylwetkę górującą nad innymi. Agnar nawija podekscytowanym głosem do jakiejś cycatej dziuni, po czym nachyla się nad jej biustem i wciąga nosem z jej piersi biały proszek.

Krztuszę się. Sięgam po drinka i wypijam go duszkiem.

– Uhuuu! – Radwan wydaje z siebie donośny okrzyk. – *Great stuff!* 19

*Great stuff?* Co on pieprzy? Patrzę na niego z niedowierzaniem, jak pije piwo. Przesuwa mglistym wzrokiem po zgromadzonych, aż w końcu zatrzymuje go na mnie.

Nasze spojrzenia się spotykają. Na sniadej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Kora! Żrenico mego oka!

Ja pierdzielę, nawalił się jak szpadel. Unosi butelkę i rusza chwiejnym krokiem w moim kierunku.

– Ludzie, to Kora! – woła po angielsku.

W jednej chwili zgromadzeni odwracają się w moją stronę. Zaczynają wznosić toasty, wiwatują, biją brawo, poklepują mnie po plecach.

Stoję oszołomiona. Agnar doskakuje do mnie, chwyta w ramiona i przywiera do moich ust.

Szczerze? Mam ochotę dać mu po mordzie za to, że mnie zostawił w pokoju samą i robi głupoty. Co mu odwaliło, żeby skakać z dachu i ćpać? Nie zamierzam jednak robić scen. Matka dobrze mnie wychowała – jak prac brudy i chłop, to w zaciszu domowym. Zresztą dlaczego ja się właściwie denerwuję? Radwan to przecież dorosły mężczyzna. Nie jest moim mężem. Nawet nie wiem, czy jesteśmy nadal razem. Byliśmy na sobie skazani na wyspie, ale teraz... Jak widać, nie tylko mnie brakowało towarzystwa. Z tym wyjątkiem, że ja nie wciągam śniegu z kutasa jakiegoś dwudziestolatka. Chce się bawić, niech się bawi. Beze mnie.

– Wracam do pokoju. – Odsuwam się od niego, a wtedy on ściąga brwi.

– Chyba żartujesz. Zostajesz. To impreza na naszą cześć.

– Nawet nie znam tych ludzi.

– Zaraz cię przedstawię. To obsługa hotelu z porannej zmiany. – Wskazuje grupkę ludzi. – Obok stoi menedżerka. Zajebista babka: wezwała lekarza i zafundowała catering na koszt hotelu w ramach powitania. Tam jest dziennikarz i reporterka, którym udzieliłem wywiadu do gazety i telewizji. Była też policja, ale ich spławiłem. Spoko goście, wyluzowani, jak to Grecy. Wszystko im opowiedziałem, raport spisany, nic się nie musisz martwić. O, a tam są ludziska, których poznałem na parolotniach... – trajkocze jak nakręcony.

Od natłoku informacji lasuje mi się mózg. Menedżerka, dziennikarze, policja...

– Na jakich parolotniach?

– Na plaży. Akurat odbywały się zawody. Pozwolili mi polatać. Czad! Brakowało mi tego.

Kiedyś skakałem ze spadochronem. Na bungee też. Musisz spróbować. Jutro zabiorę cię na kitesurfing. Chłopaki mówią, że na Prasonisi są świetne warunki...

– Poczekaj. Latałeś na parolotni? Kiedy?

– Dzisiaj.

– Po tym, jak tu przyplłynęliśmy?

– Aha. – Rozgląda się, bierze łyk piwa. – Cholernie mi się nudziło.

– Nie byłeś zmęczony?

– Nie.

Przyglądam mu się i zauważam, że nadal ma na sobie spodenki, które nosił przez cały pobyt na wyspie.

– Myłeś się w ogóle od naszego powrotu?

– Kapałem w basenie. Szkoda czasu na takie pierdoły.

– Dzwoniłeś do rodziny?

– Nie. Chodź, zabawimy się. – Pociąga mnie za sobą, ale ja stoję okoniem.

Wpatruję się, jak podryguje w rytm muzyki, żrenice ma rozszerzone, wzrok rozbiegany, jest nabuzowany jak kociół w elektrociepłowni. Nie poznaję go.

– Co brałeś?

– Koks – odpowiada wprost.

To by tłumaczyło owo nabuzowanie, gdyby Agnar był piecem, a koks pochodził z węgla kamiennego. Ale chyba nie o takie paliwo mu chodzi.

– Zażywasz kokainę?

– Nie robiłem tego od piętnastu lat. Totalny odlot. Chodź, spróbujesz. – Ciągnie mnie ponownie, a ja znów się wzbraniam.

– Nie. Idę do pokoju.

– Daj spokój. Nie bądź nudziarą. – Nie patrzy na mnie, wodzi pobudzonym spojrzeniem po imprezowiczach. Cały aż się trzęsie z ekscytacji, by do nich dołączyć.

– Nie jestem nudziarą – syczę przez zaciśnięte zęby. – Poparzyła mnie meduza, więc ledwo chodzę. Chcę zjeść, odpocząć, położyć w łóżku, spróbować dozwonić się do bliskich, bo nie odbierają, i obejrzeć chociażby wiadomości, żeby wiedzieć, co wydarzyło się na świecie.

– W takim razie zobaczymy się później w pokoju.

Widzę, że kogoś wypatruje.

– Nie idziesz ze mną?

– Nie. Umówiłem się z laskami na skręta. Grzej łóżko, złotko. – Daje mi klapsa w tyłek, po czym odchodzi w stronę jakichś rozchichotanych gówniar.

Zwijam dłonie w pięści, cała się gotuję. Ja ci, kurwa, wygrzeję łóżko, ty skończony idioto.



Wracam do pokoju obładowana jedzeniem. Kładę wszystko na stoliku, a następnie zastawiam drzwi krzesłem i blokuję klamkę oparciem. Dzisiaj za karę śpisz na korytarzu, dupku.

Podłączam do komórki ładowarkę pożyczoną w recepcji, po czym obżeram się tak bardzo, aż brzuch mi pęcznieje niczym balon. Rany, ale skurczył mi się żołądek. Zjadłam może jedną trzecią tego, co zwykłam pochłaniać na kolację, i jestem pełna. Dprawiam się buteleczką ouzo, padam na łóżko i dzwonię do córki. Odzywa się poczta głosowa. Do siostry – to samo. Do matki – też. Jasna cholera!

Włączam telewizor, skaczę po kanałach, nic mnie nie ciekawi. Hałasująca na zewnątrz muzyka działa mi na nerwy. Wychodzę na balkon, impreza nadal trwa. Szukam wzrokiem Agnara i nagle dostrzegam go, jak oddala się w stronę plaży z dwoma młodymi kobietami. Wiszą u jego boków, a on trzyma łapska na ich pośladkach. Czuję klucie w klatce piersiowej, zaciskam zęby. A to chuj.

Zdrajca! Podlec! Łajza!

Niech sobie idzie. Nie jest mi potrzebny do szczęścia. Co było na wyspie, pozostanie na wyspie. Jutro wyrabiam dokumenty, żeby jak najszybciej znaleźć się w Polsce. W domu.

Wracam do pokoju, zostawiam uchylone drzwi balkonowe i zasłaniam okna. Plus tej popieprzonej imprezy jest taki, że słycać odgłosy bawiących się ludzi. Przynajmniej atak paniki mam z głowy. Wyjmuję z lodówki jeszcze dwie buteleczki alkoholu i znieczulam się tak skutecznie, że pomimo drażniących basów, złamanego serca i włączonego telewizora zapadam w twardy sen.



– Mamo!

– Córcia!

– Kora!

Wór kamieni zwała mi się na poparzoną nogę, a ja wydaję z siebie ryk bólu. Otwieram szeroko

oczy, a wór materializuje się pod postacią trzech kobiecych sylwetek, które czołgają się po łóżku i przygniatają mnie swoim ciężarem. Rozpoznaję ukochane twarze, wyczuwam znajome zapachy. Aga, Ula i mama śmieją się przez łzy, tulą i całują mnie po twarzy.

– Żyjesz, cholero! – Przyjaciółka mną potrząsa.

– Tak tęskniłam. – Córka mnie ściska.

– Gdzieś ty była? Myślałyśmy, że zginęłaś – karci mnie matka, po czym wybucha szlochem.

A ja razem z nią. Ogarniam ramionami ukochane kobietki. To nic, że łokieć jednej wpija mi się w cycek, biodro drugiej robi mi dziurę w brzuchu, a włosy trzeciej wchodzą mi do ust. Przytulam je najmocniej, jak potrafię, a po mojej twarzy płyną łzy.

– Skąd się tu wzięłyście? – Pociągam nosem.

– Zadzwonili do nas z recepcji od razu, jak się odnalazłaś – mówi mama, a ja ryczę coraz głośniejsze, bo przecież matka całe życie wzbraniała się przed lataniem niczym pięciolatek przed borowaniem.

– Złapałyśmy najbliższy samolot – dodaje Ula.

– Dlatego nie odbierałyście ode mnie telefonów?

– Odsłuchiłam twoją wiadomość po wylądowaniu – łka Aga. – Oddzwoniłam na recepcję, połączyli mnie z twoim pokojem, ale odebrał jakiś mężczyzna. Wybełkotał, że śpisz, po czym się rozłączył. Próbowałam jeszcze raz, lecz nikt już nie odbierał.

Momentalnie zerkam na telefon stacjonarny i zauważam, że ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Przenoszę wzrok na drugą połowę łóżka i dostrzegam czubek czupryny wystającej spod kołdry. Tyle mi wystarczy, by rozpoznać osobnika, do którego należy ten kudłaty, zakuty łeb. Jak on tu wlaźł?

– Radwan! Dlaczego odłączyłeś telefon?! – Uderzam w pościel, ale on ani drgnie. Śpi jak zabity.

– Wstawaj! – Szarpię za kołdrę, odsłaniając nagie ciało śpiącego na brzuchu Agnara. A ten leży jak trup.

Matka i Aga najwyraźniej nie widziały nigdy półnagiego faceta, bo wydają z siebie okrzyk przerażonej dziewczyny, zrywają się z łóżka i stają pod balkonem na wypadek ewentualnej ewakuacji. Ula natomiast leży tuż obok mnie i wpatruje się w Radwana jak sroka w gnat.

– Jezu, Kora, nie próżnowałaś. – Wodzi wzrokiem po męskich plecach, zagląda przez ramię Agnara, a kiedy dostrzega jego twarz, wydaje z siebie przeciągły jęk zachwytu. – Ja pierdzielę, przecież on wygląda jak Ragnar Lodbrok z *Wikingów*.

Ha! Czyli tak nazywał się ten bohater.

– Co? Pokaż! – Córka w ułamku sekundy obiega łóżko, a gdy zauważa oblicze Radwana, staje jak wryta. – O matko! Gdyby mu zgolić włosy po bokach... – Zasłania usta dłonią, piszczy i zgina nogi w kolanach, jakby miała się posikać.

Dobrze, że wiking śpi, bo gdyby córka zobaczyła jego niebieskie ślepią, to na bank popuściłaby z wrażenia.

– O co tyle zamieszania? – Matka podchodzi do Agi i robi wielkie oczy. – Koruś, kim jest ten przystojny pan?

– Nadętym drewnianym kłosem, z którym utknęłam na bezludnej wyspie.

– Gdzie?! – Dziewczyny podnoszą równocześnie głos i wbijają we mnie zszokowane spojrzenia.

– Opowiem wam wszystko przy śniadaniu. Umieram z głodu.

Zwlekam się z łóżka i od razu dostrzegam w przedpokoju rozpieprzone krzesło oraz otwarte na oścież drzwi.

– To wasza sprawka? – Wskazuję na połamany mebel, który gdybym nadal była na *Survivie*, nadawałby się wyłącznie na ognisko.

– Tak było, kiedy przyszłyśmy – odpowiada Ula i schodzi z wyra.

– Otwarte? – dopytuję.

– Szeroko. Nic nie ruszałyśmy. Tylko weszłyśmy. Słowo honoru – tłumaczy mama, jakby obawiała się, że hotel oskarży ją o zniszczenie mienia.

Pieprzony Norweg. Musiał tu wtargnąć w nocy, gdy spałam. Aż dziw, że nic nie słyszałam. Jego sprawa. Nabroił, to będzie płacić. Na biednego nie trafiło.

– Nieważne. Idziemy na śniadanie. – Poprawiam szlafrok i wsuwam pantofle z uczuciem ulgi, że opuchlizna i ból nogi zelżały.



– Nie pójdziesz tak ubrana. – Mama patrzy na mnie z dezaprobatą.  
 – Nie mam nic innego. Hotel odesłał moje rzeczy do Polski.  
 – Odesłał, a my je przywieźliśmy z powrotem – oznajmia Ula, a moja córka już biegnie na korytarz, by po chwili wjechać z bagażem do pokoju.  
 – O rany! Jesteście kochane. – Dopadam do walizki i ściskam ją jak najdroższego pupila. – Gienka też przywieźliście? – pytam z nadzieją.  
 – Nie dało rady. Został z Hanią. Ale mamy to. – Przyjaciółka sięga do swojej torebki i podaje mi mój portfel.  
 – Skąd go masz? – Przeglądam zawartość z niedowierzaniem. Jest wszystko: dowód osobisty, prawo jazdy, karty, nawet pieniądze.  
 – Policja nam go wręczyła po tym, jak znaleźli motorówkę.  
 – Policja w Polsce?  
 – Nie, grecka – odpowiada Aga.  
 – Ale jak? Kiedy? Gdzie? – pytam.  
 – Tutaj. Dwa dni po twoim zniknięciu zgłosiłyśmy zaginięcie i zarządzono akcję ratunkową. Od razu przyleciałyśmy do hotelu. Policja szukała was na morzu, a my z Agą na okolicznych wyspach – odpowiada Ula.  
 – Szukałyście mnie? Jak?  
 – Wynajęłyśmy łódź i pływałyśmy z jednym z lokalnych przewodników wycieczek – dodaje córka.  
 – Ja obdzwaniałam wszystkie większe miasta na wyspach: hotele, szpitale, kostnice... – dodaje mama.  
 Łzy ponownie napływają mi do oczu.  
 – Moje kochane kobitki... – Zaczynam ryczeć, a one od razu zamykają mnie w potrójnym żelaznym uścisku.  
 – Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę. – Aga łka w moją szyję.  
 – Opowiesz nam, gdzie byłeś? – Mamie drży głos.  
 – Ze szczegółami – podkreśla Ula, głaszcząc mnie po włosach.  
 – Oczywiście. – Pociągam nosem. – Ubiorę się, zejdziemy na stołówkę i opowiem wam wszystko od początku – zapewniam.  
 Pominę tylko niektóre wątki z udziałem tego zapitego, naćpanego drağala – dodaję w myślach i przytulam się do moich ukochanych dziewczyn.



Dwie parówki, talerz jajecznicy, półmisek owoców, dwa kawałki ravani<sup>20</sup> i trzy kawy później kończę swoją opowieść o survivalowych starciach. Ula, Aga i mama siedzą z rozdziawionymi ustami, wpatrując się we mnie niczym w superbohaterkę. Postanawiam dać im chwilę na przetworzenie mojej historii i idę po czwartą kawę oraz bougatse<sup>21</sup>. Kiedy wracam, Ulka odzywa się jako pierwsza:

– Musisz to wszystko spisać i wydać książkę.  
 – Będiesz sławna – dodaje Aga.  
 – Może zaproszą cię do telewizji śniadaniowej? – mówi z zapałem mama.  
 – Polka z instynktem przetrwania przeżyła na greckiej bezludnej wyspie. – Ula przesuwając dłonią w powietrzu, nakreślając wizję hasła reklamowego.  
 – Gdyby nie Agnar, umarłabym tam z głodu i pragnienia – przyznaję mimo niechęci, którą obecnie odczuwam do Radwana, i odruchowo szukam go wzrokiem na stołówce.  
 Dziwne, jest już po jedenastej, a on do tej pory nie zszedł na śniadanie.  
 – I naprawdę nic między wami nie zaszło? – szepcze mi Ula konspiracyjnie do ucha, podczas gdy

Aga pokazuje coś mamie w telefonie.

Rzucam jej wymowne spojrzenie mówiące „nie chcę o tym rozmawiać”, na co ona unosi dłoń w poddańczym geście.

– Sądziłam, że nie mamy przed sobą tajemnic – oświadcza z wyrzutem i upija łyk soku pomarańczowego.

To moja najlepsza przyjaciółka, zawsze mogłam na nią liczyć, wspierała mnie w ciąży, po porodzie, w stanach lękowych, podnosiła na duchu po rozwodzie, jest matką chrzestną mojej córki (ku rozczarowaniu mojej przyrodniej siostry). Dlaczego więc mam opory przed tym, by wyjawić jej prawdę o mnie i Agnarze?

Może dlatego, że czuję się idiotycznie po tym, jak olał mnie dzisiejszej nocy i zachowywał się niczym rozwydrzony, patologiczny dzieciak. Jest zupełnie innym mężczyzną, niż sądziłam. Na początku narzekałam, że jest małowówny, stetryczały, sztywny i kaśliwy, ale wołałam go takim. Wkurzał mnie niemiłosiernie, lecz z czasem zakochałam się w jego rozwadze, dojrzałej postawie i zaradności. A wtedy on zaczął ukazywać swoje prawdziwe oblicze – stopniowo, dzień po dniu, stawał się coraz śmielszy, wyluzowany, gadatliwy, by po wszystkim zrzucić maskę rozważnego, dojrzałego mężczyzny i okazać się zabawowym, szczeniackim pacanem. Aż dziw bierze, jak bardzo się co do niego pomyliłam.

– Nawet jeśli coś zaszło, to nie ma sensu o tym rozmawiać. To koniec – odpowiadam cicho przyjaciółce i wstaję od stołu. – Zabiorę swoje rzeczy z pokoju i spotkamy się przy recepcji. Pora wracać do domu.

– Co?

– Już?

Mama i Aga odrywają oczy od ekranu.

– Chciałyśmy jeszcze zwiedzić Rodos – mówi mama.

– Robimy właśnie z babcią listę miejsc, które warto zobaczyć – dodaje Aga.

– Jak twoja noga? Możesz chodzić? – pyta Ula.

Wzdycham ciężko. Za cholerę nie chce mi się zostawać dłużej w Grecji, zwłaszcza zwiedzać, bo choć stopa ma się lepiej, to nadal jest lekko obolała. Nigdy nie sądziłam, że to powiem (i to jesienią), ale o niczym bardziej teraz nie marzę niż o tym, by zalec przed telewizorem z paczką chipsów w moim mieszkaniu. To nic, że w Polsce jest teraz osiem stopni Celsjusza i leje deszcz, podczas gdy tutaj jest około dwudziestu kresek powyżej zera i świeci słońce. Chwilowo mam dosyć.

– Chcę do domu. Muszę odpocząć. Przytulić Gienka. Ale jeśli wy chcecie zostać, to śmiało. I tak nie mamy jeszcze biletów lotniczych. O tej porze roku nie będzie problemu z wykupieniem miejsc w samolocie.

– Mamy cię zostawić samą po tym wszystkim? Nie ma mowy. – Ula przytula się do mojego lewego ramienia.

– Ja tylko z tobą. Jestem szalenie stęskniona. – Aga przywiera do mnie z prawej strony.

– Pozwiedzamy przy innej okazji – dodaje moja rodzicielka i klepie mnie po dłoniach.

A ja wiem, że inna okazja nieprędka się nadarzy. Śmiem twierdzić, że to ostatni pobyt mojej matki w Grecji. To jakiś cud, że zdecydowała się na podróż samolotem, i to dwukrotnie w tak niewielkim odstępie czasowym. Ojciec wołami nie mógł jej zaciągnąć na lotnisko, kiedy byłam mała.

– A jak, mamo, zniosłaś lot? Dobrze się czułaś?

– Spała jak zabita. – Aga się śmieje. – Ciocia Ula dała jej magiczny zastrzyk.

Przenoszę na przyjaciółkę wzrok z niemym pytaniem „czym naszprycowałaś moją matkę?”, na co ona wzrusza ramionami.

– Ważne, że pomogło. To była wyjątkowa sytuacja – dodaje tonem pani doktor.

Przesuwam spojrzeniem po najbliższych mi osobach i uświadamiam sobie, jak wiele stresu i wyrzeczeń musiało je kosztować moje zaginięcie.

– A jak sytuacja w szpitalu? Puścili cię bez problemu? – pytam Ulę.

– Poszukałam zastępstwa. Luz. Są rzeczy ważne i ważniejsze. – Puszczą mi oko.

– A twoja uczelnia, córca? Nie będziesz miała zaległości?

– Anka robi notatki. Wykładowcy byli bardzo wyrozumiali, kiedy dowiedzieli się o twoim... –

Zawiesza głos. – Twoim... – W jej oczach zbierają się łzy.

– Kochanie. – Przytulam ją, a ona zaczyna płakać.

– Tak bardzo się bałam, że już nigdy cię nie zobaczę. – Zagłębia twarz w moją szyję, a ja czuję na skórze jej łzy. Serce mi się kraje.

– Ale jestem. Cała i zdrowa. – Głaszczę ją po głowie. – I wiesz co? Zabieram was na wycieczkę po Rodos. Zrobimy sobie babski wypad.

Aga podnosi na mnie zapłakane oczy.

– Nie chcesz wracać do domu?

– Wy jesteście moim domem, kochanie. Wszędzie dobrze, ale z wami najlepiej. – Całuję ją w czoło i mocno przytulam.

– Załatwię nam w takim razie w recepcji dwa pokoje dwuosobowe na dzisiejszy nocleg. – Ula zrywa się z krzesła z podekscytowaniem. – No chyba że chcesz spać dzisiaj razem ze swoim wikingiem.

– Porusza wymownie brwiami z filuternym uśmieszkiem.

– On nie jest mój. Nigdy nie był i nie będzie – pryham. – Zabiorę tylko swoje rzeczy, pożegniam się i do was dołączę. – Dopijam kawę.

– Ja śpię w pokoju z mamą! – Aga klaszcze i wstaje od stołu. – Zsuniemy łóżka?

– Może będą mieli małżeńskie. Zapytam. – Ula zakłada torbę na ramię. – Pani Angeli, możemy nocować razem?

– Ale na osobnych łóżkach? Bo ja śpię bez zębów. Straszny widok. – Mama patrzy z lekkim przerażeniem.

– Na osobnych. Na osobnych. – Ula się śmieje. – Chodźmy, szkoda dnia.



Kiedy wchodzę po swoje rzeczy do pokoju, w którym spędziłam dzisiejszą noc, uderza mnie smród jak z gorzelni. Okna nadal zasłonięte. Agnar śpi. Co więcej, nawet się nie przykrył po tym, jak obnażyłam jego ciało przed dziewczynami.

– Zamierzasz dzisiaj wstać? Za pół godziny kończy się śniadanie. – Otwieram okno, żeby wywietrzyć. – Radwan. – Staję nad nim. – Pobudka. – Dźgam go w plecy paluchem.

Zero reakcji.

– Halo! Żyjesz? – Szturcham go w ramię.

Trup.

– Halo. – Potrząsam nim, ale on leży jak ścięte drzewo.

Nic go nie rusza. A jeśli coś mu się stało?

Dotykam palcami jego szyi i gdy wyczuwam tętno, wypuszczam głośno powietrze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że je wstrzymywałam. Jestem porąbana. Przejmuję się facetem, który ewidentnie ma mnie w dupie. Zapił, zaćpał, to odsypia.

– Wstajesz czy śpisz? – Wbijam mu paznokcie w biceps.

Radwan wydaje z siebie syknięcie.

– Cooo? – wymawia nieprzytomnym głosem.

– Drzewa szybciej rosną, niż ty reagujesz na pobudkę. Idziesz na śniadanie?

– Zooostaaaw... mniee...

Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, zapity pacanie.

– Taki właśnie mam zamiar – oświadczam i ruszam w stronę łazienki. – Zabieram swoje rzeczy do innego pokoju i jadę z rodziną na wycieczkę. Wrócimy wieczorem. – Pakuję przybory toaletowe. – Jak będziesz chciał się pożegnać przed wylotem, znasz mój numer. – Wychodzę z ubikacji i wrzucam kosmetyczkę do walizki. – Naładowałeś komórkę? – Sięgam po jego telefon, który leży na szafce nocnej. Przciskam boczny guzik. Aparat nie reaguje. – Dzwoniłeś w ogóle do kogoś z bliskich? – Stoję nad

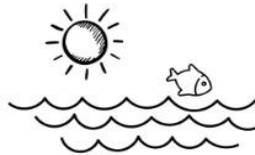
śpiącym królewiczem i gadam jak do ściany. – Do Markusa? Firmy? – pytam, ale on śpi jak zabity. – Dobra. Jesteś dorosły. Nie zamierzam cię niańczyć. – Podchodzę do walizki, zamykam suwak, wyciągam rączkę i kieruję się z bagażem w stronę drzwi.

Już mam przekroczyć próg pokoju, kiedy jakiś przeklęty wewnętrzny głos każe mi zawrócić. A co, jeśli to jest właśnie nasze pożegnanie? Przyjadę wieczorem z Rodos i Agnara nie będzie? Po ostatnich wybrykach wszystkiego można się po nim spodziewać.

Waham się. Wzdycham. Aż w końcu podchodzę do łóżka i z ciężkim sercem wpatruję się w męską twarz. Czuję dławiący ucisk w gardle, serce bije mi niespokojnie. Ech, Radwan, było nam tak dobrze razem, a ty wszystko spieprzyłeś.

Przykrywam go kołdrą, odgarniam mu grzywkę z czoła, a następnie z przejmującym żalem i uczuciem porażki robię w tył zwrot w stronę wyjścia.

Jestem pojebana. Szkoda, że mu jeszcze kołysanki nie zaśpiewałam.



Nie pamiętam, kiedy ostatnio spędziłam dzień tak pełen wizualnych i smakowych wrażeń. Nasycony życzliwością, miłością, radością i śmiechem. Do Rodos dojeżdżamy wynajętym autem, po czym wypożyczamy rowery i ruszamy zwiedzać. Średniowieczne miasto wpisane na listę UNESCO przenosi nas do czasów rycerskich. Odwiedzamy Pałac Wielkich Mistrzów, spacerujemy po placu Hipokratesa, pokonujemy trasę wzdłuż murów obronnych, przejeżdżamy przez port Mandraki, gdzie jemy pyszny posiłek w nadmorskiej tawernie. Pod koniec dnia jesteśmy padnięte i odpadają nam nogi ze zmęczenia. Mimo to wracamy w świetnych humorach, śpiewając piosenki z playlisty, którą przygotowała na naszą wycieczkę Aga.

Do hotelu docieramy po dwudziestej trzeciej. Córca od razu wali się na łóżko i momentalnie zasypia, a ja biorę prysznic, wklepuję w siebie tonę kremu i balsamu do ciała (bo pobyt na Survivie wysuszył mi skórę na wiór), po czym myję zęby przez dobre dziesięć minut, jakbym chciała zrekompensować sobie wszystkie te dni, gdy molestowałam je paluchem oklejonym startym węglem drzewnym.

Kiedy wreszcie układam się do snu, odruchowo zerkam na telefon. Żadnych SMS-ów, brak połączeń przychodzących. W ciągu dnia kilkakrotnie spoglądałam na komórkę, oszukując samą siebie, że robię to tylko po to, by sprawdzić godzinę albo trasę podróży. I za każdym razem odczuwałam ukłucie zawodu i poirytowania, że nie ma wiadomości od Agnara. Teraz ukłucia przerodziły się w bolesne poczucie krzywdy i rozżalenia, którym towarzyszy ekstremalne wkurwienie. Wiercę się z boku na bok, próbując wyrzucić z głowy myśli o Radwanie, ale nie potrafię! Wspomnienia z naszego pobytu na wyspie wracają do mnie jak bumerang.

Agnar ciągnący głaz, rozpalający ogień, łowiący ryby, patrzący na mnie wzrokiem, który odbierał mi dech. Jego duże dłonie na moich biodrach, jego usta na moich wargach, nasze ciała złączone w ekstazie u stóp wodospadu. Wspólne wieczory przy ognisku, jego bliskość, poczucie bezpieczeństwa, wszystko to tak intensywne, prawdziwe, uzależniające, że nie jestem w stanie o tym zapomnieć. I choć leżę obok mojego dziecka w wygodnym łóżku i spędziłam cudowny dzień z ukochanymi osobami, to pragnienie powrotu do chwil, kiedy byłam z Agnarem, staje się tak przemożne, że nie jestem w stanie o nim zapomnieć.

Parszywy drażal. Włazł mi pod skórę niczym drzazga. Wczepił się w serce jak pieprzony kleszcz. Dlaczego on mi to zrobił? Dlaczego!?

Przyciskam poduszkę do twarzy i wydaję z siebie stłumiony krzyk. Podlec, zdrajca, kłamliwy złamas!

Jest we mnie tyle gniewu i frustracji, że zaraz wybuchnę, jeśli nie dam im ujścia. Muszę zakończyć te męki, raz na zawsze. Wygarnę Radwanowi, jak bardzo mnie skrzywdził, oszukał, zranił!

Zrywam się z łóżka, zabieram ze stołu komórkę, kartę do pokoju, w którym nocowałam, i ruszam nabuzowana, by stoczyć walkę o własną godność.

Pędzę korytarzem, mój umysł generuje kreatywny bicz monologu, którym zamierzam zadać cięgi nikiemnemu Norwegowi. Nie zamierzam pukać, wejść na chama, najwyżej zastanę go z jakąś lafiryndą i utwierdzą się tym samym w przekonaniu, że Agnar Radwan to skończony dupek, łajza, fagas i należy mu się ode mnie opierdół stulecia. Zapamięta na zawsze, że nie zadziera się z Korą Angeli.

Wsuwam kartę do czytnika, otwieram drzwi i wpadam do pokoju. Okna nadal zasłonięte. Agnar śpi.

– Wstawaj. – Zrzucam z niego kołdrę. – Dostyc spania. Musimy porozmawiać.

– Zostaw mnie. – Nie otwiera oczu, tylko szuka po omacku czegoś, czym mógłby się przykryć.

– Już to mówiłeś rano. – Odrzucam pościel na bok, poza jego zasięg. – Dlaczego się tak zachowujesz, co? Dlaczego mnie olewasz?

– Jestem zmęczony. – Zakrywa sobie uszy.

– Trzeba było nie chlać, nie ćpać i nie zaliczać panienek. Cały dzień leżysz i gnijesz w łóżku.

Weź się w garść i zachowaj jak prawdziwy mężczyzna. Chyba możesz ze mną porozmawiać po tym, co razem przeszliśmy, co?

Nie odpowiada, a to jeszcze bardziej mnie podkurwia.

– Agnar, do jasnej cholery! – Daję mu kuksańca w ramię. – Zdradziłeś mnie. – Kolejny cios. – Poszedłeś w tango. – Następny. – A teraz mnie ignorujesz. Wstań i się wytłumacz! – wrzeszczę nad nim jak furiatka, a wtedy nieoczekiwanie jego ramiona zaczynają się trząść.

– Jestem do niczego. – Sięga po poduszkę i zasłania nią twarz.

Stoję jak zamurowana. Ja pierdzielę, czy on płacze? Wpatruję się w niego oniemiała i mam kluchę w gardle. Brakuje mi słów. Siadam tuż przy nim, a on kuli się do pozycji embrionalnej, jakby chciał się ukryć przed całym światem.

Co się z nim dzieje? Czy to skutek uboczny nadużycia kokainy? Wciąż jestem na niego zła, a ta złość podpowiada mi, że Radwan dostał za swoje. Niech cierpi. Sam. Niech poniesie konsekwencje swoich czynów.

Serce jednak nie pozwala mi go porzucić. Kurwa, nie zostawię go samego w takiej rozsypce.

– Agnar – odzywam się spokojnym głosem. – Może wezwę lekarza?

Nic nie mówi.

– Jak mam ci pomóc?

Cisza. Udusił się tą poduszką czy co?

– Słyszysz mnie? Co ci jest? – Próbuję odsłonić mu twarz, lecz on od razu odwraca się do mnie tyłem.

– Moje życie nie ma sensu – wymawia apatycznym głosem i nakrywa się kołdrą.

Pierdzielę. Dzwonię po Ulę i doktora Enosisa Dikefalosa.



– Bierze jakieś leki na stałe? – Doktor mierzy ciśnienie Agnarowi, a on jest tak bezwolny, jakby ktoś utoczył mu krwi.

– Nie wiem. Na wyspie niczego nie zażywał. Wczoraj wciągał kokainę i palił zioło.

– Niezły z niego agent. – Ula zakłada ręce na piersi i patrzy na mnie wzrokiem mówiącym „z kim ty się, kobieto, zadałaś?”.

– I leży tak od rana? – pyta mnie Enosis.

– Chyba tak. Nie było mnie przez cały dzień.

– Oddawał pan mocz? – zwraca się do Radwana.

– Zostawcie mnie. – Agnar zasłania sobie twarz ramieniem.

- Jakież wymioty? Biegunka? – wypytuje go lekarz.
- Nie. Idźcie stąd.
- Ciśnienie w normie. Serce bije równomiernie. Choruje pan na coś? Przyjmuje lekarstwa? –

Doktor zdejmuje mu rękaw aparatu pomiarowego.

- Daj mi spokój. – Radwan odwraca się na brzuch i zakrywa głowę poduszką.
- Podam kroplówkę na wzmocnienie.
- Nie chcę. Idź stąd.
- Odmawia pan leczenia?
- Tak.

Lekarz wydaje z siebie sapnięcie.

- Nic nie wskóram, pani Koro. – Pakuje torbę.
- Ale z nim ewidentnie jest coś nie tak.
- Tak. Ma kaca i zjazd po kokainie. Musi odespać – stawia diagnozę Ula.
- Przecież spał przez cały dzień.
- Miał stresujący okres, odreagowuje, narkotyki i alkohol zrobiły swoje – tłumaczy doktor. –

Proszę dla pewności zostać z nim na noc. Może do rana mu przejdzie. Gdyby jego stan się pogorszył, dostał drgawek, halucynacji, proszę wzywać pogotowie. Ja nie jestem w stanie mu pomóc.

Więc zostaję. Ula wraca do siebie. A ja nie mogę zmrużyć oka. Leżę obok śpiącego Agnara i wertuję internet w poszukiwaniu diagnozy. Możliwe, że przyjaciółka miała rację i Radwan wpadł w tak zwany dołek kokainowy, związany ze spadkiem dopaminy oraz serotoniny, który może trwać nawet kilka dni. Baran. Po co wciągał to świństwo? Przecież sam jeszcze niedawno mówił, że to ogłupia, że kiedyś brał i z tym skończył. Przypominam sobie dzień, kiedy rozpoczął budowanie tratwy, chciał wtedy imprezować, zabawić się, napić. Miałam wrażenie, jakby nie był sobą. A może po prostu go nie znam?

Lecz wiem, kto dobrze go zna. Wybieram numer Markusa. Mam gdzieś, że jest środek nocy. To brat Agnara, powinien wiedzieć, że dzieje się z nim coś złego.

Odzywa się poczta głosowa. Próbuję ponownie. To samo. Nagrywam wiadomość z prośbą o pilny kontakt, rozłączam się i zerkam na telefon Radwana leżący na szafce nocnej. Może znajdę w nim jakiś inny kontakt do Markusa? Biorę go do ręki i próbuję włączyć, ale bez rezultatu. Rozładowany do zera. To jakiś starszy model samsunga, więc nawet nie mam do niego ładowarki. Może w recepcji coś się znajdzie.

Wybieram numer i od razu zgłasza się kobieta z obsługi.

– Dobry wieczór. Tu Kora Anieli z pokoju dwieście dwadzieścia siedem. Odesłaliście bagaż Agnara Radwana podczas naszej nieobecności, a potrzebujemy ładowarki do jego telefonu. To stary samsung, nie znam numeru...

- Pan Radwan odebrał wczoraj swój bagaż z naszej przechowalni – przerywa mi recepcjonistka.
- Yyy. Tak? O której?
- W południe. Tuż po waszym powrocie. Pokwitował i zabrał go do pokoju.
- Czyli nikt się po niego nie zgłosił po naszym zaginięciu?
- Dzwoniła tylko matka pana Radwana. Dobrze pamiętam, bo mówiła słabo po angielsku. Prosiła, żebyśmy poczekali z wysyłką bagażu do połowy listopada, aż wróci ze szpitala.
- Matka?
- Tak.
- Podała adres do wysyłki?
- Nie. Powiedziała, że zadzwoni, jak już będzie w domu.
- A czy ktoś jeszcze próbował się kontaktować z panem Radwanem podczas naszej nieobecności?

– Nie na mojej zmianie. Ale podpytam jutro koleżanek. Chociaż wszystkie notatki z tego typu rozmów zapisywaliśmy w specjalnym pliku. Tak radziła policja.

- Sprawdzi je pani?
- Już patrzę.

Mija pięć sekund, dziesięć...

– I co? – niecierpliwie się.

– Mam tylko jedną wiadomość, od pana Markusa Borgena. Ale tę przekazaliśmy już wczoraj panu Radwanowi.

– Jaka to wiadomość?

– A czy jest pani upoważniona przez...

– Jestem upoważniona – przerywam jej w połowie zdania. – Mój narzeczony zaniemógł, a ja muszę się skontaktować z jego rodziną. Jaką wiadomość zostawił Markus?

Recepcjonistka odchrząkuje i zaczyna czytać:

– Stary, podobno zaginął. Siedzę. Jak wrócisz, a wierzę, że na pewno się znajdziesz, bo twarde z ciebie skurczybyk, skontaktuj się ze swoją mamą. Chyba jej się pogorszyło.

– Dziękuję – odpowiadam, rozłączam się i zeskakuję z łóżka w poszukiwaniu bagażu Agnara.

Muszę naładować jego komórkę i zadzwonić do jego matki.

Zaglądam do szafy – pusto. Pod stół – pusto. – Pod łóżko – jest! Wyciągam zielony wór, który został zaplombowany papierową taśmą przez hotel. Dziwne. Radwan nie otwierał w ogóle bagażu, odkąd go odzyskał? Zrywam zabezpieczenie i odpinam suwak. Ciuchy, skarpety, bokserki... Nie rozumiem, dlaczego Agnar nie przebrał się wczoraj w czyste ubranie, tylko nosił brudne spodenki. Teraz to jednak mało ważne, muszę znaleźć ładowarkę. Chwytam niewielką czarną kosmetyczkę, rozpinam... Znalazłam! Wyjmuję kabelek i nagle zauważam trzy opakowania leków oraz plastikowe, kolorowe pudełeczko z podziałką z nadrukowanymi dniami tygodnia. Potrząsam. Coś w środku chrobocze. Otwieram przegródkę z poniedziałkiem – pusta. Z wtorkiem – pusta. Ze środą – pusta. Z czwartkiem – trzy tabletki. Piątek, sobota i niedziela też z trzema tabletkami.

Cholera. W środę po południu utknęliśmy na Survivie, co tłumaczy pełne przegródki z pozostałymi dniami tygodnia.

Odkładam pudełeczko i przyglądam się tekturowym opakowaniom. Nazwy leków nic mi nie mówią. Wyciągam z pierwszego kartonika ulotkę, zaczynam czytać i uderza we mnie fala gorąca:

*Lithium carbonicum GSK* zawiera substancję czynną węglan litu. Lek ma działanie stabilizujące (normujące) nastrój – depresję i stany maniakalne.

Wskazania do stosowania:

– leczenie epizodu maniakalnego w zaburzeniach afektywnych dwubiegunowych,

– zapobieganie nawrotom zaburzeń afektywnych dwubiegunowych lub zmniejszanie nasilenia i częstotliwości kolejnych epizodów manii u chorych ze stanami maniakalnymi w wywiadzie...

Boże kochany. W ułamku sekundy przypomina mi się wywiad z córką Wojciecha Młynarskiego, który cierpiał na chorobę afektywną dwubiegunową. O tym, jakim kochanym, wesołym, opiekuńczym i czułym tatą potrafił być w stanach remisji, w epizodach maniakalnych zaś porzucał własne dziecko w hotelowym pokoju bez jedzenia i picia, zapominał zabrać je z garderoby, był nadpobudliwy, agresywny, miał obłęd w oczach. Stał się ofiarą okrutnej choroby, niezrozumiałej dla otoczenia, która niszczyła jego samego oraz jego rodzinę.

Spoglądam w stronę Agnara i łzy napływają mi do oczu. Wszystko układa się w logiczną całość. Wreszcie zaczynam rozumieć powód jego dziwnego zachowania. Już wiem, dlaczego wydawał mi się obcym człowiekiem. I nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Coś miażdży moją klatkę piersiową. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego przemilczałaś swoją chorobę, kiedy ja wyznałam ci o sobie całą prawdę?

Przenoszę wzrok na opakowania leków i zastanawiam się, czy podać Agnarowi tabletki. Tylko które i ile, żeby mu jeszcze bardziej nie zaszkodzić?

Czuję, że sytuacja mnie przerasta. Serce boleśnie obija się o żebra, robi mi się niedobrze. Nie poradzę sobie z tym sama.

Dzwonię do Uli, a następnie wzywam pogotowie.



– Ledwo żyję. – Zanurzam twarz w dłoniach i padam wycieńczona na hotelowe łóżko. Śmierdę szpitalem, jestem niewyspana i burczy mi w brzuchu z głodu, chociaż nie mam absolutnie ochoty na jedzenie. Jestem wrakiem człowieka.

– Rozmawiałaś z nim? – pyta Ula i wstawia wodę w czajniku elektrycznym.

– Nie miałam odwagi się z nim zobaczyć.

– Dlaczego?

– Widziałaś jego minę, kiedy powiedziałam ratownikom, że narzeczony wymaga pilnej konsultacji psychiatrycznej? On mnie teraz nienawidzi.

– Tego nie wiesz. Poza tym ostatecznie pojechał z nimi z własnej woli. To dobry znak. – Rozdziera opakowanie od herbaty. – Skoro się z nim nie widziałaś w szpitalu, to co tam robiłaś cały dzień?

– Zostawiłam w dyżurce jego rzeczy, zamieniłam kilka słów z lekarzem, krążyłam pod salą, zaglądałam przez szparę w drzwiach.

– Bardzo dojrzałe. I co z nim?

– Leży. Gapi się w telewizor. Śpi. Chcą go zostawić jeszcze na parę dni pod obserwacją, aż leki zaczną działać. Nie wiem, co robić.

– A co z jego rodziną?

– On nie ma teraz nikogo. Brat jest w więzieniu, matka się leczy.

– Jest chora?

– Dzwoniłam do niej z komórki Agnara. Wcześniejsza wiadomość o jego zaginięciu wywołała u niej tak silny stres, że wystąpił epizod depresyjny. Sama zgłosiła się do szpitala.

– Ja pierdzielę. Czyli jest dwubiegunowy po niej?

– Na to wygląda. Nie była zbyt rozmowna przez telefon. Taka cicha, spokojna. Popłakała się ze szczęścia, kiedy dowiedziała się, że Agnar żyje, a ja jak ostatnia suka dźgnęłam ją w matczyne serce wiadomością o jego stanie psychicznym.

– Musiałaś jej powiedzieć. – Ula zamacza w kubku torebkę z herbatą.

– Wiem. Niemniej mam wyrzuty sumienia. Mogłam nic jej nie mówić. Poczekać, aż Agnar wydobrzeje.

– Chciałaby pewnie od razu z nim porozmawiać. A ty dopiero wtedy wysłabyś na ostatnią sukę, do tego kłamliwą. Naraziłabyś się teściowej na wieki.

– Przestań.

– „Przestań” co? – Miesza tak głośno łyżeczką, aż boli mnie głowa.

– Rzucac takimi tekstami. Ja i Agnar to był przelotny romans.

– I dlatego spędziłaś dwadzieścia godzin, krążąc pod drzwiami jego sali?

– To był przyjacielski odruch.

– Jasne. A twoje zapuchnięte od płaczu powieki to reakcja alergiczna na środek do dezynfekcji, którym salowa myła podłogę.

– Żebyś wiedziała.

– Ech, Kora. Znam cię od dwudziestu lat i nie wciśniesz mi kitu. Kochasz go. – Wyciąga w moją stronę kubek z parującą herbatą, a ja nie mam siły nawet się podnieść, żeby go od niej odebrać. Na ściemnianie Ulce zresztą też nie mam siły.

– Nawet jeśli, to co z tego? On nie kocha mnie.

– Chodzi ci o ten jego wybryk po waszym przybyciu do hotelu? Był w hipomanii. Nie myślał racjonalnie.

– Wiem.

– Więc skąd wniosek, że cię nie kocha?



– Gdyby mnie kochał, powiedziałby mi od razu, że jest dwubiegunowy. A nie zająknął się ani słowem. Zwłaszcza wtedy, gdy sama wyznałam mu, że cierpię na zaburzenia lękowe. Przecież bym zrozumiała. Wspierałabym go.

Ula wzdycha, siada na łóżku obok mnie i upija łyk herbaty, którą mi zrobiła.

– Wiesz, niektórzy faceci nie są zbyt wylewni. Wstydzą się słabości. Sama mówiłaś, że kiedy się poznaliście, Agnar był raczej małomówny. Może właśnie taki jest. Wolał nie obciążać cię swoimi problemami, tym bardziej gdy dowiedział się, że masz własne.

– Tylko że później gęba mu się nie zamykała. Ciągłe gadał. O wszystkim. Mógł powiedzieć mi prawdę.

– Przeczytałaś artykuły, które ci wysłałam, od psychologa pracującego w moim szpitalu?

– Tak.

– I co zapamiętałaś?

– Że stres może nasilać objawy ChAD22. Lecz kiedy chory przyjmuje leki, otacza się życzliwymi ludźmi, odczuwa satysfakcję z życia zawodowego, rodzinnego, ma ustabilizowany rytm życia i unika używek, ryzyko zaostrzenia choroby znacznie maleje.

– Mhm. I co jeszcze?

– Że dwubiegunowość rozwija się u osób, które mają ku temu predyspozycje genetyczne, a ryzyko dziedziczenia wynosi nawet siedemdziesiąt pięć procent.

– I? Co dalej? – Bierze łyk herbaty.

– Bipolarni często żyją między niebem a piekłem. Miotają się między smutkiem a niepohamowanym pobudzeniem. Hipomania popycha chorego do irracjonalnych zachowań, pojawia się ciąg do alkoholu i narkotyków, wzmagą się popęd seksualny, a te prowadzą do romansów i zdrady, człowiek podejmuje ekstremalne decyzje: zaciąga kredyty, imprezuje, rzuca pracę, ma wybujałe ego, jest nader optymistyczny, ma mnóstwo pomysłów i nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest w hipomanii, po której następuje najczęściej stan depresyjny. Nieleczona depresja może skończyć się nawet samobójstwem.

– No właśnie. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest w hipomanii – powtarza moje słowa Ula. – Agnar mógł nawet nie wiedzieć, że dzieje się z nim coś niewłaściwego, dlatego się tym z tobą nie dzielił. Sama mówiłaś, że miał świetny humor, śpiewał, budował, łowił, polował, ciągle gadał i posuwał cię tak często, aż ci spuchła cipka.

– Ulka! Wiedziałam, że nie powinnam była mówić ci wszystkiego. – Siadam gwałtownie.

– Ale powiedziałaś. Bo jestem twoją najlepszą przyjaciółką, bo musiałaś się w końcu wygadać, a ja uważnie słucham i daję świetne rady. – Podaje mi kubek z wypitą do połowy herbatą, więc odbieram go i nerwowo biorę łyk. – Myślę, że Agnar nie wyznał ci prawdy, bo jest skrytym facetem i czuł się dobrze psychicznie. Pewnie uznał, że nie ma sensu straszyć cię swoją bipolarnością. Później, kiedy zaczął się epizod maniackalny, nie był nawet świadom tego, że coś jest nie tak. Dał się porwać emocjom, potrzebom, wizjom i sądzę, że teraz ma gigantycznego doła nie tylko przez depresję i kokę, ale również z twojego powodu. Z pierwszym poradzą sobie leki, z drugim abstynencja, na trzeci może pomóc tylko wasza szczerza rozmowa. Powiedz mu, co czujesz, umocnij go, daj mu powód, żeby poczuł się lepiej.

Upijam kolejny łyk herbaty, a moje serce bije coraz szybciej. Jest we mnie tak wiele niepewności, tak dużo obaw, niewiedzy.

– A co, jeśli się boję?

– Wszyscy się czegoś boją.

– Ale nie tak. Ja jestem przerażona.

– To znaczy?

– Nie wiem, jaki naprawdę jest Agnar. Czy kochał się ze mną, bo mnie pragnął, czy dlatego, że był w hipomanii i zaliczyłby każdą laskę, która by się napatoczyła. Co jeśli te epizody maniackalne zdarzają mu się kilkanaście razy w roku? Nie zniosę kolejnej zdrady, nie mówiąc o pijaństwie i narkomanii. Nawet nie wiem, czy tej nocy po naszym powrocie nie pieprzył się z dwoma laskami, z którymi poszedł palić zioło. To zbyt dużo dla mnie. I tak kiepsko radzę sobie ze swoimi lękami, nie uniosę jeszcze choroby Agnara, nawet jeśli jestem w nim szaleńczo zakochana. Mam tak wiele

wątpliwości i pytań.

– To mu je zadaj. Nie nakręcaj się niepotrzebnie, nie snuj katastroficznych wizji, tylko dowiedz się prawdy. Zapytaj go wprost o wszystko, co nie daje ci spokoju. Kawa na ławę. Oboje jesteście po czterdziestce. To nie są jakieś szczeniackie podchody. Spędziliście ze sobą dwadzieścia trzy dni na pieprzonej bezludnej wyspie, zupełnie sami. To tak, jakbyście chodzili ze sobą kilka miesięcy.

– Spędziliśmy tam piętnaście dni – poprawiam ją.

– Dwadzieścia trzy.

– Coś ci się myli. Na bank piętnaście.

– Na bank dwadzieścia trzy. Ale podobno szczęśliwi czasu nie liczą.

– Przestań żartować.

– Mówię serio, Kora. Czternaście dni trwały poszukiwania. Byliście tam ponad trzy tygodnie.

Patrzę na nią oniemiała. Jak to możliwe? Nie zauważyliśmy z Agnarem, że uciekło nam gdzieś osiem dób? Fakt, niektóre dni były do siebie tak podobne, że mogły nam się zlać w całość. Ale aż tyle?

– Przez cały ten czas dawaliście sobie radę sami – ciągnie Ulka. – Bez jedzenia, picia, schronienia. Zdani tylko na siebie, współpracowaliście, pomagaliście sobie w cierpieniu, kochaliście się i przetrwaliście. Razem. I było wam dobrze, mimo fatalnych warunków, w których żyliście. Pasujecie do siebie. Nikt nie mówi, że wasz związek ma być idealny. Nie ma takich. W każdym coś szwankuje, każdy wymaga poświęceń i wyrzeczeń. Znam cię dobrze i wiem, że jeśli zdecydujecie się być razem i po jakimś czasie okaże się, że jednak wam nie wyszło, to się podniesiesz i staniesz się mocniejsza tak jak po rozwodzie z Mateuszem. Jeśli natomiast nawet nie spróbujesz, to się nie przekonasz, będziesz żałować i wyrzucać sobie, że straciłaś szansę na wielką miłość. A ta, jak wiesz, nie zdarza się zbyt często, zwłaszcza w naszym wieku. Wybór należy do ciebie. Albo ryzykujesz i w to wchodzisz ze sporą szansą powodzenia, albo od razu odpuszczasz i plujesz sobie w brodę do końca życia, że stchórzyłaś.



Jestem tchórzem! Cholernym tchórzem! Już od czterdziestu minut krążę pod salą szpitalną i boję się wejść do środka. Od czterech dni zbierałam się na tę rozmowę. Dziewczyny w tym czasie zrobiły sobie wakacje, zdążyły zwiedzić całą wyspę, a ja przeczytałam siedemnaście e-booków na temat choroby dwubiegunowej – poradników dla rodzin, dla pacjentów, nawet dla lekarzy. Rozmawiałam telefonicznie z dwoma psychiatrami, którzy bez ogródek nakreślili mi specyfikę ChAD. Codziennie wydzwaniałam do szpitala, żeby zapytać o stan Agnara. Podobno jest dobrze, szybko zareagował na kurację i lekarz prowadzący ma go dzisiaj wypisać.

A ja nadal boję się otworzyć te piekielne drzwi! Ręce mi się poca, ściska mnie w gardle. Nie dam rady. To nie na moje nerwy. Może Agnar śpi i tylko niepotrzebnie go obudzę.

Nachylam się do dziurki od klucza, aby zajrzeć do środka, mrugam. Cholera, nic nie widzę. Skupiam wzrok, a wtedy nagle klamka opada, dostaję drzwiami w łeb i kłapię na tyłek z jękiem.

– Jezu... – Trzymam się za czoło i czuję, jakby czaszka miała mi eksplodować.

– Kora? – rozlega się tuż nade mną niski głos.

Zastygam. Opuszczam rękę, spoglądam w górę. Agnar. Ubrany, trzymający worek, w którym przywiozłam mu pierwszego dnia jego rzeczy. Wbijam w niego spojrzenie, a serce bije mi tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Wychodzisz? – pytam zdławionym tonem.

– Tak. Nie wyjechałaś?

– Nie.

Patrzemy na siebie przez kilka długich sekund, aż w końcu Radwan wyciąga do mnie rękę.

– Nic ci nie jest?

– Trochę boli mnie głowa. – Przyjmuję jego dłoń, a on podnosi mnie z podłogi i przyciąga do siebie.

– Podglądałaś przez dziurkę od klucza?

– Nie. No coś ty. Nie jestem dzieckiem.

Unosi brew, a ja dostrzegam w jego oczach tak dobrze znane mi drwiące iskierki. Po chwili jednak gasną, a na czole pojawiają się pionowe zmarszczki.

– Co tu robisz?

– Musimy porozmawiać – oznajmiam z kluchą w gardle. – Wypisali cię już?

– Tak.

– Za rogiem szpitala jest kafejka. Masz ochotę na kawę?

– Wolę wodę.

– W zasadzie ja też – przyznaję zgodnie z prawdą, bo wystarczająco mocno wali mi serce. – Do tego śniadanie?

– Raczej obiad.

– Jesteś głodny?

– Jak wilk.

Uśmiecham się. To dobry znak. Brakowało mi nienazartego Agnara.

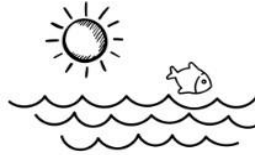
– To będzie nasz pierwszy wspólny, porządny posiłek. Zamówimy coś ekstra – mówię.

– Czyli żadnych ryb?

– I mordowania niewinnych kozłów. Poczekaś grzecznie przy stole, aż podadzą nam pieczoną wieprzowinę z frytkami.

– Ech. – Zarzuca mi wielką łapę na ramię, aż się pod nią uginam. – Chodź. Trzeba ci przyłożyć lód do czoła, zadziorna zołzo. – Przyciąga mnie do siebie i całuje w głowę.

Moje serce robi radosny podskok. Czuję, że jest dobrze. Może niepotrzebnie obawiałam się tego spotkania?



Początkowo nasza rozmowa przypomina pogawędkę dobrych znajomych, którzy zobaczyli się po latach. Zamawiamy jedzenie, przykładam szklankę z lodem do czoła i opowiadam Agnarowi o dziewczynach: co zwiedziły, jak bardzo za mną tęskniły. Wspominam o tym, że zdaniem Ulki spędziliśmy na wyspie dwadzieścia trzy dni, a nie piętnaście, jak sądziliśmy. Podobnie jak ja nie jest w stanie w to uwierzyć. Kiedy jedzenie wjeżdża na stół, wspominamy nasze pierwsze dni na Survivie, gdy marzyliśmy o takim pysznym posiłku jak teraz. Delektujemy się pieczenią z warzywami, moussaką i sałatką grecką.

Nadaję jak nakręcona, a Agnar słucha, momentami dorzuca krótki komentarz, niewiele mówi, czasami odpływa gdzieś myślami na parę sekund, ale po chwili wraca do mnie. Jest taki, jakim go poznałam – zrównoważony, powściągliwy. Z tym wyjątkiem, że nie dosrywa mi na okrągło. Postrzegam to jako dobry znak i staram się naprowadzać stopniowo konwersację w kierunku ostatnich wydarzeń. A że nigdy nie umiałam owijać w bawełnę, walę z grubej rury.

– Rozmawiałaś z kimś z rodziny? – pytam niby od niechcienia.

Twarz Agnara natychmiast tężeje.

– Tak. Wystraszyłaś moją matkę. Niepotrzebnie się z nią kontaktowałam. – Odsuwa talerz i wyciera chusteczką usta.

– Nie miałam złych intencji. Uznałam, że powinna wiedzieć. Jak ona się czuje?

– Dzisiaj wychodzi ze szpitala. Muszę ją odwiedzić.

– Byłeś u niej przed podróżą do Grecji? Dlatego leciałeś z Polski?

– Tak. Czowała się wtedy dobrze. Wiadomość o moim zaginięciu ją załamała. Ma tylko mnie.

– Naprawdę mi przykro. – Przygryzam wargę.

Zastanawiam się, jak pociągnąć delikatnie wątek i zadać mu wszystkie pytania, które mnie męczą, tak żeby go nie urazić. Boże, dlaczego nie potrafię być taktowna i dyplomatyczna?

– Nie męcz się. Wal prosto z mostu – odzywa się zdecydowanym głosem Agnar.

– Co masz na myśli? – Rznę głupa.

– Wiercisz się, usta zaraz zaczną ci krwawić od przygryzania i połamiesz sobie wszystkie palce od wyginania. Wyrzuć to z siebie. Przyznaj, że jestem wariatem po matce, nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, i pożegnajmy się jak ludzie.

Robię wielkie oczy.

– Nie uważam cię za wariata.

– Kwestia umiejętnego doboru słownictwa. Znaczenie to samo. Cierpię na zaburzenia psychiczne, Kora. ChAD jest chorobą przewlekłą, ze skłonnością do nawrotów. Do końca życia muszę brać leki, a jeśli z jakichś powodów je odstawię albo coś zaburzy mój spokój, skończy się to tak jak ostatnio albo gorzej.

– Gorzej?

– Kiedy miałem trzydzieści lat, wystąpił pierwszy epizod i był on najgorszy ze wszystkich. Pracowałem wtedy w firmie ojca. Byłem dyrektorem handlowym. Duża kasa, jeszcze więcej obowiązków i stresu. Zaczęło się od skrajnej euforii. Kreatywność level high, czułem się świetnie, byłem genialny, pracowałem po kilkanaście godzin dziennie, spałem cztery, trzy, a czasami w ogóle. W hipomanii szkoda czasu na sen. Jest tak dużo do zrobienia. Rano siłownia, w ciągu dnia podejmowanie wysokiego ryzyka. Zacząłem robić głupie rzeczy. Miałem totalnie zaburzony ogląd rzeczywistości.

Wieczorem imprezy, zero zahamowań, zero skrupułów, zero konsekwencji. Narkotyki, po nich kac i zjazdy, które leczyłem alkoholem i kolejną dawką koki i amfy. I przygodny seks. Codziennie. Libido ekstremalne. Chryste, mógłbym to robić non stop. Trzy godziny snu i rano znów siłownia, później praca, wieczorem balangi. W hipomanii przehulałem wszystkie oszczędności i naraziłem firmę na poważne straty. Dopinałem wtedy kontrakt na dwadzieścia milionów euro. Pędziłem jak burza i nie mogłem, nie chciałem tego zatrzymać. Nie dostrzegałem, że moje decyzje są nieracjonalne. Byłem nabuzowany, uważałem, że jestem niezniszczalny. Sto pomysłów na minutę, sądziłem, że mogę wszystko, i byłem przy tym bezkrytycznie szczęśliwy. Towarzyszyła mi niespożyta energia. Byłem przekonany, że nic złego nie może mi się przydarzyć, że jestem wyjątkowy, najlepszy, nie do zdarcia. Zajeżdżałem się, aż w końcu po dwóch tygodniach padłem. Dosłownie wpadłem w dół. Ciemny, czarny, nieskończenie głęboki. Nie miałem ochoty na nic. Nie jadłem, nie piłem, tylko spałem. Nie wstawałem z łóżka przez tydzień. Nic mnie nie obchodziło. Wyłączyłem się. Odciąłem od świata. Nie istniałem. Wielka pustka. Nie było mi nawet smutno. Wszystko stało się obojętne. Nie widziałem sensu dalszego życia. – Upija łyk wody, po czym obraca szklankę w dłoniach, zatapiając w nich wzrok.

Nic nie mówię. Mam gułę w gardle. Serce mi pęka. Cisza między nami się przedłuża, a z każdą sekundą mam wrażenie, jakby Agnar się ode mnie oddalał tym samotnym błędzeniem we wspomnieniach. W końcu zbieram się na odwagę i mówię:

– Ale z tego wyszedłeś. Dałeś radę.

– Gdyby nie Markus, pewnie prędzej czy później bym ze sobą skończył. – Podnosi na mnie zbolale spojrzenie, a ja jestem o krok od rozplakania się.

– Lecz nie skończyłeś.

– Bo brat zrobił mi wjazd na chatę i zaciągnął mnie siłą do szpitala. Wtedy dowiedziałem się, że choruję na to samo co matka. Przez trzydzieści lat nie miałem żadnych objawów i nagle bam! Dostałem wyrok na całe życie. Dobierali mi odpowiednie leki przez dziesięć miesięcy. Wyszedłem z depresji, następnie kilka miesięcy remisji, po czym znów hipomania. Pocieszające było to, że moje stany maniakalne kończą się na hipomanii, która ma o wiele mniejsze nasilenie. Mania to dopiero jest hardcore. Wiem, bo widziałem to na własne oczy u matki: dochodzi do epizodów psychotycznych, omamów, urojeń. Tego na szczęście po niej nie odziedziczyłem. Muszę się po prostu bardziej pilnować, brać leki, nie pikować, nie wzlatywać, bo to zawsze skutkuje upadkiem. Im większy gaz w hipomanii, tym silniejsze zderzenie ze ścianą, kiedy ustaje. Żyjąc na maksa przez kilka dni, musisz się liczyć z późniejszymi kosztami. Czasami regeneracja i stan depresyjny potrafią trwać tygodniami. Gra niewarta świeczki. Spalasz się jak suche siano. W rezultacie przestajesz wiedzieć, kim naprawdę jesteś. Tracisz tożsamość. Nie wiesz, czy jesteś pełnym energii, genialnym facetem, który może wszystko, czy beużytecznym workiem kartofli, który nie ma siły nawet wstać z łóżka do kibla. Nie znasz siebie.

– A ty wiesz, kim jesteś?

– Wiem. Po tym, jak dobrali mi odpowiednie leki, stałem się sobą. Nastąpiła remisja, eutymia, stabilizacja. Wprowadziłem się do chaty dziadka, handlowałem drewnem, mieszkalem w lesie, polowałem, rzeźbiłem. To byłem prawdziwy ja. Mogłoby się wydawać, że to sielanka. Ale na początku nie było kolorowo. Dotarło do mnie, jak wygląda moja rzeczywistość. Brałem stabilizatory nastroju, one mnie naprostowały. Do tego terapia. I spokój. Najważniejszy jest spokój. Kiedy masz ChAD, musisz dostosować wszystko do swojej choroby, trzeba się z nią nauczyć egzystować, i to do końca życia. Hobby się przydaje. Zwłaszcza takie, w którym wyrażasz siebie, swoje emocje. Coś spokojnego, prostego, a zarazem głębokiego. Ale też nie można przeginać, za mocno się angażować i ekscytować swoją pasją. Może to zabrzmie dziwnie, lecz czasami odnoszę wrażenie, że bycie bipolarnym uwolniło mnie od życia, które tak naprawdę nie dawało mi szczęścia. Dzięki ChAD zacząłem rzeźbić, zrozumiałem, z czym boryka się moja mama, i bardzo się do niej zbliżyłem. Spokój, zwyczajność, zbilansowana dieta, świeże powietrze, fizyczna praca dająca satysfakcję to jest odpowiednie miejsce dla dwubiegunowych. Leki spłaszczają emocje. Nie ma wybuchów radości ani smutku. Jesteś constans. Miewasz lepsze dni, czasami gorsze, ale te drugie są w granicach akceptowalności. Schemat choroby jest powtarzalny. Czasami, kiedy za bardzo się w coś zaangażowałem, rozpoznawałem symptomy hipomanii, konsultowałem się z psychoterapeutą i bywało, że zwiększał dawkowanie litu. Miałem się wtedy na baczności. Potrafiłem się

tonować, gdy nadchodziła hipomania. W końcu nauczyłem się siebie, opanowałem życie z chorobą do perfekcji. Tak mi się przynajmniej wydawało... – Zawiesza głos i upija łyk wody.

– Aż trafiliśmy na wyspę – dopowiadam za niego.

– Stres, niepewność, bezsilność, brak leków, zbilansowanej diety, stabilizacji, to wszystko się skumulowało. Sprawilo, że wróciła silna tęsknota za hipomanią.

– Wiedziałeś, że się zbliża?

– Przeczuwałem. Zwłaszcza tego dnia, kiedy wiatr zniszczył nasz szałas.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo czułem się świetnie. Ten stan jest nie do opisanania, Kora. Masz moc sprawczą. Możesz nie spać, nie jeść, robota pali ci się w rękach, wierzysz, że możesz zdziałać cuda.

– Ty zdziałałaś. Wydostałaś nas z wyspy.

– Ta. Po czym cię porzuciłem, naćpałem się i nachlałem jak ostatni żul, urwał mi się film, trafiłem do szpitala z epizodem depresyjnym i zmartwiłem matkę, której i tak jest trudno. To nie są cuda, Kora. To jest pojebane. Ja jestem pojebany.

– To choroba. Nie ty. Ty jesteś rozsądny, mądry, zaradny, spokojny... – Głos mi się łamie. Ujmuję jego dłoń spoczywającą na stoliku, lecz on ją cofa.

– Taki byłem. Teraz czuję się jak gnój. Muszę wrócić na dawne tory, a to wymaga czasu. Zobaczę się dzisiaj z matką, uspokoję ją i jutro o dziesiątej rano mam lot do Norwegii. Potrzebuję wyciszenia.

Czuję, jak łzy stają mi w oczach.

– Czyli to jest pożegnanie? – Mrugam, żeby się nie rozbeczeć.

– Tak.

– Ale... – Urywam i zbieram się na odwagę, by zadać mu ostatnie pytanie, które nie daje mi spokoju. – Muszę jeszcze coś wiedzieć.

– Pytaj.

– Tylko obiecuj, że powiesz mi prawdę.

– Postaram się.

– Nie ma tak. Obiecuj.

Wywraca oczami.

– Jak w przedszkolu. – Jego kącik ust drga. – Dobrze. Obiecuję.

– Czy to, co było między nami... Wiesz, to, jak się do siebie zbliżyliśmy... – Odchrząkuję, szukając odpowiednich słów. – To byłeś ty w remisji czy w hipomanii?

– Pytasz o seks?

– Pytam o nas. Seks się w to wlicza.

– Hipomania wszystko przyspieszyła i zintensyfikowała.

– To znaczy?

– To znaczy, że od początku mi się podobałaś.

– Ehe – pryham. – Ściemniasz.

– Nie. Obiecałem ci prawdę.

– Ale byłeś wtedy dla mnie podły. Koszmarnie działałaś mi na nerwy. Mężczyzna tak nie zaleca się do kobiety. Raczej ją zniechęca.

– Wiem, celowo się nie zalecałem. I celowo cię zniechęcałem. Seks mnie nadmiernie nakręca, Kora. Podobnie jak ćwiczenia fizyczne. Muszę je odpowiednio kontrolować.

– Dlatego postanowiłeś być niemiły, opryskliwy i taki wredny?

– Miewałem gorsze chwile. Ty non stop się podkładałaś. Czasami należał ci się opierdziel. To było najlepsze rozwiązanie, żeby trzymać cię na dystans.

Siedzę i gapię się na niego z otwartymi ustami.

– Czyli co? W remisji nie uprawiasz seksu?

– Uprawiam, czasami. Odpowiednio dawkuje. I tylko bez zobowiązań.

– Nawet jeśli znasz jakąś kobietę dłużej?

– Nie zawieram tego typu znajomości.

– A jeśli już ją zawarłeś? – walę prosto z mostu.

– Lepiej, żebym był sam.

– Ach. – Czuję ucisk w żołądku.

No dobra. Otrzymałam odpowiedź, a nawet i więcej. Pora podkulić ogon i stąd spadać. Ale jeszcze jedno pytanie.

– Lepiej dla ciebie czy dla niej?

– Dla niej – odpowiada, po czym nachyla się nad stołem i zagląda mi w oczy. – Nie zniszczę ci życia, Kora. Ty i ja... – Kręci głową i prychna. – Nas dwoje, razem, to mokry sen psychiatry. Ja mam zaburzenia dwubiegunowe, a ty lękowe.

– Ja mam wyłącznie w nocy, kiedy jestem sama.

– Aha. Mam być z tobą szczery?

– Nie. Skłam. To podobno spaja związek. – Boczę się.

– Jesteśmy w związku? – Unosi brwi.

– Byliśmy. Na wypie. Przynajmniej tak myślałam. Od początku dobrze nam szło, choć skakaliśmy sobie do gardeł. Jesteśmy zgranym zespołem, potrafiliśmy współpracować, wspierać się, być przyjaciółmi i kochankami. Tam, gdzie brakowało nam wszystkiego, daliśmy radę. Dlaczego nie miałyby nam się udać w normalnym życiu z dostępem do dobrodziejstw cywilizacji? Nie rozumiem, czemu od razu nas skreślasz.

– Bo cię kocham.

Zastygam. Czy to już ten wiek, w którym występuje głuchota starcza?

Agnar patrzy na mnie bez cienia wahania tymi swoimi niebieskimi oczami w taki sposób, że zyskuję pewność – nie przesłyszałam się. Mam ochotę rzucić się na niego i zacząłować go do nieprzytomności. Ale nie wypada. Jesteśmy w miejscu publicznym i...

A co tam. Walić to.

Zrywam się z krzesła, nachylam nad stołem i przywieram ustami do warg mężczyzny, który mnie kocha. KOCHA. KOCHA!!!

Rozlega się brzdęk. Gwar w kawiarni cichnie. Ktoś chrząka.

– Strąciłaś szklankę. – Agnar przerywa pocałunek.

– I naciągnęłam sobie coś w plecach – mówię, wydając z siebie jęk, bo odczuwam ból w dole kręgosłupa.

Kelnerka podchodzi do naszego stolika niezadowolona i zaczyna sprzątać szkło.

– Przepraszam. – Spoglądam na nią z miną niewiniątka. – To był wypadek. Zapłacę za szklankę.

– Mhm. – Kobieta zmiata odłamki, po czym odchodzi bez słowa.

– Chyba powinnaś usiąść – sugeruje z rozbawieniem w oczach Agnar, a ja zaciskam usta w kreskę i wracam na miejsce.

Ludzie patrzą na mnie jak na wariatkę. Tak. Jestem szalona. I mój facet też. Nic wam do tego. Każdy żyje, jak chce.

Poprawiam się na krześle i upijam łyk wody ze swojej szklanki, której jakimś cudem udało mi się nie strącić.

– Wracając do tematu. – Odchrząkuję. – Twierdzisz, że mnie kochasz.

– Tak – odpowiada Agnar bez cienia wahania.

– I dlatego nie powinniśmy być razem?

– Tak.

Ściągam brwi. Logika Radwana czasami mnie zatrważa.

– A możesz rozwinąć? Bo wiesz, jak ludzie się kochają, to zazwyczaj chcą ze sobą być. Ja też cię kocham i chcę z tobą być.

– Nie chcesz.

Usztywniam się.

– Chcę.

– Nie. Tak ci się tylko wydaje. Jesteś żywiołowa, podejmujesz decyzje pod wpływem emocji, co rodzi opłakane skutki. Zbita szklanka jest tego najlepszym przykładem. – Splata ze sobą palce i kładzie dłonie na stole, pochylając się w moją stronę. – Zrozum, Kora. Mieszkam w leśniczówce na odludziu,

jeżdżę do miasta dwa razy w tygodniu: na zakupy i do terapeuty. I jest mi z tym dobrze. Jest stabilnie i spokojnie. Nie przeprowadzę się do Polski, nie będę mieszkał w bloku, nie znajdę sobie roboty w biurze czy na magazynie, bo to nie jest życie dla mnie. Ty masz stałą pracę, rodzinę, przyjaciół, mieszkanie. Nie rzucisz tego wszystkiego tylko dlatego, że się w sobie zakochaliśmy. Nie będę cię o to prosił, bo najpewniej byś się zgodziła i zmarnowała sobie przeze mnie resztę życia. Jesteś inteligentna, zabawna, piękna i świetna w łóżku. Bez problemu znajdziesz sobie mężczyznę, który jest zdrowy psychicznie i zapewni ci godne życie. Ja tym kimś nie jestem. Nie jestem w stanie zagwarantować ci, że będę przez cały czas w remisji... – Zawiesza na moment głos i przymyka powieki, jakby się zmęczył mówieniem i musiał odpocząć. Pociera twarz dłońmi, po czym mówi zgaszonym głosem: – Zrozum. Epizody się zdarzają i będą się zdarzać do końca mojego życia. Czasami mniejsze, czasami większe. Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała. Zaslugujesz na kogoś, kto zatroszczy się o ciebie na starość, a nie będzie ganiał całą noc ze strzelbą po lesie, bo ubzdurał sobie, że potrzebuje trzydziestu poroży, by stworzyć unikatową rzeźbę. Albo postanowi samodzielnie zasadzić las, pracując bez ustanku przez dwadzieścia dni, aż w pewnym momencie padnie z wycieńczenia i z epizodu maniakalnego przeskoczy w depresyjny na miesiąc lub dwa. Nie potrzebujesz kogoś takiego, uwierz mi.

– Potrzebuję. Kocham cię. Rozumiem, przez co przechodzisz. Będę cię wspierać. Dlaczego nie chcesz nawet spróbować?

Boże, brzmię jak desperatka. Ale, kurna, jestem w tym wieku, że nie mam już siły i ochoty na zawołowane farmazony. Szkoda czasu, szkoda życia!

Agnar odchyła się na krzesło, wyjmując portfel z kieszeni, a następnie rzuca banknoty na stół i wstaje.

– To się nie uda, Kora. Nie ze mną. Przepraszam, jeśli miałaś nadzieję na coś więcej. – Przesuwa po mojej sylwetce powolnym wzrokiem, jakby chciał mnie zapamiętać na zawsze. – Jesteś wyjątkowa i nigdy tego nie zmieniaj. Dla nikogo. – Puszczą mi oko, po czym odwraca się i odchodzi.

A ja siedzę jak sparaliżowana. Czyli co? To koniec? Tak po prostu sobie wyjdzie i mnie zostawi?

Pierwsza myśl: Nieczuły drań. Pieprzyć drągala! Nie wie, co traci. Niech sobie idzie. Nie potrzebuję go. Dam sobie radę sama.

Druga myśl: Boże, co ja odwałam? Nie mogę pozwolić mu odejść. Przecież kocham go jak pojebana. Dogonię go, zatrzymam, zwiążę, nie puszczę.

Trzecia myśl: A może miał rację z tym, że podejmuję decyzje pod wpływem emocji, co rodzi oplakane skutki? Muszę ochłonać. Wrócić do hotelu. Porozmawiać z dziewczynami. Pomyśleć. Poużalać się nad sobą. Przespać i...

– Proszę. – Kelnerka, która przed chwilą po mnie sprzątała, stoi tuż obok z wyciągniętą w moją stronę chusteczką.

– Znowu coś rozlałam? – Wracam do rzeczywistości i od razu się orientuję, że tonę we łzach.

Mimowolnie wydaję z siebie szloch, po czym zabieram kelnerce chusteczkę.

Jasna cholera. Dlaczego życie musi być aż tak posrane? To nie fair!





A może by tak to wszystko rzucić i wyjechać w Bieszczady?

Niejedna kobieta w moim wieku rozważyła taką możliwość. Lecz mało która ma odwagę, by zdecydować się na taki drastyczny krok. Ja poszłam na całość i rzuciłam. Mam oszczędności, mogę pracować zdalnie, córka już dorosła, jestem wolna.

Siedzę teraz na schodach drewnianej chaty w środku lasu z włączoną latarką i telepię się z zimna. Z tą różnicą, że nie w Bieszczadach, ale w Norwegii.

Siedzę i czekam. Szczękam zębami. I przeklinam samą siebie w myślach. Jaką jestem idiotką, że zdecydowałam się postawić wszystko na jedną kartę i zrobić Agnarowi niespodziankę?

Niby to dokładnie zaplanowałam, jednak coś nie pykło.

Rozmówiłam się z dziewczynami, które zgodnie stwierdziły, że nie chcą patrzeć, jak umieram w Polsce z rozpacz i tęsknoty. Skoro serce mi podpowiada, że to ten jedyny, to mam wziąć sprawy w swoje ręce i zawalczyć o miłość, a nie biadolić i użalać się nad sobą. Więc wzięłam – walizkę, urlop i ruszyłam w drogę. I zamierzam walczyć. Najwyżej Radwan odeśle mnie z kwitkiem. Jeśli nie spróbuję, to się nie przekonam.

Znalazłam adres Agnara na liście członków jednego z norweskich stowarzyszeń właścicieli lasów. A ponieważ wspominał, że zostanie u matki na jeden dzień, po czym następnego wraca do domu, wpadłam na genialny pomysł, żeby zdążyć przed jego powrotem i urządzić mu skromną imprezę powitalną na progu jego leśniczówki.

I z tego też powodu właśnie zamierzam, bo powitanie miało być seksi. Miałam kusić mężczyznę swoimi kobiecymi wdziękami. Dlatego jestem w pończochach samonośnych, szpilkach i koronkowej sukience, która powinna nosić miano halki. Dzięki Bogu, że włożyłam zimową kurtkę. Inaczej leżałabym już zmrożona na sopel lodu, a tak na razie odmarzł mi jedynie tyłek.

A żeby było zabawniej, rozładowała mi się bateria w komórce, bo przez cały lot słuchałam smętnych miłosnych kawałków. Oczywiście byłam tak rozentuzjasmowana spotkaniem z Agnarem, że nie wpadłam na to, by podładować telefon na lotnisku, tylko od razu wsiadłam do taksówki i kazałam się zawieźć do ukochanego.

Byłam przekonana, że Radwan przyleci o dziesiątej. Tak przecież mówił. Dwie godziny lotu plus dwie kolejne na drogę z lotniska. Powinien być tu o czternastej, a już osiemnasta. Gdzie on, do diabła, jest? Może jednak został z matką na dłużej?

Muszę wstać i zacząć chodzić, bo nabawię się zapalenia pęcherza. O, już chce mi się siku. I tak długo wytrzymałam. Chwała Panu, że zabrałam ze sobą latarkę, inaczej umarłabym tu ze strachu. A tak grozi mi tylko śmierć wskutek wyziębienia albo pożarcia przez dzikie zwierzę.

Ruszam na tyły, bo przecież nie obsikam Agnarowi chałupy i nie popsuję naszego spotkania odorem jak z miejskiego szaletu. Odchodzę kilka metrów od domu, wsadzam w usta latarkę, podwijam kurtkę, ściągam stringi, które niemiłosiernie wrzynają mi się w tyłek, kucam i nagle czuję przeraźliwy chłód w stopy, a wraz z nim wrażenie zapadania się w ziemię. Spoglądam w dół i zamieram. Kurwa, stoję po łydki w bagnie!

Podciągam gacie, robię sus w bok i dupa blada. Grząski grunt trzyma mnie w swoich mackach jak imadło. Próbuje jeszcze raz, napinam mięśnie ud, żeby ruszyć się z miejsca, szarpie nogę, ale to na nic. Ugrzęzłam! Co więcej, zapadam się z każdą minutą coraz głębiej. Chowam latarkę do kieszeni, bo nie mogę przez nią oddychać. Ogarnia mnie ciemność. Spokojnie, bez paniki. Powoli. Zanurzam dłonie w bloku, chwytam się za kostkę i próbuję uwolnić nogę. Ciągnę, ciągnę, ciągnę i...

– Puszczaj mnie, suko! – Kumuluję wszystkie siły i pociągam, drąc się przy tym tak głośno, że bolą mnie uszy.

To jednak najwyraźniej działa, bo unoszę powolnie stopę, wywlekam ją ku górze i uwalniam. Po czym chwieję się, tracę równowagę, macham rękoma i...

– Nie, nie, nie! – Padam na plecy. Jedna noga w górze, druga nadal w bloku, leżę niczym połamana ofiara pijanego kierowcy.

Cholera, utknęłam, teraz to już na bank się stąd nie wydostanę.

– Boże, dlaczego mi to robisz? Przecież jestem dobrym człowiekiem – wzywam Stwórcę z trwogą, a wtedy niespodziewanie ciemność rozświetla blady błysk.

Rozlega się furczenie.

Co to było? Rozglądam się, niczego nie widzę, tylko migoczące światło tańczące w koronach drzew. Turkot się nasila. Odbija echem od pni. Próbuję się podnieść, nie mogę.

– Kora! – rozbrzmiewa znajomy głos. – Kora!

– Tutaj!

Słyszę trzask gałęzi, kroki, narastają, są już blisko. I nagle cichną.

– Agnar?

– Ja pierdzielę. – Rozlega się sapnięcie. – Kobieto, osłabiasz mnie.

– Ja ciebie? Czekam od sześciu godzin! Gdzie byłeś?

– U ciebie. – Podchodzi bliżej.

– Uważaj, tu jest grząsko!

– Znam swój teren. Leż. – Łapie mnie za ramiona, a do mnie dociera sens jego wcześniejszych słów.

– Jak to: byłeś u mnie?

– Rano w pracy, później w mieszkaniu. – Zaczyna ciągnąć mnie za rękę. – Wcześniej dzwoniłem, ale nie odbierałaś.

– O której?

– Koło dziewiątej.

– Byłam już w samolocie.

– Wiem – sapie. – Twoja córka mi to uświadomiła – wzdycha ciężko, po czym mnie puszcza. – Co z twoją komórką? Cały czas włącza się poczta głosowa.

– Rozładowana. – Orientuję się, że jestem na stabilnym podłożu. Patrzę na swoje nogi i chce mi się płakać. Wyglądam jak utyłana gównem ofiara losu. – Gdzie moje buty?

– Zostały.

– Muszę je odzyskać. To szpilki za pięć stów! – Siadam gwałtownie.

– Nie da rady. Przepadły. – Agnar leży na plecach z zamkniętymi oczami i oddycha ciężko.

– Co ci jest?

– Jestem skonany.

– Wyciąganiem mnie z błota? – dziwię się, bo przecież Radwan to mocarz. Sam przeciągnął sześciusetkilogramowy głaz na Survivie.

– Wszystkim. Do tego leki mnie otumaniają. Muszę odpocząć. – Zakrywa ramieniem twarz.

Cholera. Ma prawo być zmęczony. Najpierw epizod maniackalny, po nim depresyjny, pobyt w szpitalu, lot do Polski, spotkanie z matką, szukanie mnie, podróż do Norwegii...

Chyba przegięłam z tą wizytą u niego. Czółgam się ku niemu, po czym przywieram do jego piersi i obejmuję go w pasie.

– Przepraszam. Chciałam ci zrobić niespodziankę. Nie wyszło mi.

– Mnie też nie. – Odsuwa rękę od twarzy i zerka na mnie z góry.

– Miałaś dla mnie niespodziankę? Jaką?

– Już zwiędła. Jest w samochodzie.

– Kwiaty? – Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Szukałem hort, ale nigdzie nie mieli. Florystka doradziła czerwone róże.

O Boże, jaki on kochany.

– Czyli zmieniłeś zdanie. – Szczerzę się niczym głupia małolata.

– Rozmawiałem z matką. Opowiedziałem jej o tobie, a ona uświadomiła mi, jaki wielki popełniłem błąd. Ojciec rzucił ją, kiedy byłem mały. Nie dawał rady z nią żyć. Nawet nie próbował. Przestraszył się i uciekł. Ty widziałaś mnie w epizodzie maniackalnym i depresyjnym, mimo to zostałaś. Postanowiłaś dać mi szansę, a ja cię odrzuciłem. Nie powinienem był tego robić. – Wodzi palcami po moich włosach. – Nadal mam jednak wątpliwości, czy wciągać cię w ten syf.

– Byłam przed chwilą w niezłym syfie, a ty mnie z niego wyciągnąłeś. – Wpatruję się w jego jasne oczy. – Kocham cię, Agnar. Chcę dać nam szansę.

– Rzucić wszystko i tu zamieszkać?

– W tym momencie? Nie. Ale jak wezmę gorący prysznic, przebiorę się w ciepłe ciuchy i rozgrzeję przed kominkiem, to będę na tak.

– Ten gorący prysznic i kominek to nie tak prędko.

– To znaczy?

– Trzeba najpierw rozpałcić ogień, woda musi się zagrzać w bojlerze. Zejdzie z jakąś godzinę.

– Mam czas. Posiadam duże doświadczenie w rozpalaniu ognia. Poza tym znam też inne sposoby na rozgrzanie. – Przesuwam dłonią w dół. – Mam na sobie pończochy i stringi... – kokietuję.

– Nawet nie masz co próbować. Zmęczenie plus leki równa się zaburzenie erekcji.

– Ach. Przez jaki czas?

– Tydzień, dwa. Muszę dojść do siebie.

– A później? Będziesz musiał się kontrolować? – Przypominam sobie, jak stwierdził, że seks nadmiernie go nakręca.

– Zaczniemy od dwóch razy w tygodniu. A dalej się zobaczy.

– Chwała Bogu – wzdycham z ulgą.

– Odpowiada ci to?

– Zdecydowanie. Twoje ostatnie ekscesy dały popalić mojej cipce.

– Wiesz, mam jeszcze usta. – W jego oczach migoczą zadziorne iskry.

– Lubię twoje usta. Choć na początku miałam ochotę cię zakneblować, złośliwy wikingu.

– Wtedy nie mógłbym zrobić tego, zadziorna zołzo. – Przyciąga mnie do siebie i całuje.

O rany. Jak ja uwielbiam tego faceta. Pragnę go. Kocham. Ubóstwiam. Takim, jaki jest. I jestem otwarta na życie razem z nim w dziczy.

Oby tylko nie zmuszał mnie do jedzenia jelonków i sarenek, które upoluje, bo tego akurat nie zniosę. Wolę głodować. Choć na szczęście mi to nie grozi – dziesięć kilometrów stąd widziałam market!

Mam przecucie, że damy sobie radę. Razem. Na dobre i na złe. W epizodach i w remisjach. W głodzie i dostatku. W ciepłe, zimnie, ulewie i suszy.

Będziemy wspólnie zaprawiać się w sztuce przetrwania i kochania.

## Przypisy

- 1 Maanam – Szare miraż, album Maanam, 1981 r.
- 2 Maanam – Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech, album O!, 1982 r.
- 3 Luźna interpretacja sloganu reklamowego „Mam smaka na Maka” sieci restauracji McDonald’s, który powstał w 2015 r.
- 4 Are you okay? (ang.) – Dobrze się pan czuje?
- 5 Not at all (ang.) – Ani trochę.
- 6 Hure! Hure! (niem.) – Kurwa! Kurwa!
- 7 Dzidziki – greckie cykady.
- 8 Whoa! I feel good... (ang.) – Czuję się świetnie, wiedziałem, że teraz będę.
- 9 Bee Gees – Stayin’ alive, ścieżka dźwiękowa do filmu Gorączka sobotniej nocy, 1977 r.
- 10 Agrimi – koziorożec kreteński.
- 11 Maanam – Cykady na Cykladach, singiel Cykady na Cykladach, 1981 r.
- 12 I’ve been watching... (ang.) – Obserwowałam cię od pewnego czasu. Nie potrafię przestać wpatrywać się w te oczy, które są niczym ocean. Billie Eilish – Ocean eyes, album Don’t smile at me, 2017 r.
- 13 No, seriously, what is... (ang.) – A teraz poważnie, co to za miejsce? To jest niebo, Szybcy i wściekli 8, 2017 r.
- 14 Tonight I’m gonna... (ang.) – Dzisiaj zamierzam się dobrze bawić. Czuję, że żyję, a świat się wywraca na drugą stronę. I unoszę się nad ziemią w ekstazie. Queen – Don’t stop me now z albumu Jazz, 1978 r.
- 15 So don’t stop me now (ang.) – Więc nie zatrzymuj mnie teraz.
- 16 ‘Cause I’m having... (ang.) – Bo dobrze się bawię, dobrze się bawię.
- 17 Veni, vidi, vici (łac.) – przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem.
- 18 Surviva – nazwa pochodząca od angielskiego słowa to survive, czyli „przetrwać”.
- 19 Great stuff (ang.) – świetny towar.
- 20 Ravani – tradycyjne greckie ciasto na bazie mąki pszennej i semoliny, nasączone syropem cukrowym.
- 21 Bougatsa – greckie ciastko śniadaniowe z semoliny i budyniu, przypominające kremówkę.
- 22 ChAD – choroba afektywna dwubiegunowa.

Melissa Darwood

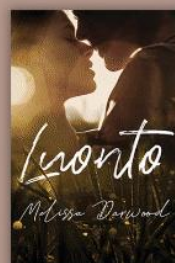
KSIĄŻKI WYDAWNICTWA  
MELISSA DARWOOD



Autorka bestsellerowych powieści dla kobiet i młodzieży, tworząca pod pseudonimem.

W swoich utworach uwodzi lekkim stylem, humorem, dużą dawką emocji, zwrotami akcji i niepowtarzalnymi bohaterami.

Jej powieści niosą za sobą głębokie przesłanie, dzięki czemu pozostają na długo w sercach i pamięci czytelników.



[www.melissadarwood.com](http://www.melissadarwood.com)



Read and fall in love